



F.G. COTTAM

Dom zagubionych dusz

Przekład JOANNA NAŁĘCZ



TLR

Moim dziewczynkom i mojemu chłopcu, z miłością i dumą

Hull, październik 1995

Nick Mason uważał za ironię losu, że zawsze tak świetnie umiał ukrywać się z tym, co robił. Tak naprawdę nie była to kwestia umiejętności, lecz talentu. Wrodzonego instynktu. Teraz patrzył na swoją siostrę - stała blada nad grobem jakieś sto metrów od niego - i nawet nie przyszło mu do głowy, że ktoś mógłby go zauważyć. Wiedział, jak bardzo jest w tym dobry. Najlepszy dowód, że robił to już tyle razy i nadal żył.

Ironia losu, bo nigdy nie sądził, że kiedykolwiek wykorzysta swoje umiejętności, by śledzić kogoś z własnej rodziny. Ale tak się stało. Był tu, śledził swoją małą siostrzyczkę, instynkt podpowiadał mu, że ma ku temu wiele powodów. Dla jej dobra. A jego spryt i cierpliwość na pewno bardzo mu w tym pomagały.

Wprawy nabrał w latach osiemdziesiątych w Irlandii Północnej. O, tam naprawdę uwielbiali pogrzeby. Zawsze chcieli, by męczennik został pochowany z honorami. Zdaniem Masona byli urodzonymi melan-cholikami i ciągle szukali pretekstu, by kogoś opłakiwać. W większych pogrzebach uczestniczyli wszyscy ważni gracze, a obserwując ich, kiedy się sobie kłaniali, można było się sporo dowiedzieć. Wystarczyło przyjrzeć się, kto komu składa wyrazy uszanowania i kondolencje, by poznać hierarchię. Widział ostatnią drogę wielu bohaterów IRA z kryjówek takich jak ta, czasem zaledwie kilka metrów od chłopców trzymających wartę, często tak blisko, że czuł ich oddech zalatujący piwem, które wypili w pubie przed przyjściem do kościoła.

Musiał jednak przyznać, że ten pogrzeb różnił się od innych, jakie widział w Irlandii. Przede wszystkim była tu jego siostra, blada, załamana, w czarnym płaszczu, ze złożonymi dłońmi i twarzą zalaną łzami. Chciała iść na pogrzeb sama. Musiał uszanować jej życzenie. Dlatego właśnie wysmarował twarz ciemną pastą i użył tyle taśmy tapicerskiej, ile wystarczyłoby do ukrycia snajpera w strefie ognia. Dlatego

włożył panterkę i od dwóch godzin tkwił nieruchomo w wąskim rowie za gęstwiną gałązek i ciernistych krzewów w rdzawych kolorach jesieni.

Ale różnica nie na tym tylko polegała. Patrzył na kondukt pogrzebowy zmierzający w stronę grobu i miał wrażenie, że ogląda film, w którym brakuje kilku klatek. Dziwne światło i gwałtowne ruchy żałobników sprawiały, że trudno mu było nadażyć za tym, co się działo. Pogrzeby miewają zwykle własną ponurą choreografię. Nawet wtedy, gdy do grobu składano kogoś z bojowników Belfastu, wszystko odbywało się w tym samym uroczystym rytmie, bez niespodzianek.

Tutaj, zaraz po wyjściu z kościoła, jeden z ludzi, którzy nieśli trumnę, puścił ją nagle, zatoczył się, zgięty wpół, i zwymiotował, odwracając od niej głowę i opierając dłonie na kolanach. Pozostali, też bladzi, wyglądali tak, jakby i ich mdliło. Szli, zataczając się i potykając. Rodzice zmarłej zdawali się tego nie zauważać. Mason, który wiedział, w jaki sposób dziewczyna odebrała sobie życie, starał się na nich nie patrzeć. A ksiądz sztywny, spocony, szedł za trumną jak człowiek skazany na śmierć, mamrocząc liturgiczne formuły.

Dźwięki, które towarzyszyły ceremonii, także brzmiały inaczej. Bicie dzwonu kościelnego wydawało się dziwnie stłumione i nierówne, jakby dobiegało z bardzo daleka. Gdyby się naprawdę skoncentrował, pewnie dosłyszałby muzykę organową niosącą się echem po kościele. Ale zagłuszały ją jakieś melodie, przywodzące mu na myśl fortepianowe solówki i kołysanki, których na starość bardzo lubił słuchać jego dziadek.

I to dziwne światło. Czarno-biały kondukt jak ze starego filmu; miał wrażenie, że widzi mężczyzn w cylindrach i wykrochmalonych kołnierzykach - niosą czarną trumnę w ponurym marszu ku zapomnieniu, wśród tłumu żałobników w długich sukniach i pelerynach z czarnej gabardyny.

Potał powieki, choć wiedział, że nie ma problemów ze wzrokiem. Jeszcze jeden rzut oka na kondukt - teraz wszystko znowu wyglądało normalnie. Zwłoki dotarły właśnie do kresu swojej drogi, do grobu.

Pogoda także była dziwna. Porywisty wiatr podnosił z ziemi martwe liście - wirowały w powietrzu między grobami. Zaskakująco ciepły i kapryśny, niósł ze sobą lekki, a jednak wyraźny zapach. Najdziwniejsze były jednak dziewczęta. Trzy dziewczyny, opłakujące przyjaciółkę. A dokładniej dwie dziewczyny i kobieta, bo studentka z Ameryki była kilka lat starsza od siostry Masona i studentki z Merseysi-

de. Tak czy inaczej, powinny być tam trzy dziewczyny, młode, smutne, zjednoczone w bólu, prawda? A Mason wyraźnie widział cztery.

Wiedział, na czym polega tak zwane rozpoznawanie wzoru. To jedna z najbardziej przydatnych umiejętności, jakich wojskowi psychologowie uczą tych, którzy działają w terenie. W przyrodzie rządzi przypadek. W zorganizowanym społeczeństwie - porządek. IRA chciała, by ludzie myśleli, że wykalkulowane na chłodno zamachy są spontanicznymi aktami odwagi, ale wiadomo było powszechnie, że poprzedzały je niezliczone próby, powtarzane aż do osiągnięcia absolutnej perfekcji. Techniki obserwacji skupione na rozpoznawaniu wzoru pozwalają zauważyć niczym niewyróżniający się samochód, który pojawia się zbyt często we wstecznym lusterku, czy zupełnie przeciętną twarz człowieka, którego zbyt często mijasz na ulicy. Mogą ci pomóc wygrać w jackpot czy rozwiązać krzyżówkę, a czasami - ocalić ci życie.

Mason, który został dobrze pod tym względem przeszkolony, był przekonany, że na tym cmentarzu we wzorze coś nie pasuje. Lecz kiedy próbował skupić wzrok na żałobnikach, przeszkadzało mu drgające jakby od gorąca powietrze - ale coś takiego w wilgotny dzień pod koniec października? I to nieupalny? Tymczasem członkowie rodziny zmarłej wydawali się sztywni jak zombie, ksiądz wyglądał przerażająco, a grabarze sprawiali wrażenie chorych. I było o jedną dziewczynę za dużo. Podniósł jednak rękę i otarł oczy - piekły go teraz od potu i piasku, który niósł ze sobą wiatr. Nagle poczuł, jak ziemia pod nim zaczyna się poruszać, trzepocząc lekko jak zimne, niecierpliwe dłonie.

Śmierć nigdy go specjalnie nie zaprzętała. Zabił trzech ludzi w Irlandii, dwóch w Ameryce Środkowej - i nigdy o nich nie myślał. W Kolumbii doszło do wymiany ognia, wpadł w zasadzkę zastawioną przez kartel z Medellin, podczas gdy jego regiment pomagał Jankesom. Włączył się do walki i oberwał dwa razy - ot, kwestia życia lub śmierci. Irlandia Północna natomiast była tym, czym była, kłopotliwą prowincją, prowadzącą długą, męczącą wojnę podjazdową. Nie miał powodów, by czuć się winny. Dostał nawet medal. Nic z tego, co zrobił, nie niepokoiło jego sumienia. Mógł też powiedzieć o sobie, że właściwie nigdy naprawdę się nie bał.

Ale teraz był przerażony. Sparaliżowany strachem. Spojrzał przed siebie i w smugach tego dziwnego światła zobaczył konie w czarnej uprzęży, ciągnące przez cmentarz karawan ze szklaną trumną. Zamrugał i wizja zniknęła, ale ziemia nadal

zdawała się pulsować mu pod stopami jak żywe stworzenie. Jego ciało, zimne teraz i zeszywniałe, zamarło w przeczuciu upiornych wydarzeń.

A zaraz potem usłyszał krzyk swojej siostry. Sarah krzyczała, a jej głos przeszywał serce Masona bólem i przerażeniem. Wiatr niósł ze sobą woń jesiennego rozkładu.

2

Paul Seaton zrozumiał, że to wróciło. Gwałtowna wichura uderzała z furją w okna autobusu, który przejeżdżał właśnie przez most Westminster w sznurze sunących wolno pojazdów. Była godzina szczytu. Szyby drżały w porywach wiatru, a cały autobus marki Routemaster kołysał się na starych resorach. Seaton był pewny. Że w Londynie na początku listopada pada wieczorem deszcz, to oczywiście nic zaskakującego, po prostu znak, że ponura angielska jesień nadeszła już na dobre, nic więcej. Ale Seaton wiedział, że to, przed czym - jak sądził - udało mu się uciec, wróciło, by go odnaleźć. Wstał, przecisnął się przez tłum pasażerów na dolnym pokładzie i wyszedł na mokry londyński chodnik. Wiatr gwizdał w balustradach mostu, zacinający deszcz zmoczył spodnie Seaton'a aż do kolan, więc teraz mokry materiał kleił mu się przy każdym kroku do łydek. Spodnie wydawały mu się zimne i ciężkie; czuł też, jak niesiony wiatrem deszcz spływa mu po włosach za kołnierz kurtki.

Szedł na południe, więc najświetniejszy londyński widok - bajkowy gmach parlamentu i wieża z zegarem - znajdował się za jego plecami po prawej stronie, zasłonięty częściowo przez jadące mostem autobusy. Po lewej miał rzekę, ale oparł się pokusie, by na nią spojrzeć. Nie patrzył nawet w jej kierunku, aż do chwili, kiedy dotarł do końca mostu i zszedł

po schodach na Embankment, pod czujnym okiem kamiennego lwa. Zaryzykował i spojrział na posąg, na groźną, dobrze mu znaną lwią głowę. Strugi deszczu spływały w dół krętymi zagłębieniami w jego grzywie, krople kapały z kącików oczu.

Powierzchnia rzeki marszczyła się. Seaton zadrżał. Był przemoczony do suchej nitki. Popatrzył w górę, na uliczne latarnie wzdłuż Embankment, ale tego wieczoru ich światło nie dodało mu otuchy. Poziom wody w rzece był niezwykle wysoki, w mdłym blasku latarni wydawała się blada i bardzo bliska. Na tym odcinku Tamizy lwy stojące wzdłuż brzegu miały w pyskach stare żeliwne koła, które kiedyś służyły do cumowania. Tych kół pokrytych zielonkawymi algami i zaśniedziałych teraz często nie było widać, bo kiedy woda się podnosiła, sięgała aż do lwich pysków. W ten sposób mierzono niegdyś jej poziom. Dzisiaj, pomyślał, lwy strzegące brzegu z pewnością zostały zalane, pochłonięte przez rzekę. Wydawało mu się, że słyszy stłumione pobrzękiwanie metalowych kół, poruszanych prądem.

Spojrzał na Tamizę. Mniej więcej w połowie jej szerokości ciemna woda była poznaczona połyskliwymi strugami szybkiego nurtu, w innych miejscach wydawała się czarna i nieruchoma. Od czasu do czasu pojawiały się w niej gałęzie i różne zagadkowe przedmioty, wydobywane chwilami z mroku przez słabe światło latarni. Kiedy tak stał i patrzył, jego uwagę przykuł jakiś niewyraźny kształt na powierzchni rzeki, sprawiający wrażenie bardziej cienia niż konkretnej rzeczy. Cokolwiek to było, raczej pochłaniało niż odbijało światło. Kształt zbliżył się i teraz wyglądał już jak ciemny materiał, dryfujący kawałek gabardyny czy tweedu, bardzo akurat przydatny w tak ponurą noc. Tylko materiał tak długo utrzymywałby się na powierzchni wody, pomyślał Seaton, ale nagle wydało mu się, że tkaninę wypełnia czyjeś ciało, tak drobne i lekkie, że prąd wody może je ze sobą nieść. Później, jakieś dziesięć metrów od niego, kształt zawirował i zniknął pod wodą. Powiał wiatr i Seaton poczuł zapach rzeki, zalatujący lekko smołą używaną do uszczelniania kominów statków, olejem konopnym i paliwem. Potem, jak duch, także i ten ledwo uchwytny zapach rozpląnął się w powietrzu.

Wzdrygnął się, przesiąknięty wilgocią aż do szpiku kości. Odwrócił się, podniósł kołnierz kurtki i już miał ruszyć pieszo do domu, nie tak daleko, kiedy zatrzymała go muzyka. Przeszył go dreszcz. Nie mógł zrobić kroku. Stał na brzegu rzeki, słuchając smętnej melodii, starej piosenki, nawet bardzo starej. Wydała mu się znajoma. Śpiewał silny, wysoki tenor, z artykulacją charakterystyczną dla wczesnych nagrań radiowych - głos sprzed sześćdziesięciu lat śpiewał *I Wonder Who's Kissing Her Now*.

Jeśli teraz się odwróce, zobaczę restaurację na statku pływającym po Tamizie, pomyślał Seaton, staroświeckie postaci kołyszące się w rytm muzyki za szybą długiej kabiny. Był w końcu listopad, zaczynała się już przedświąteczna gorączka i organizowano pierwsze sezonowe imprezy.

W głębi duszy wiedział jednak, że gdyby się odwrócił, niczego takiego by nie zobaczył. Na rzece nie było żadnego statku. Słyszał, jak stara płyta szumi i trzeszczy pod naciskiem igły starego gramofonu. Głos za jego plecami przybierał na sile, zbliżał się coraz bardziej. Śpiewał tę piosenkę dla jednej osoby. Jaki obraz towarzyszył tej muzyce? Seaton nie miał ochoty się dowiedzieć, więc zamiast się odwrócić, poszedł w kierunku przeciwnym do rzeki i źródła dźwięku. Ale mimo woli zaczął się zastanawiać nad pytaniem zadany w tytule piosenki. Musiał przyznać, że nie wie, kto ją dziś całuje. Wiem tylko, że nie ja, pomyślał. Ja jej już nigdy nie pocałuję.

Złe przeczucia, które ogarnęły go w autobusie, były bardzo silne. A kiedy wrócił do domu, aparat telefoniczny błyskał zielonym światelkiem. Rzadko otrzymywał wiadomości, więc natychmiast porzucił próbę zracjonalizowania tego, co jak mu się wydawało, widział w rzece.

Zajmował dwupokojowe mieszkanie na ostatnim piętrze w siedmio-piętrowym bloku w dzielnicy Waterloo. Budynek był w kiepskim stanie; tylko jedna, zalatująca uryną winda rzadko działała dłużej niż dwa dni z rzędu. Tego jednak dnia akurat działała. Otworzył drzwi swojego mieszkania, starając się nie poddawać przygnębieniu, jakie zwykle wywoływał w nim zapach stęchlizny, charakterystyczny dla tanych, wynajmowanych byle komu domów. Zamykając za sobą drzwi, kątem oka dostrzegł mrugające światelko automatycznej sekretarki, które rzucało zielonkawą poświatę z saloniku na przedpokój. Tu, na górze, wiatr był silniejszy, a w szyby bębniły krople deszczu. Widok z okna salonu był głównym powodem, dla którego Seaton zdecydował się na to mieszkanie. Lokalizacja bloku odpowiadała mu ze względu na sentyment, jaki miał do tej okolicy. Czynnikiem także grał rolę. Ale najważniejszy był widok. Dla niego właśnie jakoś znosił kiepskie, by nie powiedzieć nędzne, warunki mieszkaniowe.

Ignorując sygnalizujący wiadomość telefon, przeszedł przez pokój do okna i zapatrzył się w noc. Budynek stał przy południowym końcu Morley Street. Dwadzieścia metrów niżej wzdłuż St George's Road ciągnął się otoczony niskim murkiem zadbane ogród. Dokładnie naprzeciwko stał rząd czteropiętrowych georgiańskich

kamienic. Po lewej stronie wznosiła się masywna bryła katolickiej katedry. Przechodząc dalej, po prawej, widział kopułę Muzeum Wojny, oświetloną pięknie przez lampy wśród drzew wokół starego budynku. Na tyłach katedry mały bar rzucał smugę jaskrawożółtego światła na dziedziniec muzeum. Niegdyś był to pub, który splajtował, a następnie został przemalowany i otrzymał nową nazwę Zanzibar. Seaton chodził tam czasem wieczorami. Wolał jednak to miejsce, kiedy jeszcze było pubem. Ale piwo serwowano tam zimne, a obsługa była dość miła. Cała okolica przywodziła mu na myśl szczęśliwe chwile z jego przeszłości. Zazwyczaj wszystko to dodawało mu otuchy.

Za jego plecami zielone światełko mrugało w mroku, przyzywając go do siebie. Wiedział, że będzie świeciło tak długo, aż odsłucha wiadomość.

Albo ją skasuje.

Tak, zawsze mogę ją skasować, pomyślał. Zacinający deszcz uderzył w szybę dokładnie na wysokości jego twarzy. Zamknął oczy i cofnął się odruchowo. Tyle że co właściwie osiągnie, usuwając wiadomość? Zyska godzinę niewiedzy? Z takimi rzeczami lepiej zmierzyć się od razu, czyż nie? Nie ma sensu się przed nimi ukrywać. Podjął decyzję i zebrał się w sobie, by oderwać się od okna. I wtedy telefon się rozdzwonił.

Zignorował to. Czekał, aż dzwonek umilknie. A potem odwrócił się, podszedł do telefonu i odsłuchał wiadomość.

-Cześć, Paul.

Był to głos Malcolma Coveya.

-Chcę ci coś powiedzieć na temat domu Fischera.

W pokoju, skromnie umeblowanym, stały dwa fotele. Seaton opadł na jeden z nich. Covey urwał, może dla zbudowania napięcia. Prawdopodobnie jednak po to, by pozwolić Seatonowi ochłonąć. Ostatni raz kontaktowali się przed dwunastoma laty, a teraz Covey, bez owijania w bawełnę, w kilku słowach przeszedł do rzeczy.

-Przepraszam, że cię niepokoję, ale naprawdę nie mam wyboru. Tak jak zapewne ty, tak i ja żyłem w przeświadczeniu, że budynek ten został już dawno wyburzony. Ale nie został. Kilka tygodni temu wybrała się tam grupka studentek.

Zostali tam zwabieni, pomyślał Seaton. W słuchawce słyszał muzykę. Haendel. Dźwięki były bardzo wyraźne i zdawały się wypełniać przerwy między słowami.

Ale cóż, Covey mieszkał w dobrej, cichej dzielnicy. A tu, u niego, słyhać było szum ulicy i daleki ryk podchodzących do lądowania samolotów.

-Jedna z nich nie żyje. Inne są w bardzo złym stanie. W sumie do domu weszły cztery osoby.

Pięć, pomyślał Seaton.

-Pięć - powiedział Covey - jeśli liczyć też wykładowcę, który miał się opiekować tym kursem. To on je tam zabrał, idiota.

Seaton objął głowę rękami.

-Paul? Potrzebuję cię. One cię potrzebują. Nie ma czasu do stracenia.

Znów chwila ciszy.

-Jest taki bar o niesamowitej nazwie, niedaleko od miejsca, gdzie chyba teraz mieszkasz.

Zanzibar, pomyślał Seaton.

-Zanzibar. - Covey cicho zachichotał. - Kto by pomyślał, Paul. W Southwark?

Ale Seaton myślał już tylko o domu Fischera.

-Spotkajmy się tam dziś o ósmej wieczorem. Przyjdź, proszę. Na litość boską, proszę cię, Paul.

Seaton wstał z fotela, myśląc, że Bóg ma bardzo niewiele wspólnego z tym, co kiedykolwiek działo się w posiadłości Klausa Fischera. Podszedł znów do okna. Odwrócił nadgarstek, by lampy uliczne oświetliły cyferblat jego zegarka: za kwadrans ósma. Potem przez chwilę patrzył na przejeżdżające w dole samochody.

Cóż, prawdę mówiąc, jego życie niewiele było warte. Wynajmował mieszkanie w bloku śmierdzącym smażoną cebulą, brudem, wilgocią i odchodami gryzoni. Do pracy dojeżdżał metrem. W Muzeum Brytyjskim zarabiał kilkaset funtów miesięcznie, szukając informacji dla pisarzy, którym nie chciało się tego robić samodzielnie. Nie miał własnego komputera, karty kredytowej ani porządnych ubrań. Nie miał też telewizora, więc jedynej rozrywki dostarczał mu magnetofon kupiony na straganie w Lower Marsch; nie włączał go jednak zbyt często. Kasety budziły bardzo bolesne wspomnienia. Czasem nastawiał *Everything But the Girl*; słuchał utworu otwierającego album *Eden* i zaczynał płakać z żalu nad samym sobą, chowając twarz w dłoniach. Zamieszkał w tej części miasta, którą pamiętał z czasów swojej wczesnej młodości. Skrył się tutaj, bo to tu był kiedyś pełnym wiary w siebie, szczęśliwym człowiekiem. Skrył się tutaj, bo znajome ulice i miłe wspomnienia niosły mu teraz

jedyną pociechę. Jeśli się nad tym dobrze zastanowić, to w ogóle nie było życie. Lecz tylko takie miał. A przypuszczał, że nagle pojawienie się Malcolma Coveya mu je odbierze.

Po wyjściu z windy trzeba przebiec, ryzykując życie, przez St George's Road ze sznurami pędzących samochodów. Potem jest już tylko wąskie przejście pod murem katedry, prowadzące do dawnego pubu.

Ten krótki spacer zawsze był koszmarem, bo mur kościoła, ciemny i potężny, zdawał się ciągnąć w nieskończoność. A on był tam zupełnie sam. W ścianie budynku po prawej stronie - tylko drzwi i zakratowane okienka. Liście i śmieci z szelestem poruszające się na wietrze. Trochę gotycka ponura atmosfera. Potężna budowla, której kamienne mury kryły w sobie tyle zakamarków, przywodziła na myśl starożytną świątynię. Gałęzie drzew rzucały na ściany ulotne, płochliwe, niespokojne cienie. I słyszał śmiech, wysoki i pełen pogardy, a może szydery - kazał mu przyspieszyć, choć tłumaczył sobie, że to tylko pisk hamulców albo świst wiatru w załomach starych murów.

Malcolm Covey palił cygaro. Mimo tłoku udało mu się znaleźć stolik i wolne krzesło. W ciągu ubiegłych dziesięciu lat nie tyle się postarzał, ile dojrzał. Jego włosy i broda posiwiały jeszcze bardziej. Już wcześniej wyglądał godnie. Teraz - wręcz dostojnie. Miał na sobie ciemnoszary trzyczęściowy garnitur, a na dwóch grubych palcach pierścienie, jeden z czystego złota, drugi ozdobiony wielkim rubinem. Cała jego postać emanowała spokojem. Był pewny siebie i bogaty. Jednak głos, kiedy się odezwał - piskliwy i lekko zdyszany - zdradzał liczbę hawańskich cygar, które już wypalił. Seaton znał głos Malcolma, kiedyś był inny. Nawet na nagraniu na automatycznej sekretarce brzmiał inaczej.

Wiedział, że jest bardziej niż inni podatny na tani sentymentalizm, a zwłaszcza na ciepłą nostalgię. Ale patrząc na tego faceta, nie czuł ani sentymentu, ani cienia nostalgii. Spotkał znajomego z dawnych czasów i...? Nie sprawiło mu to najmniejszej przyjemności. Po części dlatego, że Covey pojawił się teraz w jego życiu tak nagle, ale głównie z tej przyczyny, że zawsze żywił do niego ambiwalentne uczucia. Trudno cieszyć się ze spotkania z kimś, komu **się** instynktownie nie ufa.

-Świetnie wyglądasz, Malcolm. Niestety nie mogę powiedzieć, że miło mi cię widzieć.

Covey wydmuchnął kłęb dymu i kiwnął głową. Wstał, by uścisnąć dłoń Seaton, a potem znowu usiadł.

- Ty także całkiem nieźle wyglądasz. Biorąc pod uwagę sytuację, miałbyś wszelkie prawo wyglądać bardzo marnie.

- Dzięki.

- A to je właśnie czeka, Paul. Te dziewczęta, które poszły do domu Fischera. Chyba że ty im pomożesz?

Seaton zadrżał.

- Byłem wtedy ofiarą. Malcolm, nie przeciwnikiem. I nie zwyciężyłem, tylko udało mi się przetrwać. Ty chyba rozumiesz to lepiej niż ktokolwiek inny.

- Przetrwać to w pewnym sensie zwyciężyć.

- Gdybyś tam był, uważałbyś inaczej. A gdybyś przeżył to co ja, nie miałbyś co do tego żadnych wątpliwości.

- Może jeśli tam wrócisz, zamkniesz tę sprawę.

- Nie zależy mi na tym. Covey zmarszczył brwi.

- Pomogę im, jeśli będę mógł. Nie wiem tylko, czy jestem do tego odpowiednio przygotowany. Trzy studentki, które przeżyły, były na pogrzebie swojej koleżanki. I wszystkie ją widziały.

- Otwarta trumna? - spytał Seaton.

- Nie. Widziały ją wśród żałobników.

Wszystkim trzem wydawało się, że widzą ją w tłumie. Wszystkie trzy uznały, że było to złudzenie wywołane stresem, rozpaczą i smutkiem. W końcu przeżyły szok. Dziewczyna, która później próbowała popełnić samobójstwo, miała najgorszą wizję. Zobaczyła swoją zmarłą przyjaciółkę nad grobem, w kapeluszu i woalce, miotającą przekleństwa - spod jej skórzanych czółenek sypała się ziemia. Później dziewczęta opowiedziały sobie, co widziały.

- I wtedy zaczął się prawdziwy horror - stwierdził Covey. Seaton myślał przez chwilę o tym, co właśnie usłyszał.

- Kiedy poszły do domu Fischera?

- Prawie trzy tygodnie temu. Ta, która nie żyje, tydzień później się zabiła, a po kolejnym tygodniu została pochowana.

- A ta, której nie udało się popełnić samobójstwa?

- Targnęła się na życie dwa dni po pogrzebie. Wyszła już ze szpitala i wraca do zdrowia pod opieką brata w swoim domu w Whitstable.

- „Wraca do zdrowia” to bardzo względne pojęcie - zauważył Seaton.

Covey wzruszył ramionami.

- Co one tam właściwie robiły?

- Nie studiują zjawisk paranormalnych ani nic takiego - odparł. - Uczą się na uniwersytecie. W Surrey. To dobra uczelnia, ma dotacje rządowe.

- I zatrudnia bałwanów - dodał Seaton.

- Bałwan, o którym mówisz, uczy etyki. Te dziewczęta były, są, studentkami filozofii. Chyba właśnie badały kwestię zła. A konkretnie zła jako czegoś, co można przekazywać. Czegoś, co może zarażać. I zaczęły dociekać: może zło bywa powiązane z konkretnym miejscem. A w końcu, w ramach swoich badań, postarały się o zezwolenie na wejście do domu Fischera.

Seaton objął głowę rękami.

- O Chryste.

- Zazwyczaj, jak zapewne sam już dawno zauważyłeś, to miejsce jest niegroźne - ciągnął Covey. - Ale akurat wtedy nie było. Niestety, dziewczęta znalazły tam dokładnie to, czego szukały. I to jest teraz na wolności.

- Chcesz powiedzieć, że oni są na wolności.

- Nie myl zła i jego wcieleń.

- Będę robił, co mi się podoba, do cholery.

- Nie robiłeś tego od kilku lat, Paul. Nie pozwalano ci na to.

Seaton milczał przez chwilę. Siedzieli w głośnym, zadymionym barze. W kuchni przypalił się czosnek; ostra woń tłumiła wszystkie inne zapachy - wilgotnych ubrań, perfum, piwa i mokrych włosów - które unosiły się w przesyconym nikotyną powietrzu. Słyszał szmer rozmów, brzęk szkła, śmiech, więc i on musiał niemal krzyknąć.

- Co właściwie twoim zdaniem powinienem zrobić, Malcolm? Covey westchnął.

- Chyba powinieneś się spotkać z dziewczyną z Whitstable. - Sięgnął do teczki stojącej między nimi, wyjął z niej grubą, szarą papierową kopertę i położył na stoliku. - Tu masz adres. A także tysiąc dwieście funtów w gotówce i kluczyki do samochodu stojącego za rogiem, pod wiaduktem na Hercules Road. Jesteś psychologiem i specjalistą od urazów psychicznych. W kopercie znajdziesz też dokument tożsamo-

ści wystawiony na twoje nazwisko, list uwierzytelniający z BMA i kilka dodatkowych papierów z Guys St Thomas Hospital Trust.

- A jej rodzina to rozsądni ludzie?

- Ma tylko brata. A on jest nie tylko rozsądny. Jest zdesperowany. Nie chce, by jego siostra umarła.

Seaton położył dłoń na kopercie.

-Najpierw chciałbym się spotkać z tym wykładowcą. Covey kiwnął głową.

- I spotkasz się. Jutro o drugiej po południu. Spotkanie zostało umówione na podstawie konkretnych dokumentów. Proponuję, żebyś zaraz po nim ruszył w drogę do Whitstable.

- Więc przyjadę na miejsce po zmroku, Malcolm.

- Myślę, że uznasz jej brata za interesującą postać. Z tego, co o nim słyszałem, pewnie nie od razu zaskoczy cię, czy jak to się teraz mówi. Ale facet jest groźny. Na swój sposób.

- Kiedy tam przyjadę, będzie już ciemno.

- Nie ma innej możliwości. Seaton się zastanowił.

- Whitstable leży na wybrzeżu, tak?

- Tak.

To już coś. Przysunął kopertę do siebie i poczuł pod palcami zawartość: kluczyki, fałszywe dokumenty i, oczywiście, pieniądze. Tysiąc dwieście - czterysta za każde cenne życie. Etyka nie zaistniała w tym równaniu, o jego życie nikt się nie zatroszczył, bo przecież to on popełnił ten straszny błąd i wystawił dziewczęta na wielkie niebezpieczeństwo. Tak jakby pieniądze mogły je ocalić. Jakby ich życie można było po prostu kupić.

-Dlaczego wybrałeś właśnie dziewczynę z Whitstable? Covey spojrzał na niego, chyba rozbawiony.

-Cóż, nie chodzi o to, żebyś czuwał przy jej łóżku, bo to nie na wiele by się zdało. Obaj o tym wiemy. Odwiedzać je wszystkie? Bezsensowna strata czasu. Ale brat Sarah Mason może stać się nieocenionym sprzymierzeńcem. Mówiłem, facet jest groźny. I naturalnie znajdziesz go u boku niedomagającej siostry.

- Dlaczego ja, Malcolm?

- Naiwne pytanie, Paul.

- Poważnie. Dlaczego ja?

- Bo już kiedyś to pokonałeś. Bo starczy ci sił, żeby zrobić to po raz drugi.
- Nie. Nie nadaję się. - Rzucił kopertę na stolik. - Nie zrobię tego.
- Nie masz wyboru - odparł Covey, odchylając się władczo na oparcie krzesła. W barze było głośno i bardzo tłoczno, jego głos zupełnie wyprany z emocji, brzmiał głucho. Strzepnął popiół na podłogę. Drugą ręką pchnął kopertę z pieniędzmi i fałszywymi dokumentami w stronę Seaton. - A teraz posłuchaj - spojrzał Seatonowi prosto w oczy. - Posłuchaj bardzo uważnie.

3

Rozstali się pół godziny później. Covey ulokował swoje potężne ciało w zacisznym wnętrzu czarnej taksówki, Seaton pochylił się w deszczu przy jej otwartych drzwiczkach, żeby się z nim pożegnać. Covey zamrugał w świetle lampki umieszczonej pod sufitem samochodu, a potem wskazał dłonią budynek katedry, wznoszący się kilka kroków od baru. Kiwnął głową.

-Jakieś ubezpieczenie?

Seaton także zamrugał, bo deszcz zaczął zalewać mu oczy.

- Nie, to by tylko pogorszyło sytuację. Uznaliby, że to prowokacja.

- Naprawdę sądzisz, że są tak... dobrze poinformowani?

- Obawiam się, że tak.

Teraz zamrugał Covey. Wydawał się bardziej zasmucony niż zaskoczony.

- Pomyślę o tym, co mi powiedziałeś, Malcolm.

- Nie ma czasu - odparł Covey. - Nie ma czasu na myślenie.

Pociągnął mocno za klamkę i Seaton puścił drzwiczki. Trzasnęły głośno i taksówka ruszyła, bryzgając wodą spod tylnych kół. Seaton się wyprostował. Po raz drugi tego wieczoru był przemoczony do suchej nitki.

Leżał w łóżku już od pół godziny, kiedy usłyszał muzykę. Grała cicho za ścianą w saloniku. Kiedy się wprowadzał do tego mieszkania, sprawił sobie narzutę i pościel; dawały mu znane z dzieciństwa poczucie bezpieczeństwa. Były drogie, kupił

w domu towarowym Army & Navy w Victorii wraz z miękkimi poduszkami i kołdrą z gęsiego puchu. Chciał pogrzebać swoje samotne noce pod warstwą miękkiego zapomnienia. I udawało mu się to. Aż do tej chwili. Teraz przez tę muzykę, poczuł się tak, jakby zamiast pościeli jego zdrętwiałe ciało okrywał sztywny całun. Słuchał granej w kółko tej samej, dziwnie niepokojącej melodii. Odliczył siedem minut, patrząc na podświetlany cyferblat swojego zegarka. Zaczął się pocić, a jednocześnie było mu coraz zimniej. Poznał tę piosenkę. Tak mu się przynajmniej wydawało. Ciągnęła się bez końca. Przenikała przez drzwi i ściany w urywanych akordach, raz cichsza, raz głośniejsza, tęskna i uporczywa. Drzwi znajdowały się po prawej stronie. Na ścianie po lewej, za ciężką zasłoną, było okno. Mógł wstać i popatrzeć na nocny widok. Na ulicę, na oświetloną kopułę Muzeum Wojny, na nagie jesienne drzewa. Starsi ludzie, którzy mieszkali tu od dawna, nazywali to miejsce domem wariatów. W budynku muzeum kiedyś mieścił się szpital psychiatryczny.

Teraz jednak szaleństwo zdawało się nadpływać z prawej strony. Seaton odrzucił kołdrę, wyskoczył z łóżka i poszedł do salonu.

Ale tu muzyka grała jeszcze głośniej.

W oknach nie było zasłon i pokój zalewało białawe światło latarni ulicznych. Kiedy w dole przejeżdżały samochody, po ścianach mknęły szybkie, niespokojne cienie.

Muzyka napływała nieprzerwanie, natrętna, monotonna, przerażająca.

Była to piosenka grupy Fairport Convention *Tam Lin*. Śpiewała biedna, nieżyjąca już Sandy Denny. Tak, to był jej głos, choć wydawał się dziwnie bezcielesny, albo głos kogoś, kto ją doskonale naśladował. Seaton słyszał też okrzyki i gwizdy pozostałych członków zespołu - albo ich zręcznych naśladowców - a także wirtuozerską grę na skrzypcach, gitarach i mandolinach. Słyszał wybijany na perkusji rytm. I coś jeszcze, coś zgrzytliwego i fałszywego... dźwięk rozdieranego materiału i krótkie wybuchy złośliwego śmiechu.

Seaton opadł na fotel. Patrzył na magnetofon, który stał na podłodze pod ścianą. Wtyczka była wyciągnięta z gniazdka i leżała tam, gdzie ją zostawił kilka tygodni temu, kiedy zupełnie się rozkleił, słuchając *Edenu*. Kupił magnetofon bez baterii, wiedział więc doskonale, że teraz także ich w nim nie ma. Nie świeciło się też małe czerwone światelko, sygnalizujące zwykle dopływ energii do urządzenia. Przywołany duch Denny śpiewał, jej staroświecki zespół akompaniował mu niezmiernie,

a Seaton pomyślał o starszym małżeństwie, które w weekendy rozkładało stoisko z używanymi rzeczami w Lower Marsch. To oni sprzedali mu ten magnetofon. Byli zwykłymi, szarymi ludźmi, nie miał co do tego wątpliwości. Dorabiali sobie, handlując czym się dało.

Wstał i wcisnął klawisz, by przesłuchać drugą stronę taśmy, której – o czym dobrze wiedział - nie było w magnetofonie. Po krótkiej pauzie usłyszał śmiech, lekko syczący głos wypowiedział jego imię, po czym powtórzył je jeszcze kilka razy, jak puentę świetnego dowcipu. Potem głos umilkł i przez chwilę Seaton słyszał tylko szelest przewijanej, nieistniejącej taśmy. Później dobiegł go fragment jego rozmowy z Malcolmem Coveyem w barze Zanzibar. I znowu ten śmiech, szyderczy, złośliwy, dźwięk rozdzieranego materiału i stłumiony huk, jakby na podłogę przewrócił się ciężki mebel. W końcu zgrzyt nóg krzesła ciągniętego po twardych drewnianych deskach. Wcisnął klawisz „Stop” i nagle zapadła cisza. Wcisnął „Open” i kasetę się otworzyła, pusta. Poszedł do kuchni po szklanek wody i za plecami usłyszał, jak kasetę się zamyka. Duch Sandy Denny odezwał się ponownie - zaśpiewał *Tam Lin*, tym razem bez akompaniamentu. Teraz brzmiał słabo i żałośnie.

- Niezła sztuczka - powiedział Seaton. - Chociaż trochę amatorska. Jak z domowego teatryku.

Śpiew umilkł i na chwilę zapanowała cisza. A potem ciemnością wstrząsnął potężny, głuchy dźwięk dzwonu katedralnego. Odbił się echem od budynków i ucichł. Seaton spojrzął na zegarek: czternaście po pierwszej. Kościelne dzwony nigdy nie biją o takiej godzinie.

Kiwnął głową ze zrozumieniem i aprobatą. To już nie była sztuczka z domowego teatryku. Instynkt podpowiadał mu, że powinien pochlebić teraz ich próżności. Z tej odległości nie mogli chyba wyrządzić mu krzywdy. Fizycznej krzywdy. Ale był wstrząśnięty. Jeśli zamierzali wytrącić go z równowagi, zdecydowanie im się to udało.

Wypił wodę i wrócił do łóżka. Przez chwilę jeszcze bał się, że znowu rozlegnie się upiorny śpiew z taśmy, której nie było w magnetofonie. Przyszło mu też do głowy, że dzwon katedry może w każdej chwili zacząć bić w ciemnościach nocy, nie zważając na datę ani godzinę. Ale był daleko od domu Fischera. A trzy studentki filozofii i ich wykładowca z pewnością zasługiwali na więcej uwagi niż on. Leżał więc w łóżku i czekał na sen. A ten nie nadchodził. W oknie sypialni widział, jak po

drugiej stronie St George's Road, w budynku przylegającym do katedry, zapalają się światła. Obudził się jakiś ksiądz czy może wikary. Albo woźny. I zaraz zorientuje się, że dzwonnik zniknął. Chyba że naprawdę szczęście mu nie dopisze.

Miał wtedy nie więcej niż dwanaście, trzynaście lat, a stało się to w jego rodzinnym domu, dwupiętrowym budynku w północnej części Dublina. Jego rodzice wtedy się rozwodzili. Ojca miał już nigdy więcej nie zobaczyć; a matka funkcjonowała tylko dzięki dużym dawkom valium. Przysypiała w najmniej odpowiednich momentach. Zapominała o garnkach na zapalonym gazie. Zostawiała ogień płonący w otwartym kominku albo nie zakręcała kurka i woda lała się do wanny, a ona wychodziła z domu. Tego wieczoru zapadła w głęboki sen na kanapie.

Paul nie narzekał. Dzięki wielkiemu telewizyjnemu masztowi na Winter Hill na północnym krańcu Pennines mogli oglądać angielskie kanały. Kiedy matka spała, przełączali telewizor na świństwa takie jak *Weź wszystkie trzy* albo *Prawdziwe życie*. Zwłaszcza ten ostatni program był tak pełen nagości, że dyskutowano o nim na szkolnym boisku bez mała z obawą. Rzucił okiem na matkę, a potem podszedł do telewizora i zmienił kanał. Najwięcej nagości oferowały zawsze Telewizja Granada i BBC2. Usłyszał, jak jego młodszy brat Patrick cicho skrada się po schodach. Granada pokazywała akurat jakiś film dokumentalny o problemach na północy kraju. Na BBC2 kończyła się prognoza pogody.

-Właśnie to chciałem usłyszeć - szepnął Patrick za jego plecami. -Teraz, kiedy już wiem, że we wschodniej Anglii zapowiada się jutro piękne popołudnie, nareszcie będę mógł spokojnie zasnąć.

-Ćśś - syknął Paul.

Wcisnęli się w jeden skrzypiący fotel przed telewizorem. Paul objął ramieniem plecy brata we flanelowej piżamie, jak zawsze. Czekali, trochę podekscytowani, na wieczorny seans.

Zaczął się program rozrywkowy *Stary szary gwizdek*. Ale to, co obejrzeni tego wieczoru, było zdecydowanie zbyt ponure, by mienić się rozrywką. Występujący muzycy mieli na sobie ubrania przypominające stroje średniowiecznych minstrelów - wysokie, spiczaste kapelusze, tuniki Arlekina i obcisłe rajstopy. Przybierali groteskowe pozy znane Paulowi z obrazów Hieronima Boscha, które widział w podręcznikach historii. Śpiewali *Tam Lin*, choć wtedy jeszcze nie znał tytułu tej piosenki. Wyglądali jak wcielenie zła, a grali tak, jakby ktoś rzucił na nich okrutny czar. W tej

muzyce było jeszcze więcej szaleństwa i gniewu niż w tekście śpiewanym przez wokalistkę. Ale jej głos nie kojarzył się z flamandzkim światem Boscha. Młodemu Paulowi Seatonowi przywodził na myśl raczej ciemną, ponurą Anglię sprzed wielu stuleci, z jej pogańskimi czarami i zaklęciami. Takie właśnie musiały być inkantacyjne śpiewy, przywołujące Zielonego Rycerza, złośliwe elfy, Johna Barleycorna i potępione dusze, które zawodziły z rozpaczą wśród mglistych wrzosowisk i niezmiernych angielskich lasów.

Ta piosenka, a także wygląd i zachowanie zespołu naprawdę go przerażyły. Siedział przytulony do brata i próbował zrozumieć to, co właśnie zobaczył.

Jakieś osiem, dziewięć lat później, w Święto Trójcy Przenajświętszej znów ich usłyszał. Dowiedział się, że zespół nazywa się Fairport Convention, jego członkowie pochodzą głównie z północnego Oksfordu, wokalistka natomiast, Sandy Denny, z Wimbledonu. Do zespołu należał gitarzysta Richard Thompson i skrzypek Dave Swarbrick. Ich telewizyjny występ wywołał u Paula koszmarne sny, tak realne i niepokojące, że nigdy nie zdołał ich zapomnieć.

Jakie wrażenie zrobił Fairport na dwa lata młodszym Patricku, nigdy nie zapytał. Nie chciał, by cokolwiek mu o tym przypominało. Pamiętał, że wyłączyli telewizor, podłożyli matce poduszkę pod głowę, przykryli ją kocem, a potem cicho poszli na górę i położyli się w swojej sypialni do jednego łóżka.

Tak się to zaczęło, pomyślał teraz, leżąc w swojej miękkiej pościeli w wynajmowanym mieszkaniu w Waterloo. Deszcz szeptał i stukał w okno sypialni. Tak się to właśnie zaczęło. Nie w domu Fischera ani w szpitalu psychiatrycznym. Początkiem były piosenka *Tam Lin* i program, który widział w telewizji wiele lat temu. To ta piosenka obudziła w nim lęk, i ów lęk w końcu znalazł swoją pierwotną przyczynę i przerażające usprawiedliwienie.

- Pochlebia mi, że o tym pamiętasz - powiedział głośno w ciemności, przewracając się na plecy.

Powoli odpływał w sen, może z powodu piwa, które wypił, słuchając gadatliwego Malcolma Coveya. Ale mimo brawury wcale tak nie myślał. Tak naprawdę uważał, że to okropne i upokarzające, iż oni wiedzieli, wiedzieli o wszystkim, znali każdego słabość. W górze, w kałużach wody na płaskim dachu budynku, usłyszał ciche skrobanie. Mogły to być pazury jakiegoś demona. Było jednak bardziej prawdo-

podobne, że to wrona albo kot szuka tam pożywienia. Tak, to dużo bardziej prawdopodobne, pomyślał Seaton. I zapadł w sen.

4

Siedział, popijając kawę przed kafejką na Kennington Road, o dziewiątej trzydzieści następnego ranka, zadowolony, że to sobota. W weekendy nie pracował. Starzał się maksymalnie uprościć swoje życie, sprowadzić je do kilku zwyczajów i rutynowych czynności, niewymagających większego wysiłku czy choćby zastanowienia. Ale przecież teraz, z powodu Coveya, stanie się bardziej skomplikowane. I bardziej niebezpieczne. Paul zdziwił się, że chyba jest z tego zadowolony. Po latach lęku i bezczynności perspektywa działania przyniosła mu ulgę. Leżąc bezsennie nad ręką, przerażony magnetofonowym kabaretem, uznał, że jest bardzo mało prawdopodobne, by przetrwał to, co zamierzał zrobić. Lecz zaraz pomyślał z goryczą, że jego życie i tak jest niewiele warte. W każdym razie nie takie, jakim ostatnio było. Wiedział też, że sam nigdy nie zdobyłby się na to, by je zmienić.

Ta włoska knajpka nazywała się Perdoni. Do wnętrza prowadziły szerokie podwójne drzwi, a na chodniku przed wejściem stały wesołe metalowe krzeselka i stoliki. Właśnie przy jednym z nich siedział teraz Seaton. Płyty chodnikowe pod jego stopami ciągle jeszcze były wilgotne po nocnym deszczu. Kawę popijali teraz głównie taksówkarze i turyści, którzy właśnie wyszli z dworca. Po drugiej stronie ulicy stał budynek komendy policji, cały ze szkła i gołej nieotynkowanej cegły. Po lewej stronie dworca znajdowało się wejście na stację metra Lambeth North. Po prawej widać było czarne sztachety i prawie ogołoczone już z liści drzewa wokół Muzeum Wojny. To właśnie muzeum przyciągnęło tu Niemców, Holendrów i Belgów, którzy siedzieli w Perdoni nad pustymi filiżankami po espresso, odpalając jednego papierosa od drugiego i wkurzając tym taksówkarzy. Większość taksówkarzy paliła papierosy, oczywiście. Jak to taksówkarze. Ale oddawali się swojemu nałogowi znacznie dyskretniej niż przyjezdni.

Poranne niebo przybrało już odcień głębokiego błękitu, który miejscami tylko przesłaniały smugi miejskich wyziewów. Tak, niebo było czyste, lecz jego inten-

sywna barwa i spokój kazały myśleć o rychłym nadejściu jesiennych chłódów. Mi-
nęło już parę dni od Halloween. W oknie kiosku z gazetami, kawałek za restauracją,
ciągle leżały przecenione rękawice w kształcie wilczych łap i spiczaste kapelusze.
Ostatnio Brytyjczycy naprawdę przekonali się do Halloween. Dzieciaki przebrane za
czarownice i szkielety chodziły po domach, prosząc o słodycze. Ich kostiumy były
wiernymi kopiami tych najczęściej noszonych za oceanem. Jeszcze trochę, a stanie
się większym świętem niż 5 listopada, rocznica spisku prochowego. Może zresztą
już się stało. Co za ironia, pomyślał Seaton, że wigilia Wszystkich Świętych dla
większości ludzi oznacza już tylko dzieciaki biegające od drzwi do drzwi i zbierają-
ce łakocie. Sam jednak nie potrafił się tak cieszyć. Widział prawdziwe duchy. Wie-
dział, że magia to coś, co można zaprząć do własnych celów i bezwzględnie wyko-
rzystywać, a na świecie nie brak ludzi żądnych władzy i wpływów na tyle, by zary-
zykować sojusz z ciemnymi mocami.

Łatwiej było o tym nie myśleć, a na pewno przyjemniej obserwować wojnę psy-
chologiczną taksówkarzy i turystów z zagranicy. Taksówkarze, z mosiężnymi od-
znakami na piersiach, kulili się przy kubkach słodkiej herbaty nad talerzami smažo-
nych potraw, odpowiedzialnych za miażdżycę i udary. Obcokrajowcy mieli blade,
obojętne twarze, okulary w cienkich, czarnych oprawkach i ciemne ubrania, ozna-
kowane - wiedział o tym - ekskluzywnymi metkami. Przygotowywali się do zwie-
dzania muzeum i majstrowali przy aparatach fotograficznych i kamerach, a potem
chowali swój drogi sprzęt do małych futerałów z dyskretnym logo jakiejś znanej
firmy. Od czasu do czasu spoglądali też na swoje kosztowne zegarki. I ciągle palili
papierosy.

Z brzegu tej szykownej grupy siedziała szczególnie urodziwa para młodych lu-
dzi. Oboje byli bardzo wysocy i szczupli. Można by ich nawet uznać za pięknych w
pewien blady, bezkrwisty sposób. Kobieta miała usta pomalowane czarną szminką,
której ślady widniały na połowie niedopałków w pełnej popielniczce na ich stoliku.
Coś w tej parze zaintrygowało Seatona. Czułby się niezręcznie, zbyt nachalnie im się
przyglądając. Oni jednak patrzyli przez okienną szybę prosto na niego, bez cienia
skrepowania. Ulicą przejechała ciężarówka i szyba zadrżała, a wszystko, co za nią
było, na chwilę się zamazało, Seaton odwrócił głowę.

Po kawie w Perdoni spakował kilka rzeczy do torby podróźnej i poszedł na Her-
cules Road, gdzie w jednym z garaży czekał na niego samochód. Klucz do kłódki

leżał ciągle w kopercie od Coveya. Dzięki kluczykom do samochodu, które także się tam znajdowały, wiedział, że to wóz marki Saab. Był prawie nowy, czarny, lśniący czystością z zewnątrz i świeżo odkurzony w środku. No i zatankowany do pełna. Seaton przy porannej kawie przestudiował drogę w atlasie.

Od dłuższego czasu nie jeździł samochodem, ale poprzedniego wieczoru niemal nic nie pił, a prowadzenie auta wydawało mu się zawsze czynnością dość nieskomplikowaną. Niemniej podczas tej podróży znalazł się raz w dość niebezpiecznej sytuacji. Stało się to na A3, na wysokości katedry w Guildford, której wielka bryła wznosiła się po lewej stronie. Właśnie w tym miejscu w saabie nagle samo włączyło się radio. Spojrzał w dół, na zielone radiowe światelka, tak zaskoczony, że na moment stracił panowanie nad kierownicą i wóz gwałtownie skręcił w lewo. Ktoś za nim wściekle zatrąbił. We wstecznym lusterku zobaczył ciężarówkę, która, gwałtownie hamując, niemal zatańczyła na jezdni. Wrócił na poprzedni pas, zaciskając spocone dłonie na kierownicy. Serce waliło mu jak młotem, czekał, zdrętwiały z przerażenia, na śmiertelnie smutną wersję *Tam Lin* w wykonaniu nieżyjącej Sandy Denny. Ale okazało się, że to jakiś nieznany mu utwór soulowy. Prezenter plótł coś o pogodzie i o swojej żonie, podczas gdy melodia słabła i przybierała na sile, tak jak fale radiowe. Jakaś część w układzie elektronicznym saaba wybrała akurat tę chwilę, by włączyć radio, i tyle. Zapewne ostatnia osoba, która jeździła tym samochodem, tak to zaprogramowała. Seaton wcisnął guziczek „Mute” i zapadła cisza. Jego puls zwolnił.

Uniwersytet był nowy. Budynki, częściowo z drewnianych bali, miały duże okna o szybach z grubego szkła. Stały przy zwirowanych ścieżkach, obsadzonych drzewami i krzewami, na zboczu wzniesienia, u góry dość stromego. Kaplica i siedziba administracji znajdowały się najwyżej. Dziwne, kaplica w takim miejscu? Pewnie została ufundowana przez angielskich katolików albo Amerykanów. Kiedy Seaton jechał do Surrey, błękitne jeszcze w Londynie niebo zasłaly szare, smutne listopadowe chmury. Wisiały nisko, ciężkie i ciemne, zwiastując deszcz. Żwir, którym wysypano tu ścieżki, chrząścił mu pod stopami. Czuł przez podeszwy pojedyncze ostre kamyki. Gdzieniedzie na drzewach wisiały halogenowe lampki. Cieszył się, że rozjaśniają otoczenie. Musiał zaparkować u stóp wzgórza, a budynek wydziału nauk humanistycznych znajdował się bliżej jego szczytu. W miarę jak zbocze stawało się bardziej strome, Seaton oddychał coraz szybciej. Ścieżka się tu zwężała, drze-

wa rosły gęściej, a ich barwne jesienne liście tłumiły światło dzienne. Halogeny więc okazały się bardzo przydatne. Nagle wydało mu się, że słyszy, jak coś dużego skrada się za rzędem drzew, po wilgotnej trawie, przez paprocie, łamiąc gałązki wśród szelestu liści. Zatrzymał się i dźwięk ucichł. Słyszał teraz tylko własny oddech i szmer kropli deszczu. W górze, przed nim, paliły się światła budynku, do którego zmierzał.

Rozejrzał się, nasłuchując. Deszcz przybrał na sile. Woda kapiała z liści na ziemię i ściekała po konarach drzew. Uświadomił sobie, że znowu przemókł - po raz trzeci w ciągu niecałych dwudziestu czterech godzin - i że las porastający wzgórze jest znacznie starszy niż budynki uniwersytetu, zaprojektowane tak, by wtopić się w to surowe, posępne otoczenie. Czekał w deszczu - drapieźnik może czaił się wśród drzew po jego lewej stronie. Stał tak pięć minut, często spoglądając na zegarek. Robiło się coraz mroczniej. Ale wokół panowała cisza. Ruszył więc dalej pod górę, na spotkanie z Andrew Clarkiem, profesorem etyki. Nie chciał się spóźnić, choć przypuszczał, że profesor nie zaplanował sobie jakichś innych spotkań. Była w końcu sobota. A w akademickim świecie sobota to spokojny dzień.

Miękki, intensywnie zielony mech porastał parapety budynku, otulał kamienne wejście. Wilgoć wtargnęła do środka. Poczuł lekki zapach zgnilizny od razu, kiedy tylko zamknęły się za nim oszklone drzwi, a on przystanął na moment w świetle mrugających jarzeniówek, zastanawiając się, gdzie szukać profesora. Ruszył przed siebie korytarzem. Po obu stronach znajdowały się drzwi, wszystkie opatrzone numerami, na żadnych jednak nie było nazwiska. Zapach stęchlizny stawał się coraz intensywniejszy. Seaton zobaczył dwa wejścia do toalet, męskiej i żeńskiej, z literami WC i symbolicznym oznakowaniem. Wszedł do męskiej, bo zachciało mu się siusiać.

Plamy pleśni połyskiwały na tle białej porcelany pisuarów, otaczały krany i kurki nad umywalkami, a lustra, zawieszane wysoko, odbijały ciemność. Seaton zobaczył to wszystko w słabym świetle lampy pokazującej drogę ewakuacyjną, umieszczonej nad drzwiami. Jarzeniówki tu nie świeciły. Wysikał się, po czym dokładnie umył ręce i wytarł je papierowym ręcznikiem. Nie podobały mu się lustra nad rzędem umywalk.

Kusiło go, bardzo go kusiło, by w nie spojrzeć. Na jedno z nich rzucił okiem, kiedy wchodził do łazienki, i wydało mu się, że widzi w nim odbicie czyjejś szeroko uśmiechniętej twarzy. Wiedział, że tutaj nie powinien patrzeć w lustra. Zmiał papie-

rowy ręcznik w kulę i cisnął do kosza przy ścianie, ale chybił. Sięgał właśnie do klamki, gdy nagle od strony jednej z kabin dobiegł go cichy śmiech. Teraz dopiero zauważył, że była zamknięta od środka. W tej samej chwili poczuł intensywny zapach tytoniu, mocnego tytoniu, tureckiego albo egipskiego. Kucnął i zajrzał pod drzwi kabiny. I zobaczył stopy. Obute w lśniące trzewiki z czarnej skóry. A na trzewiki opadały szare, staroświeckie getry z płótna. W słabym świetle widział rzędy guziczków powyżej kostek. Jeden but uniósł się lekko, a potem opadł z cichym stukotem na podłogę. I znowu śmiech.

-Coś takiego - powiedział głuchy głos.

Seaton wyprostował się powoli i wyszedł z toalety **tak** spokojnie, jak tylko potrafił.

Profesora etyki znalazł w pokoju na końcu korytarza. Był to jego gabinet, siedział tam za swoim biurkiem, otoczony półkami pełnymi książek i zdjęciami zrobionymi podczas uroczystości akademickich. Na biurku stała lampa, a krąg jej mocnego światła pogłębiał mrok panujący w pomieszczeniu. Światło obijało się od szkieł okularów, które profesor miał na nosie, Seaton nie widział więc jego oczu i nie potrafił odczytać jego nastroju. Był chyba po pięćdziesiątce, szarowłosy i blady. Wydawał się zmęczony, zatroskany, podczas gdy na fotografiach wyglądał zupełnie inaczej. Siedząc tam, Seaton głęboko mu współczuł. Za oknem rosły ciemne, smutne drzewa. Profesor chrząknął, wstał i odwrócił się do okna.

-Wiedział pan, panie Seaton, że w Surrey jest więcej drzew niż w jakimkolwiek innym hrabstwie w Anglii?

- Nie, profesorze. Nie wiedziałem.

- Irlandzki akcent. Jest pan z Dublina?

-Tak. Choć urodziłem się w Bray, na południe od Dublina, w północnej części hrabstwa Wicklow.

- Na wybrzeżu.

- Na wybrzeżu.

Profesor kiwnął głową. Ciągle patrzył w okno.

-W Surrey nie mamy wybrzeża, oczywiście. Gleba nie jest zasolona, nie wieją silne wiatry. To zapewne tłumaczy taką koncentrację drzew.

Seaton milczał.

- Las na tym wzgórzu rósł na długo, zanim wybudowano uniwersytet, i jak sądzę, pozostanie tu, kiedy uniwersytetu już nie będzie. Zgodzi się pan ze mną?

- Tak. Powiedziałbym nawet, że można by się o to założyć.

- Entropia.

- Co?

- Wczoraj kilku ludzi było tu z tymi węzami na sprężoną wodę, za pomocą których zwykle usuwa się graffiti. Oni użyli ich do usunięcia mchu z tego budynku. Ostatnio często to robili. Ale dziś rano mech pojawił się znowu.

Seaton siedział z łokciami opartymi na kolanach i złączonymi palcami. Oderwał wzrok od pleców profesora i spojrzał na swoje dłonie.

-Codziennie przychodzi elektryk. Codziennie szoruje się i dezynfekuje toalety. Ale to nic nie daje. Entropia, panie Seaton. Załamanie się wzoru. Wszechogarniający chaos.

Zza drzwi dobiegało ciche brzęczenie jarzeniówek w ciemnym korytarzu.

- To nie entropia, profesorze.

Profesor Ciarękę odwrócił się od okna i popatrzył na niego. Zdjął okulary. W świetle lampy jego oczy wydawały się bardzo niebieskie i, pomyślał Seaton, trochę zbyt cyniczne jak na oczy kogoś, kto wykłada etykę.

- Coś jest w tych drzewach - powiedział. - Czasami jest też coś w tym budynku. Jest nawiedzony, prawda?

- Obawiam się, że chodzi o coś gorszego, profesorze. Profesor jęknął.

- Obawia się pan. Usiadł na krześle.

- Co pana opętało, żeby zabrać je do domu Fischera?

- Czy pan może mi pomóc, panie Seaton? Może pan pomóc komukolwiek z nas? Wygląda pan jak ksiądz. A w każdym razie jak ci aktorzy, którzy najczęściej dostają rolę księży. Tych surowych, ponurych, skłóconych z własnym sumieniem księży, którzy pod koniec filmu w dramatycznych okolicznościach odzyskują wiarę.

Seaton stwierdził, że profesor pił. Prawdopodobnie wódkę. Nie czuł jednak zapachu alkoholu. Podniósł się, żeby wyjść. To nie miało sensu.

- Nie jestem księdzem, profesorze.

- Ale jest pan katolikiem.

Seaton parsknął śmiechem, zanim zdołał się powstrzymać.

- To mi raczej nie pomoże.

- Żyje pan. I był pan tam. Prawda?

Seaton spojrział w oczy pokonanego człowieka, który stał przed nim.

- Co pana opętało, żeby je tam zabrać? - powtórzył.

- Zostaliśmy tam zaproszeni - odparł profesor.

Seaton przez chwilę zastanawiał się nad tym, co właśnie usłyszał.

- Mogę zapytać, kto was tam zaprosił? - powiedział w końcu.

- Peter Antrobus. Magister filozofii. Tak się przynajmniej przedstawił. Domyślam się jednak, że nie był magistrem filozofii, a dokumenty potwierdzające jego tożsamość były równie fałszywe jak te, które pan mi dzisiaj pokazał.

Seaton usiadł.

- Proszę mi wszystko opowiedzieć, profesorze. Proszę zacząć od samego początku. Czego pan się dowiedział o Peterze Antrobusie? Chcę poznać prawdę. Nawet pijany, wie pan zapewne wystarczająco dużo o etyce, by zdawać sobie sprawę, że jest pan to winny tym dziewczętom. - Spojrzął na zegarek. Nie miał ochoty wracać żwirowaną ścieżką po zmroku. Ani być w pobliżu tego miejsca, kiedy zapadnie noc. Nie zamierzał ryzykować kolejnego spotkania z jegomościem w getrach. Za oknem, z niskich, szarosinych chmur siąpił uporczywy deszcz. Ale była dopiero druga po południu. Seaton odchylił się na oparcie krzesła, a profesor zaczął mówić.

Droga do Whitstable prowadziła niemal przez cały czas dokładnie na wschód, jechał więc w stronę ciemności, podczas gdy słońce zawieszone nad horyzontem od czasu do czasu błyskało anemicznie we wstecznych lusterkach saaba. Kilka kilometrów na wschód od Westerham mógł skrócić na M25, co mimo weekendowego ruchu zapewne znacznie przyspieszyłoby podróż, i jechać nią aż do zjazdu w Boxley. Wolał jednak trzymać się lokalnych dróg. Deszcz padał nieprzerwanie, ale radio w samochodzie na razie oszczędzało mu kolejnych nieprzyjemnych niespodzianek.

Whitstable sprawiało wrażenie, że można tam miło spędzić czas, w przypadku Seatona jednak było to wrażenie złudne. Sarah Mason, dziewczyna, która próbowała

się zabić, miała dziewiętnaście lat. Oboje jej rodzice już nie żyli, a jej najbliższy krewny, brat Nicholas, zdaje się wojskowy, wziął urlop na opiekę nad siostrą. Sarah mieszkała w swoim domu rodzinnym, należącym obecnie do Nicholasa. Była to jedna z wiktoriańskich kamienic wzniesionych nad plażą, o nazwie Wavecrest. Nick Mason ucieszył się z przyjazdu specjalisty od urazów z Londynu. Zaproponował jednak spotkanie poza domem. Powiedział, że porozmawia z Seatonem, gdy wykwalifikowana pielęgniarka będzie czuwać nad dziewczyną. Wybrał Pearson's Arms, knajpę słynącą z owoców morza. Mason wynajmował trzy pielęgniarki, by zapewnić siostrze profesjonalną opiekę dwadzieścia cztery godziny na dobę.

-A co on właściwie robi w wojsku? - spytał Seaton Coveya.

-Nie udało mi się tego dowiedzieć - odparł Covey. - A to już jakaś odpowiedź na twoje pytanie.

Ale w drodze do Whitstable Seaton nie myślał ani o krabach i homarach, ani o fascynującym świecie tajnych operacji wojskowych, tylko o tym, co usłyszał od profesora Clarke'a w jego smutnym, mrocznym gabinecie. Jadąc, przez cały czas rozpamiętywał jego historię.

Peter Antrobus miał trzydzieści cztery lata i chciał się doktoryzować z filozofii moralnej. Pracę magisterską obronił na bardzo dobrą ocenę i posiadał to, co znacznie ułatwia karierę akademicką, czyli pokaźny majątek. Przyznanie mu miejsca na uniwersytecie nie wiązało się więc z żadnymi stypendiami czy innymi obciążeniami finansowymi. Przeciwnie, napomykano o darowiźnie od bogatych rodziców, którzy potrafili postrzegać abstrakcyjne rozważania jako coś więcej niż marnotrawstwo czasu i możliwości zawodowych syna. Jedynym problemem była kategoryczna odmowa Petera, kiedy zaproponowano mu mieszkanie w akademiku na terenie kampusu. Clarke otwarcie powiedział Seatonowi, że głównym powodem, dla którego uniwersytet wprowadził taką zasadę, są finanse. Studenci płacili za miejsca w akademikach znacznie więcej, niż wynosił rzeczywisty koszt ich utrzymania. Polityka uczelni była więc pod tym względem bardzo restrykcyjna i przynosiła spore zyski. Kiedy tylko Antrobus się o tym dowiedział, natychmiast ofiarował uniwersytetowi sumę równą rocznej opłacie za akademik, by załatwić sprawę. I została załatwiona. Peter i jego dziewczyna wprowadzili się do budynku starej powozowni przy skrzyżowaniu, jakieś trzy kilometry na północ od uczelni.

Oboje byli szczupli i bladzi i oboje mieli włosy w tym samym odcieniu ciemno-blond. Lubili ubierać się na czarno i nawet niezbyt biegły w tych kwestiach profesor zauważył, że wybierają ubrania gustowne i drogie. Ciarękę widywał Marthe zawsze w towarzystwie Petera, co wydawało się zupełnie naturalne. Raz, tylko raz, został zaproszony do nich na kolację, do powozowni. Wtedy oboje odpalali jednego papierosa od drugiego, pili absynt i prawie nie tknęli przygotowanych przez siebie dań. Był luty i w powozowni panował nieprzyjemny chłód. A spotkanie, dodał Ciarękę, okazało się koszmarem także z powodu ich wyjątkowo swobodnego zachowania. Może i wyglądali jak brat i siostra, ale nie potrafili trzymać rąk przy sobie. Włączyli muzykę, opowiadał Ciarękę, i zaczęli podrygiwać w tańcu, a chwilę później obściskiwali się i całowali jak nastolatki w sali kinowej.

- Ich zachowanie było niestosowne, bardzo niestosowne.
- Jaką puszczała muzykę? Profesor zastanawiał się przez chwilę.
- Anachroniczną, biorąc pod uwagę ich wiek.
- Mógłby pan określić ją dokładniej? - spytał Seaton.
- Fortepian. Ragtime.
- Czy ta powozownia jest usytuowana nad wodą? Ciarękę zmarszczył brwi.
- Nie ma tam żadnej rzeki ani strumienia.
- Więc nie ma tam wody?
- Nie ma tam płynącej wody. Ale jest staw. Seaton kiwnął głową.
- A czy to ważne?

- Proszę mówić dalej, profesorze. Przepraszam, że panu przerwałem. Tym, co najbardziej fascynowało Clarke'a w Antrobusie, był jego stosunek do moralności. Profesor twierdził, że Antrobus podchodził do tego zagadnienia w taki sposób, w jaki zdolny kilkulatek mógłby podejść do odbezpieczonego granatu ręcznego. Był zaciekawiony, nie miał natomiast żadnych przekonań czy uprzedzeń i nie odczuwał strachu. Jakby nigdy nie poznał zasad rządzących ludzkim zachowaniem, hamujących ludzkie popędy. Jakby nigdy nie został zraniony, jakby nie wiedział, czym jest ból i współczucie.

- Jakby się nigdy nie urodził - mruknął Seaton do siebie, siedząc za kierownicą saaba, i wcisnął gaz. Robiło się coraz ciemniej.

Antrobus napisał esej, w którym zastanawiał się nad zaraźliwą naturą zła. Nie były to jednak, jak należało oczekiwać, rozważania nad demagogią i cechami chary-

zmatycznych przywódców, którzy potrafią skłonić swoich zwolenników do popełnienia niewyobrażalnych zbrodni w imię religijnych czy politycznych przekonań. Nie znalazła się tam żadna wzmianka o prześladowaniach czy pogromach. Antrobus dowodził natomiast, że pewne miejsca mogą zakazić konkretnych ludzi tym, co przez społeczeństwo powszechnie uważane jest za zło. Nazywał takich ludzi przypadkowymi ofiarami zakażenia. Podawał też adresy. Wspomnił o jakimś weneckim palazzo, o kamienicy w Chicago i chacie w austriackim Tyrolu. Kiedy Ciarke czytał opis tego, co się w niej wydarzyło, nie mógł zapanować nad strachem. Na długiej liście takich miejsc, którą zawarł w swoim eseju, Antrobus umieścił dwa znajdujące się w Wielkiej Brytanii: pewien budynek w slumsach pod Glasgow i, oczywiście, dom Fischera.

-Lepiej było pojechać do slumsów -powiedział Seaton do Clarke'a. Ale wyraz twarzy profesora mówił wyraźnie, że nie pora na żarty.

Ciarke poprosił Antrobusa, by przeczytał esej na seminarium z etyki. Praca wzbudziła ogromne zainteresowanie. Wywiązała się dyskusja i Antrobus przyznał, że Fischer był kuzynem jego ojca w drugiej linii i fundusz odpowiedzialny za tę posiadłość prawdopodobnie zgodzi się na jej otwarcie „przez jeden weekend. Dla celów światłej debaty filozoficznej”.

- Opisał pan Antrobusa jako kogoś, komu obce jest myślenie moralne.
- Bo taki był - odparł profesor.
- Więc jak definiował zło, o którym mówił?
- W kategoriach konwencjonalnych. Peter dobrze rozumiał, czym jest zło. Rozumiał koncepcję zła i w swoim eseju podał kilka jaskrawych przykładów jego przejawów. Tylko że nigdy nie okazywał wobec zła najlżejszej dezaprobaty.

- A jaki wpływ miało na niego zło?
- Chyba żadnego.
- Więc nigdy nie wydawał się wstrząśnięty tym, co opisywał? Nigdy nie napawało go to odrazą?

Profesor się zamyślił.

- Nie. Był w to zbyt słabo zaangażowany emocjonalnie.
- Zaintrygowany?

- Traktował to raczej jak rozrywkę. - Profesor ukrył twarz w dłoniach. - O Boże. O Boże. - Teraz wydawał się już trzeźwy. Jakby otrzeźwiło go wspomnienie Petera Antrobusa.

Zanim wszystkie formalności związane z wizytą w domu Fischera zostały załatwione, minęło kilka miesięcy. Nikt się nie spieszył. Kurs etyki nie obejmował jego historii. Dla studentów była to przygoda. Ale kiedy przygotowywali się do tej wizyty, kiedy szukali informacji, czytali o tym domu i życiu człowieka, który w nim mieszkał, temat coraz bardziej ich wciągał. Chcieli sprawdzić, czy młody krewny Fischera rzeczywiście ma rację. Dom istotnie zyskał wystarczająco złą sławę, by stać się argumentem na rzecz tezy Antrobusa.

Poza tym wejść tam okazało się nie lada wyczynem. Kilku dziennikarzy prasowych i telewizyjnych starało się wcześniej o zezwolenie na wejście na teren posesji, ale daremnie. Profesor Ciarke zdołał ustalić, że dom był zamknięty przez ponad pięćdziesiąt lat. Zanedbywany tak długo, musiał popaść w ruinę, Ciarke nie miał co do tego wątpliwości, lecz Antrobus się z nim nie zgadzał. Dom Fischera był nie tylko pilnie strzeżony. Był też utrzymywany w porządku.

- Domyślam się, że wierzy pan w zło, profesorze Ciarke.

- Jestem etykiem. Czegoś takiego nie poddaje się jednoznacznej interpretacji i podziałom na czarne i białe. Tu nie ma prostych odpowiedzi, bo jeśli nawet uznajemy istnienie zła, nadal bardzo trudno je zdefiniować.

Seaton kiwnął głową.

-To, jak o nim myślimy, zależy w znacznym stopniu od tego, co my, jako ludzie, potrafimy przyjąć w sensie emocjonalnym. Zawsze wygodniej było nam myśleć o Hitlerze jako o człowieku raczej obłąkanym niż złym, choćby tylko ze względu na rozmiary jego zbrodni. Tak jest nam po prostu łatwiej. Wolimy tak myśleć, niż rozważać alternatywę.

Seaton znów kiwnął głową.

- Zależy to także od ducha epoki. Założę się, że w latach sześćdziesiątych XX wieku zbrodnie popełnione przez Rozpruwacza z Yorkshire zostałyby uznane za czyny człowieka chorego psychicznie. Ale został ujęty i osądzony we wczesnym okresie thatcheryzmu przez sąd zdecydowany kazać mu zapłacić za popełnione czyny. Rząd Margaret Thatcher wierzył w siłę i publiczną pokutę, czyli w to, co zawsze przysparza popularności i głosów w wyborach. Pamięta pan wczesne lata osiemdzie-

siate? Prawo oznaczało wówczas po prostu odwet. Uznano wtedy, że Rozpruwacz jest w pełni władz umysłowych, i skazano go za liczne morderstwa. Ale ciągle jest w Broadmoore raczej niż w Belmarsh, panie Seaton. A gdyby zadał pan sobie trud i przeczytał zapisy z rozpraw, nie miałby pan żadnych wątpliwości, że Peter Sutcliffe był głęboko i nieuleczalnie chory psychicznie.

Seaton nie zapomniał lat osiemdziesiątych. Ale jemu nie kojarzyły się ani z procesem Rozpruwacza, ani z thatcheryzmem. Mieszkał wtedy w Londynie. Pracował jako młodszy reporter w miejscowej gazecie. Jego brat studiował malarstwo w St Martin's School of Art i wynajmował do spółki z kolegą pracownię na piątym piętrze w kamienicy przy Charing Cross Road, skąd można było po schodach przeciwpożarowych wejść na dach. Paul pamiętał długie, upalne popołudnia na tym dachu, kiedy pili włoskie wino kupione w Soho. Pamiętał wieczory z dziewczynami, które uczyły się projektować stroje i kursowały między pubem Cambridge, Soho Brasserie, Le Beat Route, Club Left i Wag Club. Pamiętał piosenkę *Don't It Make My Brown Eyes Blue* z repertuaru szafy grającej na piętrze w Cambridge. Pamiętał, jak czytał o Rozpruwacz, o wojnie na Falklandach i strajkach w kopalniach w północnym Yorkshire. I czerwoną flagę z liczbą bezrobotnych, wiszącą na ratuszu, tak by widzieli ją posłowie ze znajdującego się naprzeciw gmachu parlamentu. W Dniu Świętego Patryka chodził na występy Pogues w Kilburn i kibicował drużynie Liverpool. Ale nie analizował zasad moralnych thatcheryzmu. Za dobrze się bawił. Etyka jako przedmiot rozważań była mu zupełnie obca. Ale w tych szczęśliwych dniach zupełnie obca była mu też czarna magia.

Clarke odchrząknął, a w górze, nad nim, jedna z jarzeniówek zamigotała. Poprawił okulary na nosie i wtedy Seaton zauważył, że profesorowi drżą ręce. Budził współczucie. Szukał pocieszenia w tym, co studiował; co, jak sądził, dobrze znał. Jednak już niedługo będzie musiał porzucić ten znajomy teren, znowu zapuścić się w krainę mroku.

- Ludzie wierzą w istnienie złych miejsc. A władze zachowują się tak, że tylko umacniają te przesady. Więc dom przy Rillington Place 10 wyburzono, kiedy Christie został schwytyany, skazany i powieszony. Jakbyśmy wierzyli, że zemstę można wyrzucić na cegłach i zaprawie. Oczywiście bzdura. A z drugiej strony turyści płacą za to, by móc wejść do londyńskiej Tower i gapić się na narzędzia tortur.

- W większości to wiktoriańskie imitacje.

- Turyści jeżdżą też do Auschwitz. Tam niczego nie trzeba imitować. Tam wydarzył się największy koszmar. - Profesor uśmiechnął się lekko. - Słyszałem, że Łubianka jest bardzo popularna wśród turystów zwiedzających Moskwę. Czarna Łubianka, gdzie nawet ściany pocą się krwią i płaczą z bólu.

- Więc pan nie wierzy, że miejsce może być złe?

W zimnym świetle lampy na biurku uśmiech profesora wydawał się odważny, a jednocześnie upiorny.

-Nie wierzyłem, panie Seaton, nie wierzyłem. Ale jeśli mam być z panem szczerzy... zmieniłem zdanie po wycieczce do domu Fischera.

Odbyła się na początku października, pod koniec letnich wakacji. Cztery studentki Ciarke'a, opalone po pobytach w ciepłych krajach, z ciemnymi okularami na spłowiały od słońca włosach, wyposażone w torby podróżne i pożyczone kamery, zaciekawione, podekscytowane zebrały się na parkingu pod uniwersytetem. Ciarke znalazł klucze do domu, mapę i wskazówki w kopercie w swojej „dziupli”.

Antrobus nie wrócił jeszcze na uniwersytet. Był w Niemczech, gdzie badał akta z procesu Petera Kiirtena, szaleńca i kanibala, znanego powszechnie jako Wampir z Dusseldorfu. Pod komisariatem policji w Dusseldorfie znajdowała się cela, w której krótko przetrzymywano Kiirtena. Przetrwała nazizm i bombardowanie aliantów pod koniec wojny. I Antrobus najwyraźniej zdołał uzyskać zgodę na jej zwiedzenie. Kiirten zabił po raz pierwszy, kiedy miał pięć lat - utopił dwójkę kolegów. Zrobił to świadomie, choć wówczas uznano to oczywiście za nieszczęśliwy wypadek. Antrobus twierdził, że fascynuje go człowiek, który swoją karierę mordercy rozpoczął w tak młodym wieku. I mimo swej nieobecności bardzo się postarał udostępnić profesorowi i jego studentkom dom Fischera. Jego wskazówki były przemyślane i dokładne.

-Szczegółowe - stwierdził Clarke.

Deszcz przybrał na sile. Krople z furją uderzyły w szyby, jakby ktoś cisnął w nie garścią żwiru. Ton głosu profesora Clarke'a sprawił, że Seaton zadrżał.

W grupie studentek uczęszczających na seminarium z etyki były dwie dziewczyny z drugiego roku, Angielki. Sarah Mason z Whitstable i Rebecca Mortimer z Southport na wybrzeżu Lancashire. Samobójstwo popełniła trzecia, Rachel Beal. Urodziła się i została pochowana w Hull, surowym, smaganym wichrami zakątku pół-

nocno-wschodniej Anglii. Jej ciało spoczywało tam w jednej z kwater cmentarza otaczającego kościół, do którego chodziła jako dziecko.

Czwarta dziewczyna, Ellen Paulus, była Amerykanką. Miała dwadzieścia sześć lat i podobnie jak Peter Antrobus należała do starszych studentek. Przyjechała do Anglii w ramach wymiany między uczelniami. Poszła do domu Fischera na początku roku akademickiego, który chciała spędzić w Surrey. Wybrała psychologię i parapsychologię i dostała się na czteroletnie studia na renomowanej uczelni, na którą zapisała się w Vermont. Seaton miał niejasne wrażenie, że już kiedyś słyszał nazwisko Paulus. I nagle zrozumiał - tak nazywał się marszałek polowy Werhmachtu, który skapitulował pod Stalingradem. Hitler, oburzony, nie mógł tego zrozumieć. „Czymże jest śmierć?” - zapytywał sam siebie. No tak, czymże jest śmierć, pomyślał teraz Seaton, dla którego pytanie było znacznie głębsze i nieproste. Tak czy inaczej Ellen Paulus nie odpowiadała za swoje nazwisko. Wielu Amerykanów nosiło germańskie nazwiska. Czuł, że ta kobieta będzie potrzebowała wielkiego współczucia.

-Do rzeczy, profesorze.

Clarke otworzył szufladę biurka i wyjął z niej butelkę polskiej wódki z przemytu, opróżnioną mniej więcej w dwóch trzecich. Pociągnął spory łyk. Kiedy przechylił głowę w tył, by przełknąć wódkę, światło lampy błysnęło w szklach jego okularów. Zakaszłał.

W czasach, kiedy sądzono Rozpruwacza, Seaton przemycił butelkę tej samej wódki do baru Screen on the Green w Islington. Z pomocą Claire, studentki grafiki w St Martins, która długie tlenione włosy wiązała w koński ogon. Wypili prawie całą butelkę, oglądając koszmarny film erotyczny *Tatuaz*. Teraz dziwił się, że profesor jeszcze się trzyma.

Nagle za drzwiami rozległ się jakiś dźwięk, jakby coś osunęło się po ścianie. A potem gdzieś dalej, na korytarzu - zduszony chichot.

W drzwiach gabinetu profesora tkwił klucz. Seaton wstał, przekręcił go w zamku i wrócił na swoje krzesło.

- A niech to - powiedział śpiewnie ktoś za drzwiami. Żaden z mężczyzn w gabinecie nie zareagował. Seaton przełknął ślinę.

- Co pan pamięta z wizyty w domu Fischera?

-Nic - odparł Ciarke. - Zupełnie nic. Próbowałem coś sobie przypomnieć. Nadal próbuję. Ale prawda jest taka, że nic nie pamiętam.

Seaton zostawił profesora pijanego, w przekonaniu, że nic nie pamięta. Nie pamiętał, w każdym razie kiedy się obudził. Alkohol podszeptował mu, że jego pamięć funkcjonuje lepiej we śnie. Pił, bo pamiętał swoje sny, a polska wódka miała mu dać zapomnienie. Seaton też tak kiedyś robił, tyle że bez upragnionego skutku, a w ogóle to po co informować o tym profesora. Ciarke miał dość problemów z mchem, którym zarastał budynek jego wydziału. A także z pleśnią i elektrycznością. No i był jeszcze ten gość w getrach. Pijany czy trzeźwy, Ciarke przysporzył sobie nieświadomie bardzo wielu problemów.

-Antrobus? - rzucił na pożegnanie Seaton. Niepotrzebnie, prawdę mówiąc, bo profesor aż się skurczył na dźwięk tego nazwiska. -Zauważyłem, że mówi pan o nim w czasie przeszłym.

- On zniknął - odparł profesor. - Czasami się zastanawiam...

- Nad czym?

-Czy on tu w ogóle naprawdę był, panie Seaton. Wczoraj specjalnie pojechałem do starej powozowni, zatrzymałem się na chwilę pod tym budynkiem. To ruina, proszę pana. Wygląda, jakby od wielu lat nikt tam nie mieszkał.

Seaton, który zauważył, że w opisie profesora Antrobus i Marthe niepokojąco przypominają parę przyglądającą mu się przez szybę Perdoni, postanowił powstrzymać się od komentarza.

Jeszcze raz rozejrzał się po gabinecie. Popatrzył na książki autorstwa Clarke'a i oprawione cytaty. Na trzy rodzinne zdjęcia, zrobione podczas jakiegoś przyjęcia w ogrodzie, z rozbawionym labradorem na pierwszym planie. No tak, wszystko zostało już powiedziane. Seaton wstał, uściśnął dłoń profesora i wyszedł.

Kiedy dotarł do Whitstable, później niż powinien, padał z nóg. Właśnie minęła siódma. Nie miał pojęcia, dlaczego podróż zabrała mu tak dużo czasu. Zjechał ze wzgórza na główną ulicę. W deszczu, w podmuchach wiatru od morza, miasteczko wydawało się ponure i wyludnione. Samochód kołysał się lekko, smagany wichrem,

który gnał wąskimi uliczkami w głąb łądu. Choć paliły się latarnie, Seaton ich nie widział. W budynkach stojących w długim, monotonnym rzędzie znajdowały się głównie sklepy, wszystkie zamknięte. Windsurferzy i żeglarze, którzy latem wnosili do miasteczka życie, już dawno wyjechali. Przez zalaną deszczem, zaparowaną przednią szybę dostrzegł drewnianą tablicę, a na niej szyld jakiegoś pubu. Wiedział jednak, że to nie Pearson's Arm. Otrzymał dokładne instrukcje, jak tam dojechać. Nagle drgnął, bo radio znowu samo się włączyło i samochód wypełniły dźwięki fortepianu - początek *Imagine* Johna Lennona. Seaton sięgnął do odbiornika i wcisnął klawisz „Mute”, szczerze żałując, że nie jest właścicielem saaba, bo wtedy mógłby wyrwać to cholerne radio z deski rozdzielczej. Może mu się poszczęści i jakiś desperowany rabuś z Whitstable je ukradnie. Tyle że na ulicy nie widział nikogo, nawet skradającego się złodzieja. Przy wciśniętym klawiszu „Mute” głos Lennona był ledwie dosłyszalnym, nosowym szeptem. Seaton zwolnił, zatrzymał się i wyłączył silnik. Zanim otworzył drzwi, w samochodzie panowała cisza; słyszał tylko szum deszczu i huk fal bijących w ciemności o granitowe skały kilka metrów dalej. No i czuł zapach morza. Zapach spienionej, słonej wody.

Mason siedział przy stoliku w kącie w dolnej sali, gdzie ludzie przychodzili coś zjeść. Mimo przyćmionych świateł Seaton poznał go od razu. W sali siedziało poza nim tylko siedem czy osiem osób, w tym dwie pary. Seaton dokładnie obejrzał wcześniej zdjęcie Sarah Mason, które znalazł w dostarczonej przez Coveya teczce. Nicholas miał podobnie jak jego siostra wydatne kości policzkowe i brązowe, głęboko osadzone oczy. Włosy i ubranie nie rzucały się w oczy. Ale niewiele mógł zrobić, by ukryć budowę swojego ciała. Był szczupły, nawet chudy; podwinięte do łokci rękawy koszuli odsłaniały silne, żyłaste przedramiona, które przechodziły w twarde, zaokrąglone bicepsy. Siadając, Seaton zauważył na stoliku paczkę rothmansów. Mason trzymał jednego, nie-zapalonego między palcami.

- Nie będzie panu przeszkadzało, jeśli zapalę?
- Nawet jeśli tak, co za różnica? Mason uśmiechnął się i zapalił papierosa.
- Jezu. Irlandczyk. Nikt mi nie powiedział, że jest pan Irlandczykiem.
- A pan nie przepada za Irlandczykami.
- Rzeczywiście, nie przepadam. Seaton westchnął i wstał. Mason zamrugął.
- Niech pan siada, kolego. Proszę. Przechodzę teraz trudne chwile i moje maniery pewnie pozostawiają wiele do życzenia. Ale bardzo się cieszę, że pan tu przyjechał, i

jestem panu wdzięczny. A w każdym razie będę, jeśli zdoła pan pomóc mojej siostrze.

Seaton usiadł. Tak naprawdę nie zamierzał odejść. Przyjechał tu, żeby pomóc tym ludziom, przynajmniej się postara. Teraz był już pewny, że zrobi wszystko, co w jego mocy. Ale nie miał czasu na pokazówki w stylu macho, które dla ludzi pokroju Masona stanowią stały punkt programu. Facet wyglądał tak, że równie dobrze mógłby nosić na czole wytatuowany napis „Belfast”. Na pewno sporo tam przeszedł. Seaton jednak nie miał czasu ani ochoty teraz tego roztrząsać.

- Czy ona pamięta coś z tamtej wycieczki? Mason pokręcił głową.

- Dostaje dużo środków uspokajających.

- A wcześniej?

- Była bardzo przygnębiona. Ale nie sędzę. Nie wspominała o niczym, nie zauważyłem też, by dręczyły ją nocne koszmary. A potem poszła na pogrzeb Rachel Beal i tam wydawało jej się, że widzi ją stojącą nad grobem.

- Wszystkie ją widziały.

- Potem wpadła niemal w katatonię. A jeszcze później próbowała odebrać sobie życie. - Mason zaciągnął się dymem. - Weszła do morza.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Za oknem szalała wichura i fale wściekle biły o kamienie.

- Stało się to tydzień temu, pogoda była mniej więcej taka jak dziś. Stałem przy oknie wychodzącym na brzeg. Zauważyłem ją, bo owinęła... - głos mu się załamał.

- .. owinęła swoją skromność prześcieradłem.

„Swoją skromność”. Seaton nie miał wątpliwości, że Mason zabijał ludzi. Nie miał też wątpliwości, że pomoże tej rodzinie, jeśli tylko starczy mu sił.

- Czasem poproszę pana o coś, co trudno wyjaśnić. Musi mi pan zaufać.

Mason spojrzał na niego.

- Może „zawierzyć” byłoby bardziej odpowiednim słowem.

- Jestem Nick.

- Paul.

Podali sobie dłonie nad stolikiem.

- Wiem, że dzieje się tu coś bardzo dziwnego, Paul. Coś niewytłumaczalnego w żadnych znanych mi kategoriach. I to mnie przeraża. Poszedłem na pogrzeb tej Beal.

Wbrew życzeniu Sarah i bez jej wiedzy. Ale cieszę się, że to zrobiłem. Byłem tam, kiedy straciła przytomność. A zanim to się stało, widziałem niesamowite rzeczy.

-A później już nic? A ona? To bardzo ważne. Mason zastanawiał się przez chwilę.

- Ubiegłej nocy dwa razy wydarzyło się coś niezwykłego. Nad ranem. Sprawdziłem, co u Sarah, tuż przed północą. Oczywiście czuwała przy niej pielęgnarka. Pomyślałem, że mogę się trochę zdrzemnąć. Ale zbudziło mnie radio; nagle zaczęło grać w kuchni. Musiałem pójść je wyłączyć.

- Co w tym dziwnego?

-Poza tym, że radio się samo włączyło? Seaton wzruszył ramionami.

-Przed Hereford i wojskiem służyłem w jednostce do zadań specjalnych. Tamtej nocy nasza trójka obstawiała pewien punkt w lesie w pobliżu Crossmaglen. Nic szczególnego, rutynowe działanie. Właśnie skończyłem wartę, słuchałem muzyki z walkmana i popijałem piwo, kiedy ostrzelali nas z moździerzy. Obaj moi ludzie zginęli, rozwaleni w drobny mak. Mnie nawet nie drasnęło. Potem już nigdy nie potrafiłem słuchać tej piosenki. A to właśnie ją usłyszałem, kiedy radio nagle samo zaczęło grać.

-Co to było? - spytał Seaton, choć przecież wiedział.

-John Lennon. *Imagine*. - Mason wstał i wcisnął rękę do kieszeni. - Nawet nie zaproponowałem ci drinka, Paul. Napijesz się czegoś?

- Mówiłeś, że ubiegłej nocy dwa razy wydarzyło się coś osobliwego.

- Tak. Wyłączyłem radio i wszedłem na schody, kiedy nagle usłyszałem uderzenie dzwonu. Tylko jedno. Ale bardzo głośne. Tak głośno nie bije żaden dzwon w Whitstable.

- Chętnie napiję się whisky - powiedział Seaton.

Mason poszedł do baru, a on oparł głowę na dłoniach. Przypuszczał, że to, co czaiło się w domu Fischera, raz słabło, raz przybierało na sile. Oni, ten profesor etyki i jego nieszczęsna trzódka, musieli tam trafić wtedy, kiedy było to szczególnie silne.

Mason przyniósł podwójną whisky. Seaton upił łyk. Buschmills, smakowała jak dwunastoletnia.

- Kto to jest Covey?

- Nie powiedział ci?

- Plótl jakieś bzdury o instytucie psychiatrycznym.
- To nie bzdury.
- Może i nie. Zresztą to bez znaczenia. Ale ty nie jesteś tym, za kogo się podajesz.

- Nie - odparł Seaton i pociągnął kolejny łyk. Whisky była dobra, kusila zapomnieniem. Jej smak przypomniał mu dom.

- O czymś jeszcze musisz wiedzieć - oświadczył Mason. - Mówilem, że słyszałem *Imagine* w radiu. I to prawda. A w każdym razie tak mi się wydawało. Bo to nie brzmiało właściwie jak piosenka Lennona. Nie brzmiało też jak czyjaś inna wersja. Przypominało to raczej... pastisz. -Wzruszył ramionami. W końcu tę piosenkę nie-trudno sparodiować. - To pewnie nic ważnego.

- Mimo wszystko opowiedz mi o tym.

Deszcz szumiał za oknami, niedalekie morze zdawało się miotać w bezsilnej furii. Lamy na suficie, celowo przyćmione, zamruwały. Seaton miał wrażenie, że czuje zapach smoły, którą posmarowano drewniane ściany. Jezu, pomyślał. Tak blisko morza. Kiedy podnosił szklanę do ust, nie potrafił opanować drżenia rąk.

-I fortepian brzmiał inaczej, nie tak jak w wersji Lennona. - Mason zaciągnął się głęboko papierosem. - Kiedy byłem małym chłopcem, mój ojciec często słuchał wczesnego jazzu. Lubił klasykę, z początku XX wieku. Kinga Olivera. Luisa Armstronga. Miał bzika na punkcie Fatsa Wallera. Doprowadzał nas do szału, grając różne kawałki z Nowego Orleanu. I tak właśnie brzmiał ten fortepian ubiegłej nocy. Czarna muzyka. Ragtime. Rozstrojony instrument. Była w tym atmosfera domów publicznych.

Seaton wychylił resztę whisky. Tym razem ręka mu nie drżała. Alkohol spełnił swoje zadanie. Przez chwilę fantazjował o tym, że mógłby za pieniądze Coveya kupić całą whisky. Tę już otwartą. Albo nową. A zresztą, czemu nie miałby kupić obu? Nie spędzić miłego wieczoru nawet przy skrzynce whisky? Dysponował teraz gotówką. Dwanaście bursztynowych butelek, wszystkie aż po korek wypełnione zapomnieniem. Bardzo kusząca myśl. Zapraęnął poużalać się nad sobą, uciec od problemów, zniknąć. Nie. Wstał i powiedział do Masona:

- Teraz chciałbym zobaczyć twoją siostrę. Jeśli to możliwe.

W kominku płonęły sosnowe polana. Pokój dziewczyny znajdował się na samej górze trzypiętrowego domu i pachniał słodko żywicą z palącego się drewna. Za oknem szumiało morze, czarne, z białymi grzywami fal, zmarszczone groźnie pod rozgniewanym niebem. Od czasu do czasu gwałtowne podmuchy wiatru wstrząsały starymi framugami, szyby drżały i brzęczały cichutko. Był to drewniany dom, więc podczas sztormów trzeszczał i skrzypiał, a na strychu zawodził wiatr. W pokoju stały dwa wazony ze świeżymi kwiatami i paliły się wesole lampy o kolorowych płóciennych abażurach. Pielęgniarka, puciołowata dziewczyna w wy-krochmalonym fartuchu, sprawiała wrażenie spokojnej. Najwyraźniej stan pacjentki znajdującej się pod jej opieką nie wymagał interwencji. Seaton czuł się w tym pokoju nieswojo. Przeszkadzał mu zapach papierosów, którym przesiąkło w pubie jego ubranie, a także dym i alkohol w oddechu Nicka Masona, który stał obok niego. Przyszli tu pieszo brzegiem morza i porządnie zmokli. W pokoju było tak cicho, że słyszał, jak krople wody kapią z jego kurtki na pomalowane na liliowo deski podłogowe. To nadal była sypialnia małej dziewczynki.

A Sarah spała. Dopiero patrząc na nią, Seaton zdał sobie sprawę, jak przystojnym mężczyzną jest jej brat. Natura oboje obdarowała urodą. Sarah, pogrążona w głębokim, spokojnym śnie, miała zapadnięte policzki, podkrążone oczy i sine usta, a jej ręka na kołdrze wydawała się prawie zupełnie pozbawiona ciała. Włosy wyglądały na świeżo umyte i wy-szczotkowane. Oddychała równo. Ale w tym pokoju chyba było zimniej niż na schodach mimo ognia płonącego w kominku. Pielęgniarka, choć pulchna, narzuciła na fartuch rozpinany sweter. Nieprzyjemnie tu chłodno, pomyślał Seaton, choć można by uznać, że to normalne w pokoju od strony morza, na ostatnim piętrze starego wiktoriańskiego domu, pod koniec października. Człowiek może się wykończyć przesadną ostrożnością. Albo umrzeć, jeśli popadnie w samozadowolenie.

-Duchy, prawda? - spytał Mason.

Siedzieli w salonie. Wzdłuż jednej ściany ciągnęły się półki z książkami. Seaton pomyślał, że Mason ma ich zaskakująco dużo jak na wojskowego. Może należały do jego ojca, a on je tylko odziedziczył, tak jak ten dom. Była tam też półka z kasetami wideo, ogromny telewizor i bardzo drogi zestaw stereo z odpowiednio ustawionymi lśniącymi czarnym lakierem głośnikami na metalowych stojakach. Mason lubił też malarstwo. Wszystkie obrazy wyglądały na oryginały - szczególnie upodobał sobie

szkołę St Ives i angielskich kolorystów. Chyba że odzwierciedlały gust jego ojca. Z całą pewnością natomiast pili whisky Masona, nie prosto z beczki, Glenmorangie.

Seaton wskazał ruchem głowy półki.

- To twoje książki?

Mason nie odpowiedział, tylko spojrzał na niego.

- Zadałem ci pytanie, Paul.

- Wiem. To twoje książki?

- Większość tak. Kilka należało do mojego ojca. Lubię czytać.

- Natknąłeś się kiedyś na coś pióra niejakiego Dennisa Wheatleya? Mason zachichotał.

- Owszem. I jedna mi wystarczyła. Pisał głównie horrory, zgadza się?

- Słyszałeś o nim? A to niespodzianka. Od dawna go nie drukują.

- Kupiłem ją na targu. Ale chyba nie doczytałem do końca.

- Był bardzo kiepskim pisarzem. Ale w swoim czasie cieszył się dużą popularnością. Zwłaszcza w okresie międzywojennym. Uwierzył w wyższość rasy aryjskiej, podziwiał Hitlera i Mussoliniego i się z tym nie krył. Dawał temu wyraz w swoich książkach. Pogardzał czarnymi i był także antysemitą. Nawet pod koniec lat czterdziestych próbował wybielić postać Hermanna Göringa.

- Więc w najbliższym czasie raczej nie będzie wznowień.

- Rzeczywiście, to mało prawdopodobne. - Seaton umilkł, jakby szukał właściwych słów. - Od wczesnej młodości Wheatley zdradzał pewną skazę osobowości.

- Dawaj - zachęcił Mason.

- Uprzedzenia, które żywił w stosunku do pewnych mniejszości, były w owym czasie dość powszechne, zwłaszcza wśród przedstawicieli jego klasy społecznej. Mówię o czymś znacznie subtelniejszym niż pro-tofasyzm. Ojciec Wheatleya był bogatym handlarzem wina z Mayfair. Zabrał syna ze szkoły i kazał mu przez rok służyć na statku z epoki napoleońskiej, żeby ukształtować jego charakter. Żeby zrobić coś takiego własnemu synowi i dziedzicowi, ambitny ojciec musiał być naprawdę zdesperowany. A potem zaczęła się wojna i chłopak jako oficer artylerii walczył pod Mons i Ypres.

- To powinno wystarczyć - mruknął Mason. - W kwestii charakteru.

- Powinno. Ale najwyraźniej nie wystarczyło. Krótco po zawieszeniu broni ojciec zmarł, a Dennis odziedziczył winny interes. Na początku lat dwudziestych. Ob-

racął się w bardzo bogatym towarzystwie. Wiesz coś o latach dwudziestych i trzydziestych w Anglii?

- Oświeć mnie - odparł Mason.

- Narastało tu wtedy społeczne niezadowolenie.

- Jarrow March. Strajk generalny.

- Wheatley był wtedy kierowcą autobusu. I nosił rewolwer, na wypadek gdyby musiał go użyć przeciw bolszewickiej zarazie.

- Dupek.

- Należał do klasy wyższej - powiedział Seaton. - Jeśli przeczytałeś Orwella, a domyślam się, że tak, to wiesz, że sądy i policja miały wtedy pełne ręce roboty, próbując zapanować nad bardzo liczną i czasem bardzo bojowo nastawioną klasą robotniczą. Rząd był zaniepokojony wydarzeniami w Rosji, bolszewicy zamordowali przecież cara i jego rodzinę. I bał się górników z Walii, twardych facetów, których wkurzało, że spędzili cztery lata w okopach, a po powrocie do domu odkryli, że żadna z obietnic polepszenia ich bytu nie została dotrzymana. W tym czasie wojsko szło na strajkujących dokerów z Liverpoolu, Tilbury i Chatham z bagnetami. W okresie międzywojennym klasy wyższej prawo nie dotyczyło, tak naprawdę stała wtedy poza prawem. Ta sytuacja doprowadziła w końcu do pojawienia się pewnych bardzo dekadencckich zachowań.

- Kokaina i kawior?

- Myślę o czymś bardziej ekstremalnym - odparł Seaton. - O satanizmie.

Mason uniósł brew.

- I ten Wheatley był w to zamieszany?

- Firmę odziedziczoną po ojcu doprowadził niemal do ruiny, wydając ogromne sumy na swoje rozrywki, choćby na kochankę; dla niej wynajmował mieszkanie w Londynie i otworzył konta w Harrodsie i Fort-num & Mason. Potem, kiedy żona się z nim rozwiodła, ożenił się po raz drugi. Druga żona wspierała go finansowo, dopóki dzięki swoim książkom nie zdobył popularności. A tak się stało, kiedy zaczął pisać o czarnej magii i praktykujących ją Anglikach, których nazwał wyznawcami Drogi Lewej Dłoni. W 1934 roku napisał pierwszy bestseller. I nigdy nie oglądał się za siebie.

- Był satanistą? Seaton zawahał się.

-Wheatley dużo wiedział o rytuałach czarnej magii - odchrząknął. -I na pewno znał ludzi, którzy ją praktykowali, na przykład Aleistera Crowleya. Ale zawsze zaprzeczał, jakoby sam brał udział w rytuałach i ceremoniach. Ja uważam jednak, że kłamał.

-Dlaczego?

-Przyjaźnił się z Klausem Fischerem. To on doradził Fischerowi, by kupił nieruchomości na wyspie Wight. Niewykluczone, że pośredniczył w tej transakcji. I chyba nieźle negocjował. Często gościł u Fischera, można więc założyć, że zapraszano go też na przyjęcia wydawane w tym domu. Dennis Wheatley był dla Fischera przepustką na londyńskie parkiety. I to z jego powodu już dziesięć lat temu pojechałem do domu Fischera.

Przez chwilę obaj mężczyźni siedzieli w milczeniu. Seaton czuł się spięty mimo wypitego alkoholu. Ciągłe wydawało mu się, że zaraz na schodach rozlegnie się przeraźliwy krzyk albo z głośników Masona popłynie *Tam Lin* czy *Imagine*, w sardonicznym, ragtime'owym rytmie. Spojrzał na zegarek: minęła północ.

-A wracając do mojego pierwszego pytania - odezwał się Mason. -Duchy, prawda?

Seaton stłumił ziewnięcie, zmęczony. Ze strachem myślał o tym, co pewnie będzie musiał zrobić.

-Dlaczego? - spytał cicho. - Czy kapitan Mason wierzy w duchy?

-Tego wieczoru tu, w moim własnym domu, wysłuchałem wykładu z historii Anglii, wygłoszonego przez Irlandczyka popijającego moją szkocką- odparł. - W tej chwili, biorąc pod uwagę okoliczności, mogę uwierzyć we wszystko.

Seaton uśmiechnął się do siebie.

-Chcę opowiedzieć ci pewną historię - ciągnął Mason. - Opowiem ci ją, ponieważ może być istotna dla sprawy, w którą obaj jesteśmy zaangażowani. A potem ty opowiesz mi o swojej wizycie w domu Fischera. Zgoda, panie Seaton?

- Więc chyba nie położymy się dziś spać - zauważył Seaton.

- Wyśpisz się po śmierci - odparł Mason. Tylko powiedzieć „amen”, pomyślał Seaton.

- Proszę mówić, kapitanie. Zamieniam się w słuch.

To było tajne zadanie, mieli pomóc Francuzom w rozwiązaniu jakichś plemiennych problemów w Wybrzeżu Kości Słoniowej. Trzech mężczyzn oddzielono od oddziału i przyłączono do kompanii Gurkhów. Teren porastała gęsta dżungla, wybrano Gurkhów, ponieważ byli twardzi, małomówni i nigdy nie narzekali na kraj, w którym musieli mieszkać i walczyć. Dwaj faceci, którzy dołączyli do tej kompanii wraz z Masonem, byli dobrymi żołnierzami z NCO, weteranami operacji specjalnych przeprowadzanych na Falklandach, w Irlandii Północnej i podczas wojny w Zatoce. Powoli dobiegała końca ich czynna służba, ale ciągle mieli więcej krzepy niż niejeden nastolatek. W tej trzyosobowej grupie nie obowiązywała żadna hierarchia mimo rangi Masona. Byli sobie równi w terenie, wszyscy polegali na sobie nawzajem, nosili tę samą broń i otrzymywali te same informacje: w tym zadaniu od Francuzów, kiepsko tłumaczone. Jakby i bez tego nie mieli dość kłopotów.

Konflikty w tym rejonie wyglądają zazwyczaj bardzo podobnie. Plemiona kłócą się o jakiś sporny teren, bydło, studnię czy cokolwiek innego. Zaczyna się od zamieszek i zasadzek, a kończy regularną wojną - zatrutowane są studnie, palone wsie, kradzieże krów i kóz, gwałty i inne okrucieństwa. W pewnym momencie koszty zaczynają przewyższać potencjalne zyski i wtedy starszyzna zwaśnionych plemion zbiera się, żeby dojść do porozumienia, i to takiego, by obie strony zachowały twarz. Później opłakuje się zmarłych i opatruje rany. I tak aż do następnego razu.

-Dlaczego Francuzi nie mogli rozwiązać tej sprawy sami? - spytał Seaton.

Mason uśmiechnął się lekko.

- Francuzi są bardzo przywiązani do swoich skrawków Afryki.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że oni nadal budują swoje imperium?

- Nie zapominaj, od jak dawna tam siedzą. I nie zamierzają się stamtąd wynieść, przynajmniej ja nic o tym nie wiem. Ale trochę się już nauczyli. Na przykład tego, by w plemiennych dyskusjach nigdy nie przyznawać racji jednej stronie. Obce wojsko bardzo łatwo oskarżyć o stronniczość. Dlatego właśnie Paryż płaci Gurkhom. Tubylcom Gurkhowie nie przypominają Francuzów. Francuska interwencja w Wybrzeżu Kości Słoniowej oznacza, że francuskie oddziały opuszczają swoje garnizony

w konwojach ciężarówek. Przybywamy nocą w okolice Chinooks. Możemy być kimkolwiek.

- To chyba nie jest najtańszy sposób załatwiania spraw.
- Myślę, że nie. Ale czasami jedyny.
- Bo akurat ten konflikt plemienny sam się nie wypalił.
- Nie. Ten konflikt był inny.

Działali na północy kraju, w pagórkowatym rejonie zachodniej Touby, jakieś sto kilometrów od znajdującej się na wschodzie granicy z Gwineą, zbyt odległej, by oznaczać dla nich coś więcej niż ciemną linię na mapie. Z pewnością nie miała też żadnego znaczenia dla walczących ze sobą plemion. Mason i jego kompania Gurkhów widzieli efekty walk: spalone wioski i zwęglone zwłoki, martwe zwierzęta o wzdętych brzuchach, w których leżały się larwy much. Tego zresztą się spodziewali. Dziwne jednak było to, że straty ponosiła tylko jedna strona. Wojujące ze sobą plemiona różniły się pod względem etnicznym. W miejscu starć pozostawały zwłoki ludzi z plemienia Kesabi, którzy byli wyżsi i mieli jaśniejszą skórę. Natomiast członkowie plemienia Tengwai albo niezwykle skrupulatnie zbierali swoich zabitych, albo byli nieuchwytni. Ta gonitwa za duchami trwała sześć dni i siedem nocy. Mason i jego towarzysze ani razu nie spotkali nikogo, kto wyszedłby z walk żywy. Na miejsce zawsze przybywali już po bitwie i czekały tam na nich tylko cisza i śmierć. Zaczęło to w końcu denerwować dwóch oficerów oddziału. Obaj byli doświadczonymi żołnierzami i wiele czasu spędzili w dżungli, lecz czegoś takiego jeszcze nie widzieli. Cisza panująca pod zielonym baldachimem drzew wydawała się niemal namacalna. Odór śmierci przenikał ich ubrania, plecaki i śpiwory. Coraz częściej czuli się jak zwierzyna łowna, nie żołnierze, a raczej skompromitowani mediatorzy. Tyle że tu nie było pola do mediacji. Stali się świadkami czystki etnicznej prowadzonej z żelazną konsekwencją przez jakieś zabójcze duchy.

- Co wiesz o Gurkhach, Paul?
- Są małymi dzielnymi wojownikami z Nepalu. I żadnymi krwi najemnikami na żołdzie cynicznych Brytyjczyków.
- Żaden z tych stereotypów nie oddaje im sprawiedliwości. Owszem, są bardzo odważni. I naprawdę twardzi. A także zdyscyplinowani. Ale to nie tylko najemni żołnierze. Są niezwykle lojalni, lubią jednak wiedzieć, co jest grane. Właściwie to podstawowy warunek. Podczas wojny w Korei kompania Gurkhów odmówiła udziału.

łu w szczególnie trudnej bitwie, ponieważ czuli, że podano im zbyt optymistyczne dane dotyczące liczebności i stanu sił wroga. Więc ich dowódca, człowiek Sandhursta, podjął decyzję, która jeszcze dziś wydałaby się w brytyjskiej armii bardzo nowatorska. Postanowił mianowicie powiedzieć im prawdę. Poinformował ich, że mogą się spodziewać około sześćdziesięciu procent zabitych. Ale powiedział też, że on osobiście poprowadzi ich do walki.

- Jestem pewny, że to ich przekonało.

- Owszem. Taka jest ich mentalność. Walczyli i rzeczywiście niemal sześćdziesiąt procent zginęło. Wygrali jednak jedną z najbardziej krwawych bitew tej wojny.

- A oficer Sandhursta?

- Poległ - odparł Mason. - Na samym początku. Ale nie w tym rzecz.

Rankiem siódmego dnia jeden z Gurkhów, wybrany przez swoich towarzyszy, wyraził ich niepokój: mają wrażenie, że nie wiedzą wszystkiego, co powinni wiedzieć, by wypełnić swoją misję. Mason się z tym zgodził. Kazał sierżantowi SAS, Tomowi Dillonowi, który był ich łącznościowcem, przerwać ciszę i przez radio zwrócić się do Francuzów z prośbą o wszelkie informacje, które mogłyby im pomóc. Dwie godziny później Francuzi się odezwali i dali Dillonowi namiary na znajdującą się mniej więcej dwadzieścia kilometrów dalej placówkę misyjną.

-Spryciarze, ci Francuzi - stwierdził Mason. - Jednego tylko można być całkowicie pewnym, jeśli o nich chodzi: zawsze wiedzą więcej, niż dają po sobie poznać.

Dopiero wczesnym rankiem następnego dnia dotarli do placówki. Był to prosty barak na słupach nad dopływem rzeki Sassandry. Seaton zmarszczył brwi.

- Stał dosłownie nad wodą?

- Dlaczego pytasz? Interesuje cię architektura dżungli? Seaton nie odpowiedział, tylko na niego patrzył.

-Tak. Dom księdza znajdował się nad wodą. Można było się do niego dostać po moście pontonowym z powiązanych ze sobą razem drewnianych bali i beczek.

-I ksiądz tam był?

-Dotarliśmy do misji w nocy i zastaliśmy go na kolanach; modlił się przy świecy, ze starym różańcem w dłoniach, w maleńkiej kapliczce wybudowanej nad pomieszczeniem, w którym mieszkał. Wspinał się tam po drabinie. Było to święte miejsce,

konsekrowane, ale bardzo ubogie. Rolę chrzcielnicy pełniło cynkowe wiadro. Naczynia mszalne były przechowywane w drewnianej szafce, pomalowanej z wierzchu farbą, a za ołtarz służyła stara skrzynia na bieliznę.

-Mówisz, święte miejsce?

-Tak. Choć dziwnie smutne... Święte, o naprawdę, tyle że wydawało się takie, takie... umęczone. Jak człowiek, który tam żył.

Ksiądz nie okazał zdumienia na widok uzbrojonych mężczyzn, którzy nad ranem wkroczyli nagle do jego małej kaplicy. Gurkhowie zdjęli czapki, zapewne na znak szacunku. Ksiądz kiwnął głową, powoli wstał, sprawdził palcami miejsce na różańcu, gdzie przerwał modlitwę, ucałował krucyfik, założył go na szyję i ucałował jeszcze raz. Sprawiał wrażenie człowieka wykształconego, szlachetnie urodzonego. Miał jasną skórę, starą, kościstą twarz i przenikliwe niebieskie oczy. Niezwykła pokora wydawała się jednocześnie darem jego wiary i pokutą.

- Był jezuitą-odgadł Seaton.

- Nie po prostu jezuitą. Francuskim jezuitą.

Tam, w kaplicy, Mason odwrócił broń zawieszoną przez ramię na pasku lufą do tyłu, podniósł obie dłonie do góry, a potem podał swoje nazwisko i stopień wojskowy. „Nie mamy żadnych złych zamiarów, ojczec”, powiedział. Ksiądz tylko kiwnął głową. Nie wydawał się ani trochę przestraszony wtargnięciem uzbrojonych po zęby nieproszonych gości o twarzach umalowanych kremem do kamuflażu. Był zupełnie spokojny. Kiedy napotkał wzrok Masona, wyglądał nawet na lekko rozbawionego. „Napijcie się herbaty? - spytał po angielsku. - Zarżnęli moje kozy dwa tygodnie temu, więc nie mogę zaproponować wam mleka. Ale możecie wzmocnić się herbatą. A będziecie potrzebowali, panowie, wzmocnienia”.

- Czy w tym kościele było coś niezwykłego? - spytał Seaton i natychmiast zorientował się, że przerywając tok wspomnień Masona, trochę go zirytował.

- Nie uważasz, że już jest wystarczająco dziwnie?

- Może jednak zaintrygowało cię coś jeszcze?

Mason wyraźnie nie miał ochoty się nad tym zastanawiać. Przecież opowiadał swoją historię.

- Było zimno - odparł w końcu. - Nie chłodno, zimno. Na zewnątrz panował tropikalny, wilgotny upał; kaplica miała blaszany dach i ściany z drewna; otwory

okienne zabezpieczono drutem. Powinno tam być nieznośnie duszno i gorąco, a było zimno jak w grobie.

- Coś jeszcze?

- Owady. Żadnych owadów. W dżungli zawsze się od nich roi, muchy, ćmy, komary. Brzęczą, latają, kęsają, zwłaszcza nocą. A tam ani jednego. Bezruch, przenikliwy ziąb i cisza. W nocy woda daleko niesie dźwięki. Ale tam nie słyszeliśmy nawet szumu rzeki płynącej pod naszymi stopami.

Długo siedzieli w milczeniu.

- Nazywał się Lascalles - odezwał się w końcu Mason. - Spędził w Afryce dużo czasu. Powiedział mi, że w latach pięćdziesiątych pracował w Kongo. I spytał, czy kupiec Philip Mason był jakimś moim krewnym.

- Twoim ojcem? Mason kiwnął głową.

- Wtedy zrozumiałem, dlaczego sprawiał wrażenie rozbawionego, kiedy wpadłem do jego kaplicy z bronią w rękę. Natychmiast dostrzegł podobieństwo.

- Twój ojciec musiał być sławny w Kongo?

- Raczej niesławny - odparł Mason. - Popełnił tam wiele niegodziwości, ale od tego czasu dzieliły nas już całe dekady. On nie ma z tą historią nic wspólnego, Paul.

Seaton kiwnął głową.

- Mów dalej. Przepraszam, że ci przerwałem. Więcej tego nie zrobię - obiecał.

Ksiądz powiedział im, że wódz plemienia Tengwai zawarł układ z demonem. Poświęcił pięciu młodych pierworodnych plemienia w zamian za nietykalność w walce z ich odwiecznym wrogiem. Wojownicy Tengwai mieli stać się nietykalni w walce z Kesabi, pod warunkiem że będą pamiętać o tym, by każdego dnia oddać hołd Kheddimu, któremu demon kazał oddać najlepszą chatę w ich największej wsi.

Ale Tengwai wkrótce zaczęli się bać sił, które zapewniały im powodzenie w bitwach. Opłakiwali gorzko stratę pięciu ukochanych pierworodnych synów. Nie uważali za chwalebne pokonywać wroga dzięki interwencji nieczystych mocy, bo wtedy ich wojenny kunszt, ich największa duma, nie miał żadnego znaczenia. Podziwiali lud Kesabi, który mimo wielu klęsk walczył ze straceńczą odwagą do ostatniej kropli krwi. I czuli, że demon ich oszukał, że nie dotrzymał warunków umowy. Żyli w głębokim strachu przed Kheddim, paradnie osadzonym na tronie i codziennie karmionym składanymi przez nich ofiarami. Kheddi uczynił z nich niewolników, wymagał nieustannych hołdów i posłuszeństwa. Znienawidzili swojego wodza i pogar-

dzali nim z powodu głupoty, która kazała mu sprzymierzyć się z siłami zła. Zaczęli szeptać o tym, by go zgładzić, a potem pojednać się z wrogiem w imię pokoju. Byli przygnębieni, zawstydzeni, dręczyły ich wyrzuty sumienia. Nie spali po nocach, bo coraz bardziej się bali. Prawdziwy wojownik buntuje się, kiedy wie, że wróg nie może zadać mu ciosu, powiedział jezuita. Taka sytuacja wytrąca ludzi z równowagi, zmusza ich do myślenia o własnej nieśmiertelności.

-Wcześniej, zanim tam pojechałem i na własne oczy zobaczyłem ten plemienny konflikt, wyśmiałybym takie rzeczy. Ale kiedy siedziałem przy świecach i herbacie i słuchałem starego księdza, wcale nie wydawało mi się to śmieszne - wyznał Mason. - Widziałem, że nie bawiło to też moich oficerów. Co więcej, nie śmiał się także żaden z Gurkhów, a przecież było ich wielu.

-Ten idol... Ten... Kheddi? Mason powoli pokręcił głową.

-Więcej niż idol. Rodzaj golema, tak nazwał go ten ksiądz. Figura z gliny, która została ożywiona. Mówił o tym jednak bardzo ogólnie, bo sam tego nie widział. I wtedy przypomniła mi się zapamiętana z dzieciństwa historia o dziecku ze smoły: wypełzło ze swojej smołowej nory i dorastając, stawało się coraz bardziej złe. Jednak Kheddi wydawał się raczej totemem. Ożywionym. Złośliwym. Jezuita nigdy nie patrzyłby na diabelskie sprawy przychylnym okiem. Ale nawet biorąc poprawkę na jego religijne uprzedzenia, wyglądało na to, że wódz Tengwai dał się wciągnąć w bardzo śliski interes. Śliski. Lepki.

-Ożywiony totem?

Mason kiwnął głową i sięgnął po kolejnego papierosa. Opowiadając tę historię, odpalał jednego od drugiego. Salon zasnuwała mgła błękitnego, gorzkiego dymu. Wiatr zacinał deszczem w okna, jakby czyjeś niewidzialne dłonie ciskały w szyby garściami żwiru. Seaton nagle przypomniał sobie dziewczynę, pogrążoną w niespokojnym narkotycznym śnie, w pokoju u szczytu schodów.

-Ksiądz powiedział, że to zabiło jego kozy - szepnął Mason. -Wypatroszyło je, wypilo ich krew, pożarło wątroby i serca.

Na zewnątrz zawył wicher i szarpnął okiennicami tak gwałtownie, że Seaton podskoczył. Pomyślał nagle o człowieku, z którym pożegnał się tego popołudnia, o profesorze etyki i o entropii. O budynku pochłanianym powoli przez mech, o spływających deszczem drzewach.

-Wstał dzień i, wzmocnieni herbatą, mieliśmy już pewien plan -ciągnął Mason. - Nasza strategia opierała się na starej zasadzie: jeśli odetniesz głowę, ciało umrze. Jezuita dał nam bardzo szczegółową, ręcznie wykonaną mapę wioski, w której, jak twierdził, mieliśmy znaleźć główną siedzibę wodza Tengwai. Naszkicował też trasę, którą powinniśmy dotrzeć na miejsce, przez nikogo niezauważeni, w ciągu jednego dnia. Wiodła starą ścieżką myśliwską, od dziesiątek lat nieuczęszczaną, ale wciąż dostępną. Trzeba było tylko wiedzieć, jak ją odszukać. Postanowiliśmy otoczyć wioskę, sprawdzić, co trzeba, i ustalić pole ostrzału na wypadek, gdyby sprawy zaszły za daleko. Później, po zmierzchu, jeden z nas miał zakraść się do wioski i dopaść wodza. Wszyscy Gurkhowie chcieli to zrobić, zgłosili się na ochotnika. W naszym patrolu było dziewięciu Nepalczyków, a i każdy z moich oficerów poszedłby tam bez wahania. Jednak z dwóch ważnych powodów należało wybrać Gurkha. Po pierwsze, Gurkhowie na ogół nie jedzą mięsa, w przeciwieństwie do ludzi Zachodu, więc ich zapach trudniej wyczuć. To bardzo istotne w gorącym i wilgotnym klimacie dżungli, powie ci to każdy, kto walczył w Wietnamie.

-A ten drugi powód? - spytał Seaton. Mason spojrział na niego.

- Nóż kukri - odparł. - Wszystko, co słyszałeś o Gurkach i nożach, to zapewne prawda. I nieważne, czy wydarzyło się to w okopach Flandrii, czy w Port Stanley na Falklandach.

Nazywał się Hindip Roon i tak jak jego ojciec, a jeszcze wcześniej dziadek, wstąpił do Gurkha Rifles. Miał najwyżej półtora metra wzrostu i nawet przemoczony do suchej nitki nie ważył więcej niż pięćdziesiąt kilogramów. Mason patrzył, jak odchodził, lekki i cichy jak duch, aż w końcu zniknął wśród krzewów otaczających wioskę. Mgła o zapachu siarki osiadała na skórze żołnierzy i sprawiała, że gałązki i liście przyklejały się do ubrań i sprzętu. Buty wyglądały tak, jakby swoje lepkie ślady zostawiły na nich ślimaki. Ale ta mgła okazała się sprzymierzeńcem. Tłumiła dźwięki, a ludzie wyglądali w niej jak duchy. Rozmazane, niewidoczne kształty. Ksiądz twierdził, że wódz Tengwai, by podkreślić swoją pozycję, nosi na szyi wysadzane szmaragdami kolia. Nie oddałby jej bez walki. Mason kazał swojemu człowiekowi dostarczyć kolia - na dowód, że wykonał zadanie - świadom, że Roon przyniesie też kilka innych trofeów. Był to stary i dość upiorny zwyczaj Gurków. Ale Roon zgłosił się na ochotnika i Mason uznał, że to, co robi ze zwłokami wodza, to jego prywatna sprawa.

Tyle że Roon nie wrócił do północy. Mason miał noktowizor, ale nieprzydatny we mgle. Z drugiej strony jednak, od chwili, kiedy dotarli na miejsce i ostrożnie rozmieścili swoje siły wokół wioski, nie dostrzegli w niej żadnych oznak życia. W dżungli także panowała cisza. Teraz, kiedy o tym myślał, zdał sobie sprawę, że właśnie tym charakteryzowała się ta misja. Ani razu nie słyszeli śpiewu ptaków ani odgłosu zwierząt przedzierających się przez zarośla. Nie widzieli małp skaczących po gałęziach, nie słyszeli ich nawoływania. Nigdy nie natknęli się choćby na wiewiórkę czy nietoperza. Towarzyszyły im tylko kąśliwe owady i dalekie szczekanie szakali. Raz spotkali grubego węża, zwisającego z gałęzi kilka metrów na lewo od ścieżki, którą wskazał im ksiądz.

Mason wysłał dwóch ludzi na zwiady. Mieli przyjrzeć się umocnieniom i strażom przy obu wejściach do wioski, zaznaczonych na mapie jezuitów. Ocenić sytuację. Wrócili po godzinie i oznajmili, że nie ma żadnych straży. Żadnych umocnień. Wioska sprawiała wrażenie opustoszałej.

Jako dowódca misji Mason wiedział, że musi tam pójść. Może wiara w swoją nietykalność sprawiła, że wojownicy Tengwai zlekceważyli zasady obronności. Ale ludzie Masona nie należeli do plemienia Kesabi, zastraszonego czarną magią i terrorem *juju*. Wejdą tam szybko i ostro, nie bawiąc się w dyplomację, zanim Tengwai zorientują się, co się dzieje. Mason miał tylko nadzieję, że Hindip Roon żyje. Jeśli tak, wyciągną go stamtąd. A potem do diabła z Francuzami i ich cholernymi kolonialnymi gierkami. I dał sygnał do ataku.

W wiosce znaleźli tylko dwóch ludzi. Dwa trupy. Wódz Tengwai leżał, bez głowy, w swojej chacie, a Hindip Roon siedział przed nią ze skrzyżowanymi nogami. Między jego kolanami tkwiła odcięta głowa wodza, twarzą do góry. W prawej ręce Roon trzymał kolbę, złoto i szmaragdy połyskiwały w świetle pochodni. Lewą dłoń zaciskał na rękojeści noża kukri, którym przeciął sobie tętnicę. Zmarł z upływu krwi, a wyraz jego twarzy świadczył o tym, że śmierć przyniosła mu ukojenie.

Śmierć nie była ukojeniem dla wodza. Mason przykucnął i oświetlił jego głowę pochodnią. Po bokach była dziwnie ciemna i zalana krwią, która posklejała też włosy w miejscach odciętych uszu. Ale żeby to dostrzec, trzeba było uważniej przyjrzeć się nagiej, czerwonej czaszce. Bo wódz został także przez Roona oskalpowany. Jego usta wykrzywił upiorny grymas agonii. Ale jeszcze straszniej wyglądały oczy. Czarne, wytrzeszczone i pełne przerażenia, jakby w ostatniej chwili zaczynał ro-

zumieć, jaką cenę przyjdzie mu po śmierci zapłacić za paktowanie z siłami zła. Mason podniósł się, splunął i wszedł do chaty.

Nie była to oczywiście zwykła chata. Łukowato sklepiony strop wspierał się na drewnianych belkach. Nad dużą okrągłą częścią centralną wznosiła się kopuła. Na podłodze z gładkiego kamienia leżały plecione dywany, a na nich stały sprzęty z drewna tekowego, marmuru i kości słoniowej - wszystko zbryzgane krwią. Bezgłowy tułów wydawał się dziwnie mały u stóp hebanowego tronu, na którym siedziała upiorna, groteskowa, straszna postać. Wyprawioną zwierzęcą skórę, niedźwiedzia lub bawołu, w szarawym odcieniu, zszyto nierównym ścięciem ze sobą w taki sposób, że po wypchaniu przybrała kształt ludzkiej istoty. W pozycji stojącej miałaby mniej więcej dwa i pół metra wysokości. Ale coś takiego nigdy nie mogłoby stanąć, pomyślał Mason, zastanawiając się nad zabitymi kozami jezuitów. To, na co teraz patrzył, było martwą, odrażającą kukłą posadzoną na tronie. Zamiast stóp miała bawole kopyta, zamiast dłoni zaciśnięte w pięści ręce zabitej małpy, o brudnych paznokciach. Była to ohydna, ale pozbawiona życia postać.

Mason podniósł pochodnię i przyjrzał się jej głowie. Duża, blada i łysa, zapadła się w miejscach, gdzie skóra nie przylegała do wypełnienia, i wyglądała jak zdeformowana. Oczy zrobiono z kółek z kości słoniowej, perforowanych na brzegach, i przyszyto do twarzy. W miejscu ust ziała czarna dziura. Mason wzdrygnął się i odwrócił od kukły. I zdrętwiał z przerażenia, bo w tej samej chwili usłyszał, jak Kheddi za jego plecami poruszył się na tronie.

-Byłem strasznie spięty, tak napompowany adrenaliną, że serce omal nie eksplodowało mi w piersi. Odwróciłem się, naciskając spust, i władowałem w tę pieprzoną kukłę cały magazynek z szybkostrzelnego automatu. Rozwaliłem ją na pół. A zaraz potem do chaty wpadło pół tuzina facetów z odbezpieczoną bronią, gotowych do walki. Darli się w ciemnościach jak opętani. Totalny chaos.

-I co zrobiliście?

-Pochowaliśmy naszego towarzysza. Spaliliśmy obóz. A potem maszerowaliśmy przez dwa dni bez chwili wytchnienia, aż dotarliśmy do Chinook, skąd, zgodnie z umową, odlecieliśmy do domu.

- Opowiedziałeś kiedyś komuś, co się stało w tej chacie? Mason się zaśmiał.
Gorzko.

- Po powrocie do Blighty? Podczas analizy akcji? Nie.

- A podczas marszu po akcji?

-Nie musiałem. Jak już mówiłem, wystrzeliłem cały magazynek i rozwaliłem tę kukłę na pół. Wszyscy widzieliśmy, co miała w brzuchu. Słomę, czego można się było spodziewać, i różne inne rzeczy, kawałki złota, sznurki, szmaty, monety, kilka kamieni, chyba półszlachetnych. I pięć ludzkich czaszek, częściowo strawionych.

Seaton siedział i myślał o tym, co usłyszał.

-To znaczy w stanie rozkładu, tak?

-Nie. To znaczy dokładnie to, co powiedziałem. Wszyscy to widzieliśmy. - Mason sięgnął po kolejnego papierosa. - Wystarczy, że zamknę oczy, i znowu wyraźnie to widzę. Dlatego właśnie, jeśli chodzi o to, co się dzieje z tymi dziewczętami, mam otwarty umysł i nie wykluczam niczego.

Przez chwilę obaj milczeli. Seatonowi pytania cisnęły się na usta, lecz zauważył, że siedzący naprzeciw niego Mason jest już bardzo znużony, więc ich nie zadał. Jednak cisza, w której słyhać było tylko zawodzenie wichru, zaczęła go denerwować, wydało mu się też, że słyszy jakieś odgłosy dobiegające z pokoju siostry Masona. Uznał, że musi zapytać:

- Czy ksiądz nadał demonowi jakieś imię?

- Imię moje Legion - odparł Mason. Jego głos był bezbarwny, wyprany z emocji, zmęczony długim opowiadaniem. - Uważał chyba, że jest to ciągle ten sam demon, bez względu na to, jak sam siebie nazywa. Ale ty to wiesz, prawda? Więc szczerze mówiąc, nie rozumiem, po co pytasz.

- Jak myślisz, co on takiego zobaczył, ten Gurkha?

- Roon - powiedział Mason. - Hindip Roon. Twardy gość. Trzecie pokolenie. Jego dziadek dostał Krzyż Walecznych po bitwie z Japończykami w kontrofensywie 14. Armii pod Meiktila. Roon był bardzo dumny z tego, czego jego dziadek dokonał w Birmie.

- Jak myślisz, co takiego zobaczył?

- Raczej, co usłyszał. Znaleźliśmy uszy, które odciął jako trofeum, wciśnięte do sakiewki na amunicję przy jego pasku. Zrobił to, i resztę tej mokrej roboty, w chacie. Wystarczyło spojrzeć na podłogę tam, gdzie leżał wódz, by się tego domyślić. Nawet dla mnie było to oczywiste, choć czułem się parszywie. Ale robił to nieświadom, że ma publiczność. Myślę, że było tak: Kheddi do niego przemówił, Kheddi przemówił do Hindipa Roona. Myślę też, że może Roon usłyszał jego śmiech.

- Teraz już nic nie rozumiem - westchnął Seaton.
- Kheddi był zachwycony. Docenił jego kunszt.

8

Na górze nagle rozległ się krzyk. Obaj mężczyźni wbiegli na schody i już po chwili znaleźli się na progu pokoju dziewczyny. Siedziała oparta wysoko na poduszkach, rozbudzona, czujna. Miała zaróżowione policzki i promiennie się uśmiechała; ten uśmiech nieprzyjemnie kontrastował z wyrazem złośliwej przebiegłości w jej oczach. Pielęgniarka stojąca z boku, tyłem do pacjentki, robiła coś przy wózku ze szklanym blatem, na którym znajdowały się białe plastikowe fiolki z pigułkami, szklane buteleczki z lekami, termometr w rurce z płynem sterylizującym, jakiś przyrząd z gumowym zwojem i aparat do mierzenia ciśnienia. Wystarczy raz spojrzeć na twarz tej dziewczyny, pomyślał Seaton, żeby zrozumieć, dlaczego pielęgniarka odwróciła się do niej plecami.

Chora trzymała na kolanach przenośne radio z wyciągniętą anteną. Wzięła je ze stolika przy łóżku, na którym Seaton widział je wcześniej za pudełkiem z chusteczkami higienicznymi. Teraz pudełko leżało na podłodze. Pomyślał, że to pielęgniarka krzyknęła, zaskoczona, być może tym, że pacjentka nagle odzyskała przytomność. Dziewczyna zamrugała, a jej głowa opadła w tył na poduszki. Nacisnęła jeden z przycisków radia - buchnęła muzyka tak głośna, że pielęgniarka drgnęła nerwowo, a wózek przechylił się i przewrócił na podłogę.

-Bardzo przepraszam.

Jej słowa było słycać tylko dlatego, że wypowiedziała je w chwili, kiedy Ian Curtis z Joy Division zrobił krótką przerwę w monumentalnym *Love Will Tear Us Apart*.

Mason ujął pielęgniarkę pod ramię i poprowadził do drzwi; jego siostra wcisnęła inny guzik i z radia popłynęła liryczna piosenka Nicka Drake'a w wersji akustycznej. Dziewczyna przez chwilę kołysała się w jej rytmie. Dyszała ciężko, a jej twarz przybrała przerażający wyraz. Wiatr z nową siłą uderzył w ścianę drewnianego domu, wprawiając w drżenie stare deski i szyby okienne, na których osiadły drobiny pia-

sku. Przez głowę Seatoną przelatywały setki myśli naraz. Cienie na ścianach kołysały się, wydłużały i znikwały. Mason jeszcze nie wrócił. W pokoju unosił się zapach zgnilizny. Seaton miał wrażenie, że wydobywa się z ust oddychającej szybko i urywanie dziewczyny. Nie śmiał wejść do środka. Wiedział jednak, że musi zabrać dziewczynie radio. Jakby czytając w jego myślach, wcisnęła kolejny guzik i Seaton usłyszał, jak Sandy Denny śpiewa *Who Knows Where the Time Goes?*

Chora uśmiechnęła się szeroko do Seatoną.

- Oni dobrze wiedzą, dokąd zmierza czas - oznajmiła. - I bardzo chcą nam to powiedzieć. - Odbiło jej się. Jej oddech cuchnął jak powietrze w krypcie. - Konają z pragnienia, żeby nam to powiedzieć.

Paul Seaton uciekł.

Mason znalazł go na parkingu pod pubem, zgarbionego nad kierownicą saaba. Miał zapięty pas, ale silnik nie pracował. Mason otworzył drzwi i ciężko opadł na siedzenie obok. Deszcz padał nieprzerwanie, więc obaj przemokli. W samochodzie było włączone radio. Płynęła z niego jazzowa ballada z elementami bebopu. Ktoś, prawdziwy wirtuoz, wydobywał z puzonu dźwięki tak płynne i subtelne, jakby grał na saksofonie tenorowym. *My Funny Valentine*, pomyślał Mason. Spojrzał na Seatoną. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie widział kogoś tak przerażonego.

- Chcesz fajkę?

- Nie palę.

- Ja też nie - stwierdził Mason, zapalając papierosa. - Rzuciłem pięć lat temu. Przeczytałem książkę Allena Carra, ale nie na wiele się to zdało. To nie dla mnie. Pomogła mi hipnoterapia. Jest taka klinika w Londynie, niedaleko Regent's Park.

- Chyba naprawdę chciałeś rzucić.

- O tak. - Mason zaciągnął się głęboko. - Sporo mnie to kosztowało. Ale warto było.

- Gratuluję.

- Dzięki. - Wypuścił błękitnawy dym. - I dziękuję, że zaczekałeś.

- Właśnie się zastanawiałem, dokąd jechać.

Mason kiwnął głową, starając się zapanować nad głosem, w którym przebijała nuta desperacji. Gdyby okazało się to konieczne, wywłóciłby Seatoną z samochodu, ogłuszył szpadelkiem, który schował w kieszeni kurtki, przerzucił go sobie przez

ramię i zaniósł z powrotem na Wavecrest. Facet nigdzie nie pojedzie, dopóki Sarah jest w takim stanie, pomyślał. Dopóki nie zrobi wszystkiego, co w jego mocy.

- Jasne - pokiwał głową. Wsunął rękę głębiej do kieszeni i wymacał szew na obciągniętym skórą trzonku szpadelka. - Jasne.

- Jak twoja siostra?

- Dostała środek nasenny. Nasza pielęgniarka zareagowała ze stoickim spokojem.

- Na chwilę przestałem nad sobą panować - przyznał Seaton. - Zaraz mi przejdzie.

Mason patrzył na rozżarzony koniuszek papierosa. Wiatr lekko poruszał samochodem.

- Ta muzyka...

- To wszystko samobójcy - powiedział Mason. - Ian Curtis się powiesił. Nick Drake przedawkował środki przeciwbólowe. A ta dziewczyna z Fairport Convention rzuciła się z betonowych schodów.

- Znasz się na muzyce.

Mason wskazał głową radio.

-Ale tego nie znam.

-Frank Rosolino. Puzonista. Kiedyś był naprawdę sławny, zwłaszcza na Zachodnim Wybrzeżu. No, sławny zgodnie ze standardami bebo-pu. Co znaczy, że był wirtuozem, który ledwie wiązał koniec z końcem. Jak prawie wszyscy jazzmani w erze Jamesa Taylora, The Eagles i Do-obie Brothers.

Na niektórych ludzi strach wpływa w taki właśnie sposób. Sprawia, że stają się gadatliwi, usta im się nie zamykają. Czasami trzeba im po prostu przerwać.

- Lubisz jazz, Paul? Seaton kiwnął głową.

- Radio samo się włączyło w chwili, kiedy wsiadłem do samochodu.

- Frank Rosolino też popełnił samobójstwo?

-Tak, pewnego późnego wieczoru. Zaraz po tym, jak zastrzelił swoich małych synów.

Seaton sięgnął do przełącznika, żeby uruchomić wycieraczki, ale ręka mu bezsilnie opadła. Dźwięki puzonu ucichły powoli, a potem popłynął smutny blues Roya Buchanana. Mason rozpoznał go natychmiast. Pomyślał, że zaraz radio samo zacznie grać głośniej i że jeśli tak się stanie, on zacznie krzyczeć.

-Idąc tu za tobą w deszczu, zastanawiałem się, jakie jest prawdopodobieństwo, że będą grane jedna po drugiej piosenki tak zbliżone do siebie tematycznie, jak te, które słyszeliśmy w sypialni.

Seaton odwrócił się do niego.

-Żadne - odparł. - To niemal zupełnie nieprawdopodobne. Nie lubię hazardu, ale w tym przypadku założyłbym się, że to niemożliwe.

Mason kiwnął głową.

Muzyka Roya Buchanana była słaba i daleka, jakby dobiegała z innego świata, jakby stara gitara marki Telecaster, na której grał, nie została nastrojona.

Mason użył różnych środków perswazji, łącznie z przekupstwem, i w końcu udało mu się skłonić pielęgniarkę do pozostania przy jego siostrze. Kiedy wrócili do jej pokoju, Sarah znowu leżała bezwładnie na poduszkach, nieprzytomna. Oddychała szybko i płytko, a jej skóra miała bladą odcień. Pielęgniarka wyjęła radio z jej dłoni, wyłączyła je z kontaktu i wcisnęła w rękę Masona. Jej twarz wyrażała jednocześnie strach, zrozumienie i stanowczość. Przypomniawszy sobie, że ta kobieta pochodzi z hrabstwa Meath, więc zapewne zna ludowe wierzenia i obyczaje celtyckie, a może nawet zetknęła się kiedyś z magią. Pielęgniarką została z powołania, przypuszczał zatem, że sumienie nie pozwoli jej opuścić chorej w potrzebie, dlatego podziękował jej krótko, z ulgą kiwnął głową i poszedł szukać Seaton.

Wiedział, że Paul nie mógł odejść daleko. Kiedy Irlandczyk korzystał w pubie z toalety, na wszelki wypadek odciął w jego saabie dopływ paliwa. Whitstable stało się ostatnio bardzo modne, było jednak zdecydowanie za małe i przyciągało zbyt eleganckie towarzystwo, by opłacało się prowadzić tu wynajem samochodów. Najbliższym miejscem oferującym tę usługę było Canterbury albo Herne Bay. Wieszając kurtkę Seaton w szafie, Mason wyjął z jej kieszeni portfel, by uniemożliwić mu skorzystanie z taksówki. Stacja kolejowa od dawna była już zamknięta. Dochodziła druga nad ranem, o tej porze w Whitstable niewiele dało się zdziałać.

Mason zdumiał się, kiedy nagle się zorientował, że idzie po schodach do piwnicy, zanim jeszcze wyruszył na poszukiwanie Seaton. Nie cierpiał unoszącego się tu zapachu soli i wilgoci. Jego ojciec uciekał do piwnicy przed dziećmi i życiem rodzinnym. Mason nigdy nie lubił tej części domu. Teraz, kiedy o tym myślał, sięgnął po szpadek, czując na sobie wzrok drewnianych masek i idoli, które ojciec przywiózł z Afryki. Patrzyły na niego bez ciekawości swoimi rzeźbionymi oczami, tuląc

się do siebie na półkach przy ścianie naprzeciw drzwi. Słyszał ryk morza, które wściekle biło o skały. Podrzucił do góry szpadek o trzonku obciągniętym skórą, po czym go złapał. I zezłościł się na siebie. Przed kim tu się popisował? Nie było tu nikogo, na kim jego zręczność mogłaby zrobić wrażenie.

Nigdy nie czuł się dobrze w domu swojego ojca. Aż do piętnastego roku życia sypiał tu przy zapalonym świetle, narażając się na drwiny. I nie chodziło tylko o dom. Małe miasteczko, w którym się urodził, zawsze uważał za miejsce smutne i przerażające. Nie cierpiał jego wąskich uliczek i oświetlonego wieczorami znaku nad drzwiami pubu. Nienawidził wycia wichru w zimie. Według niego coś tu było nie tak, choć nie umiał tego sprecyzować. Na stałe w Whitstable mieszkało niewielu ludzi. Światło wydawało się tu ostrzejsze niż gdzie indziej; cienie głębsze i ciemniejsze. Zawsze miał wrażenie, że ktoś go śledzi. W dzieciństwie przeżył tu dwa naprawdę przerażające zdarzenia, o których bezskutecznie starał się zapomnieć: w ogródku herbaciarni w Tankerton i przed starą lodziarnią, kiedy miał jakieś dziesięć, jedenaście lat. Tak więc decyzję ojca, który wysłał go do szkoły z internatem w Cumbrii, przyjął z ulgą. Tam nie bał się nocnych ciemności. Obecność innych chłopców śpiących tuż obok dodawała mu otuchy. A w surowej dyscyplinie, jaka tam panowała, było coś oczyszczającego. Lubił piesze wycieczki, gimnastykę i biegi na orientację przy świetle latarek. Czasami się zastanawiał, czy całe jego życie zawodowe nie było reakcją na lęki, które dręczyły go, kiedy mieszkał w tym domu. Może chciał sobie w ten sposób coś udowodnić. A może nie. W jego oddziale służyło wielu mężczyzn, a każdy z nich kiedyś zapewne musiał stawiać czoło własnym lękom. Teraz, w piwnicy, wśród gromadzonych przez lata tajemniczych przedmiotów, uderzył się szpadelką jeszcze raz i wzdrygnął odruchowo, kiedy jego dłoń przeszył ostry ból. W tej samej chwili coś poruszyło się w pobliżu półek na przeciwległej ścianie. Mason przełknął ślinę i bardzo powoli zawrócił ku słabo oświetlonym schodom.

- Morze - powiedział Seaton, siedząc w samochodzie. - W pobliżu morza trudniej im zebrać siły. Muzyka, przepadają za muzyką. I oczywiście uwielbiają sobie pożartować. Ale na brzegu morza... cóż, zawsze jest bezpiecznie. A w każdym razie bezpieczniej. Nigdzie nie jest całkiem bezpiecznie. Ale bezpieczniej, tak. Przynajmniej było tak aż do teraz.

- Powiesz mi, co się dzieje - odezwał się Mason. - Powiesz mi. Prawda?

- Wygląda na to, że nawet jeśli nie zechcę, wyciśniesz to ze mnie, kapitanie. Miał rację.

-Jeśli będę musiał - odparł Mason. - Ale to nie będzie konieczne. Bo przyjechałeś tu, żeby mi powiedzieć. Czyż nie?

-Dopóki tego nie zrobię, niewiele tu zdziałamy. Mason czekał. W końcu Seaton spytał:

-Czy w ogóle coś z tych historii o spotkaniu Josepha Conrada z Ri-derem Haggardem w Kongo jest prawdą?

-Nie w Kongo. Nie w Kongo, lecz w Wybrzeżu Kości Słoniowej.

-Więc to tylko taka bajka, wymyślona, żebyśmy się łatwiej zakum-płowali? Nie-
żle, przyznaję. A ta historia o Kheddim została w całości wyssana z palca, co?

Mason zeszywniał w swoim przemoczonym ubraniu, wyraźnie urażony.

-Konfabulacja nie leży w moim charakterze, Seaton. Przykro mi, ale wszystko to czysta prawda.

Nagły poryw wiatru zakołysał gwałtownie samochodem, a zaraz potem mimo betonowej ściany ochronnej potężna fala runęła na dach saaba. Huk był ogłuszający, jak wojskowa kanonada. Spieniona, czarna woda spłynęła po szybach, zostawiając po sobie piasek i drobne kamienie. Radio milczało. Roy Buchanan, który powiesił się w więziennej celi w Ameryce w 1988 roku, widocznie wrócił w zaświaty.

-To wszystko zaczęło się dwanaście lat temu - powiedział Seaton. Wyciągnął ręce i zacisnął dłonie na kierownicy z taką siłą, że w słabym świetle księżyca jego kostki wydały się trupioblade. - Wtedy zaczęło się to dla mnie. Tak naprawdę, to wszystko moja wina. Wszystko, co się stało, ma związek z tym, co zrobiłem. A przecież przyświecał mi taki szlachetny cel.

Mason zdusił żarzący się koniuszek papierosa między palcami.

-Opowiedz mi o tym. Chodź ze mną do domu i opowiedz mi o tym.

Poznał Lucindę Grey w barze nad pubem w Cambridge pewnego ciepłego, słonecznego popołudnia wiosną 1983 roku. Kiedy tam wchodził, z szafy grającej płynęła piosenka *Crystal Gayle Don't It Make My Brown Eyes Blue*. Doskonale to pamiętał. Mógł się pomylić co do Van Morrisona śpiewającego *Brown Eyed Girl* albo co do Julie London i *Cry Me a River*, albo Niny Simone w *My Baby Just Cares For Me*. Ten bar miał najlepszą szafę grającą w całym Londynie. Ale to na pewno była Crystal Gayle. A Lucinda nie miała oczu ani brązowych, ani niebieskich. Miała oczy zielone i niezwykle. Spojrzała na niego z zainteresowaniem, kiedy wszedł do sali. Z bliska dostrzegł, że przy samych źrenicach jej zielone tęczówki jakby skrzą się drobkami złota. Sukienkę także miała złotą - z surowego jedwabiu, miękką i połyskującą - a włosy, obcięte równo powyżej ramion, w kolorze ciemnego miodu.

Był to radosny rok, jeden z wielu w tej radosnej dekadzie. Większość klientów baru stanowili studenci St Martin's School of Art, mieszczącej się sto metrów dalej przy Charring Cross Road. Przez wysokie okna wychodzące na Cambridge Circus do baru wpadało słońce. W jego przyćmionym, ciepłym świetle studenci wydziału mody prezentowali się barwnie i interesująco, i dobrze o tym wiedzieli. Wszyscy mieli na sobie wieczorowe stroje - zapinane na guziczki buty, krojone ze skosu spódnice, fikuśne marynarki i fantazyjne kapelusze.

Tego wieczoru wyraźnie dzielili się na kilka grup. Ci z wydziału grafiki wyglądali bardzo monochromatycznie w swoich czarnych lewisach, białych podkoszulkach i czarnych skórzanych kurtkach. Dziewczęta z tej grupy od chłopców odróżniały tylko utlenione na platynowy blond, nastroszone włosy. Dziewczyny z wydziału malarstwa nosiły długie, szerokie spódnice w kwiaty albo artystycznie obszarpane dżinsy i wielkie, ręcznie dziergane swetry, a ich koledzy - dżinsy, flanelowe koszule w kratę i dżinsowe kurtki, a la Jackson Pollock. Ale najważniejsze były buty. Graficy i graficzki wybierali martensy. Dziewczyny z malarstwa wołały czarne, toporne buty wojskowe, następcy Pollocka - drogie mokasyny Jackson's Bass Weejun. Kiedy już zaoszczędzili odpowiednią kwotę, wybierali się na zakupy, a raczej pielgrzymkę, do amerykańskiego sklepu Simmons w Covent Garden. Oryginalne amerykańskie rzeczy sprzedawano stosunkowo tanio we Flipie na Long Acre. Ale aby obniżyć koszty transportu, Flip sprowadzał swoje towary ciasno sprasowane, więc z oczywistych względów nie można tam było kupić butów.

Seaton przyszedł do baru, by spotkać się ze swoim bratem Patrickiem, który tego wieczoru włożył połyskliwy garnitur i ręcznie malowany jedwabny krawat, ponieważ później wybierali się do klubu, a nie mieli zamiaru ani stać w kolejce, ani płacić za wstęp. Jeśli człowiek wyglądał wystarczająco barwnie, mogło się to udać - zwłaszcza w owym czasie, zwłaszcza w londyńskim Soho. Garnitur leżał na Patricku, dość szerokim w ramionach, bardzo dobrze. Paulowi nie spodobał się jednak słomkowy kapelusz, który Patrick zsunął zawiadując na tył głowy. Zauważył też, że młodszy brat, kiedy ruszył w jego stronę, idzie kołyszącym chodem marynarza. Ludzie w tym wieku kreują samych siebie. Niektórzy co wieczór są kimś innym.

- Kim jest ta wysoka blondynka w połyskliwej sukience?

- U mnie wszystko w porządku, dziękuję. Poza tym, że cierpię na śmiertelną chorobę i właśnie dziś się o tym dowiedziałem.

- Ta wysoka dziewczyna z zielonymi oczami. Patrick upił łyk piwa.

- Ten słomkowy kapelusz nie pasuje do reszty.

- Wyglądam w nim jak Felix Leiter. Ten agent CIA z książek o Jamesie Bondzie. Ale Seaton nie odrywał wzroku od Lucindy Grey.

- Sinatra miał taki kapelusz w *Come Fly'With Me*.

- Wyglądasz jak jankeski turysta - mruknął Seaton. Patrick chwilę się zastanawiał, po czym wzruszył ramionami.

- W filmie Normana Wisdoma.

- Wydaje się trochę tajemnicza. Blondynka o zamglonym spojrzeniu.

- Więc nie możesz mnie przedstawić.

- Nawet gdybym mógł, i tak bym tego nie zrobił.

Seaton przez chwilę zastanawiał się, czy brat się czasem nie wykręca. I doszedł do wniosku, że nie.

- Mogę ci tylko powiedzieć, że ona studiuje na wydziale mody. I jest bardzo skryta - oznajmił Patrick.

- Ajakże.

Tego wieczoru Seatonowi nie udało się poznać Lucindy Grey. Poszedł z bratem do Mud Club and the Wag, gdzie grał Kid Creole i Animal Nightlife; unosił się tam intensywny zapach marlboro, żelu do włosów, brylantyny i potu, a coraz bardziej pijanemu Seatonowi wszyscy wydawali się podobni do aktorów z filmów kręconych na Kubie, zanim obalono Batiste, a Castro i Che Guevara zaprowadzili modę na

mundury rodem z dżungli dzikich i niebezpiecznych rejonów świata. Trochę po północy poderwał czarną dentystkę z Woodford Green, której styl zainspirowały Carmen Miranda i modelki z reklam Bounty Bar, lecących w telewizji. Zabrał ją do domu i prawie zapomniał o zielonookiej studentce mody. Prawie. Ale nie całkiem.

A potem zobaczył ją znowu, tydzień później, w klubie Wharf, który mieścił się w starym magazynie nad Tamizą w pobliżu Shadwell Basin. Była to epoka imprez w starych magazynach, happeningów i prywatek organizowanych naprędce w czynszowych kamienicach na King's Cross, gdzie muzyka płynęła z małych zestawów stereo, a w cynkowych wannach wśród kostek lodu chłodziło się piwo Sapiro. Lecz w Wharf oryginalnie urządzonej nie panowała taka atmosfera tymczasowości, a jego klientela podkreślała swój status oryginalnością stroju.

W drzwiach stał tam chłopak w białej marynarskiej koszuli i płóciennej czapce; wyglądał jak karykatura Jeana Geneta. Miał bliznę na nosie i umięśnione, opalone ramiona pokryte tatuażami. Wiosna tego roku była bardzo ciepła i zdawała się obiecywać rychłe nadejście upalnego lata. Klub oświetlały żółte lampki oliwne, a na suficie migotały blade refleksy wody z płynącej poniżej rzeki. Patrick przyszedł tam z przyjaciółmi z St Martins. Był wśród nich Stuart Lockyear, a także Greg Foyle, którego obrazy będą się sprzedawać za setki tysięcy dolarów i zawisną w Metropolitan Museum of Modern Art w Nowym Jorku. Siedzieli przy stoliku po drugiej stronie parkietu. Patrick powiedział coś do Grega, Greg spojrzał na Patricka, i obserwujący ich Paul zorientował się, że jego brat jest pijany.

Tajemniczą dziewczynę z wydziału mody, Lucindę Grey, dostrzegł w kolorowej grupie osób przy barze. Sączyła przejrzystego zielonego drinka z długiej szklanki. Paul uświadomił sobie, że gra muzyka, kiedy wybrzmiały ostatnie takty piosenki *Amsterdam* Jacques'a Brela w angielskiej wersji Davida Bowie. Zaraz potem rozpoznał początek nowego przeboju *Bad Day* Carmel McCourt. Pochodziła z Manchesteru, a mieszkała w Paryżu. Tego roku jej piosenki zdobywały coraz większą popularność w klubach. Wciągnął w płuca powietrze pachnące drewnem i smołą, tytoniem i rzeką. Podszedł do stolika, przy którym siedział Patrick. Greg nalał mu do kieliszka lambnisco z jednej ze stojących przed nimi butelek.

- Miałeś nosa - odezwał się Patrick i zamrugął, bo wzrok mu się mącił. Paul upił łyk wina.

- Wyszedłeś na łowy - ciągnął Patrick. - Szukasz ofiary. Chcesz sobie zapolować.

- Nie udawaj zgorzzonego, ty hipokryto. Sam przeleciałbyś wszystko, co się rusza.

Patrick spojrział na niego tak, jakby się głęboko zastanawiał nad tym, co właśnie usłyszał.

-Nie tak znowu wszystko, bo zawsze należy zachować umiar - odparł.

Paul roześmiał się i zauważył, że Lucinda Grey uśmiecha się do niego z drugiej strony sali. Uniosła jedną brew, a potem wykonała zapraszający gest.

-Twój kumpel Gruby Jankes chyba przeholował z alkoholem. -Upiła łyk swojego zielonego drinka i patrzyła na Paula znad szklanki. Drink był przejrzysty jak jej oczy.

Spojrzał na brata, a potem znowu na Lucindę. Skrzyżowała ręce na piersi, naciągając rękawy marynarki z cienkiej, miękkiej skóry. Stójka podkreślała długą, smukłą szyję dziewczyny. Obcięte równo włosy, na karku przystrzyżone bardzo krótko, ocierały się o kołnierzyk.

-Nie jest gruby. I nie jest Jankesem.

Patrick był po prostu mocno zbudowany, ale miał pyzate, różowe policzki cherubina. Popęłnił fatalny błąd, wkładając na swoje pierwsze zajęcia sportową kurtkę z wielkim logo jakiegoś amerykańskiego college'u na plecach. Kurtka kosztowała trzydzieści pięć funtów w Camden Market. Tak naprawdę jednak kosztowała go znacznie więcej. Później sam przyznawał, że akurat ten amerykański ciuch nie był trafionym zakupem. Teraz, mimo jasnego, brzoskwiniowego garnituru, ręcznie malowanego krawata i starannie przyciemnionego tuszem do rzęs wąsika, rzeczywiście wyglądał jak gruby Jankes.

-Masz rację - powiedział Seaton. - Gruby Jankes wypił dzisiaj zdecydowanie za dużo.

Wynajmowała niezbyt atrakcyjne mieszkanie w wysokim budynku przy Old Paradise Street, tuż przy południowym krańcu Lambeth Bridge. Stała w kolejce pod urzędem miasta przez całą noc, by uzyskać na nie przydział. Powiedziała mu to, kiedy odprowadzał ją do domu wzdłuż rzeki godzinę po tym, jak się poznali. Godzinę po tym, jak rozmawiali ze sobą po raz pierwszy. Minęli kołyszącą się w ciemności

na wodzie, przycumowaną przy brzegu barkę. Zapachniało prochem strzelniczym - na barkach czasami odbywały się pokazy sztucznych ogni. Przy drugi brzegu płynął statek spacerowy, w gęstniejącej mgłę jego światła błyszcząły perłowo. Woda niosła wysoki, drżący głos Boya George'a, który śpiewał *Do You Really Want To Hurt Me!*

Ale on patrzył tylko na nią. Nie mógł przestać na nią patrzeć. Wyglądała na smukłą i wysoką w swoim czarnym skórzanym żakiecie, kremowej jedwabnej bluzce i spódniczce do połowy łydek, która opinała biodra. Jej włosy, zaczesane do tyłu, delikatnie połyskiwały, kiedy przechodzili pod latarniami na Embankment. Skórę miała jasną, usta pomalowane czerwoną szminką, miękkie i pełne. Piosenka Culture Club płynęła za nimi po ciemnej wodzie, światła dalekiego statku lśniły we mgłę. Seaton czuł zapach fajerwerków i rozkoszne mrowienie na skórze, a jego serce było bardzo mocno i szybko, rozpierane radością, młodością i przecuciem wspaniałych możliwości. Nigdy dotąd tak nie pulsowała w nim energia. Jego życie było fascynującą przygodą. Coraz bardziej podekscytowany wziął to za seksualne podniecenie, zaraz jednak zrozumiał, że było to coś więcej - czyste, niczym nieskażone oczekiwanie na życie, które dopiero miało nadejść. Później często przywoływał tę chwilę. Później, dużo później, ta chwila i wspomnienie radości, jaką wówczas odczuwał, powracały bardzo często.

W saloniku jej niewielkiego, dwupokojowego mieszkania na drugim piętrze stał manekin naturalnej wielkości, częściowo ubrany w pospinany szpilkami jedwab, który we wpadającym przez okno świetle księżycy wydawał się czerwony jak krew, ale kiedy Lucinda włączyła lampę, okazał się być barwy terakoty. Podłogę zaścielały kawałki materiałów, papierowe próbki i szkice wzorów. Zauważył, że naprawdę dobrze rysowała. Na stole stała elektryczna maszyna do szycia. Poza tym w pokoju był jeszcze tylko zestaw stereo i mała, obita winylem kanapa. Paul przypomniał sobie, że widział ją w witrynie Practical Styling.

-Usiądź - powiedziała Lucinda. - Przepraszam za ten bałagan. -Zdjęła żakiet i powiesiła go na ramionach bezgłowego manekina. -Napijesz się czegoś?

Słyszał muzykę, dobiegającą z sąsiedniego mieszkania. Senne *Red, Red Wine* w wykonaniu UB₄₀. Spojrzał na zegarek: po pierwszej nad ranem.

Rozpakowała jakąś płytę i włożyła ją do adaptera. Julie London zaczęła śpiewać *Cry Me a River*.

- Masz może piwo?

- Niestety nie mam żadnych męskich napoi - odparła. Stała z rękami na biodrach i ciężarem ciała przeniesionym na jedną nogę. Pod jedwabiem bluzki wyraźnie rysowały się małe, sterczące piersi. Głos Julie London płynący z głośników brzmiał trochę teatralnie. - Jest chartreuse i armagnac.

Chartreuse. Zielony napój, który piła w klubie Wharf.

- Armagnac będzie efektowny - powiedział.

- Efektowny - powtórzyła.

- Tak się u nas mówi. Czuł się idiotycznie.

- W mieście Dublin, co znane z dziewcząt pięknych jak łanie... -zanuciła.

Ale prawdę mówiąc, Paul nigdy nie widział w Dublinie dziewczyny, która wyglądałaby tak jak Lucinda Grey.

Po tygodniu się do niej wprowadził. Jej mieszkanie było małe, ale nie potrzebowali przestrzeni, która by ich dzieliła. Kiedy nie wychodzili do klubu ani na żadną imprezę, siedzieli w wieczornym słońcu na drewnianej ławce pod pobliskim pubem Windmill, naprzeciw brzoskwini, która przez cały ten idealny maj była obsypana różowym kwieciem, i sączyli piwo. Wypożyczyli kasety wideo, ciągle jeszcze nowość, w kiosku przy Lambeth Walk. Obejrzelili *Hammetta* i *Z potrzeby serca* i zaśmiewali się do łez przy *Nieoczekiwanej zamianie miejsc* i *Przyjęciu*. Grali w tenisa w Archbishop's Park na jednym z dwóch ogólnodostępnych kortów, obsadzonych wysokimi wiązami i brzożami. Pod koniec miesiąca wydali przyjęcie dla śmiesznie małej liczby osób. Dziewczęta z wydziału Lucindy miały na sobie sztuczną biżuterię i własnoręcznie uszyte stroje koktajlowe. Włosy upięły w wysokie koki, usztywnione żelem i posypane lśniącym brokatem. Zestawem stereo rządził Kid Creole.

- Ten romans nie potrwa długo - mruknął Patrick, popijając obrzydliwą mieszankę alkoholi o nazwie Ciemna Burza, którą Greg Foyle rozlewał z oszronionego shakera w małej nagrzanej kuchni. - Wątpię, czy doczekacie razem choć do końca lata.

Ale uśmiechał się, kiedy to mówił. I Paul wiedział, że ta uwaga nawet jemu samemu musiała wydać się absurdalna.

Lucinda chodziła na uczelnię, a Paul pracował. Dostał właśnie swoją drugą w życiu pracę: reportera londyńskiej gazety „Hackney Gazette”; zajmował się tematami związanymi z przestępczością i lokalnym samorządem. Poza tym współpracował dorywczo z dziennikiem „Evening Standard” i telewizyjnym programem informacyjnym „London Tonight”. Zaproponował też współpracę wydawcy „The Face” i „The Face” tę propozycję przyjęło. Świat wydawał się tętnić młodością i nadzieją, a czasem o poranku rozświetlony Londyn jakby dyszał w szalonym biegu, nie nadążając za samym sobą. Życie, oczywiście, było fascynującym filmem. Paul był w wieku, kiedy niemal każdy człowiek ma obsesję na własnym punkcie i trzeba mu to wybaczyć. Miał wrażenie, że właśnie przestał tylko statystować i otrzymał jedną z głównych ról. Nie, nie chciał zostać gwiazdą tego filmu, jego ego nie było aż tak rozdęte. Czuł jednak, że może to być przeznaczeniem Lucindy. I pragnął być wtedy przy niej.

Ze swojej przeszłości zachował tylko brata i zamiłowanie do boksu. Zaczął uprawiać ten sport jeszcze w szkole, gdzie szybko okazało się, że jest zdolny i pracowity. Trenował w St Theresa Club w północnej części Dublina, a potem dla tego klubu walczył. Lubił rygor, chyba lubił nawet ten ból. Boks wszedł mu w krew. Boksował więc nadal po przyjeździe do Londynu. Biegał po parku w Lambeth i ćwiczył w Fitzroy Lodge, klubie pod wiaduktem kolejowym na rogu Hercules Road. Dwa razy w tygodniu wieczorem i w sobotnie poranki walił w worki treningowe, skakał na skakance i ćwiczył na płóciennej macie. Klub prowadził szczupły mężczyzna, zawzięty palacz Mick. Jego biuro, w którym stało kilka tanich sprzętów z płyt wiórowych, znajdowało się na chybotliwym balkoniku nad jednym z dwóch ringów. Od czasu do czasu Mick wynurzał się z kłębow siwego dymu papierosów Benson & Hedges i prosił Seatona, żeby poćwiczył trochę z młodzikami. W ten sposób Paul utrzymywał swoje ciało w dobrej kondycji. To był wybrany przez niego kościół, jego religia, w której wiara i próżność odgrywały taką samą rolę. Nigdy nie zapominał o zadawanej tam pokucie.

W piątki zwykle kończył pracę w redakcji na Kingsland Road przed czwartą. Szedł spotkać się z bratem i wypić parę drinków z chłopakami. Ale ostatnio zaczął przychodzić na te spotkania wcześniej i wcześniej je kończyć. Rzecz jasna z powodu

Lucindy Grey. Spędzał więc trochę czasu z chłopakami, a później szukał jej w Dive Bar albo w Cambridge, albo w Spice. Nietrudno było ją znaleźć. Nawet w pełnym lokalu. Zawsze wyróżniała się w tłumie.

W piątkowe popołudnie na początku czerwca, o piątej, Paul popijał lambnisco z wielkiej, dwulitrowej butli, kupionej we włoskich delikatesach na Old Compton Street. Siedzieli na płaskim dachu budynku St Martin's przy Charing Cross Road i patrzyli na miasto, które zdawało się drżeć w rozgrzanym powietrzu, pachniało topniejącym asfaltem, sprzedawanym na ulicy jedzeniem i pyłkami letnich kwiatów i drzew. Z zachlapanego farbami magnetofonu Foyle'a dobiegał płaczliwy głos Hanka Williama. Paul siedział na niskim murku otaczającym dach, tuż nad otwartymi oknami pracowni. Od czasu do czasu ciepły wiatr przynosił stamtąd ostrą woń oleju i terpentyny. Było bardzo gorąco, na niebie świeciło jasne słońce. Wszyscy nosili ciemne okulary marki Ray Ban, to znaczy wszyscy poza Foyle'em, który miał zwyczaj mrużyć oczy i patrzeć w słońce.

- Widziałem próbę pokazu kolekcji dyplomowej Lucindy- odezwał się Lockyear, ubrany w ciuchy z Lawrence Comer. koszulę w kolorze khaki z plisowanymi kieszeniami i szerokie spodnie typu Desert Rat. Miał jasne, zaczesane do tyłu włosy i Seatonowi przypominał Franchota Tone'a w *Piąć grobów do Kairu*. - To naprawdę świetny pokaz. Górna półka, jak to mówią w kręgach związanych z modą. Nie będę zaskoczony, jeśli zajmie pierwsze miejsce.

- A ja będę zaskoczony, jeśli w ogóle zda - odparł Foyle, który wyglądał jak Kerouac, to znaczy tak jak Kerouac chciałby wyglądać, w swoich pięćsetjedynkach, kolorowej koszuli i oryginalnej fryzurze.

- Widzę, chłopcy, że totalnie różnicie się w ocenach - powiedział Seaton.

- Zapomniałem o części pisemnej - mruknął Lockyear. - Greg ma rację. Szkoda, bo ta kolekcja to naprawdę coś.

- Górna półka - powtórzył Patrick, kiwając głową i popijając lamb-rusco z plastikowego kubka. Patrzył na budynek poczty, który zdawał się drżeć w rozgrzanym, lekko zamglonym powietrzu i z tej odległości wyglądał jak krucha, nierzeczywista dekoracja filmowa.

- Zawsze coś musi pójść nie tak - stwierdził Lockyear.

- Niestety. Wielka szkoda - westchnął Foyle. - Naprawdę wielka szkoda.

- O czym wy mówicie?

Przyjaciele popatrzyli na Seatoną, a potem na siebie nawzajem. W końcu odezwał się Patrick.

- O jej pracy pisemnej. Nie napisała jej. Złożyła podanie o przesunięciu terminu i dostała zgodę, ale najprawdopodobniej i tak nie zdąży. A wtedy automatycznie obleje egzamin dyplomowy. Nie mogę uwierzyć, że nic ci nie powiedziała.

- Cóż, nie powiedziała.

- O czym jest ta praca?

- O Pandorze Gibson-Hoare - odparł Foyle.

To nazwisko coś Seatonowi mówiło. Przywołało dawne, mgliste wspomnienie o czymś, czego teraz, zmęczony upałem i zamroczony winem, nie potrafił sobie dokładnie przypomnieć. O czymś, co zobaczył albo przeczytał, tego był pewny, ale z niczym nie potrafił tego skojarzyć. W końcu się poddał.

- Kto to jest?

- Żebym to jak wiedział-mruknął Patrick.

- Pandora Gibson-Hoare była fotografem - wyjaśnił Foyle. - Robiła głównie portrety i zdjęcia mody. Jeśli chodzi o modę, należała do pionierów. Ale swoje najlepsze prace stworzyła, kiedy była jeszcze bardzo młoda. I młodo zmarła.

- Bardzo to samolubne - dorzucił Patrick. - Biorąc pod uwagę pracę dyplomową Lucindy.

- To dość tajemnicza postać - powiedział Foyle. - Mało o niej wiadomo. Słyszałem, że Lucindzie niewiele udało się o niej dowiedzieć. Nie żeby się nie starała. Po prostu niczego nie mogła znaleźć.

Seaton zeskoczył z murka na dach. Popatrzył w niebo - na smugi kondensacyjne przecinające bezkresną, błękitną pustkę - a potem znowu na grupkę młodych ludzi na dachu i zauważył, jak wyraźną i głęboką rysują się ich cienie na płaskiej powierzchni. Hank Williams śpiewał piosenkę o złamanym sercu i wielkiej tęsknocie. Dalej, w dole, Londyn dyszał ciężko w popołudniowym upale. Wystarczyło spojrzeć na to rozświetlone słońcem miasto, by poczuć gwałtowny przypływ energii i nadziei. Pandora Gibson-Hoare. Z jakiejś przyczyny nazwisko to nagle przywiodło Seatonowi na myśl samochody starego typu, z opuszczanymi dachami z usztywnionego płótna i nawoskowaną karoserią, czarną i lśniącą. Widział całą ich kawalkadę - sunęły z zapalonymi światłami aleją obsadzoną szumiącymi drzewami. Czuł zapach

tytoniu i wody kołońskiej w ich kabinach; widział ruch błotników, kiedy koła podskakiwały na wyboistej drodze.

- Szkoda by było, żeby Lucinda oblała - powiedział Lockyear.

- Wielka szkoda. - Foyle przełknął łyk wina.

-Lucinda nie obleje tego egzaminu - oświadczył Seaton, wracając do rzeczywistości. Był tego pewny. Bo on na to nie pozwoli.

Termin został przesunięty, więc miała jeszcze dwa tygodnie. Seaton uznał, że gdyby wziął tydzień zaległego urlopu, czasu byłoby aż nadto. Nie pomyślał jednak o zasadach Lucindy, ojej uczciwości. Była bardzo zażenowana, gdy wyszło na jaw, w jaki sposób dowiedział się ojej porażce. Duma kazała jej zachować to przed nim w tajemnicy. Zaskoczyło go, że tak dobrze potrafiła ukryć coś, co tak bardzo ją gnębiło. Ale nie zastanawiał się nad tym długo. Przede wszystkim chciał jej pomóc. Nie tylko, szczerze mówiąc, ze względu na nią. W końcu zdobywanie informacji i pisanie to była jego praca. Chciał jej pomóc; tak, lecz chciał też zrobić na niej wrażenie.

Zaczął rozmowę na ten temat dopiero następnego dnia, w sobotę, po tenisie. Tym razem nie poszli po grze na drinka. Zarezerwowali kort na późne popołudnie, a Windmill był w soboty zamknięty. Wrócili pieszo do domu i tam, w małym saloniku z wielkim oknem, wypili herbatę. Lucinda miała na sobie białą sukienkę do tenisa z plisowaną spódniczką; włosy przewiązała białą opaską. Gdyby ktokolwiek inny grał w tenisa w parku w takiej sukience, Seaton uznałby, że to pretensjonalne. Lucinda wyglądała w niej bardzo naturalnie.

Usiedli, żeby wypić herbatę.

-Dlaczego nie powiedziałaś mi o pisemnej części twojej pracy dyplomowej?

Z twarzy Lucindy odpłynęła krew. Zbladła tak bardzo, że nagle zauważył ze zdumieniem jasnozielony cień do powiek nałożony tuż nad linią rzęs. Nie wiedział, że w dzień także nosiła makijaż.

Zaśmiała się z przymusem.

- Nie powiedziałam, bo nie ma o czym mówić.

- Dlaczego?

Spojrzała w dół na swoje dłonie leżące na kolanach. Podniosła jedną, zsunęła opaskę z głowy, rozpuściła włosy i potrząsnęła nimi tak, że złotawe pasma opadły swobodnie wokół jej twarzy.

- Wybrałam nieodpowiedni temat - oświadczyła. Seaton zrozumiał, że ona bardzo się denerwuje, bo nagle zaczęła mówić z północnym akcentem, przeciągając lekko samogłoski. - Myślałam, że napiszę wybitną pracę o zapomnianej artystce. A uganiam się za duchem.

- Mogę ci pomóc.

Z mieszkania piętro wyżej dobiegły ich znajome dźwięki *Red, Red Wine*.

-Pomóc? W czym? W oszustwie?

Sprawiała wrażenie bardzo zaniepokojonej. Nie widział jej jeszcze w takim stanie. Wyglądała jak istota schwytna w pułapkę; w pułapkę tego pokoju, upału i jego badawczego spojrzenia.

-Pokaż mi jej zdjęcia - poprosił, głównie po to, by odwrócić jej uwagę.

Podeszła do półki nad telewizorem, który sobie kupili, zdjęła z niej cienką książkę w twardej tekturowej oprawie i mu ją podała. Potem wyszła z pokoju, a on słyszał, jak szuka w łazienkowej szafce swojego inhalatora z lekiem na astmę.

Była to monografia autorstwa Edwina Poole'a. Jego nazwisko wydrukowano czcionką, która przywodziła na myśl Grupę Bloomsbury. Pomijając stronę ze spisem treści, Poole napisał mniej więcej tysiąc dwieście słów na temat fotografii Pandory Gibson-Hoare, załączając dwadzieścia portretów, bardzo formalnych, wykonanych w sztywnym, monochromatycznym świetle pachnącym starością i kurzem, który podnosił się z pożółkłych kart książki w gorącym powietrzu słonecznego czerwcowego dnia. Znalazło się tam zdjęcie skutego łańcuchami mężczyzny stojącego na moście nad Sekwaną - rzekę i miasto można było rozpoznać po majaczącym w oddali szkielecie wieży Eiffla - i zdjęcie cyrkowego klauna. Siedział na bębnie, w tunice zdobnej w absurdalnie wielkie pompony, i sprawiał dziwnie żalosne wrażenie. Arena u jego potężnych stóp była zachlapana czymś, co wyglądało jak krew. Seaton obejrzał też zdjęcie baletnicy, stojącej za kulisami oświetlonej sceny. Żyłaste kończyny i wychudzona twarz, podkreślona przez ściągnięte do tyłu włosy, nieprzyjemnie kontrastowały z bielą jej krótkiej spódniczki. Palila papierosa osadzonego w cienkiej szylkretowej fifce. Dalej nowojorski policjant trzymał ciężki rewolwer między kciukiem a palcem wskazującym, z takim obrzydzeniem, jakby to był szcurzy ogon. U jego stóp leżało przykryte płaszczem ciało, którego płeć można było odgadnąć tylko dzięki temu, że spod ciemnego materiału wystawała drobna, biała ręka. Na kolejnej fotografii Seaton rozpoznał francuskiego boksera Georges'a Carpentiera,

któremu Pandora zrobiła zdjęcie w chwili, gdy jadł ciastko z kremem przy stoliku kawiarnianym. Jego włosy lśniły od brylantyny, a pod okiem ciągnął się długi, krzywy szew. Kilka zdjęć przedstawiało artystkę kabaretową z grubym pytonem, a jedno magika, ukazującego w szerokim uśmiechu zepsute zęby. Między jego dłońmi szklana kula zdawała się wisieć w powietrzu nad karcianym stolikiem. Jakiś mężczyzna pozował na pokładzie liniowca. Ujęcie nie ukazywało nazwy statku, Seaton jednak rozpoznał w portretowanym człowieku Aleistera Crowleya, angielskiego okultystę. Uśmiechał się do kogoś. Może do obiektywu. Na jeszcze innym zdjęciu grupka kobiet patrzyła, jak krawcowe drapują na manekinie powłóczystą suknię.

W fotografiach Pandory Gibson-Hoare jest jakaś siła, pomyślał Seaton. Wywodziła się ona głównie z ludzkiej fascynacji śmiercią i przemijaniem, a nie z techniki wykonania. Te zdjęcia były dokumentami świata, który już nie istniał. To je łączyło. Ludzie na nich przedstawieni odeszli na zawsze. Tego jednak świata nikt nie wspominałby z nostalgią czy żalem. Był zbyt smutny i groteskowy. Może na tym właśnie polegała jej sztuka, jej talent. Udało jej się wdrzeć nie tylko za zasłonę blichtru i piękna, ale i sentymentalnego ciepła, które emanuje z tak wielu starych fotografii. Świat Pandory Gibson-Hoare nie był sentymentalny ani ciepły, lecz surowy i niepokojący. To nie były barwione sepią przyjemne pejzaże. W tym świecie Paul Seaton nie chciałby żyć. Nie chciałby go nawet odwiedzić. Zamknął cieką książkę, zastanawiając się, co tak zafascynowało Lucindę w pracach tej kobiety.

Jeszcze raz przeczytał monografię. Edwin Poole miał zaskakująco niewiele do powiedzenia. Z jego tekstu można było najwyżej wyciągnąć wniosek, że Pandora Gibson-Hoare osiągnęła na polu fotografii techniczną doskonałość, czego dokonało zaledwie kilka kobiet w owych czasach. I że w swojej twórczości potrafiła powściągnąć emocje, co także udawało się niewielu kobietom, które parały się wówczas fotografią. Seaton miał wrażenie, że w ten sposób autor książki wyraża raczej swoje uprzedzenia, niewiele natomiast mówi o samej artystce. Jeśli Gibson-Hoare zaliczała się do artystów, a Seaton nie był tego pewny. Fotografie Julii Margaret Cameron wyprzedzały te zdjęcia o ponad pięćdziesiąt lat i technicznie w niczym im nie ustępowały. Natomiast co do tryumfu narracji nad emocjami, wystarczyło przypomnieć sobie wojenne zdjęcia innej kobiety, Lee Miller. Seaton kolejny raz czytał spis treści, kiedy do pokoju wróciła Lucinda. Przebrała się i niosła dwa kubki z herbatą. Monografia Poole'a została opublikowana w 1937 roku.

- To jej kuzyn - powiedziała Lucinda i usiadła. - Było między nimi tylko dziesięć lat różnicy. On nie miał żadnych artystycznych aspiracji. Już jako młody człowiek pełnił jakąś ważną funkcję w Lloyds of London i samobójstwo kuzynki mogło złać mu karierę. - Upiła łyk. - Wydał więc to, na własny koszt. Wydrukowano tylko kilkaset egzemplarzy.

- To zupełnie bezwartościowe.

- Przeciwnie, bardzo wartościowe. Książkę wydrukowała jedna z drukarni związanych z Bloomsbury, na prasie Lyttona Stracheya.

- Chciałem powiedzieć, że jest to bezwartościowe jako źródło.

Lucinda kiwnęła głową. Oboje przez chwilę w milczeniu pili herbatę, mocną i słodką. Tak jak akcent Lucindy, jej herbata miała północny charakter.

- Znakomita większość jej najlepszych prac znajduje się w Muzeum Brytyjskim.

- Więc naprawdę tworzyła tak dobre rzeczy?

- O tak. Doskonale. Przez jakiś czas.

- Co miałaś nadzieję znaleźć? - Wiedział, że używając tego sformułowania, zamyka usiłowania Lucindy w czasie przeszłym. Ona także musiała to zauważyć, bo przez chwilę nie odpowiadała.

- Więcej niż powszechnie wiadomo. Pandora z wielkim zaangażowaniem uczyła się fotografii, którą traktowała jako rzemiosło i jako naukę, by zaspokoić jakieś pragnienie swojego serca, jakąś wielką artystyczną potrzebę. Z całą pewnością nie robiła tego dla zysku, jaki mogła jej przynieść ta praca, ponieważ była bardzo dobrze sytuowana. Nie robiła tego także dla statusu, bo w tamtych czasach kobiety zajmujące się fotografią uważano najwyżej za zdolne amatorki. Ona była artystką. A potem przestała tworzyć.

- Więc chciałaś dowiedzieć się, dlaczego przestała? Chciałaś rozwiązać tajemnicę? Taki miał być przewodni motyw twojej pracy dyplomowej?

- Nie, Paul. Myślę, że gdzieś jeszcze jest jakieś jej portfolio, że są jeszcze jakieś jej ważne prace, które czekają na odkrycie. Byłam bardzo głupia, sądząc, że to ja je odkryję.

Seaton położył książkę Poole'a na podłodze, ujął dłoń Lucindy i ścisnął ją lekko. Z ulgą poczuł, że odwzajemniła uścisk.

- Czy to znaczy, że pozwolisz mi sobie pomóc?

- Pomóc w oszustwie, to masz na myśli?

- Jeśli tak to nazywasz.
- Tak - odparła Lucinda. - To chyba właśnie to znaczy.

Później Seaton poszedł do kiosku na Lambeth Walk i wypożyczył *Amerykańskiego wilkołaka w Londynie*. Przewinęli taśmę i trzy razy oglądali scenę, w której dwaj Amerykanie szukają schronienia w gospodzie Pod Zarzniętą Owcą, za każdym razem zaśmiewając się do rozpuku.

- Założę się, że podobała ci się Jenny Agutter- powiedziała Lucinda.

- Och, daj spokój - odparł Seaton. - Nie ma chyba faceta, któremu Jenny Agutter by się nie podobała.

Potem poszli do Kennington i spotkali się ze Stuartem Lockyearem i Patrickiem w pubie Black Prince, gdzie w weekendowe wieczory można było wspólnie pośpiewać. Patrick odśpiewał *Blueberry HM*, wymyślając słowa, ponieważ prawdziwych nie znał. Pod koniec zaprezentował brawurową wokalizę. Paul śmiał się do łez. W jednej ręce trzymał szklanę guinnessa, drugą osłaniał oczy. Tylko od czasu do czasu ośmielał się spojrzeć przez szparę między palcami. Patrick skończył śpiewać przy owacji na stojąco, a kiedy pub zamknięto, Paul i Lucinda przy świetle księżycy ruszyli pieszo do domu. Chodniki były jeszcze nagrzane po upalnym dniu, niebo nieco jaśniejsze tam, gdzie księżyc odbijał się w rzece, a oni oboje czuli się bardzo szczęśliwi. Oto udało nam się przetrwać pierwszą kłótnię, pomyślał Seaton, i to w taki sposób, że właściwie nawet nie zaczęliśmy się kłócić.

W niedzielę Seaton poprosił Lucinę, by dała mu swoje notatki, cały notes, wszystko, czego zdążyła się dowiedzieć o Gibson-Hoare. Nie było tego wiele. Fotokopia nekrologu z „Timesa” i zdjęcia ksero kilku fotografii mody znajdujących się w Muzeum Brytyjskim. Stary egzemplarz „Vogue'a”, ze zdjęciami z sesji, której tematem były, jak mogło się zdawać, stroje na wycieczki samochodowe i pikniki. Buciki

na guziczki i płaskie kapelusze uzupełniały ubiory z tweedu i gabardyny. Zdjęcia te byłyby jeszcze lepsze w kolorze, ale kolor w owych czasach oznaczał ręczne barwienie odbitek. Temat innej sesji, tym razem dla „Harper's Bazaar”: stroje kąpielowe. Piękni ludzie na leżakach i trampolinie, na tle lśniącego basenu. Te zdjęcia, sądząc z intensywności światła, zrobiono najprawdopodobniej na Riwierze. Ukazywały pełnię technicznych umiejętności Gibson-Hoare, która niczym rzeźbiarka oddawała kontrasty.

Wreszcie było tam także zdjęcie samej Gibson-Hoare. Ciemne włosy, splecione w warkocze owinięte wokół głowy, a na niej mały diadem. Na szyi gruby sznur pereł. Odślaniająca ramiona suknia lśniła cekinami, które mieniły się i połyskiwały w świetle żyrandola. Była to fotografia grupowa zrobiona przy stole w Cafe Royal, której monogram zdobił kotarę: Pandora Gibson-Hoare i pięciu wieczorowo ubranych mężczyzn. Seaton rozpoznał dwóch. Jednym z nich był znowu Crowley, znowu uśmiechnięty, z wyrazem oczu, który dziwnie nie pasował do jego pospolitej twarzy, drugim Oswald Mosley, młodszy i szczuplejszy na twarzy niż wtedy, kiedy stał się już znany, bez wątplenia jednak rozpoznawalny.

Seaton odwrócił fotografię. Nazwiska osób ze zdjęcia były wypisane ołówkiem. Lucinda, pochylona nad maszyną do szycia, przegryzała właśnie nitkę. Przekrzywiła przy tym głowę w sposób, który zawsze wydawał mu się zabawny. Wyglądała jak kot, który się czymś zmartwił.

- Kto to jest Wheatley?

- Autor thrillerów. Teraz już nie drukuje się jego książek. Kiwnął głową.

- A Fischer?

- Jakiś przemysłowiec. Chyba handlował bronią. Zbił majątek po Wielkiej Wojnie na patentach na broń. Nie mam pojęcia, kim jest ten piąty facet. Ale wygląda na to, że Pandora obracała się w kręgach bogaczy.

Seaton kiwnął głową, a potem przeniósł się z sofy na krzesło przy oknie, żeby obejrzeć zdjęcie w lepszym świetle. Oczy wszystkich mężczyzn zdawały się patrzeć z takim samym wyrazem leniwej agresji, jaki można zobaczyć w oczach wielkich kotów, kiedy drzemią, tylko na wpół uśpione, między jednym polowaniem a drugim. Jakby nigdy tak naprawdę nie zasypiały. Był w tym jakiś przerażający bezruch, a jednocześnie napięcie gotowego do skoku drapieżnika, ledwie przysłonięte maską

towarzyskiej oglądy. Jedyne Crowley wyglądał inaczej - po prostu, zdaniem Seaton - na obłąkanego.

Nikt na tym zdjęciu nie uśmiechał się szczerze. To przynajmniej łączyło Pandorę Gibson-Hoare z ludźmi, z którymi siedziała przy stoliku. Ale kiedy Seaton przyjrzał się jej dokładniej, uznał, że właściwie w ogóle nie wydawała się jedną z nich. Mimo eleganckiego stroju i biżuterii wyglądała inaczej. Po pierwsze, była piękna. A po drugie, wyraźnie czegoś się bała.

Zaczął w poniedziałkowy poranek, zaraz po sprawdzeniu poczty, która czekała na jego biurku, i telefonie do Scotland Yardu z pytaniem, czy w rejonie Hackney popełniono w czasie weekendu jakieś przestępstwa. Jasne, kilka, ale żadne nie było warte tego, by je opisać. Gazeta wychodziła dwa razy w tygodniu, i właśnie w poniedziałki, ale ten numer został już prawie zamknięty, brakowało tylko czegoś mocnego na pierwszą stronę. Ponura relacja z procesu o zabójstwo z zemsty była już gotowa, a jeden z chłopców pracował jeszcze nad historią dwulatka, który wpadł do kanału i został uratowany. O wpół do jedenastej zadzwonił właściciel sklepu ze zwierzętami z Hackney Downs i opowiedział o małpie, która poprzedniego dnia uciekła z klatki, zdemolowała sklep i wypuściła na wolność większość innych zwierząt.

- Zajmiemy się futrzaną furją - oświadczył szef działu o dziesiątej czterdzieści pięć, wtykając głowę w drzwi biura, nieprzewidywalny jak zwykle. W piątek by się na to nie zdecydował, uznał jednak zapewne, że w poniedziałek ujdzie mu to na sucho. Z pewnością była to miła odmiana po historiach dyskotekowych bójek na noże, podpaleń i samobójstw w blokach z wielkiej płyty. To nie był temat dla Seaton, poszedł więc do działu fotografii, by sprawdzić, czy nie mają czegoś więcej o Pandorze Gibson-Hoare.

W dziale fotografii, na czwartym piętrze, pracowało dwóch mężczyzn. Młodszemu z nich, Mike'owi Whitehallowi, przydzielono właśnie zadanie utrwalenia zniszczeń poczynionych przez futrzaną furję w sklepie ze zwierzętami. Miał to być wspaniały cykl w czerni i bieli. Seaton pomyślał, że małpy są pokryte raczej sierścią niż futrem, ale czytelnicy zapewne nie będą się wdawać w szczegóły. Ucieszył się, że Mike wyszedł, bo jako wnikliwy urodzony reporter na pewno chciałby wiedzieć, dlaczego on zadaje te, a nie inne pytania. Eddiemu Harringtonowi, zobojeźniałemu

weteranowi zawodu na przedprożu emerytury, będzie to obojętne. Seaton liczył też na to, że prawdopodobnie Eddie będzie znał więcej odpowiedzi na jego pytania.

Światło nad drzwiami ciemni było wyłączone, kiedy podszedł do uchylonych drzwi u szczytu schodów. Dobrze. Oznaczało to, że Eddie teraz niczego nie wywołuje. Ruszył więc wąskim korytarzem i po chwili znalazł głównego fotografa, który czyścił obiektyw, siedząc na stołku przed otwartą szafką, pełną sprzętu fotograficznego i butelek z różnymi chemikaliami. Eddie spojrzał na gościa znad okularów i kiwnął głową, ale pracował dalej. W słabym, wpadającym z korytarza świetle, drobiny kurzu tańczyły wokół żółtej ściereczki.

Seaton wiedział, że Eddie go lubi, bo do pracy przychodził w garniturze, był uprzejmy i okazywał szacunek starszym. Tak został wychowany.

Wśród innych młodych reporterów panował punkowy luz, który przejawiał się w upodobaniu do moherowych swetrów, sarkazmie i bezczelności. Wystukując na przestarzałych maszynach do pisania relacje ze ślubów i pogrzebów, ci młodzi ludzie uważali się za pionierów nowej fali dziennikarstwa. Ciągłe grozili strajkami, mrużąc coś niejasno o parytecie płacowym i demarkacji. Zarabiali kiepsko, a w każdym razie pod tym względem daleko im było do drukarzy pracujących w suterenie. Ale to nie była wina starych pracowników takich jak Eddie, więc Seaton zawsze starał się porządnie ubierać i nienagannie zachowywać. Wiedział, że Eddie go za to lubi.

- Więc mówisz, że zmarła w zapomnieniu?

- W ubóstwie. Co, jak sądzę, oznacza dokładnie to samo. Dziwne, bo miała wielu bogatych krewnych, którzy mogli jej pomóc. A jednak kiedy odebrała sobie życie, była bez grosza. I nie zrobiła tego w swoim domu, więc nie znam jej adresu.

Eddie zastanawiał się przez chwilę.

- Dlaczego ten adres jest taki ważny?

- Cóż, szczerze mówiąc, szanse są niewielkie, ale chcę odszukać wszelkie dokumenty, jakie mogły po niej zostać. Jej ostatni adres bardzo by mi pomógł je znaleźć, jeśli w ogóle jeszcze istnieją.

Wyraz twarzy Eddiego mówił wyraźnie, że szanse są rzeczywiście bardzo małe. Seaton pomyślał też, że w tej chwili Eddie czyści do perfekcji najlepiej wypolerowany obiektyw w historii tej gazety.

- Dam ci listę - powiedział Eddie. - Gildie, stowarzyszenia, organizacje, do których zwykle należą fotograficy. - Odłożył w końcu żółtą szmatkę i zaczął poklepywać się po kieszeniach, szukając długopisu.

- Ktoś robił jej odbitki?

- Nie wiem.

- Portrecistom często odbitki robi ktoś inny. To sztuka sama w sobie, wykraczająca poza fotograficzne rzemiosło. Korzystanie z takich usług oznaczałoby rachunki, a na rachunkach zwykle znajdują się adresy. Bardzo możliwe, że miała otwarte konto w jakimś laboratorium. A jeśli tak, to jego właściciel powinien znać jej adres.

- Zadzwoń do mojej dziewczyny i zapytam. Eddie kiwnął głową.

- Przygotuję ci w tym czasie listę kontaktów.

Lucinda była w domu, szła w pośpiechu, przygotowując swoją dyplomową kolekcję. Słońce świeciło nieubłaganie, jak niemal co dnia tego lata, więc trawa przed ich kamienicą zżółkła. Lucinda pochylała się nad swoimi szkicami, materiałami, maszyną do szycia. Wyobraził ją sobie w świetle wpadającym do pokoju przez muślinowe firanki, którymi udekorowała okna. I poczuł, jak zalewa go fala miłości, gdy usłyszał w słuchawce telefonu jej głos, jej trochę oficjalny, północny akcent. Ona żyła dla tego cholernego pokazu. Kochał ją. Tak, kochał. I zrobi dla niej wszystko, co w jego mocy. Mówił przyciszonym głosem, bo w pokoju pracowało wielu innych reporterów; stukali w klawisze maszyn do pisania, palili papierosy i udawali, że nie słuchają niczego, czego warto słuchać.

- Żadnego laboratorium - powiedziała Lucinda.

- Cholera.

- Wszystkie odbitki robiła sama. Często realizowała prywatne zlecenia i zastrzeżenie, by zdjęcia nigdy nie trafiały do osób trzecich, było zapewne jednym z warunków, by te zlecenia dostać.

- Skąd to wiesz, Lucinda?

W Lambeth przez chwilę panowała cisza. W Hackney rozbrzmiewał stukot maszyn do pisania, krzesła skrzypiały po podłodze.

- Co?

- Skąd to wiesz?

- To obiegowa opinia. Niektóre z jej prac były pewnie bardzo odważne, biorąc pod uwagę standardy w owych czasach. A portretowała dość znane osoby. Dlaczego pytasz?

- Jak to możliwe, że tak dużo wiesz o tej kobiecie? A jednocześnie tak mało? - W Lambeth znowu zapadła cisza. W Hackney także. -Przepraszam - powiedział Seaton.

Odłożył słuchawkę i spojrzął na korkową tablicę wiszącą na ścianie obok biurka w nadziei, że coś go zainspiruje. Do tablicy przyszpilonych było mnóstwo wycin-ków prasowych i karteczek, wśród nich kserokopia zdjęcia Henry'ego Coopera na jakimś charytatywnym przyjęciu, siedzącego obok kobiety w perłowej sukni. Obok wisiała ulotka organizacji zajmującej się ratowaniem ginących gatunków zwierząt, fotografia księżnej Diany w sukience z bufiastymi rękawami, przy łóżku pacjenta szpitala w Homerton, pomalowanych fantazyjnie dziecięcych buzi, notatka o zbiórce na rzecz straży pożarnej, o inwazji mrówek faraona w posiadłości Erica Claptona. Innymi słowy, żadnej inspiracji.

Wrócił do Eddiego, dostał listę i zadzwonił pod podane numery. I odkrył, że Pandora Gibson-Hoare należała do kilku fotograficznych stowarzyszeń i związków. Ale wszyscy, którzy uprzejmie zgodzili się to sprawdzić, podawali jako jej ostatni adres dom przy Cheyne Walk, gdzie mieszkała wtedy, gdy zrobiono zdjęcie w Cafe Royal. Seaton znalazł, a następnie wystukał numer do Chelsea Arts Club.

-Niestety nie przechowujemy dokumentów tak długo - powiedziała starsza kobieta po drugiej stronie. - Ale pamiętam ją jak przez mgłę. Pamiętam, że mieszkała w Chelsea. To był bardzo elegancki adres, przy Cheyne Walk.

Seaton spojrzął na zegarek: dwunasta. Poświęcił tej sprawie na razie tylko dwie godziny, czyli bardzo niewiele. Ale już ogarnęło go złe przecucie. Był zniechęcony. Według nekrologu, kiedy odnaleziono jej ciało, nie miała stałego adresu zamieszkania. Oznaczało to, że żyła w nędzy. Londyn lat trzydziestych był miejscem ponurym i okrutnym dla bezdomnych. By znaleźć tam dach nad głową, należało regularnie opłacać czynsz, a duży procent społeczeństwa żył w ubóstwie. I nie była to wymuszona skromność zubożałej szlachty, lecz beznadziejna, pogłębiająca się i zataczająca coraz większe kręgi bieda i rozpacz Wielkiego Kryzysu. Niewielu, nawet współczującym ubogim i solidaryzującym się z nim, stać było wówczas na dobroczynność. Właściwą pomoc społeczną mogło zapewnić tylko bogate i stabilne państwo. Co ważniejsze, tylko takie państwo mogło wyposażyć swoich obywateli w do-

kumenty, za pomocą których dałoby się ich odszukać i prześledzić ich losy. A to stało się dopiero w roku 1948, jedenaście lat po śmierci kobiety, która nie zostawiła po sobie chyba żadnych śladów.

Wstał i zaproponował, że zrobi wszystkim herbatę. W kuchni wpadł na Mike'a z działu fotografii.

- Jak tam futrzana furia?

- Amok. Chaos. Entropia.

Seaton kiwnął głową, myjąc filiżanki. Mike miał zasób słów większy niż którykolwiek z dziennikarzy pracujących w tej gazecie. Jednak pisząc do brukowca, trzeba używać prostego języka, a poza tym Mike był fotografem, więc jego talent marnował się podwójnie.

-Może pójdziemy na lunch do Arthur's Cafe? Tak gdzieś za godzinę?

-Dlaczego nie? - odparł Seaton.

Arthur's Cafe znajdowała się tuż przed małą piekarnią na Kingsland Road, idąc w kierunku Dalston Junction. Seaton uważał, że zaraz po Favourite obok Camden Town Station była drugą najlepszą knajpą poza Dublinem. Może wybór mięs z grilla dostarczy mu jakiejś inspiracji.

Znaleziono ją w rzece, na kamieniach w pobliżu Shadwell Stair, niedaleko pubu Prospect of Whitby. Biorąc pod uwagę sferę, z jakiej pochodziła, pewnie za życia nigdy nie była tak blisko miejsca tego rodzaju. Jak mogła stoczyć się tak nisko, by umrzeć ,w nędzy? Czy żaden z jej wysoko postawionych przyjaciół nie próbował jej pomóc? A może popadła w obłęd? Piętno choroby psychicznej było jedynym wyjaśnieniem tej sytuacji, jakie przychodziło Seatonowi do głowy. Jeszcze raz spojrzął na nekrolog, informujący oschle, że zginęła od rany, którą sama sobie zadała. Nawet w „Timesie” w roku 1937 było to dziwne określenie śmierci przez utonięcie.

Zadzwoił do Boba Halliwella, sierżanta z komisariatu w Bethnal Green. Znajomość tę Seaton szczególnie pielęgnował, choć słowo „pielęgnacja” nie bardzo pasowało do Halliwella. Bob powiedział mu kiedyś, że w wolnym czasie jeździ na ryby. Seaton był pewny, że należy on do tych wędkarzy, którzy traktują pstrągi dynamitem.

Halliwell wysłuchał go cierpliwie. A potem powiedział:

- Czterdzieści sześć lat. Mick, nawet według twoich standardów to dość zimny trop. Halliwell nazywał go Mick, ponieważ Seaton pochodził z Dublina. Co gorsza

policjant uważał, że to naprawdę zabawne. -Wtedy ten odcinek rzeki należał do Whitechapel.

- Ale po połączeniu tych terenów musicie mieć przecież dokumenty. Na pewno wszystko zostało zarchiwizowane, a potem trafiło do komputera.

Halliwell prychnął.

- Teoretycznie.

- No, Bob - zachęcił go Seaton. - To chyba warte drinka.

- Więcej niż jednego - mruknął Halliwell, a potem dodał z ociąganiem: - Powtórz jeszcze raz to nazwisko. Oddzwonię, jeśli uda mi się czegoś dowiedzieć.

Popatrzył przez okno - Mike Whitehall już czekał, by razem z nim ruszyć do Arthur's Café. Halliwell po kilkunastu minutach wreszcie od-dzwonił.

-Ona nie utonęła, Mick. Poderznęła sobie gardło, a potem skoczyła do rzeki i wykrwawiła się na śmierć.

Za oknem, na parkingu, Mike poprawił krawat i przeczesał palcami włosy, przeglądając się w bocznym lusterku granady należącej do redaktora naczelnego. Mike - wysoki, szczupły i elegancki w swoim czarnym garniturze od Robot z Covent Garden i półbutach na skórzanej podeszwie tej samej marki.

- Więc to było samobójstwo?

- Na to wygląda.

- Coś jeszcze?

- Tak. Niedożywienie. Musiała się głodzić.

Na parkingu Mike zdjął z paska pager i zaczął się nim bawić.

-Była zrujnowana - powiedział Seaton.

-Nie, nie była. Ciągłe mamy tu jej rzeczy. Leżą teraz przede mną: kolczyki z brylantami, pierścionek wysadzany szmaragdami i rubinami i zegarek od Cartiera. Bez problemu dało się to wtedy sprzedać albo zastawić. Teraz zresztą także. Nie była kandydatką do pomocy charytatywnej, jeśli chcesz znać moje zdanie. Głodziła się z własnego wyboru.

-Jak to możliwe, że jej rzeczy są ciągle na policji?

-Z dołączonej do nich notatki wynika, że jej kuzyn miał je odebrać.

- Ale nie odebrał?

- Jak dotąd, nie - roześmiał się Halliwell. - Nadal na niego czekają,

- Więc ona sama poderznęła sobie gardło?

- Tak stwierdził chirurg.
- Jestem twoim dłużnikiem, Bob - powiedział Seaton.
- Chivas Regal - odparł Halliwell. - Ale żadnych półlitrówek - dodał i odłożył słuchawkę.

12

W Arthur's Cafe Seaton siedział naprzeciw Mike'a. Właściciel restauracji krążył między stolikami, mówiąc klientom, co będą za chwilę jedli. Knajpka miała menu wydrukowane brązową kursywą na kartkach grubego żółtego papieru wsuniętych w koszulki z przezroczystej folii. Jeśli jednak ktoś bywał tu dostatecznie często, Arthur, w nieskazitelnie białej koszuli i wiązonym w pasie długim fartuchu, sam wybierał dla niego danie. W dusznym, beżowym wnętrzu restauracji Mike jadł właśnie mięsa z rusztu wybrane przez Arthura, podczas gdy Seaton nawet nie patrzył na swoją lazanę. Pociągnął łyk coli ze szklanki. W prostokątnej i dość wąskiej sali. Pod ścianami stały stoliki z ławami po obu stronach; pośrodku było przejście na całej długości restauracji, więc siedziało się tam albo twarzą do kuchni w głębi, albo do drzwi i do Kingsland Road. Seaton patrzył na samochody. Nie poruszały się. Opary oleju napędowego ze stojących w korku autobusów i ciężarówek wisiały nad chodnikiem w rozgrzanym słońcem powietrzu. Czuł, jak uda kleją mu się do obitego skórą siedzenia przez cienkie wełniane spodnie. Dopił colę.

Arthur minął ich stół, stukając palcem w blat z formiki. Zabrał pustą szklankę Seaton'a i wytarł wilgotne kółko, które po niej zostało, po czym mrugnął do niego i odszedł. Zawsze nazywał ich swoimi Dżentelmenami z Prasy. Lubił ich na tyle, by pod koniec miesiąca żywić ich na kredyt. Zaskoczył ich, kiedy zaproponował to nagle, ni stąd, ni zowąd, przed kilkoma miesiącami, choć wcale o to nie prosili. Seaton pochodził z Dublina, a Mike z miasteczka Formby w Merseyside. Ale Londyn był w pewnym sensie konglomeratem wielu wiosek, a ta jego część okazała się dla nich najbardziej gościnna.

Arthur byłby doskonałym modelem dla Pandory, pomyślał Seaton. Jego twarz, jakby wyrzeźbiona w mahoniu, twarz człowieka z wielkiego miasta, wydawała się nietknięta zębem czasu. Łatwo by go sobie wyobrazić na rowerze, z kominiarskimi szczotkami przewieszonymi przez ramię, czarnego od sadzy, jak podskakuje na wybojach XIX-wiecznych ulic. Albo z wielką tekturową reklamą gazety zawieszoną na szyi, obwieszczającą osłupiałemu światu katastrofę „Titanica”. Przede wszystkim jednak miał absolutnie nieprzeniknioną twarz magika. Można więc było wyobrazić go sobie w roli hipnotyzera, siłą wzroku zmuszającego do lewitacji jakąś śliczną, sztywno wyprostowaną ochotniczkę w staroświeckiej sukience i bucikach zapinanych na guziczki. To już zdecydowanie mieściłoby się w kręgu zainteresowań Pandory, prawda? Coś niepokojącego, niezwykłego; zagadkowa wizja zmuszająca do zadawania sobie pytań, na które nie ma odpowiedzi. Zdjęcia z monografii kuzyna Pandory uświadomiły mu, że jej sztuka wykracza daleko poza to, czym była tradycyjna fotografia.

- Nie masz zamiaru choćby spróbować tej lazanii?

Seaton wziął widelec, włożył do ust kawałek ciasta z sosem i zaczął żuć. Nie mógł przestać myśleć o Pandorze. Przed oczami ciągle miał jej nagie ciało, białe i ozdobione biżuterią; jej delikatną skórę, pomarszczoną i pokrytą plamami z wody, która w owym czasie była toksycznym ściekiem. Jezu, musiała chyba naprawdę samej siebie nienawidzić, żeby skończyć ze sobą w taki sposób. Zegarek od Cartiera zatrzymał się dokładnie w chwili zetknięcia z wodą, dając wskazówkę zupełnie bezużyteczną, skoro zabójca był jednocześnie ofiarą. Czas zgonu nie miał wielkiego znaczenia. Seaton zastanawiał się, czy by nie zaprosić Boba Halliwella na tę butelkę szkockiej i sprawdzić, czy nie dałoby się go przekonać, by pozwolił mu obejrzeć rzeczy Pandory. Dotknąć ich i w ten sposób dotknąć też jej samej. Ale czy byłoby to czymś więcej niż tylko aktem perwersyjnej ciekawości?

-Wiesz, to jedna z tych obiegowych opinii, które biorą w łeb, ile razy siadam z tobą przy jednym stole - odezwał się Mike z daleka, to znaczy z drugiej strony stolika.

-Co takiego? - spytał Seaton.

Zauważył, że Mike wymiół ze swojego talerza wszystko poza małym śladem zółtka. Radio w restauracyjnej kuchni, nastawione jak zawsze na stację Capital,

nadawało właśnie piosenkę zespołu ABC; Martin Fry śpiewał swój hit *The Look of Love*.

-Mówię o stereotypowym Irlandczyku, złotoustym celtyckim gawędziarzu. Wiesz, te nie zawsze rozumiały aforyzmy, które wplatasz w każdą wypowiedź. Ale muszę przyznać, że zawsze chętnie cię słucham. Chyba w ogóle najbardziej lubię monologi.

Seaton uśmiechnął się lekko.

-Przepraszam.

-Postaw mi jeszcze jedną colę. I powiedz, o czym tak rozmyślasz. -Mike spojrzął na zegarek.

Rzecz w tym, że Seaton przez chwilę naprawdę tam był: na kamienistym brzegu przy Shadwell Stair. Widział ciało owinięte brezentem, w szarej, brudnej wodzie. Widział płynące powoli barki, ciągnięte przez potężne holowniki o wysokich kominach, wydmuchujących kłęby dymu w niskie listopadowe niebo. Czuł zapach rzeki i wilgotnych gabardynowych płaszczy, które mieli na sobie policjanci, oraz kwaśny odór ryb, sadzy i siarki. Padał deszcz. Tego ranka, kiedy odnaleziono ciało Pandory, w Londynie padał deszcz.

Z wysiłkiem wrócił do rzeczywistości. Do knajpki Arthura. Do upału, do tu i teraz.

-Dużo masz pracy po południu? Mike skrzywił się lekko.

-Prawdę mówiąc, ta futrzana furia dała mi w kość, więc dziś już sobie odpuszczę. Kurtyna w dół. Mam ochotę się upić. Trzeba wiedzieć, kiedy się wycofać, najlepiej u szczytu możliwości. Wiesz, mówię o tej wściekłej małpie. Bądźmy szczerzy, dzisiaj lepiej już nie będzie.

- Mogło być gorzej. Mogłeś robić materiał o zbiorce pieniędzy na jakiś cel charytatywny.

- Hm, wszystko zależy od tego, kto by je zbierał - odparł Mike. -W zeszły wtorek w Anchor and Hope była to ubiegłoroczna Miss Mokrego Podkoszulka.

Przez chwilę obaj milczeli. Seaton znowu wziął do ręki widelec, ale zaraz odłożył go i odsunął od siebie pełny talerz.

- Więc jaki masz plan na popołudnie?

- Najnudniejszy pod słońcem. Zabieram aparaty do serwisu. Co oznacza, że będę musiał pojechać do cholernego London Bridge. - Obejrzał się przez ramię. - W tym cholernym ścisku. W tym cholernym upale.

- A nie ma serwisu gdzieś bliżej?

- Na pewno jest. Ale Eddie upiera się, by zawsze korzystać z usług tej firmy, do której woził aparaty jeszcze na przełomie stuleci.

- Tradycja - mruknął Seaton. - Wstał, szukając w kieszeni spodni pieniędzy, żeby zapłacić za lunch.

- Chodzi o coś więcej - powiedział Mike. - To zawsze był znany serwis, mieli tam najlepszych fachowców, którzy obsługiwali najlepszych fotografów. Fantastycznie, jeśli masz hasselblada albo leicę, a twoje fotki publikują w „National Geographic”, ale zupełnie bez sensu, jeśli małoobrazkowym pentaksem robisz zdjęcia Sydowi Jamesowi, kiedy otwiera jakieś ogrodowe przyjęcie. Albo oszalałej małpie w sklepie zoologicznym.

Seaton usiadł. Wyjął z kieszeni notatnik, położył go na stole i podał Mike'owi długopis.

- Zapisz mi tu nazwę tego serwisu, dobrze? Mike wziął długopis.

- Ciężko ci będzie to znaleźć. To takie zielone, niczym niewyróżniające się drzwi, nieoznaczone żadnym numerem. Sam budynek, z czerwonej cegły, jest już trochę zniszczony i wygląda na bardzo mały, bo w latach sześćdziesiątych wybudowali po obu jego stronach te potężne monstra. Pracują tam niemal wyłącznie gnomy ze Szwajcarii i dziarscy szkoccy staruszkowie. Średnia wieku oscyluje w okolicach dzie-więćdziesiątki. Eddie pewnie czuje się przy personelu Vogel & Breene jak bez-troski młodzieniec - roześmiał się Mike. - A tak w ogóle, co ty chcesz tam zawieźć, Paul? Kodaka z supermarketu?

- Nie chodzi o mnie, ale o moją dziewczynę. Lucinę. Lucinda miała dobry aparat. I Mike o tym wiedział.

- Oby był na gwarancji - powiedział, zapisując nazwę zakładu w notatniku Seato-na. - Ci ludzie może i są staroświeccy, ale na pewno nie tani. Zedrą z niej całe stypendium za samo zdjęcie klapki z obiektywu.

Seaton kiwnął głową i schował notatnik i długopis. Pandora Gibson--Hoare uży-wała aparatów marki Leica. Nie żyła w nędzy, więc może pod koniec życia wciąż je miała. Przestała przyjmować zlecenia, nie publikowała swoich zdjęć, ale może nadal

je robiła, korzystając ze swoich aparatów? Albo po prostu trzymała je gdzieś w domu? Czy od czasu do czasu nie oddawałaby ich do przeglądu, choćby tylko z przyzwyczajenia? I czy firma, która to dla niej robiła, nie powinna mieć jej aktualnego adresu?

- Dzięki - powiedział do Mike'a w Arthur's Café, w to upalne czerwcowe popołudnie. Czuł strużkę potu spływającą mu wzdłuż kręgosłupa. Spojrzał na talerze. - Dzisiaj ja płacę.

Zadzwoił pod podany numer, jak tylko wrócił do swojego biurka w redakcji, i zgodnie z radą Mike'a poprosił do telefonu Młodszy Pana Breene'a.

- Młodszy Pan Breene ma jakieś sto siedemdziesiąt lat, ale jest dość miły. Nie używa imienia, rzecz jasna. Tam nikt nie używa imienia. Jeśli jednak będziesz się zachowywał jak poważny klient i zrobisz na nim wrażenie starszego niż jesteś, może postara się naprawić aparat Lucindy przed upływem roku.

Teraz Seaton miał cały pokój dla siebie. Pozostali dziennikarze zwykle chodzili na lunch do pobliskiego pubu, gdzie wypijali po szklance piwa, słuchali The Clash i grali w bilard, czekając na tosty i zapiekanki z szynką i serem.

W London Bridge Młodszy Pan Breene został wezwany do telefonu. W słuchawce najpierw rozległ się suchy kaszel, a potem starczy głos mówiący z lekkim akcentem z Aberdeenshire.

- W czym mogę pomóc?

- Piszę właśnie artykuł o pionierce fotografii, Pandorze Gibson--Hoare.

Po drugiej stronie przez chwilę panowała cisza.

- Doprawdy?

- Dla magazynu „The Face”.

Ale Młodszy Pan Breene nie znał tego magazynu.

- I tak się zastanawiam, czy panna Gibson-Hoare nie korzystała z usług firmy Vogel & Breene?

Znów cisza, tym razem dłuższa.

- Skąd ta myśl?

- Robiła zdjęcia wyjątkowe także pod względem technicznym. Młodszy Pan Breene zaśmiał się sucho.

- To jej oko, panie Seaton. Jej talent. Nie miało to nic wspólnego z aparatem czy rodzajem filmu, których używała.

Seaton przełknął ślinę.

- Wydaje się pan o tym całkowicie przekonany.

- Prototyp małoobrazkowej leiki powstał w roku 1913. Produkcji nie rozpoczęto ze względu na wybuch wojny. Dopiero w 1924 roku aparat był gotowy do produkcji na skalę masową, a już rok później dało się go kupić praktycznie na całym świecie. Panna Gibson-Hoare kupiła dwa. Nie myli się pan, istotnie to my dbaliśmy o ich stan techniczny. Prawdę powiedziawszy, wydaje mi się, że nadal jeden z nich u nas jest.

Seaton słyszał, jak szybko i głośno bije mu serce.

- Czy mam rację, sądząc, że mieszkała na Cheyne Walk?

- W Chelsea, tak - odparł Breene, a Seaton poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła. - Ale nie na Cheyne Walk. To taki adres podała nam pod koniec swojego życia.

- A czy może mi pan powiedzieć, gdzie mieszkała? - Słyszał już na schodach kroki kolegów wracających z pubu, czuł zapach tytoniu i piwa, który przylgnął do ich ubrań i włosów na resztę dnia.

Młodszy Pan Breene znowu umilkł na chwilę.

- Więc chce pan znać adres panny Gibson-Hoare. Ale, na Boga, po cóż to panu wiedzieć?

- Chcę nakreślić jak najbardziej przekonujący wizerunek jej osoby, panie Breene. Dlatego muszę poznać jak najwięcej szczegółów dotyczących jej życia i pracy.

- Rozumiem. Cóż, nie sądzę, by ta informacja mogła się panu na coś przydać, nie widzę też jednak powodu, dla którego nie miałbym jej panu udzielić. Nie podam jej jednak panu przez telefon. Proszę przyjść tu do nas osobiście, zapytać o mnie i okazać swoją legitymację prasową. Wówczas otrzyma pan adres.

Następnego dnia rano Seaton zrobił coś, czego nigdy wcześniej nie robił: zadzwonił do redakcji i powiedział, że jest chory. W nocy leżał obok śpiącej Lucindy i patrzył na niebo, które powoli jaśniało za oknem, wypełniając pokój mlecznobiałym

światłem. W końcu zaczęło świtać. O piątej trzydzieści bezszelestnie wysunął się z łóżka i zaparzył sobie herbatę. Wypił ją, wyglądając przez okno saloniku na Lambeth High Street i fragment Embankment widoczny po prawej stronie, gdzie do skrzyżowania z Lambeth Bridge Road dochodził gmach starego budynku rządowego. Żadne zawodowe zlecenie nie wzbudziło w nim nigdy takiej ekscytacji.

Jednak co właściwie miał nadzieję odkryć?

Gdyby to mieszkanie należało do przyjaciela czy kochanka, mogłyby się w nim zachować jakieś ślady po Pandorze. Może listy, które rzuciłyby światło na jej pracę i powód, dla którego tak nagle jej zaprzestała. Albo niewywołane jeszcze negatywy ze zdjęciami, których nikt nigdy nie widział. Uznał jednak, że małoobrazkowe filmy - czekały na wywołanie ponad czterdzieści lat - zapewne do niczego się już nie nadają. Ale może są tam odbitki. Tak, na to tak naprawdę liczył. Mogła skomponować całe cykle, a opublikowano dotąd tylko część zdjęć: kanon jej twórczości. Komentarz do odnalezionych po latach prac zdecydowanie wyróżniłby pracę dyplomową Lucindy spośród wszystkich innych.

Tylko dwie sprawy nie dawały mu spokoju, kiedy tak stał sam przy oknie, popijając herbatę i patrząc na wyludnione ulice. Po pierwsze, najprawdopodobniej pod ostatnim adresem Pandory niczego interesującego nie znajdzie. Budynek może w ogóle nie istnieć: został zniszczony podczas nalotów w czasie drugiej wojny światowej albo zrównany z ziemią w latach sześćdziesiątych, kiedy przebudowano znaczną część miasta. A nawet zakładając, że przetrwał, jakie jest prawdopodobieństwo, że zachowały się w nim rzeczy tak kruche i nietrwałe? Zapewne zastanie tam tylko podejrzliwego, wrogo nastawionego właściciela albo obojętnego lokatora, który na jakiś czas wynajął tę bezosobową przestrzeń. Może w domu mieści się nawet jakaś firma, w końcu Chelsea nie jest już tą przystanią cyganerii, jaką była przed wojną. Teraz to jedna z najbardziej prestiżowych dzielnic, gdzie nieruchomości osiągają rekordowe ceny. Jeśli niczego tam nie odkryje, będzie musiał oprzeć się tylko na nielicznych faktach i mało przekonujących wnioskach Edwina Poole'a, a wówczas praca dyplomowa Lucindy będzie tylko zbiorem mniej lub bardziej naciąganych spekulacji.

Ato przywiodło mu na myśl drugi i, szczerze mówiąc, poważniejszy problem. Bo wiedział, że teraz nie tylko chce pomóc Lucindzie, choć początkowo wyłącznie na tym mu zależało. Ale ledwie zobaczył fotografie Pandory Gibson-Hoare w monogra-

fii Poole'a, połknął haczyk, czyż nie? A może sprawił to błagalny wyraz jej oczu na zdjęciu zrobionym w Café Royal. Chciał poznać świat, który na jej fotografiach wydawał się tak tajemniczy i niepokojący; poznać powód, dla którego tak nagle zaniechała swojej twórczości, i to właśnie wtedy, gdy zdawała się być u szczytu kariery. Chciał się dowiedzieć, dlaczego ukrywała się pod koniec życia - bo przecież musiała się ukrywać, skoro to nie ubóstwo zepchnęło ją w społeczny niebyt? - i w końcu poznać przyczynę tego upiornego samobójstwa. Teraz wiedział już, że na pewno poprosi Boba Halliwella, by pozwolił mu obejrzeć biżuterię zdjętą z niej w kostnicy w Whitechapel, choć nie pomoże mu to napisać pracy dla Lucindy. Nie przychodził mu do głowy żaden powód, dla którego miałby to zrobić - żaden poza własną palącą ciekawością. Jednak nawet gdyby wymagało to naprawdę dużej łapówki, na przykład litrowej butelki Chivas Regal, był pewny, że to zrobi.

Usłyszał, jak obok, w sypialni, Lucinda wzdycha przez sen. A potem nagle wydało mu się, że dostrzegł jakiś ciemny kształt, jakiś cień na tle światła, tam, gdzie między budynkami widać było fragment Embankment, po prawej, gdzie Lambeth High Street przecina Lambeth Bridge Road, o tej porze wciąż jeszcze zupełnie pustą. Po drugiej stronie ulicy zaczynał się ogród należący do kościoła pod wezwaniem St Mary at Lambeth. A za nim ciągnęło się Embankment.

To właśnie tam dojrzał nagle wysoką postać w czarnym cylindrze, która patrzyła na niego. Dostrzegł ze zdumieniem, że człowiek ten jest ubrany w elegancki czarny garnitur. A zaraz potem, ruchem tak szybkim i nagłym, że zaskoczony Seaton uderzył filiżanką w zęby, mężczyzna podniósł kapelusz w geście powitania. I wtedy Seaton zauważył, że rondo kapelusza jest owinięte pasem czarnej, żałobnej krepy. Mężczyzna włożył kapelusz na głowę, odwrócił się, ruszył w kierunku wschodnim i wkrótce zniknął z pola widzenia. Ale nie był sam. Tym samym powolnym, dostojnym krokiem szły za nim konie; cztery czarne, żałobnie przystrojone konie ciągnęły oszklony karawan. Wszystko to działo się w absolutnej ciszy, stukot końskich kopyt i odgłos toczących się po kamieniach kół nie docierał do Seaton z tej odległości. Cała ta dziwaczna procesja w kilka sekund minęła wąską przerwę między domami. Było dwadzieścia osiem minut po szóstej rano. Nie jest to pora, o której można się spodziewać tak uroczystego pogrzebu. Prawdę mówiąc, nie jest to pora, o której można by się spodziewać jakiegokolwiek pogrzebu.

Wkrótce przestał o tym myśleć, uznał to za jeszcze jedną z wielu zagadek Londynu. Tak wielu rzeczy nadal nie potrafił zrozumieć w tym wielkim, złożonym miejskim organizmie. Ale uważał, że jak na początkującego dziennikarza lokalnej londyńskiej gazety całkiem nieźle sobie radzi ze swoim ostatnim tematem. Owszem, nie był to temat znany, a on, jak słusznie zauważył Bob Halliwell, zabrał się do niego czterdzieści sześć lat po fakcie. Ale miał już na swoim koncie pewne dokonania. Lucinda westchnęła znowu, wybita zapewne ze snu przez wpełzające do pokoju światło; rozgrzana i pobudzona przez zwiastujący początek nowego dnia gorący dotyk słońca. Poczł przyjemne podniecenie, kiedy postanowił zadzwonić do redakcji i powiedzieć, że jest chory, a potem pojechać do biura firmy Vogel & Breene w London Bridge. Potarł ręką podbródek. Ogoli się i włoży swoją najlepszą, wykrochmaloną koszulę. Chciał zrobić jak najlepsze wrażenie na Młodszym Panu Breene, a przypuszczał, że wygląd i maniery mogą mu w tym bardzo pomóc. Lucinda jęknęła cicho i wypowiedziała przez sen jakieś słowo, którego nie zrozumiał. Nie obudziła się, ale to jedno słowo brzmiało tak, jakby była zaniepokojona albo czegoś się przestraszyła. Podeszedł do drzwi sypialni, uchylił je lekko i spojrzał na nią - leżała w rozproszonym świetle porannego słońca, które z każdą chwilą wznosiło się wyżej.

Kochał ją. Pragnął jej. Było dla niego czymś zupełnie nowym, że naprawdę jej współczuł. To straszne, że młodzi, wrażliwi ludzie muszą przechodzić takie rzeczy, by skończyć studia. Sam doświadczył tego zaledwie trzy lata wcześniej. Wydawało mu się jednak, że Trinity College nie wywierał takiej presji na studentów literatury jak St Martin's na tych z wydziału mody. Wiedział, jak bardzo Lucinda to przeżywa. Myślał o niej z czułością tak głęboką i nową dla niego, że wiedział, iż to musi być miłość.

Wspaniałe, gorące lato mijało, a Lucinda, urocza jak zawsze, pracowała na swojej małej elektrycznej maszynie do szycia. Wkrótce to się skończy. Stuart Lockyear nazwał jej kolekcję wybitną. A on nie zwykł nikomu pochlebiać. Kolekcja była utrzymana w odcieniach beżu, złota i ciepłej żółci; plisowane, lekkie sukienki; powiewne spódnice do pół łydki i wąskie, dopasowane w talii żakiety. Sieć Whistles już zamówiła trzy rzeczy z tej kolekcji do swojego największego sklepu w Marylebone. Harvey Nichols także było nią zainteresowane. Wszystko zapowiadało się więc doskonale. Seaton cicho zamknął drzwi sypialni, znów potarł podbródek i po-

szedł się ogolić do ich małej łazienki, by na audiencji u Młodszego Pana Breene wyglądać jak należy.

Kiedyś Breene został poparzony i teraz skóra na jego szyi, tuż ponad linią kołnierzyka, była różowa, gładka i pofałdowana jak zastygły wosk. Nie miał rzęs. Seaton domyślał się, że jego powieki spłonęły i zastąpiono je nowymi, z kawałków skóry pobranych w innych miejscach. Nos, bardzo krótki, o szerokich nozdrzach, wyglądał niemal groteskowo. Usta były prawie pozbawione warg. Nie mrugał. Pod gęstwiną ciągle jeszcze bujnych, niesfornych włosów jego twarz na pierwszy rzut oka przypominała twarz bardzo brzydkiego dziecka. Od Seatona oddzielał go drewniany blat. Breene podniósł jedną z jego części do góry i gestem pokazał Seatonowi, by poszedł za nim. Seaton podał mu dłoń, Breene uścisnął ją i bezwargie usta rozciągnęły się, najprawdopodobniej w uśmiechu. Uścisk miał mocny. Jeśli jego dłonie także były poparzone, to odzyskały dawną siłę i zręczność. Musiały, skoro naprawiały tak precyzyjne urządzenia jak aparaty fotograficzne.

- Kawa czy herbata? - spytał, kiedy znaleźli się w jego gabinecie.

Jeden rzut oka na to wnętrze powiedział Seatonowi, że Młodszy Pan Breene nie zajmuje się na co dzień naprawą światłomierzy i migawek.

Gabinet był na to zbyt duży, zbyt kosztownie urządzony. Na ścianach wisiało kilka dobrych szkockich pejzaży, a także zdjęcia Breene'a z różnymi ważnymi osobami, zrobione, jak przypuszczał Seaton, na spotkaniach Londyńskiej Izby Handlowej i biura burmistrza. Były tam też podpisane fotografie Beatona i Billa Brandta, a nawet Cartier-Bressona. W oszklonej szafce stało sześć pucharów zdobytych w grze w golfa. Dwa wysokie, szerokie okna wychodziły na rzekę. Wspaniały łuk London Bridge z kamienia i powleczony czarną farbą żelaza wznosił się majestatycznie w promieniach słońca.

- Chętnie napiję się kawy.

- Najpierw jednak chciałbym zobaczyć pańską legitymację prasową- powiedział Breene.

Usiadł na obrotowym fotelu za lśniącym mahoniowym biurkiem. Seaton, który ciągle stał, wyjął dokumenty i laminowaną przepustkę ze zdjęciem; nosił je przy sobie, bo tego wymagało Policyjne Biuro Prasowe. Breene pochylił się nad biurkiem i spojrzał na dokumenty.

- Duże podobieństwo. Ale pan nie jest Anglikiem, prawda?

- Pochodzę z Dublina.

- To cudowne miasto, panie Seaton. Zechce pan spocząć.

Seaton usiadł na jednym z dwóch krzeseł o prostych oparciach, przodem do biurka. Schował dokumenty do portfela. Breene nacisnął guzik interkomu i nachylił się nad mikrofonem.

-Dzbanek kawy, Mary, jak będziesz miała wolną chwilę. Dwie filiżanki. Dziękuję.

Znowu uśmiechnął się swoim nieludzkim uśmiechem.

- Nie boi się pan na mnie patrzeć, Seaton, a to działa na pańską korzyść. Jak pan sądzi, w jaki sposób mogłem dorobić się tak bolesnego dla oczu wyglądu?

- Powiedziałbym, że był pan w kokpicie samolotu, który dostał się pod ostrzał nieprzyjaciela i stanął w ogniu. Katapultował się pan i dlatego może się pan dziś uśmiechać i pić kawę. Katapultował się pan albo pilot pana wypchnął. Ale bardzo się pan poparzył.

- Doskonale. Ma pan żyłkę do tego zawodu.

- Tak naprawdę, to nie. Mieszkam w pobliżu Muzeum Wojny i zdarzyło mi się spędzić tam kilka leniwych sobotnich popołudni. - Seaton pożałował, że użył słowa „leniwy” z chwilą kiedy je wypowiedział. Breene jednak nie wydawał się urażony. - Mogę zapytać o szczegóły?

Breene pochylił lekko głowę, jakby dostrzegł jakiś pyłek na nieskazitelnie gładkiej powierzchni biurka. Seaton wiedział jednak, że nie o to chodzi.

-South Downs, 1943 rok. Ja byłem pilotem. Zabiłem pięciu ludzi podczas dziewięciu zadań bojowych. I byłem tak zarozumiały i przemądrzały jak każdy dwudziestoseściolatek, który kiedykolwiek pilotował wojskowy samolot. Ile pan ma lat, panie Seaton?

-Dwadzieścia pięć. Breene pokiwał głową.

-Więc sam pan wie, jak często młodości towarzyszy arogancja. Czyż nie?

Seaton przełknął ślinę i kiwnął głową. Ten człowiek nie był głupcem, choć Mike Whitehall tak go przedstawił. A budynek także nie był na wpół zrujnowanym reliktem ery Dickensa. Mike lubił wszystko wyolbrzymiać. Czasami najwyraźniej przesadzał też w drugą stronę.

-Nie widziałem faceta, który mnie postrzelił. Leciałem do bazy i myślałem już tylko o piwie i gorącej kąpieli. Kiedy ustaliło się kurs, samolot praktycznie sam się pilotował. Na chwilę się zdekoncentrowałem i nie zauważyłem go. Jednak on zauważył mnie. Tak, on mnie zauważył.

Oni wszyscy mieli takie twarze. Dzięki jakiemuś pionierowi w dziedzinie chirurgii plastycznej. Większość z nich przeżyła, bo byli młodzi i odporni na wtórne infekcje, ale głównie dlatego że, zbyt niedoświadczeni, nie zdawali sobie sprawy z tego, jakie konsekwencje swojego wyglądu będą musieli ponieść. Niektórzy wrócili nawet do czynnej służby. Seatonowi spodobał się Młodszy Pan Breene. Wziął głęboki oddech i pożałował, że okłamał go przez telefon. Ten człowiek zasługiwał na większy szacunek.

Do pokoju weszła kobieta w niebieskiej bluzce i fartuszkę; przyniosła dzbanek z kawą na srebrnej tacy. Nalała ją do dwóch filiżanek. Do filiżanki Seatona, na jego prośbę, dodała też śmietankę. Kiedy wyszła, oni przez chwilę w milczeniu pili kawę. Potem Breene wysunął szufladę, włożył na ręce białe bawełniane rękawiczki i wyjął z niej podniszczony skórzany futerał zapinany na zatrzask. Otworzył go i leica spoczęła w jego dłoni. Do jednego z metalowych kółeczek, do których zwykle przytwierdza się pasek, przywiązany był mały kartonik. Coś na nim napisano. Staranne pismo, spłowiały atrament, kiedyś czarny lub granatowy, który utlenił się i ze starości przybrał odcień fioletu. Seaton przekrzywił głowę, żeby przeczytać: „Panna Gibson-Hoare. Przegląd i oczyszczenie aparatu. 28.05.34". Wiosna 1934 roku. Prawie przed pięćdziesięcioma laty. Sześć czy siedem lat po ostatniej publikacji jej fotografii. I niemal trzy lata przed dniem, w którym na brzegu Tamizy znaleziono jej ciało.

Seaton spojrział na leicę. Znane logo oczywiście widniało na korpusie, ale aparat wydawał się dużo bardziej staroświecki i skomplikowany niż aparaty na reklamach tej firmy i w oknach wystawowych sklepów ze sprzętem fotograficznym lepszej klasy: otwór na obiektyw gwintowany mosiądzem, mosiężny wizjer, podnoszony na zawiasie i przypominający trochę celownik strzelby. Korpus był pomalowany na czarno; farba odparyła w kilku miejscach, odsłaniając metal. Seaton miał wrażenie, że ogląda niedopracowany jeszcze prototyp, a nie gotowy produkt. Wiedział jednak, że wszystkie udogodnienia techniczne współczesnych aparatów pojawiły się dużo później.

- Zajmujemy się tu raczej naprawą i przeglądem niż rekonstrukcją sprzętu - wyjaśnił Breene. Teraz mówił z bardzo wyraźnym szkockim akcentem. - Patrzy pan na leicę 1, z 1925 roku, panie Seaton. Może wydawać się nieco zniszczona. Ale jest w doskonałym stanie technicznym.

Pewnie tak, ale aparat wyglądał jak archaiczny relikwiarz jakiejś odległej epoki.

Breene zdjął rękawiczki, położył je na blacie biurka, wstał i podszedł do jednego z wychodzących na rzekę okien. Do gabinetu nie wpadało przez to mniej światła, bo poranek był jasny. Przy solidnej wiktoriańskiej futrynie Breene wydawał się bardzo drobny.

Seaton nie dotknął aparatu. Miał ochotę to zrobić, oczywiście, miał ochotę wziąć go do ręki, przyjrzeć mu się z bliska, zważyć w dłoni jego chłodny ciężar. Poczucie zapachu metalu, a może utrzymujący się na nim jeszcze cień zapachu jego zmarłej właścicielki. Wiedział jednak, że Breene uznałby to za gwałt na tym przedmiocie. Czuł, że jego coraz silniejszy szkocki akcent jest wskazówką, że ten człowiek z jakiegoś powodu właśnie odbywa podróż w przeszłość. Seaton szybko policzył: w 1943 roku Breene miał dwadzieścia sześć lat, a więc dwadzieścia, kiedy Gibson-Hoare popełniła samobójstwo. Seaton założyłby się o każdą sumę, że studiował wtedy w Edynburgu. Studia w Anglii z pewnością miałyby wpływ na jego akcent. Kiedy ten aparat przyniesiono tu na przegląd, Breene miał lat siedemnaście i pewnie jeszcze się uczył. Mimo wszystko jednak warto spróbować, pomyślał Seaton. Jakieś wspomnienie sprawiło, że ten człowiek nagle cofnął się w czasie o całe dekady. Dlatego stał teraz tyłem do swojego gościa. Nie chciał, by widział on wyraz jego twarzy.

-Pan ją znał, prawda, panie Breene?

Plecy Breene zeszytywniały pod marynarką. Odchrząknął, ale nie odwrócił się od okna.

-Był pan wcześniej zdecydowanie zbyt skromny, panie Seaton. Ma pan talent do tego, czym się pan zajmuje. Duży talent. A to, czym się pan w tej chwili interesuje, nie ma nic wspólnego z artykułem o modzie w magazynie, o którym nigdy wcześniej nie słyszałem, prawda?

Touche, pomyślał Seaton.

-Tak - odparł. - To prawda.

Breene milczał długą chwilę. W ciszy słysząc było tylko syrenę płynącego powoli statku na rzece.

-Mój dziadek był jednym z założycieli tej firmy. Jego syn, a mój ojciec, poszedł w jego ślady. Przyprawiał mnie tu w czasie wakacji, żeby nauczyć mnie pewnych rzeczy. Zazwyczaj poranki spędzałem, oglądając londyńskie atrakcje, takie jak Tower albo muzeum figur woskowych. Później przychodziłem tutaj, przyglądałem się, jak pracują, i przyswajałem sobie informacje w sposób właściwy dzieciom, to znaczy szybko i łatwo. Tak czy inaczej, wtedy była akurat przerwa bożonarodzeniowa. Grudzień. Bardzo zimny grudzień jak na Londyn, padał śnieg, choć nie utrzymał się długo. Miałem wtedy jakieś dziesięć lat...

A więc mógł to być rok 1926 albo 1927. Najlepszy okres w twórczości Pandory Gibson-Hoare. Jej złote lata.

-Pojawiła się tu pewnego dnia, późnym popołudniem, w stroju wieczorowym. Miała na sobie szeroki kapelusz, futrzaną pelerynę i sznur pereł tak długi i ciężki, że można by nim zacumować barkę. Wsiadła z bugatti z otwieranym dachem. Samochód stał na chodniku z włączonym silnikiem. Bugatti! Chyba numer 38. Zapadł zmierzch. Zostawiła włączone światła. W owych czasach nie było strażników miejskich, panie Seaton. W każdym razie nie dla ludzi ze sfery panny Gibson-Hoare. Weszła do holu, roztaczając wokół zapach perfum, różowego ginu i tytoniu. Byłem akurat w recepcji, wtedy znacznie większej niż teraz. I lepiej wyposażonej. Wówczas uważano, że wejście powinno robić wrażenie, i my trzymaliśmy się tej zasady: ściany wyłożone boazerią, na podłodze wielkie ozdobne donice z egzotycznymi roślinami. To już przeszłość, oczywiście, wkroczyliśmy w erę funkcjonalnego wykorzystywania przestrzeni. Wszystko to zniknęło w latach sześćdziesiątych, w okresie kultu efektywności, kiedy pojawili się tu specjaliści od zarządzania. Nawiasem mówiąc, ja sam ich sprowadziłem.

Seaton spojrzał na leżący na biurku aparat. Wyobraził sobie cichy pomruk włoskiego silnika i blask wielkich okrągłych przednich reflektorów luksusowego samochodu.

-Wtedy jednak nasz hol był naprawdę wspaniały. A ona wspaniale w nim wyglądała, kiedy strząsała płatki śniegu z szarej peleryny z norek, która zdawała się migotać w światłach żyrandola. Wysoka i smukła, uosabiała ideał tamtej epoki. Mój ojciec powtarzał często, że była znacznie piękniejsza niż wiele modelek, które fotogra-

fowała. Pamiętam, że pochwyciła mój wzrok i uśmiechnęła się do mnie. Siedziałem wtedy za blatem i ćwiczyłem kaligrafię, wpisując nagłówki do księgi usług. Miała na ustach szminkę, nie, nie czerwoną, w kolorze wina. I piękne, białe, idealnie równe zęby.

- Po co przyszła?

- Chyba upuściła aparat do morza. Wsiadała na statek czy na łódź i aparat wypadł jej z rąk. Nie było tam głęboko, więc natychmiast go wyciągnięto, ale z powodu słonej wody należało go rozłożyć, osuszyć i oczyścić z soli.

- Czy to ona prowadziła samochód? Breene znowu lekko zeszywniał.

- Chce pan zapytać, czy była sama, panie Seaton. Odpowiedź brzmi: nie. Nie miała szofera, ale towarzyszył jej mężczyzna, elegancki, w wieczorowym stroju, jedwabnym szaliku i zapinanych na guziki getrach. Wysoki. Pamiętam, że miał na sobie karakułowy płaszcz, a w ręce trzymał laskę. Na niczym nie umiał skupić wzroku, był dziwnie niespokojny. Wydaje mi się, że jechali na jakieś przyjęcie, sądząc po ich stroju.

- Jest jeszcze coś, prawda?

Breene w końcu się odwrócił. A Seaton nagle dostrzegł w nim to czujne i ciekawe dziecko sprzed pięćdziesięciu lat.

- Ona była naprawdę bardzo piękna. Miała jasną cerę, ciemne oczy i kasztanowe włosy; w świetle żyrandola lśniły jak jedwab. Stwierdziłem, że jest niezwykła, choć byłem wtedy tylko małym chłopcem. Ale ma pan rację, jest jeszcze coś, co bardzo wyraźnie pamiętam. Kiedy wychodzili, mężczyzna puścił do mnie oko, porozumiewawczo, lubieżnie, ja jednak byłem zbyt mały, by to zrozumieć, co to znaczyło. Mrugnął i pokazał mi język. A ten język, wyjątkowo długi, wił się i drgał między jego zębami jak różowy, bezgłowy węgorz, nieświadom własnej śmierci. Potem ten człowiek ruszył za nią do wyjścia, ale nie tyle szedł, co ślizgał się, jak na łyżwach. Myślę, że użył jakiejś sztuczki. Jakby jego stopy nie dotykały wcale podłogi. Po dziś dzień wydaje mi się, że płynął w powietrzu. - Breene zaśmiał się cicho. - I po dziś dzień, panie Seaton, takie getry wywołują u mnie dreszcze.

- Rzadko się takie widuje.

- I dzięki Bogu.

- Kim był ten mężczyzna?

-Spytałem ojca- odparł Breene po długiej chwili milczenia.-Powiedział mi, że niektórzy uważają go za wcielenie zła. To mi wystarczyło. O nic więcej nie pytałem. Seaton milczał.

-Nie wszyscy jesteśmy tak ciekawi jak pan, panie Seaton.

-Dlaczego wtedy to pana nie interesowało? Dlaczego nie interesuje to pana teraz? Breene spojrział z ukosa na aparat.

-Bo ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

Seaton kiwnął głową. Przypomniawszy sobie nagle, co Breene mówił wcześniej o arogancji. O tym, jak często towarzyszy ona młodości.

-Proszę, panie Seaton. Skoro po to tu pan przyszedł, dam panu ten adres.

14

Pojechał tam natychmiast. Odszukał adres na planie, stojąc pod budynkiem firmy Vogel & Breene na zalanej słońcem ulicy. Potem rzucił okiem na zegarek: piętnaście po jedenastej. Pobiegł do stacji metra. Choć wydało mu się to nieprawdopodobne, rozmowa z Breene'em trwała ponad godzinę. Teraz nie mógł się już doczekać chwili, w której dowie się więcej o życiu tej tajemniczej kobiety.

Było kilka minut po dwunastej, kiedy przeszedł przez Fulham Broadway po prawej stronie wejścia na stację metra i ruszył przed siebie w górę Harwood Road. Po lewej widział zalany słońcem budynek ratusza z kamiennymi ornamentami. Skręcił w lewo, w Moore Park Road, i szum uliczny przycichł za jego plecami. Tej części Londynu zupełnie nie znał. Z ulgą zobaczył, że po obu stronach Moore Park Road stoją rzędy trzypiętrowych wiktoriańskich domów. Promienie słońca padały w tej chwili pod takim kątem, że ulica tonęła w cieniu. Nagle zrobiło się chłodniej i znacznie ciszej. Pod niektórymi domami stały samochody, ale jezdnia była pusta. Seaton minął skrzyżowanie, przy którym stał sklep, a obok niego pub. Szyldy zasłaniały wiszące kosze z kwiatami, już pokonanymi, widział to nawet z tej odległości, przez upalne, suche lato. Ulicę oszczędziły wojenne bombardowania, przebudowy i

inne urbanistyczne katastrofy. Seaton zaczął czytać numery przy kołatkach na drzwiach domów.

Kołatka na drzwiach, do których chciał zastukać, została zbyt grubo pomalowana farbą, więc odgłos jej uderzeń był bardzo przytłumiony. Wydawało się jasne, że kogoś za tymi drzwiami mieszka, niezbyt często przyjmuje gości. Nie pomogło łomotanie w drzwi pięścią, nie znalazł też dzwonka. Zasłony w oknach były zaciągnięte, a kiedy schylił się i zajrzał w wąską szparę w skrzynce na listy, zobaczył mroczne wnętrze i poczuł lekki odór stęchlizny, jakby w tym domu od dawna nikt nie mieszkał. Zapach ten przypominał mu slumsy, do których chodził czasami z Mikiem Whitehallem, kiedy przygotowywali materiały o warunkach mieszkaniowych w zaniedbanych domach Hackney, zawilgoconych i pełnych karaluchów. Zapach nędzy. Zaskoczyło go, że poczuł odór w tym miejscu. Bez wątplenia nie było to Chelsea i Cheyne Walk. Niektóre samochody pod domami na ogół miały już spory przebieg, na murach widniały napisy sławiące bohaterów drugiej ligi ze Stamford Bridge. Większość domów była jednak zadbana i elegancka w ten dyskretny sposób, w jaki dobrobyt manifestują ludzie do niego nawykli.

Dziesięć minut później, z obolałymi kostkami prawej dłoni, którą pukał w dębowe drzwi, wszedł do kiosku z gazetami za następną przecznicą.

- Jak leci? - spytał z roztargnieniem. Zaczął grzebać w kieszeni, szukając drobnych na dietetyczną colę. Upał zaczynał mu się dawać we znaki.

-Dublińczyk, coś mi się zdaje.

Seaton podniósł wzrok na człowieka za ladą. Spodziewał się Azjaty, bo wiedział, że właśnie oni są właścicielami takich sklepów w Londynie. Po jednej stronie mężczyzny wisiała kolekcja proporczyków FC Chelsea, po drugiej wielki kolorowy plakat, na którym środkowy napastnik Kerry Dixon zastygł w podskoku przy podaniu głową. Na ścianie za kontuarem wisiał mały proporczyk zdobny w wizerunek zamku o trzech wieżach, symbol dublińskiej gaelickiej drużyny futbolowej. Miejsce było tak dyskretne, że na proporczyk mogli zwrócić uwagę tylko ci, którzy wiedzieli, co on oznacza. Seaton wiedział.

Właściciel sklepu miał błękitne oczy, miękką, delikatną, dziewczęcą dolną wargę i wystający podbródek. Ciemne, kręcone włosy opadały mu na czoło aż do brwi. Opięta na brzuchu koszula wysuwała się ze spodni. Seaton uświadomił sobie nagle,

że facet wygląda jak wszyscy jego wujowie razem wzięci, i myśl ta wywołała uśmiech na jego twarzy.

- Dublińczyk, co? - powtórzył mężczyzna. Dobry powód do rozmowy.

- Owszem, stamtąd pochodzę i jestem z tego dumny. A pan?

- Och, nie ma drugiego takiego miasta. Nigdzie. Nic nie może się z nim równać - odparł właściciel sklepu.

- Nawet Londyn?

- Londyn jest wspaniały. Jasna sprawa. Brakuje mu tylko jednego.

- Nigdy nie będzie domem - odgadł Seaton.

- Nigdy, póki żyję - westchnął sklepikarz. - Nigdy nie będzie domem.

- No i guinness jest tu jakiś inny - dorzucił Seaton.

- Zgadza się - sklepikarz pokiwał głową. - Tylko tam ma prawdziwy smak guinnessa. - Oparł się dłońmi na blacie, na którym leżały gazety i magazyny. Powitalny rytuał dobiegł końca; Dublin został stosownie uhonorowany. - A teraz czym mogę panu służyć?

Seaton nagle uświadomił sobie, jak jego akcent musi zauważać Lucinda.

- Nie zna pan przypadkiem ludzi, którzy mieszkają pod numerem osiemnastym?

Dublińczyk przyjrzał mu się uważnie.

- O mój Boże. Chyba nie jest pan glina, co? Seaton wyjął z kieszeni swoją legitymację prasową.

- Potrzebuję tylko informacji. - Wskazał brodą stojaki. pełne gazet. - Musimy o czymś pisać w gazetach. Żeby miał pan co sprzedawać.

- Szuka pan starszego, niechlujnego faceta. Sam tam mieszka. Wysoki, z brodą. Dostarczamy mu codziennie „Telegraph”, czasem bierze też „Racing Post” i „Punch”.

- Dostarczamy? To przecież minuta drogi stąd.

- Cóż, to typ pustelnika.

- O której wraca do domu?

- Prawie w ogóle nie wychodzi. Teraz na pewno tam jest.

Seaton spojrzał na swoje obolałe kostki i pomyślał, że nikt nie jest aż takim pustelnikiem.

- Lepiej spytać, o której facet dochodzi do siebie - powiedział sklepikarz, uśmiechając się szeroko. - Bo lubi sobie wypić, to trzeba przyznać. Coś mi się zdaje, że

potrafi pić do białego rana. Nigdy nie widziałem, żeby wyszedł za próg przed piątą po południu, kiedy to czasem idzie po mleko. Niech pan zastuka do niego koło szóstej. Im później, tym większe szanse, że będzie w dobrym humorze.

Seaton spojrzął na zegarek: dopiero wpół do pierwszej.

- Dzięki - powiedział. - Bardzo mi pan pomógł.

- Półtuste - dorzucił dublińczyk.

- Co?

- Mleko.

- Dobrze wiedzieć - mruknął Seaton. Stał już w drzwiach, kiedy przyszło mu do głowy oczywiste pytanie. - Nie zna pan przypadkiem nazwiska tego gościa?

- Gibson-Hoare.

W jego ustach nazwisko to zabrzmiało jak obelga.

Seaton postanowił wrócić do domu, do Lambeth. Nie mógł przecież przez pięć i pół godziny oglądać wystaw sklepowych na King's Road. Musiał trzymać się jak najdalej od północnego Londynu, żeby nikt nie zobaczył go na ulicy zdrowego jak ryba, bo przecież powinien leżeć w łóżku, cierpiąc z powodu zatrucia pokarmowego. Pojedzie metrem na Embankment i przejdzie pieszo przez Hungerford Bridge, potem wzdłuż South Bank, pod Waterloo Bridge i Westminster Bridge. Wejdzie po schodkach na Lambeth Bridge, przejdzie na drugą stronę ulicy i już będzie w domu. Zrobi sobie wspaniały spacer wzdłuż rzeki, spróbuje się uspokoić, opanować podniecenie, a potem wróci na Moore Park Lane tą samą drogą.

Było wczesne wtorkowe popołudnie, więc Lucinda na pewno w college'u gorączkowo szlifowała swoją dyplomową kolekcję. Seaton uważał, że to nieludzkie obciążenie, biorąc pod uwagę, że całą tę pracę musiała wykonać jedna studentka, mieszcząc się w wyznaczonym czasie i kwocie stypendium. Ale właśnie wymagania, takie same wobec wszystkich, sprawiały, że St Martin's był bardzo uznaną uczelnią. Seaton zajął się częścią pisemną pracy dyplomowej Lucindy, i dobrze, bo przynajmniej tym nie musiała się już martwić.

Zadrzał, bo uświadomił sobie nagle, że dotarł do miejsca, jakieś dziesięć metrów od schodków prowadzących na most, gdzie o świcie widział dziwaczny, staroświecki kondukt pogrzebowy. Tu nabrzeże rozszerzało się, a przy otoczonych niskim murkiem, prostokątnych trawnikach stały ławki; przysiadali na nich w weekendy turyści: podziwiali widoki i jedli lody z pobliskiej budki. Seaton przeszedł między

trawnikami do drogi, którą wtedy jechał zaprzężony w konie karawan. Panował nie-
znośny upał. Miękkie bąble czarnej smoły lśniły w słońcu tam, gdzie drogę po-
spiesznie załatano. Ale po dziwnej zjawie, którą widział rankiem, nie pozostał żaden
ślad. Popatrzył w stronę Lambeth High Street, na dom, w którym mieszkał z Lucin-
dą. Jej okna odpowiedziały mu niemym, pustym spojrzeniem.

Zabrał z domu torbę ze swoim sprzętem i ruszył przez Lambeth Bridge Street do
Fitzroy Lodge. Sam w klubie, odbył osiem pięciominutowych rund ze skakanką.
Czuł, że musi rozładować napięcie. Ćwiczył pod czujnym wzrokiem tuzów boksu,
którzy patrzyli na niego z plakatów wiszących na ścianach, Haglera, Hearnsa, Le-
onarda i Durana. Pociągi z łoskotem przejeżdżały przez stacje Waterloo, a on patrzył
na zegar i skakał.

Kiedy wyszedł z klubu, była dopiero trzecia trzydzieści. Zaniósł torbę do domu i
ruszył Lambeth High Street do pubu Windmill. Uważał, że Lambeth High Street nie
zasługuje na opinię głównej ulicy tej części miasta: niewielki ruch, po wschodniej
stronie stary cmentarz, porośnięty pożółkłą trawą i zaroślami, gdzieniegdzie stare
pochylone nagrobki. Żeby znaleźć jakiś sklep, trzeba było wejść w Old Paradise
Street albo Whitgift Street i dalej, pod wysokie łuki wiaduktu kolejowego. Seaton
dziwił się, że Lambeth High Street można było uznać za centrum dzielnicy. W pubie
wisały stare wiktoriańskie fotografie zrobione na tej ulicy ubodzy ludzie, brudne
dzieci, ciemne czeluście bram. Wtedy także ruch był tu niewielki. Różnica polegała
głównie na tym, że na czarno-białych zdjęciach rynsztoki i uliczny bruk tonęły w
błocie.

Seaton mieszkał tu już od kilku miesięcy i w tym czasie Windmill stał się jego
ulubionym pubem. W dzień przychodzili tu zazwyczaj strażacy z sąsiedniej remizy -
wpadali na piwo po zakończeniu służby. W porze lunchu i wczesnym wieczorem
bywali tam też urzędnicy z pobliskich rządowych biur. A późnym wieczorem kilku
miejscowych o stoickim wyrazie twarzy siedziało przy barze, czerpiąc pokrzepienie
z codziennego piwnego rytuału.

Seaton zamówił bułkę z serem i szynką i piwo, po czym wyszedł i usiadł na ław-
ce na chodniku pod pubem. Naprzeciwko na niewielkim skwerze rosła samotna wi-
śnia. Wiosenne kwiaty już z niej opadły. Seaton wbił zęby w bułkę. Masło było
świeże, a szynka wilgotna i delikatna.

Czuł się dobrze w tym ładnym miejscu, dziwnie tam emniczym w swoim odosobnieniu - ta cisza, a przy tym tak wszędzie blisko. Spędzał tu z Lucindą wiele godzin wieczorami, które nadchodziły coraz później. Zwykle wpadali do pubu po tenisie, zanim przygotowania do końcowych egzaminów zaczęły zabierać Lucindzie tak wiele czasu.

Przez okno pubu za plecami słyszał ulubioną kasetę właściciela. Muzyka sączyła się z głośników stojących na półkach za barem. Była to składanka piosenek soulowych, która Seatonowi zawsze wydawała się bardzo melancholijna: *Harvest for the World* Isley Brothers płynnie przechodziła w *Me and Mrs Jones* Billy'ego Paula. Pił piwo, jadł bułkę i patrzył na opadające z wiśni ostatnie różowe, zakurzone kwiatki, a Billy Paul śpiewał swój hymn i zapewne także requiem dla swojej kochanki i ich romansu. A potem był jeszcze Marvin Gaye i *Abraham, Martin and John*, w wykonaniu Smokeya Robinsona wielki przebój w Ameryce. Ale nikt tak jak Marvin Gaye nie potrafił śpiewać o niedotrzymanych obietnicach.

Seaton nie wiedział, czy właściciel pubu sam skomponował tę składankę, czy też ją kupił. Kiedyś miał ochotę go o to zapytać, niemal zdecydowany ją sobie kupić. W końcu uznał jednak, że woli słuchać jej w pubie. W domu ta muzyka brzmiałaby już inaczej. Teraz przytłumione dźwięki dobiegające przez okno, zmieszane z gwarem rozmów, przerywane od czasu do czasu brzękiem kasy, miały czar, którego nie sposób by odtworzyć; kruchy i ulotny, a przez to dziwnie chwytający za serce.

Pił piwo, słuchał dolatującej przez uchylone okno muzyki i patrzył na wiśnię na skwerze. Było bardzo gorąco. Spojrzał na zegarek: za kwadrans piąta. Niedługo powinien ruszyć w drogę. Dopił piwo, otrzepał spodnie z okruchów i wytarł usta serwetką, która leżała na talerzyku.

Później często wracał pamięcią do tej chwili - czasami z tęsknotą, smutkiem i żalem tak wielkim, że zaczynał płakać nad samym sobą - do ostatniego dnia tego, co nazywał swoim normalnym życiem. W głębi serca wiedział, że się oszukuje; że już wówczas w jego duszy działała ta zabójcza trucizna. Nie umiał cieszyć się tą chwilą przed pubem tak, jak wiele razy wcześniej. Nie umiał się odprężyć, tak bardzo ekscytowało go zbliżające się spotkanie na Moore Park Road. Połknął bułkę i wypił piwo, nie zważając na ich smak. Ale tak jak wszyscy ludzie Paul Seaton szukał czasem ukojenia w kłamstwie. On także był w końcu tylko człowiekiem.

Tym razem drzwi otworzyły się, kiedy tylko do nich zapukał.

Sebastian Gibson-Hoare był wysokim, szczupłym mężczyzną w średnim wieku. Mimo późnego popołudnia miał na sobie ekstrawagancki wzorzysty szlafrok z chińskiego jedwabiu i roztaczał wokół siebie bukiet pomieszanych zapachów: wody kolońskiej, brandy i francuskich papierosów aromatyzowanych lukrecją. Wodą kolońską Vétiver skropił się zdecydowanie zbyt obficie; a ponieważ dyszał, również alkohol i tytoń w jego oddechu były doskonale wyczuwalne. Za jego plecami, w głębi korytarza, Seaton dostrzegł prowadzące na piętro strome schody i doszedł do wniosku, że to na nich Gibson-Hoare musiał się tak zmęczyć. Dziwne, bo przecież schodził nimi w dół. Teraz uśmiechał się szeroko. Miał pożółkłe od tytoniu zęby i mocno przerzedzone, zaczesane do góry włosy, więc powinien wyglądać nieporządnie i trochę strasznie, a jednak wcale tak nie wyglądał. Może dlatego, że uśmiechał się rozbrajająco szczerze, a może wzrost i szczupła budowa dodawały jego powitalnym gestom swobodnej elegancji.

- Niespodziewany gość - powiedział. - Coś nowego. Cóż, może pan mieć niezwykły dar przekonywania, a ja może nawet bardzo potrzebuję nowych okien albo encyklopedii w kilku tomach. Muszę jednak pana ostrzec, jestem totalnym bankrutem.

Seaton milczał. Czuł, że to jeszcze nie koniec.

- I ani trochę nie jest mi z tego powodu przykro - dodał Hoare. Seaton nadal milczał. Oczywiście przygotował sobie wcześniej, co powie. Teraz jednak wydawało mu się to nie na miejscu, nie pasowało ani do tego człowieka, ani do okoliczności. Podniósł rękę do kieszeni, żeby wyjąć z niej wizytówkę, ale zaraz ją opuścił. Oficjalne podejście także nie wydawało się właściwym sposobem dotarcia do Sebastiana czy zdobycia jego zaufania.

Gibson-Hoare pociągnął nosem i się przedstawił. A potem obaj, stojąc na progu, podali sobie dłonie.

-Proszę, niech pan wejdzie - powiedział w końcu Hoare. - Niech pan wejdzie i powie, czemu zawdzięczam tak zagadkową wizytę.

Salon znajdował się na górze. Zanim weszli na schody, Seaton rozejrzał się po holu, czekając, aż jego oczy przyzwyczają się do mroku. Na drugim końcu korytarza była kuchnia, za odsuniętą na bok zasłoną z koralików zobaczył stary piecyk z odpryśniętą emalią. Po prawej stronie za ciężką brązową draperią znajdowały się drzwi. Pewnie do piwnicy, sądząc z zapachu wilgoci, przesycającego ciemny aksamit. Odór mysich odchodów, zapach zaniedbania, brudu i rozkładu, który wyczuł wcześniej przez szparę w skrzynce na listy, teraz był ponuro wyraźny.

Ale w salonie pana Gibson-Hoare nic się z tym zapachem nie kojarzyło. Był to przestronny, widny pokój, do którego światło wpadało przez dwa wielkie okna, wyłożony dywanami o wspaniałych wzorach, zarzucony barwnymi poduszkami, pełen oryginalnych dzieł sztuki. Stały w nim masywne i pięknie zdobione meble, same antyki. Salon był tak duży, że fortepian Steinwaya nie zabierał zbyt dużo miejsca. Gibson--Hoare chyba często na nim grał, wskazywały na to podniszczone klawisze z kości słoniowej. Ale szczególnie upodobał sobie broń. Para pistoletów w szklanej gablocie wisiała na jednej ze ścian nad rzędem mieczy. Miał też szpadę i szablę, ale jeśli chodzi o broń białą, zdawał się najbardziej lubić rapiery. Alkohol stał w kryształowych karafkach w wielkiej kuli, zachęcająco uchylonej. Każdą karafkę ozdobił na szyjce srebrny łańcuszek z płytką informującą, co się w niej znajduje. Seaton wiedział o antykach bardzo niewiele, nie wątpił jednak, że w tym pokoju jest mnóstwo wartościowych przedmiotów. Ich właściciel albo kłamał, mówiąc że jest bankrutem, albo trafił na wyjątkowo niedbałego komornika.

- Herbaty? A może coś mocniejszego?

- Chętnie napiję się herbaty.

Seaton dawał mu jakieś sześćdziesiąt lat. Jeśli się nie pomylił, to wszystkie należące do Sebastiana sprzęty były od niego znacznie starsze. Kiedy podawał herbatę, rękaw jego jedwabnego szlafroka podwinął się lekko, ukazując prostokątną kopertę roleksa z poplamionym ze starości cyferblatem i złotą bransoletką, za długą na jego wąski nadgarstek. Ciekawe, co jeszcze odziedziczył, pomyślał Seaton. Portfolio ze zdjęciami? Pamiętnik, który rzuci światło na życie tajemniczej krewnej, którą znał być może jako dziecko albo nastolatek?

Upił łyk herbaty. Pokój był zalany słońcem, w pachnącym wodą Vétiver powietrzu tańczyły drobinki kurzu. Seaton zastanawiał się, jak zacząć rozmowę.

- Jest pan bardzo ufny, panie Gibson-Hoare. To w końcu Londyn, wielkie miasto.

- Nie jestem ufny, mój młody przyjacielu. Przeciwnie. Robi pan dobre wrażenie, jest pan sympatyczny i ma szczerze irlandzkie oczy, ale nie przestąpiłby pan progu tego domu, gdybym nie usłyszał tego, co powiedział mi o panu Młodszy Pan Breene, kiedy był tak uprzejmy, by do mnie zadzwonić.

-Zadzwonił do pana po mojej wizycie dziś rano?

-Zadzwonił do mnie po pańskim wczorajszym telefonie do niego. Bez mojej zgody nie podałby panu mojego adresu. Vogel & Breene nie osiągnęliby takiej pozycji, gdyby nie przywiązywali wagi do zawodowej uczciwości.

I dyskrecji - Seaton zastanawiał się, co siedzący przed nim człowiek pomyślałby o jedynym spotkaniu pana Breene'a z Pandorą. I, co ważniejsze, o mężczyźnie, który towarzyszył jej owego zimowego dnia, wiele lat temu.

-Nie ma tu teczki ze zdjęciami, jaką pan miał nadzieję znaleźć, panie Seaton. Antyki, tym właśnie się zajmowałem w tych rzadkich okresach mojego życia, kiedy starczało mi energii, by pracować. Znam się trochę na handlu, więcej niż trochę na kolekcjonerstwie i całkiem nieźle na sztuce. Prawa autorskie z pewnością należałyby do mnie, poprzez prawo własności i pokrewieństwa. Fotografie Horsta sprzedawane są w formie plakatów w każdym centrum handlowym, więc doskonale zdaję sobie sprawę, ile takie zdjęcia mogą być warte, potencjalnie. Wiem, ile na aukcji mogłyby mi przynieść oryginały. Ale one nie istnieją. - Upił łyk herbaty. - A nawet gdyby istniały, już dawno uległyby zniszczeniu.

-Pan ją znał?

Gibson-Hoare odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się, ukazując żółknące pod cienką warstwą szkliwa zęby.

-Dobry Boże... widzę, że przechodzimy do rzeczy bez ceregieli. Jest samotny, może to też homoseksualista, pomyślał Seaton, ale

przede wszystkim jest samotny. Nie spotyka się z ludźmi. A mimo pewnego zdziwienia towarzyski z niego człowiek. Seaton nagle poczuł się zawiedziony, zniechęcony. Bo wiedział już, że Gibson-Hoare nie znał Pandory. Gdyby ją znał, nie unikałby odpowiedzi. Miałby wtedy więcej do powiedzenia, a to zapewniłoby mu

towarzystwo na dłużej. Mógłby opowiadać o przeszłości, nurzać się we wspomnieniach.

- Była moją daleką kuzynką- wyjaśnił. Wziął swoją filiżankę i podszedł do wielkiej kuli. Otworzył karafkę z płynem w kolorze whisky i wlał trochę do herbaty, zamieszał i upił łyk. - Nigdy jej nie poznałem. Nie wiedziałem nawet o istnieniu tego domu do czasu, kiedy go odziedziczyłem, w 1963 roku. Mieszkam tu od dwudziestu lat i gdyby był tu jakiś ukryty skarb, na pewno bym go znalazł. A znalazłem tylko zatechłe od wilgoci pomieszczenia. I gryzonie, całkiem niedawno. Na razie udaje mi się nie dopuścić do inwazji mrówek faraona i korników, ale prowadzenie domu to ciężka i nudna praca.

Seaton milczał. Choćby nawet chciał się z nim zgodzić, odziedziczenie domu w Londynie nie wydawało mu się tragedią, budzącą szczere współczucie.

- Ona nie miała do tego talentu.

- Do czego?

Gibson-Hoare wydał z siebie krótki, chrypliwy chichot palacza. Pogrzebał ręką w kieszeni szlafroka i wyjął z niej paczkę papierosów.

- Pomyślałem, że to pana zainteresuje. Do prowadzenia domu.

- Skąd pan wie?

Z papierosem w zębach schował paczkę do kieszeni. Seaton uśmiechnął się i pokręcił głową. Gibson-Hoare zapalił papierosa srebrną zapalniczką w kształcie łabędzia, która leżała na stoliku wraz z akcesoriami do parzenia herbaty. W zalanym popołudniowym słońcem pokoju dym wydawał się niebieski.

- Nie znałem jej. Ale znał ją mój zmarły sąsiad. Opowiadał ciekawe rzeczy o tym, co robiła o przedziwnych porach. I hałasach, które go stąd dochodziły. Zawsze w nocy. Niespokojna to była dusza, ta nasza Pandora.

- Mieszkała w tym domu sama?

Gibson-Hoare zaciągnął się dymem, a potem wyłuskał coś paznokciem spomiędzy zębów.

- Cóż, to już chyba nie pańska sprawa, panie Seaton.

- Istotnie, proszę pana. A moja wizyta tutaj, nagła i bez zaproszenia, z pewnością zakłóciła pański spokój.

Gibson-Hoare zmarszczył brwi. Chodząc z papierosem po pokoju, wyglądał jak jakaś archaiczna postać ze sztuki, napisanej jeszcze zanim do teatrów wkroczył John Osborne.

- Z drugiej strony jednak wizyta ta jest może pierwszym krokiem na drodze do ponownego odkrycia artystki, która nigdy nie powinna była zostać zapomniana. Pandora była pionierką. Osiągnęła techniczną doskonałość i miała odwagę iść pod prąd. Nawet pan Breene zauważył, jak świeżym i niezwykłym okiem patrzyła na świat. A wydaje się on sędzią surowym, nieskorym do szafowania pochwałami.

Gibson-Hoare usiadł. Zmarszczka między jego brwiami zniknęła, a on sam sprawiał wrażenie raczej zamyślnego niż zagniewanego. Nadal jednak milczał.

- Powiadają, że takie sprawy mają swoją własną dynamikę. Kto wie, jeśli się pan zmobilizuje, może już za rok otworzy pan retrospektywną wystawę prac swojej nieżyjącej kuzynki?

Gibson-Hoare przewrócił oczami. Seaton uznał, że to wyraz zniecierpliwienia, i przestraszył się, że trochę za daleko się posunął. Ale gospodarz nagle się odezwał:

- Ciągle jeszcze są tu jakieś jej rzeczy, oczywiście. Jedną z cech charakterystycznych rodzin takich jak moja jest to, że nigdy niczego nie wyrzucamy. Mogę pana zapewnić, że nie ma tu jej fotografii. Zniszczyła je sama, jak mi powiedziano. I podobno zrobiła to z dużym entuzjazmem. Tak twierdził mój sąsiad, który widział, jak paliła je w swoim ogrodzie pewnego grudniowego popołudnia. Następnego ranka skarżył się na przenikliwy zapach tłących się ciągle, mimo nocnej ulewy, zdjęć.

Więc zdjęć już nie ma. Ale saje ubrania i inne przedmioty. Niech je pan obejrzy, jeśli pomoże to panu ożywić jej wizerunek.

Seaton pomyślał o zapachu, który wniknął w grube aksamitne zasłony przed schodami do piwnicy: nawet w upale przywodził na myśl wilgoć i stęchliznę. Zastanawiał się, czy starczy mu zimnej krwi, by grzebać wśród zapleśniałych płaszczy i zatechłych sukni, zbutwiałych pamiątek po samobójczyni. Jej aparat fotograficzny, w obleczonej w białe rękawiczki dłoniach pana Breene'a, był idealnie czystym, doskonale zachowanym obiektem muzealnym. Seaton nawet go nie dotknął, choć miał na to ochotę. Ubrania sprzed sześćdziesięciu lat, upchnięte w szafach w wilgotnej suterenie, jakoś go nie nęciły.

Nagle znowu wyobraził sobie odcinek rzeki, gdzie woda wyrzuciła Pandorę na brzeg. Poczul zapach wilgotnego drewna słupów, na których wspierały się pomosty.

Widział stojącą tam w zimnym, nieruchomym powietrzu grupę ludzi, widział małe kamyki połyskujące w mule pod ich stopami i kałuże oleju z silników pływających po rzece statków. We mgle niósł się głuchy dźwięk syren. Lekarz otworzył torbę - w środku były małe buteleczki ze spirytusem, rolki ligniny i lśniące instrumenty chirurgiczne - wyjął z kieszeni kamizelki zegarek na łańcuszku i powiedział coś do jednego z policjantów w cywilu. Ten kiwnął głową i dokonał pobieżnych oględzin ciała. Na znak szacunku wobec zmarłej zdjął kapelusz, a potem przyjrzał się ranie na jej szyi, bezkrwistej i rozpulchnionej przez wodę.

Dalej, na środku rzeki, nagle rozległ się głośny pomruk, jakby nadciągała burza; powierzchnię zmącił wir. To statek pożarniczy nabierał wody do pomp i wypuszczał ją przez mosiężne końcówki gumowych węży. Towarzyszył temu piekielny hałas. Były to ćwiczenia, manewry przed zbliżającą się wojną. Pandora Gibson-Hoare postanowiła zejść ze sceny wcześniej. Jeszcze przed próbą generalną.

- Czyżby strach pana obleciał, panie Seaton?

- Co? - Zamrugął i upił łyk herbaty, już zimnej. Gospodarz zapalił kolejnego papierosa i po chwili znowu otoczyły go kłęby błękitnego dymu, który powoli rozpląwał się w powietrzu. - Nie, ani trochę.

- To wszystko jest na strychu. Piętro wyżej. Trzeba wdrapać się po drabinie. Ja już tam nie wchodzę, od dawna brak mi zręczności. Musiałby pan więc pójść sam. Oczywiście jeśli ma pan na to ochotę.

Jej rzeczy znajdowały się w wielkim kufrze. Na strychu, wcale nie zagraconym, nie było wilgotno, a światło sączyło się przez niewielki świetlik, zabrudzony z zewnątrz przez smugi deszczówki i gołębie odchody. Dom miał płaski dach, była to więc dość duża przestrzeń w regularnym kształcie. Seaton przypuszczał, że znajdzie tam antyki pana Gibsona--Hoare, zardzewiałą broń i może jakieś stare instrumenty muzyczne. Ale rzeczy było niewiele i wszystkie wydawały się bardzo osobiste. Obrazy oparte o jedną ze ścian. Orientalny parawan z lakierowanego drewna, z wizerunkiem żurawia nad kamienistym strumieniem. Kilka starych siedemdziesiątekósemek w spłówałym papierze, na złożonym, mocno podniszczonym stojaku. Kufer Pandory stał w kącie najbardziej oddalonym od światła, jakby w ukryciu. Wieko zdobiły nity z brązu, a nad zamkiem znajdowały się intarsjowane macicą perłową inicjały właścicielki. Lubiła perły, przypomniał sobie Seaton, obracając w palcach

klucz, który dał mu Gibson-Hoare. Nosila na szyi ich sznur tak gruby i długi, że można by z jego pomocą zwodować transatlantyk.

Zamek ustąpił bez trudu i Seaton otworzył kufer, wciągając w nozdrza zapach Pandory, a w każdym razie to, co z niego zostało: cień zapachu, zapewne tak, ale bez wątpienia charakterystycznego dla niej -zapachu perfum, tytoniu i pudru; dawno minionego czasu. Przywodził na myśl cynamon i przedmioty ze skóry. Była w nim też nuta wosku, drogiego mydła i jeszcze czegoś, ostrego i trudnego do opisanja. Seaton przypomniał sobie zdjęcie zrobione w Cafe Royal. I przyszło mu do głowy, że ta kwaskowata woń może być zapachem strachu, który utrzymywał się tu od przeszło pięćdziesięciu lat.

Ta myśl nagle go otrzeźwiła.

Coś poruszyło się w ciemnym kącie za obrazami. Czyżby myszy? Widział ich odchody w mrocznym holu na dole. Nasłuchiwał przez chwilę, oparty o kufer; czekał na chrobot pazurków po podłodze, ale znowu zapanowała absolutna cisza. Nagle uświadomił sobie, że z napięcia na chwilę przestał oddychać. Wziął głęboki oddech, ukląkł, włożył ręce do kufra i wyciągnął z niego trzy stosy jedwabnych pończoch, szalików, halek i koszulek, które położył obok na podłodze.

Robiąc to, nie czuł się dobrze. Mimo wszystko naruszył czyjąś prywatność. Odezwawało się w nim katolickie wychowanie? Tak czy inaczej, były to pozostałości intymnego świata Pandory, a on brutalnie się teraz do niego wdarł. Jeden stos jej ubrań przechylił się i na podłogę zsunęły się halki z lśniacej satyny obszyte ozdobnymi paciorkami. Gryzoń w kącie dobrał się do farby i płótna, cicho, tak żeby nikt go nie usłyszał.

Na dnie kufra leżały większe i cięższe rzeczy. Podniszczona srebrna papierośnica i lornetka teatralna w skórzanym futerale. Spłaszczony kapelusz i dwie pary wysokogatunkowych butów ze znaczkiem francuskiej firmy nadal widocznym na podszwach. Nie znał jej, wiele starych, przedwojennych firm zniknęło z rynku. Obok leżała cynowa piersiówka, także już mocno podniszczona, z wizerunkiem głowy psa po jednej stronie. Seaton pomyślał, że to chyba spaniel. Znalazł też pióro firmy Cross z inicjałami Pandory na złotej zasuwce, w aksamitnym pudełeczku i cygarniczkę z szylkretu. I mnóstwo monet: francuskich franków i centymów, a także angielskich szylingów i sześciokątnych trypensówek.

Wkładając to wszystko z powrotem do kufra, musiał w końcu zadać sobie pytanie, co właściwie tu robi. Samobójcy na ogół nie zastanawiają się nad tym, co zostawią dla potomnych. Ludzie o silnych skłonnościach autodestrukcyjnych z definicji uważają swoje życie za bezwartościowe. Dlaczego więc samobójca miałby się starać, by coś po nim zostało? Prawda jest taka, że przeważnie się nie stara. Jeśli więc Seaton miałby szczerze odpowiedzieć sobie na pytanie, co tu właściwie robi, musiałby przyznać, że traci czas, grzebiąc w smutnych resztkach czyjegoś prywatnego życia, i że powinien przestać.

Pokręcił głową i wziął kolejny głęboki oddech, wciągając w płuca przesiąknięte kurzem powietrze. Chwycił wieko kufra i zaczął go zamykać. Ale kiedy był już prawie zamknięty, nagle znowu go otworzył. A potem pochylił się nad nim, rozłożył palce i przesunął dłońmi po ściankach. I wtedy wyczuł lekkie wybrzuszenie pod materiałem, którym obito wnętrze, przy zamku. I pomyślał, no, to może być coś.

Wyraźnie czuł pod palcami twardy, płaski kształt. Miał mniej więcej piętnaście centymetrów długości i dziesięć szerokości, wypychał obicie na jakieś dwa i pół centymetra. Seaton przykucnął na piętach. Jeszcze raz wyjął wszystko z kufra, ostrożnie, żeby nic nie spadło na podłogę i nie narobiło hałasu. Później przesunął go i odwrócił do światła. Materiał obicia był spłowiały, zniszczony i przetarty trochę wzdłuż krawędzi, ale nie dziurawy. Cokolwiek pod nim ukryto, spoczywało to tam od bardzo dawna. Seaton otarł kciukiem pot z czoła. Jeszcze przed chwilą miał zamiar się poddać, zamknąć kufer i sprawę tajemnic Pandory na zawsze. Tyle że tak naprawdę nie chciał tego zrobić. Gdyby zamknął kufer, uległby głosowi rozsądku i przyzwoitości. Ale tylko jemu. W głębi duszy wiedział, że nie może się poddać, dopóki istnieje choćby cień nadziei. Instynkt dziennikarski po prostu by mu na to nie pozwolił. Teraz miał wrażenie, że wstąpiło w niego nowe życie. Gdyby ktoś go o to zapytał, odparłby, że to ekscytacja. Tak naprawdę jednak było to uczucie triumfu.

Nagle usłyszał muzykę - dobiegała z dołu, z pokoju znajdującego się dwa piętra niżej. Sebastian Gibson-Hoare grał na fortepianie. Gryzoń siedzący za obrazami zareagował błyskawicznie. Rozległ się głośny pisk, obrazy zadrżały gwałtownie. Później znowu zapadła cisza, zwierzę najprawdopodobniej uciekło. Seaton rozpoznał melodię: / *Wonder Who 's Kissing Her Now* I sięgając po ukryty pod materiałem przedmiot, pomyślał, że Gibson-Hoare znalazł niezwykle subtelny sposób radzenia sobie ze szkodnikami.

Myśl była tak absurdalna, że niewiele brakowało, a głośno by się roześmiał. Z podniecenia kręciło mu się w głowie. Nucił pod nosem tę samą melodię, ale znacznie szybciej niż grał ją Gibson-Hoare, utrzymujący wolne, melancholijne tempo. Stary materiał pod naciskiem pękł wreszcie z trzaskiem: Seaton trzymał w ręce płaską paczkę owiniętą ciasno impregnowanym papierem i związaną sznurkiem. Podniósł marynarkę i wyciągnął koszulę ze spodni, mokry od potu, ze świadomością, jak poważnego przestępstwa się dopuszcza. Wsunął paczkę za pasek na plecach, wepchnął koszulę do spodni i opuścił marynarkę. A potem zamknął kufer na klucz i odwrócił zamkiem do ściany. Jakby taka dziecinna sztuczka mogła ukryć kradzież. Z drugiej jednak strony, jak można ukraść rzecz, o której istnieniu nikt nie ma pojęcia? Seaton położył kufer tak, jak wcześniej leżał, wytarł ręce o spodnie i odetchnął głęboko. Zapiął marynarkę i zaraz ją rozpiął, dzień był przecież upalny. Gibson--Hoare wykonywał teraz / *Get a Kick Out of You*. Grał na fortepianie naprawdę dobrze. To po prostu talent, pomyślał Seaton, ten człowiek na pewno nigdy nie potrafiłby się zmusić do regularnych ćwiczeń. Spojrzał na zegarek. Spędził na strychu zaledwie kwadrans. Ostrożnie zszedł po drabinie, cicho zasuwając za sobą klapę.

Piętnaście po siódmej Gibson-Hoare serdecznie go pożegnał i odprowadził do drzwi. Niemal przeproszał za to, że wizyta okazała się bezowocna, choć jednocześnie delikatnie dał Seatonowi do zrozumienia, iż jego oczekiwania były naiwnie optymistyczne.

- Dziennikarstwo to niekoniecznie zgłębianie czyjejś historii, mój chłopcze. Jej źródła leżą często poza naszym zasięgiem. I tak właśnie zapewne jest w przypadku mojej dalekiej kuzynki. Pandora podobno zawsze była tajemnicza i nieuchwytna - wzruszył ramionami.

Podali sobie dłonie. I w ten sposób zakończyli to, co dla Sebastiana Gibson-Hoare było - jak przypuszczał Seaton - zabawnym, choć szybko zapomnianym incydentem.

Musiał znaleźć budkę telefoniczną. We wtorki zwykle już od pół godziny był w domu. Kiedy dzisiaj w końcu do niego dotrze, to z ponadgodzinnym spóźnieniem. Lucinda nie będzie pewnie rwała włosów z głowy, może nawet sama została dłużej na uczelni, powinien jednak do niej zadzwonić.

Na skrzyżowaniu dostrzegł budkę telefoniczną, po przekątnej od małego kiosku z prasą, jednocześnie sanktuarium FC Chelsea, który odwiedził tego ranka.

Wykręcił numer, przyłożył słuchawkę do ucha i zaczął szukać w kieszeni drobnych. Wymacał monetę dziesięciopensową. A zaraz potem dostrzegł potężnego Irlandczyka z kiosku; stał nieruchomo za szybą witryny.

- Halo?

- To ja.

- Witaj.

Ale on wcale nie stał nieruchomo. Owszem, w jednym miejscu, z opuszczonymi rękami, ale wydawał się kołysać na boki, bardzo lekko, niemal niedostrzegalnie.

- Zainteresowało cię zagadkowe morderstwo i nie wrócisz do domu przed północą.

- Jezu, jesteś jasnowidzką.

Lucinda roześmiała się i ten śmiech, po ochryłym chichocie Sebastiana Gibsona-Hoare, zabrzmiał w jego uszach jak muzyka.

- Wysoka blondynka? Ta twoja zagadka kryminalna? Seaton też się roześmiał.

- Cóż, wystarczy, że nie każe mi się rujnować na chartreuse albo ar-magnaca, ile razy idę do baru.

Irlandczyk za szybą swojego sklepu sto metrów dalej był tylko ciemnym kształtem na nieco jaśniejszym tle. Seaton czuł za paskiem skradziony pakunek, twardy i sztywny. Twarz sklepikarza tonęła w cieniu, nie mógł więc rozróżnić jej rysów. Wydawało mu się jednak, że ma otwarte usta, kiedy tak stał, patrząc w okno. Choć w budce było gorąco i duszno, Seaton trząsał się jak w febrze. Aparat telefoniczny wydał cichy, nagłący dźwięk, więc wsunął w szczelinę kolejną monetę.

- Przypuszczam, że ona pije piwo - powiedziała Lucinda. - Prosto z puszki.

- Na ulicy - uzupełnił Seaton.

- W rynsztoku. O której będziesz w domu?

- Najpóźniej o dziewiątej.

- Dam twój obiad psu.

- Przecież nie mamy psa.
- Wezmę jakiegoś bezpańskiego.

Irlandczyk podniósł rękę, jakby wskazywał palcem budkę telefoniczną. Seaton zamrugał. Nie, nie widział dokładnie, co robi ten człowiek. Z tej odległości był tylko niewyraźnym kształtem za szybą, w której odbijało się światło.

- A gdzie tak naprawdę jesteś, Paul?

- Z Mikiem, mamy tu taką nudną robotę. Pewnie wyjdzie z tego jedno ujęcie, i to z daleka.

- Biedak - westchnęła Lucinda.

Nie miał pojęcia, dlaczego skłamał. Zaskoczyło go, że przyszło mu to tak łatwo. Przecież nie umiał kłamać, w każdym razie okłamywać osób, na których mu zależało.

- W takim razie do zobaczenia o dziewiątej.

- Do zobaczenia.

Pchnął drzwi budki i odwrócił się plecami do dziwnej zjawy w oknie sklepu pod drugiej stronie ulicy. Postanowił wrócić metrem na stację Embankment; potem pójdzie pieszo do Victoria Embankment Gardens, usiądzie sobie na ławce i tam sprawdzi zawartość paczki. Chciał zrobić to w dziennym świetle i na otwartej przestrzeni. Ale najpierw znaleźć się jak najdalej od tamtego domu, od Sebastiana Gibsona-Hoare i od wszystkich innych potencjalnych świadków kradzieży. W ogrodach będzie już prawie w domu, zobaczy okna swojego mieszkania, choć z drugiej strony rzeki. Lucinda czasami spacerowała nad Tamizą, nigdy jednak nie przechodziła przez most, więc on obejrzy swoją zdobycz w tajemnicy.

Usiadł w swoim ulubionym miejscu, na ławce przodem do brzegu rzeki, w cieniu jednego z wielkich drzew rosnących wzdłuż alejki. Gubiły już liście, a pochylone ciężkie gałęzie dotykały wody, kiedy podnosił się jej poziom. Tego dnia był dość wysoki; Seaton słyszał plusk i szelest liści. Paczka leżała teraz na zniszczonym upływem czasu, drewnianym siedzeniu ławki, tuż obok. Sznurek wyglądał na mocny, Seaton wiedział jednak, że z biegiem lat sparciał. Podniósł paczkę, zważył ją w dłoni i powąchał żółtawy impregnowany papier, wyczuwając lekko piżmowy zapach tego, co znajdowało się w środku. W końcu szarpnął mocno i sznurek pękł. Seaton zdjął papier i zawartość paczki ujrzała światło dzienne po raz pierwszy od przeszło pięćdziesięciu lat.

Minęła go jakaś para, turyści rozmawiający cicho po włosku. Big Ben za drzewami po lewej stronie wydzwonił kwadrans. Z tyłu, na trawniku, kilku urzędników pod koniec dnia pracy rozgrywało zorganizowany naprędce mecz piłki nożnej; drogowe pacholki służyły im za bramki. Śmiechy i krzyki docierały do niego jak przez mgłę. Z oddali dochodził szum samochodów na Millbank; pluskała woda, łodzie z warkotem silników leniwie sunęły po rzece.

Trzymał w ręce notatnik w błękitnej, marmurkowej okładce, o wymiarach mniej więcej piętnaście na dziesięć centymetrów. Cienkie strony w linie były starannie zapisane czarnym ołówkiem. Na okładce z tyłu zauważył ślady pleśni. Przekartkował zeszytik, ale okazało się, że w środku jest nienaruszony, kompletny. Na odwrotnej stronie okładki znajdowała się mapa południowo-zachodniego odcinka wybrzeża wyspy Wight. Seaton rozpoznał Needles, ciągnące się na zachód za Freshwater Bay. Linie brzegową od Freshwater do Ventnor ten niewielki szkic ukazywał bardzo wiernie i szczegółowo. Mapa obejmowała wąski fragment lądu, sięgając tylko do Brightstone Forest, Calbourne i Cillerton. Na zachodniej granicy Brightstone Forest widniało małe kółko, a pod nim dwa słowa. Dom Fischera.

Seaton był pewny, że paczka nie zawiera zdjęć, jeszcze zanim ją otworzył. W tamtych czasach odbitki wykonywano w innych wymiarach, poza tym wydawała się za lekka. Ale nie rozczarował się, przeciwnie, ogarnęła go euforia. Przekartkował szybko notatnik. Pandora starannie ponumerowała strony, zawsze w górnym prawym rogu. Było ich dwieście.

Za nim piłkarze wkładali koszule i pakowali torby po meczu. Piękna włoska para gdzieś zniknęła. Nad rzeką drzewa szeleściły na wietrze. W gasnącym świetle dnia, w zapadającym powoli zmierzchu Seaton otworzył pamiętnik Pandory na pierwszej stronie i zaczął czytać.

6 października 1927

Przeprawa była okropna. Fale wzburzonego Solentu miały naszą małą łodzią. Podobno latem pływają tu parowe statki wycieczkowe. Przestają jednak kursować na początku września. Później pozostaje już tylko łódź pocztowa, czasem zabiera też

pasażerów. A Fischer lubi tajemnice, więc chciał, żeby wszystko odbywało się po cichu. Dennis, oczywiście, bardzo się ucieszył. W czasie wojny służył w artylerii. Wcześniej jednak przez rok był marynarzem i mówi o sobie, ironicznie, jak sędzę, że pływał wtedy jako majtek. Portsmouth wspomina z nostalgią. Pompeje, tak nazywa to miasto. Wieczorem przed przeprawą uparł się, by po obiedzie zabrać nas do baru na przystani.

Wyszliśmy z restauracji. Ulice były pełne marynarzy. Wyglądali bardzo malowniczo w swoich strojach, wszyscy jednak mieli dobrze w czubie i zachowywali się agresywnie. W barze, do którego zaprowadził nas Dennis, pijany marynarz pozwolił sobie na głośną uwagę o Żydach, patrząc na Fischera. Stał nad naszym stolikiem i nie spuszczał z niego wzroku - potężny mięśniak z podwiniętymi rękawami koszuli, mogliśmy więc zobaczyć przedramiona jak u cyrkowych siłaczy. Z tą różnicą, że całe w tatuażach. Były tam nazwy statków, na których służył, jak przypuszczam. Dennis wstał, jakby miał zamiar się z nim bić. Ale Fischer tylko zachichotał i mruknął coś do niego cicho. Dennis usiadł więc na krześle. Marynarz splunął na podłogę i odszedł. Fischer wyjął pudełko wykałaczek z kieszonki kamizelki. Mój Boże, pomyślałam, chyba nie jest aż tak źle wychowany, by w naszej obecności dłużyć sobie w zębach! On jednak tylko wyciągnął z pudełka jedną drewnianą wykałaczkę i zaczął obracać ją w palcach. Uśmiechnął się szeroko, ale zamiast podnieść wykałaczkę do ust, spojrzał na marynarza, który brylował teraz wśród swoich kompanów. Fischer przez chwilę trzymał wykałaczkę nieruchomo w palcach, a potem, z okrutnym uśmiechem, złamał ją na pół. Parę metrów dalej marynarz w konwulsjach osunął się na podłogę, z jękiem tak przerażającym i głośnym, że wszyscy w barze umilkli.

Dennis szybko zabrał nas stamtąd. Udało mu się jakoś sprowadzić taksówkę i pojechaliśmy do hotelu. Próbowali namówić mnie jeszcze na drinka przed snem, ale w hotelu nie było żadnego miejsca, w którym kobieta mogłaby wypić kielicha w towarzystwie mężczyzn, nie narażając na szwank swojej reputacji. Zostawiłam ich więc w sali bilardowej i poszłam do swojego pokoju. Długo nie mogłam zasnąć. Ciągle miałam przed oczami twarz Fischera, który przez całą drogę powrotną śmiał się z tego, co wydarzyło się w portowym barze, i ze swojej zemsty na marynarzu.

Bo Fischer nie tylko nie jest Żydem, ale szczerze Żydów nienawidzi. Należy do tych Niemców, co to winę za klęskę poniesioną w wojnie składają na karb tajemniczych spisków. Byłam bardzo zaskoczona, widząc, jak tolerancyjny wydaje się Den-

nis wobec tych poglądów, on przecież na własne oczy widział rzeź na froncie zachodnim. Ale Fischer potrafi być czarujący, jest w nim jakiś magnetyzm, który sprawia, że łatwo mu wybaczyć jego prymitywne nieokrzesanie. Obrywa końce cygar zębami. Kiedy czekaliśmy na taksówkę, widziałam, jak splunął na ziemię. Klnie, zazwyczaj po niemiecku, właściwie bez przerwy, nie zważając na towarzystwo. Odrażający fizycznie, pachnie nieprzyjemnie, choć używa drogich mydeł i wody kolońskiej. Jednak odznacza się niezwykłą energią i charyzmą, przyciąga więc uwagę, jakby emanował sobie tylko właściwym, ciemnym światłem, sprawiając, że ludzie krążą wokół niego. Tego chyba nie da się sfotografować. To coś niewidzialnego, niemal hipnotycznego, na podobieństwo cyrkowej sztuczki, tyle że obarczonej ładunkiem ogromnej siły. Tak, on posiada wielką moc, lecz nie sądzę, by mądrze było wykorzystywać ją do mściwych zabaw, takich jak odwet na tym nieszczęsnym marynarzu. Dennis upił się wtedy i pewnie nawet nie zrozumiał, czym dysponuje Fischer, człowiek bogaty i wpływowy. Ale że skrywa jakąś tajemnicę, to Dennis zauważył z całą pewnością.

Nie wierzę, by Dennis naprawdę podzielał przekonanie Fischera co do spisku, będącego przyczyną wojny i takiego a nie innego jej zakończenia. Po prostu jako cynik może być wdzięcznym słuchaczem dla kogoś o takich poglądach. Nie wyrazi wobec nich sprzeciwu, bo brak mu własnych ugruntowanych zasad czy choćby przekonań. Nie wyznaje żadnej religii. Nie pokłada też nadziei w polityce. Prawdopodobnie Fischer naprawdę ma na niego wpływ. Prawdopodobnie Fischer pozwoli w końcu w coś uwierzyć Dennisowi Wheatleyowi, a on tego właśnie pragnie. Tego i siły Fischera, która oczywiście robi na nim ogromne wrażenie.

Wczesnym rankiem przed przeprawą dołączyłam do nich obu w porze śniadania. W restauracji zapalono gazowe lampy, by rozproszyć mrok i zdusić zapach cygar wypalonych tu poprzedniego wieczoru -przesiąkł zasłony i obicia krzesel i wisiał nad nami pod ciemnym kryształem żyrandoli. Kiedy Fischer poszedł uregulować rachunek, Dennis zaczął wspominać, jak łatwo Fischer wziął odwet na bezczelnym marynarzu. Zniszczył go jednym ruchem ręki, powiedział z satysfakcją, krojąc bekon i kiełbaski na talerzyku. Wystarczyła siła jego umysłu. W tym tkwiła jego moc. Aleja, siedząc w tej ponurej sali, wśród brzęku restauracyjnych sztuców, pomyślałam, że jeśli to istotnie moc, to źle wykorzystana.

Nasza łódź płynęła z portu w Portsmouth tego zimnego, wilgotnego poranka, dzielnie walcząc z przypyływem. Okręty wojenne na redzie majaczyły po naszej prawej stronie. Dennis, który stał przy sterze, odwrócił się w ich kierunku i zaszalował. W miękkiej, nieruchomej mgłę wyglądały jak szare, najeżone wieżycami zamki. Woda wokół nas lśniła, pokryta kolorowymi plamami paliwa. Niech żyje Imperium, pomyślałam lojalnie. Mewy trzepotały skrzydłami - krążyły nad morzem i łowiły ryby. Minęliśmy pas ratunkowy, wyrzucony zapewne za burtę komuś, kto nie zdążył się go uchwycić - tak powiedział Dennis, wkładając na głowę białą płócienną czapkę marynarską. Popatrzyłam na ten pas i pomyślałam, że niewiele by pomógł. Fischer, który od śniadania odpowiadał na pytania wyłącznie monosylabami, zamyślony wpatrywał się w pas, wreszcie coś mruknął i splunął.

Płynęliśmy już od dwóch godzin, kiedy uderzył sztorm. Nagle. Wszyscy troje schroniliśmy się w małej sterowni. Dennis zastukał w szklaną tubę barometru obok kompasu i spytał cicho, czy byłam już kiedyś na morzu. Tylko na statku liniowym, odparłam. Bagatela, powiedział i zaśmiał się sucho. Patrząc wcześniej na wznoszącą się i opadającą powierzchnię morza, miałam już dość jego morskich opowieści i zaczynałam uważać go za straszliwego nudziarza. Teraz jednak nagle doceniłam jego doświadczenie. Zgodnie z wyznaczonym kursem mieliśmy ominąć Needles i wypłynąć na otwarte wody Atlantyku. To nie był letni rejs po zatoce doskonale wyposażonym jachtem.

Kazał nam obojgu zejść do jedynej na łodzi kabiny, bardzo ciasnej, jednak żadne z nas nie zaprotestowało przeciw temu niespodziewanemu zesłaniu pod pokład. Kiedy wiatr przybrał na sile i łodzią zaczęło gwałtownie kołysać, twarz Fischera pobladła. Nie wydawał się przestraszony, nie cierpiał też chyba z powodu mdłości. Był ponury i małomówny, nie zrzucił płaszcza, rękawiczek, kapelusza i wełnianego szalika. Przez chwilę siedzieliśmy beczynn timer na twardej kojach, w krępującym milczeniu, i wtedy on zaczął naszą pierwszą prawdziwą rozmowę. Zapytał mnie o Crowleya, o to, co robi i co ja zaobserwowałam. Wyznałam więc, że z tego właśnie powodu tu jestem, na tej chybotliwej łodzi zdanej na łaskę wiatru i fal. Widziałam, co Crowley osiągnął owego wieczoru w Brescii, a potem słyszałam od Dennisa, że jego przyjaciel Klaus Fischer potrafi robić rzeczy, o których Crowley owi nawet się nie śniło. To naprawdę była lewitacja, powiedziałam. Ten człowiek wisiał w powietrzu niemal dwa metry nad ziemią, bez żadnego oparcia. Widziałam kiedyś w

Nowym Jorku Houdiniego; wiem, jaką siłę przekonywania ma czasem iluzja. Ale nie uległam iluzji. Crowley uniósł, a potem opuścił tego człowieka z powrotem na ziemię siłą swojej woli, bez wysiłku, podczas gdy my jedliśmy obiad i rozmawialiśmy przy szampanie na tarasie willi w Brescii nad brzegiem jeziora.

Fischer kiwnął głową. Potężna fala uderzyła w łódź, która przechyliła się nagle. Nad naszymi głowami woda z hukiem spadała na pokład. Powiedział wtedy cicho, że ma więcej szacunku dla rzemiosła Houdiniego niż dla Crowleya i jego magicznych sztuczek, że Crowley skazuje się na potępienie, już jest potępiony. Houdini bawi i zachwyca świat, podczas gdy Crowley tańczy nad krawędzią otchłani. Przypomniałam sobie, co zrobił Fischer za pomocą wykałaczki w barze na wybrzeżu, i uznałam go za hipokrytę. A jednak nic nie powiedziałam. Chyba już wtedy zaczynałam się go bać. Ale dlaczego? Nie potrafiłam sprecyzować. To był instynktowny strach, taki jaki może odczuwać w swojej jamie zając, kiedy słyszy wycie głodnego wilka.

Spytał mnie, czy godzę się na to, co zamierza zrobić, czy wezmę udział w ceremonii, a ja odparłam, że tak. Zaraz jednak wyznałam, zgodnie z prawdą, że ta część rytuału, złożenie ofiary, mnie przeraża. Dla nikogo z nas nie jest to łatwe, odparł. Jego głos, ciepły teraz i miękki, kontrastował z rykiem żywiołu szalejącego wokół nas. Zaczął mówić o nagłych tragediach, które spotykają ludzi. Weźmy choćby tylko ten jeden rok, powiedział. W lutym siedemset osób straciło życie w wyniku trzęsienia ziemi w Jugosławii. Ziemia drży, pochłaniając przypadkowe ofiary. W marcu, przypomniał, umierało w Londynie tysiąc osób tygodniowo z powodu epidemii grypy, wybranych przez los; kim były, nie miało żadnego znaczenia.

Nie znaczy to jednak, że ich nie oplakiwano, zauważyłam.

Wtedy jego oczy błysnęły wyzywająco w mroku kabiny.

Tysiące zginęły wiosną podczas wielkiej powodzi, kiedy wylała Missisipi, powiedział. Ćwierć miliona zabiło trzęsienie ziemi w Chinach. Fischer ciągnął tę litanie cichym, kojącym głosem; mówił o śmierci i o tym, jak jest nieuchronna i bez znaczenia, tak długo, że niemal mnie przekonał. Jaki sens, zastanawiał się, ma życie pełne niezaspokojonych potrzeb i pragnień, w ubóstwie i brzydocie slumsów, pod zasnutym dymami niebem? Przecież wiedzie nieuchronnie do polio i gruźlicy, do anonimowego cierpienia, znoszonego przez lata, które upływają niepostrzeżenie, podobne do siebie jak dwie krople wody. Malował sugestywny obraz dymiących fa-

bryk i cuchnących rynsztoków, brudu i nędzy, ponurych suterren i strychów, angielskich miast w trujących wyziewach kominów. Mówił o smutnym życiu siłą rozpędu, bez cienia nadziei na jakąkolwiek zmianę, poprawę bytu. O życiu, w którym nie ma nic, czym można by się cieszyć czy dodawać sobie odwagi. O życiu - jeśli spojrzeć na nie z chłodnym obiektywizmem - absolutnie bez wartości.

Kiwnęłam głową, choć czułam w głębi serca, że te słowa wcale mnie nie uspokoiły. Nadal przerażała mnie myśl o złożeniu ofiary i miałam rację, kiedy w hotelu przyszło mi do głowy, że Fischer ma hipnotyczną moc.

Dopłynęliśmy w końcu do spokojnego miejsca na zachód od Compton Bay, gdzie człowiek Fischera wyszedł nam na spotkanie i zaniósł nasze bagaże do samochodu, dużego mercedesa. Spacer do samochodu był krótki, zdążyłam jednak odczuć zmianę powietrza. Miało inny zapach, inaczej dotykało skóry, wydawało się czystsze i świeższe, jak powietrze na małych wyspach. Nawet z zawiązanymi oczami wyczułabym tę różnicę. Szkwał przeszedł w ulewę, deszcz padał nieprzerwanie z niskich, ciężkich chmur, gnanych ze wschodu silnym wiatrem. Po podróży nędzną, starą łodzią wewnątrz samochodu wydawało się ciepłe i obszerne, obicia siedzeń pachniały naoliwioną skórą i woskowanym drewnem tekowym. A służący Fischera miał dla nas koce i gorącą kawę w pojemnikach próżniowych.

Zachowywał się uniżenie, z szacunkiem, ale w jego potężnym ciele drzemała potężna siła. Wątpię, czy prowadzenie samochodu to jego największy talent. Mówił po angielsku z ciężkim akcentem. Zapalił silnik, włożył rękawiczki i włączył reflektory. Mercedes był wyposażony w induktor o wielkiej mocy. Dwa potężne snopy światła wyznaczyły żółtą ścieżkę w przesiąkniętej wilgocią ciemności. Dennis poczęstował nas papierosami; wzięłam jeden, a on mi go zapalił. Służący Fischera wrzucił bieg i samochód z rykiem ruszył do przodu. Paliłam, piłam kawę, gorącą i gorzką, i patrzyłam przez zalane deszczem szyby na zielone pola po obu stronach drogi. Wiedziałam, że nie ma już odwrotu.

Przez całą drogę zastanawiałam się, co Klaus Fischer wie, a czego nie wie. Na łodzi pozwolił sobie wobec mnie na jednoznaczny gest, choć tylko musnął palcami moje udo i mogłam to uznać za niezręczną próbę dodania mi otuchy podczas sztormu. Zignorowałam ten gest, by nie urazić Fischera, otwarcie odrzucając jego awanse. Wiem jednak, co naprawdę znaczył. I nie sądzę, by pozwolił sobie na coś takiego, ryzykując ośmieszenie, gdyby wiedział o mnie tak dużo, ile wydaje mu się, że

wie. Nie, on wie o mnie tylko tyle, ile powiedział mu jego przyjaciel Wheatley. Jestem tego pewna. Nie potrafi czytać w myślach. Nie bardziej niż Dennis. Nie potrafi czytać w myślach tak jak Crowley, o czym przekonałam się w Brescii.

Tamtej nocy w Brescii Crowley wróżył mi z kart tarota. Podczas pierwszego rozłożenia milczał. Ale składając je znowu razem, uśmiechał się znacząco. I zrobił aluzję do Safony. Powiedział, że Safona była w swoich czasach sławna z pasji do podróży tak samo, jak ze swej poezji. Wyznał, że miał wizję Safony w mantyli i hiszpańskim jedwabiu. Spytał, czy czytuję angielskiego powieściopisarza D.Ff. Lawrence'a, czy kiedykolwiek uczestniczyłam w ceremonii oddawania czci zmarłym pod wulkanem i czy piłam kiedyś meskal. Na dnie butelki jest robak. Musisz wypić wszystko aż do robaka. Wysunął język, który zakotłosał się lubieżnie między jego poznaczonymi morfiną zębami.

Doskonale znam Meksyk, odparłam, bo o Meksyku, oczywiście, mówił. Powiedziałam mu, że wiele podróżowałam. Powątpiewałam jednak, czy Safona mogła dotrzeć do miejsc, które nie były częścią starożytnego świata.

Crowley uśmiechnął się i rozłożył karty po raz drugi. Siedzieliśmy przy karcianym stoliku na tarasie, parę metrów od reszty towarzystwa.

Willę tę wynajął dla niego jakiś wielbiciel. Crowley miał na sobie ekstrawagancki, barwny strój, jak zawsze podczas rytuałów okultystycznych i spacerów po wybrzeżu w Brighton. Lekceważył konwencje, ulegając próżności i skłonności do ekshibicjonizmu, głównym cechom swojej osobowości. Tego wieczoru włożył surdut i aksamitny krawat przywodzący na myśl wyrzuconego poza nawias społeczeństwa dramaturga, Oscara Wilde'a, którego mógł znać osobiście, bo przecież tego dnia, kiedy wróżył mi z tarota, miał około pięćdziesięciu lat. A uzależnił się od heroiny, miał bladą, idealnie gładką cerę, jak wiele ofiar tego nałogu, i wyglądał na młodszego i znacznie zdrowszego, niż był.

Znał tajemnicę mojej seksualnej predylekcji. Wiedział o Meksyku i powoli upewniałam się, że wie też o Consuelo. Włosy miał dłuższe niż nakazywała moda, opadały mu na oczy i kiedy przyglądałam mu się, pochylonemu nad kartami, nagle podniósł głowę i odrzucił je do tyłu tak jak Consuelo. Dziwne, ale nie poczułam się zagrożona. Zachowywał się fair. Znał moje tajemnice, ale byłam pewna, że nikomu ich nie zdradzi, rozumiałam też bez słów jego zainteresowania, głębsze i mroczniejsze niż czeże plotki.

Może się wydawać, że wybrałam Crowleya - tak, rzeczywiście. Jego kapryśny urok, którego brak nudnemu, germańskiemu do szpiku kości Fischerowi. Spontaniczny Crowley i Fischer, ograniczony, wyrachowany. Crowley rozkoszuje się swoją magią, bawi się jej niebezpiecznymi możliwościami. Fischer chce ją wykorzystać z chłodną precyzją inżyniera.

Zanim od niego odeszłam, zapytałam jeszcze, czy to prawda, że zabił tych ludzi na Singalila Ridge podczas podejścia na Kanchenjunga w 1905. Zabiła ich lawina, odparł, tasując karty. Spytałam więc, czy nie denerwują go plotki, że on to zrobił. Odpowiedział, że ani trochę. Zirykowało go tylko to, że lawina podobno zmiotła ekspedycję na wysokości sześciu tysięcy metrów. W rzeczywistości dotarliśmy aż na wysokość siedmiu i pół tysiąca metrów, powiedział. Byliśmy już niemal na szczycie, kiedy los wydał wyrok.

Siedział odwrócony plecami do jeziora za kamienną balustradą. Woda wydawała się całkowicie czarna. Ktoś śpiewał tenorem arię operową, na pokładzie jakiegoś jachtu czy też może w ogrodzie, gdzieś daleko, w każdym razie na drugim brzegu. Głos niósł się po wodzie, docierał do nas wraz z towarzyszącym mu akompaniamentem, niepokojąco czysty i piękny. Wokół głowy Crowleya krążyły świetliki, otaczając ją jak księżycowa poświata albo aureola świętego na renesansowym fresku.

O górach mówił z wielkim entuzjazmem. Spytał, czy moim zdaniem Irvine i Mallory zdobyli Mount Everest trzy lata wcześniej, kiedy widziano ich, jak znikali w chmurze zaledwie kilka metrów od szczytu. Wzięli ze sobą aparat fotograficzny, powiedział. Mógłby dostarczyć dowodu ich sukcesu. Czy jako profesjonalistka uważam, że to możliwe? Zastanowiłam się. Mieli mały aparat firmy Kodak, odparłam, a ja lepiej znam leicę, której zwykle używam. Wiem jednak, że był to solidny, dobry aparat, odpowiedni do potrzeb tej ekspedycji. A w rozrzedzonym powietrzu na tak dużej wysokości negatyw nie ulegnie zniszczeniu. Panuje tam tak niska temperatura, że śnieg nigdy nie topnieje. Film nie będzie więc też wystawiony na działanie wody. Jeśli tylko aparat nie został zniszczony podczas upadku, a film prześwietlony - tak, to możliwe, powiedziałam. Film można odnaleźć i wywołać; zagadkę rozwiązać. Zapytałam go, czy sądzi, że Irvine i Mallory zdobyli szczyt.

Wiem, że tak, odparł. George Mallory sam mi powiedział, że siedzieli na Dachy Świata, tam uścisnęli sobie dłonie, podzielili się resztkami czekolady i zatknęli małą

flagę, a potem uwiecznili to na zdjęciach, zużywając pół rolki filmu. Potem ruszyli w drogę powrotną i podczas zejścia zginęli. Zmarli nie kłamią, dodał.

Wstał, by odejść, a kiedy się odwrócił, zobaczyłam kilka małych nietoperzy: przyczepiły się do jego aksamitnego surduta na plecach.

Crowley potrafił czytać w moich myślach. Możliwe, że potrafił też odczytać mój los, choć jeśli tak rzeczywiście było, umiał zachować twarz pokerzysty. Fischer, mimo całej swojej charyzmy, nie posiada takich talentów. A Dennis jest ślepy na wszystko poza własnymi wybujałymi ambicjami. Moje prawdziwe preferencje zdumiałyby go, wiem o tym. Widziałam wczoraj tryumfalny błysk w jego oczach, kiedy wyjmował z kieszeni zapalniczkę i zapalał mojego papierosa. Już uważa mnie za swoją zdobycz. Zdobycz, która tylko czeka na formalne potwierdzenie w łóżku. Obawiam się, że w jego przypadku byłaby to istotnie jedynie formalność. Ale jego oczy niewiele widzą. A w każdym razie widzą jak przez mgłę.

Opisałabym chętnie dom Fischera, tu, w tym wspaniałym odosobnieniu, w lesie, na wyspie. Ale jestem zmęczona. Będę miała więcej okazji do notowania jutro, w wigilię ceremonii, kiedy przyjadą inni goście.

Nie pozwolono mi zabrać ze sobą aparatów, muszę więc spisywać swoje spostrzeżenia i odkrycia. Męczą mnie to. A język, o czym jestem coraz bardziej przekonana, to bardzo niedoskonałe narzędzie.

Seaton przerwał lekturę, bo zaczęło zmierzchać. Słońce zachodziło, niebo za rzeką, nad BATERSEA, poróżwiało. Wydłużały się cienie drzew, listowie zdawało się z każdą chwilą gęstnieć i ciemnieć, a kryjące się w nim ptaki żegnały dzień przeciągłymi trelami. Myślał o Sebastianie Gibsonie-Hoare w jego świecie alkoholu i błękitnego dymu francuskich papierosów. Myślał o Irlandczyku, chwiejącym się za szybą swojego sklepu jak w narkotycznym transie. I o wizji Pandory, która go nawiedziła - ojej ciele na brzegu rzeki w Shadwell. Ta straszna śmierć kontrastowała z barwnym życiem kobiety, której pamiętnik trzymał teraz w rękach. Ostrożnie za-

mknął notatnik, zawinał go z powrotem w impregnowany papier i włożył do kieszeni marynarki. Zmieścił się, choć klapka kieszeni była lekko uniesiona.

Potrzebował czasu, by się nad tym wszystkim zastanowić. Wiedział, że nie może powiedzieć Lucindzie o kradzieży. A nie przychodziło mu do głowy żadne inne wiarygodne wyjaśnienie, jak zdobył ten dziennik. Czuł, że pozwoli mu on na prawdziwy wgląd w umysł i motywy postępowania tajemniczej, utalentowanej artystki, wiedział jednak, że nie będzie mógł go wykorzystać. Aby to zrobić, musiałby ujawnić, skąd go ma, a tym samym przyznać się do kradzieży. Był wtorkowy wieczór. Do następnego piątku, kiedy to powinien zakończyć pisanie liczącej osiem tysięcy słów, wnikliwej, rzetelnej pracy na temat Pandory Gibson-Hoare, zostało nieco ponad tydzień. Pamiętnik rzucał zupełnie nowe światło na nią. Już sam fakt, że była lesbijką, zmusiłby badaczy do spojrzenia na tematykę i symbolikę jej prac z innej perspektywy. Tak jak i to, że dała się zwieść popularnej w owym czasie fascynacji magią.

Nie mógł się doczekać chwili, kiedy znowu podejmie przerwana lekturę. Docho-
dziła dziewiąta. Gdyby wrócił teraz do domu i zjadł kolację z Lucindą, mógłby później wybrać się do Windmill, usiąść przy stoliku w kącie i czytać jeszcze przez godzinę, do zamknięcia pubu, słuchając melancholijnych soulowych ballad. Na myśl o tym ogarnęło go takie podniecenie, że znowu uświadomił sobie, iż to już obsesja, a nie zwykłe zainteresowanie ciekawym tematem.

Obsesja? Nie, chyba to za mocne słowo. Teraz w ogrodach było całkiem ciemno. Pewnie zamknęli już bramy. Dostrzegł światło latarki policjanta, szedł wzdłuż ogrodzenia po chodniku Millbank. Tak naprawdę to tylko jego dziennikarska pasja, instynkt, talent, skupione teraz na intrygującej kobiecie, która żyła w niezwykłych, trudnych czasach. Z Lucindą nie miało to już wiele wspólnego, to musiał przyznać. Stojąc tam, w gęstniejącym mroku, pod drzewami, Seaton uznał nagle za bardzo ważne, by nie oszukiwał się co do swoich motywów i nie zwiódł Lucindy.

Tak, fascynacja tajemnicą Pandory Gibson-Hoare nie miała żadnego związku z Lucindą, jednak zrodziła się z jego głębokiej, szczerzej chęci, by jej pomóc. Będzie musiał jakoś napisać tę pracę. I postara się zrobić to jak najsumienniej. Spróbuje włączyć w to informacje uzyskane od Boba Halliwella, zasugerować, że odosobnienie Pandory pod koniec życia było wynikiem świadomego wyboru, a nie konsekwencją bankructwa. Mógłby wykorzystać też kontakt z firmą Vogel & Breene, napisać, że jej fotografowie używali masowo produkowanej leiki i skrupulatnie dbali o

swój sprzęt. A na poparcie tych słów przytoczyć fakt, że firma przechowywała w doskonałym stanie jeden z aparatów Pandory. I spytać Młodszeo Pana Breene'a o ograniczenia techniczne wczesnych aparatów marki Leica i filmów, jakie do nich produkowano. Był pewny, że Breene chętnie z nim o tym porozmawia. Napisze tę pracę tak dobrze, jak tylko potrafi. Nie zawiedzie Lucindy.

Wielki dzwon nad budynkiem Parlamentu zaczął bić. Uderzył dziewięć razy. A Paul Seaton, stojąc w ciemnościach Victoria Tower Gardens, uroczyście właśnie to przysiągł samemu sobie: nie zawiedzie Lucindy.

7 października 1927

Crowley tu jest! Przybył dziś po południu z jakąś Egipcjanką. Naprawdę ucieszył mnie jego widok, zwłaszcza że służący Fischera przez cały dzień przywoził tu mercedesem bardzo nudne i groteskowe postaci. Crowley rozpoznał mnie natychmiast i dał mi to do zrozumienia, unosząc lekko brew i otwierając usta, jakby chciał powiedzieć: Twoja tajemnica jest bezpieczna. Od czasu kiedy widziałam go ostatnio, zaledwie rok temu, w Brescii, gwałtownie się postarzał. Stracił większość włosów, a jego skóra przybrała woskowy odcień. W oczach miał jednak figlarne błyski. I wyglądał niezwykle barwnie w jedwabnym cylindrze, getrach i płaszczu, z mahoniową laską o srebrnej gałce w ręce. Wspierał się na lasce, wchodząc z wysiłkiem na schody do domu. A ja ze smutkiem uzmysłowiłam sobie, że kiedyś ten człowiek brał udział w wyprawach w Himalaje, na Dach Świata. Sam doprowadził się do takiego stanu. Przykro jednak na to patrzeć.

Ale wyprzedzam fakty; najpierw przecież powinnam opisać dom. Fischer mieszka wśród niezwykle wystawnej brzydoty. Na ścianach wiszą ogromne kobierce, oświetlone przez kinkiety. Na nagich, kamiennych podłogach leżą skóry niedźwiedzi i wielkich kotów, to pewnie myśliwskie trofea Fischera. Wszystkie pokoje na dole ogrzewane są ogniem płonącym w wielkich kominkach, przez co w całym domu unosi się zapach sadzy i żywicy. Wszystko to razem daje efekt przepychu w cokolwiek średniowiecznym stylu. Nie ma tu nic, co raziłoby prostackim nowobogac-

twem. Tyle że trudno nie ulec wrażeniu sztuczności, spotęgowanemu jeszcze przez autentyczność użytych tu materiałów i zgromadzonych sprzętów.

Chcę przez to powiedzieć, że dom wygląda tak, jakby został zaprojektowany i umeblowany na potrzeby jakiegoś filmu; jakby był elementem scenografii, pełnym niezwykłych rekwizytów. Nie zmieniał się powoli wraz ze swym mieszkańcem; po prostu taki powstał od razu, co zapewne kosztowało krocie. Mimo jednak atmosfery jak w teatrze wszystko tu jest prawdziwe. Na ścianie w bibliotece wisi tarcza, a pod nią dwa skrzyżowane miecze. Dotknęłam ostrza jednego z nich i teraz na kciuku mam głębokie, krwawiące rozcięcie. To dom człowieka, który sam siebie stworzył. Dlatego wydaje się taki nowy. A jeśli miejscami sprawia wrażenie niewykończonego, to dlatego że dzieło tworzenia trwa. Jeszcze nie dobiegło końca. Finał nastąpi dopiero podczas ceremonii ofiarnej, kiedy Klaus Fischer stanie się tym, do czego aspiruje.

Nasz doppelganger Dempseya jest Amerykaninem włoskiego pochodzenia, urodzonym w Chicago. Rozmawiałam z nim przez chwilę, kiedy przyniósł bagaże do mojego pokoju. Znam trochę Chicago, co pomogło nam przełamać lody. Był kiedyś bokserem i walczył podobno z Dempseyem, a także z Tunneyem. I z Harrym Grebem, pięściarzem, który - jego zdaniem - był lepszy niż Dempsey i Tunney razem wzięci. Ma na imię Giuseppe, Joe dla przyjaciół, jak powiedział. W Chicago pracował dla człowieka o nazwisku Capone, czy o nim słyszałam? Odparłam, że nie, i spytałam, czy pan Capone jest znajomym Klausu Fischera. Giuseppe wydawał się rozbawiony tym pytaniem. Pod koniec naszej krótkiej rozmowy uścisnęliśmy sobie dłonie. A raczej moja ręka zniknęła w jego wielkiej dłoni jak płotka w paszczy reki-na. W tym człowieku wyczuwałam jakiś głęboki smutek, jakąś tajemnicę. Dopiero przy nim po raz pierwszy pożałowałam, że nie mogłam przywieźć tu moich aparatów. Mój nowy znajomy Joe byłby bardzo interesującym modelem.

Między posiadłością Fischera a otaczającymi ją lasami nie przebiega żadna widoczna granica. Po prostu im dalej od domu, tym drzew jest coraz więcej, aż w końcu przechodzą w las, tak gęsty, że nawet teraz, gdy opadły liście, miejscami nie sposób się przez niego przedrzeć. Myślę, że to jeden z tych nielicznych lasów, które przetrwały na angielskiej ziemi od czasów dynastii Plantagenetów znanych z namiętności do polowań. Nietrudno wyobrazić sobie tu niedźwiedzie buszujące w gęstwinie czy twardymi pazurami zdzierające korę z potężnych drzew. To miejsce od-

osobnienia. Wątpię, prawdę mówiąc, czy Klaus Fischer kiedykolwiek zapuścił się między te drzewa. Czułby się w tym mateczniku nieswojo. Czułby się zagubiony.

To bardzo angielskie miejsce, nie mam co do tego wątpliwości, choć królewskie polowania to tylko romantyczna wizja powstała w mojej wyobraźni. Niewiele wiem o historii tej wyspy, może to, że królowa Wiktorja utrzymywała ściśle związki z Wight. Spędziła wiele miesięcy w Osborne House, oplakując przedwczesną śmierć swego małżonka. A przecież Wiktorja nie była Angielką, a w każdym razie w jej żyłach nie płynęła angielska krew. Była Niemką, tak jak mój gospodarz. I sądzę, że tak jak jego, najbardziej pociągała ją w tej wyspie atmosfera izolacji. Łatwo tu skryć się przed światem.

Można przyrzeć się domowi Fischera od strony lasu, jego wysokim ścianom i samotnej wieżyczce nad dachem. W wieżyczce znajduje się pokój gościnny, poinformował mnie Dennis. Odparłam, że nie miałabym ochoty tam sypiać, choć nie jestem zbyt lękliwa. Stojąc na zewnątrz, odnosi się wrażenie, że układem okien wieżyczki rządzi jakaś dziwna geometria; osadzone są głęboko w murze, a kanciaste kształty przywodzą na myśl coś groźnego i dzikiego. Ciemne szyby nie odbijają światła. Dennis tylko lekko się uśmiechnął i powiedział, że pokój w wieży domu Fischera zarezerwowany jest dla gości wyższej rangi.

I gość wyższej rangi przybył właśnie dziś. Przyleciał samolotem, wylądował na Freshwater Bay. Zdołał tu dotrzeć mimo okropnej pogody, co dobrze świadczy o jego umiejętnościach jako pilota. Jest Niemcem, tak jak Fischer. I tak jak Fischer skrywa skłonność do tycia, nosząc eleganckie, doskonale skrojone ubrania. Miał na sobie wspaniałe buty do konnej jazdy i płaszcz z naszytymi wstążkami i medalami. Został nimi odznaczony, walcząc podczas wojny nad polami Francji. Sądziłam, że Dennisa będzie razić ta ostentacja. On jednak, jak się okazało, znał tego człowieka i najwyraźniej go lubił, skoro nie tylko podał mu dłoń, ale i serdecznie go uściskał. Niemiec był zachwycony lasem; słyszałam, jak wieczorem, przy koktajlach, zapytał gospodarza, czy jest tu wiele zwierzyny łownej. Nie, odparł Fischer ze śmiechem, ale zaraz dodał, że prawdziwy drapieżnik zawsze potrafi coś upolować.

W lesie płynie strumień, natknęłam się na niego wczoraj podczas krótkiego spaceru, kiedy tylko przyjechałam i rozpakowałam bagaże. Jest głęboki i rwący, zapewne wskutek dreszczów - od dłuższego czasu padają niemal nieprzerwanie. Może to zresztą nie strumień, lecz mała rzeka, wąska i dlatego taka wartka? Tak czy inaczej,

głęboka i ciemna, stanowi zbyt niebezpieczną przeszkodę, bym chciała przez nią przebrnąć. Odcina mi drogę, pomyślałam. Nie ma stąd ucieczki. Wzdrygnęłam się.

7 października 1927, później

Dużo później! Rano będzie pojedynek. Prawdziwy pojedynek, w którym ktoś może zostać ranny albo nawet zabity. Podobno chodzi o obronę czyjegoś honoru. Wydaje się to takie anachroniczne. Za kilka godzin dwóch mężczyzn ruszy wzdłuż rzędów zaparkowanych na podjeździe bentleyów i rolls-royce'ów, najbardziej ostentacyjnych symboli statusu naszej ery techniki. Znajdą jakieś odludne miejsce. I rzucają się na siebie ze szpadami. Ale już w chwili, gdy piszę te słowa, zaczynam sobie uświadamiać brak spójności mojego rozumowania. W końcu przyjechaliśmy tu oddawać się magicznym obrzędom. My, którzy entuzjastycznie przyjęliśmy nowoczesność, czerpiąc z tego nierzadko znaczące zyski. A przecież nie ma chyba nic bardziej obcego chłodnej kalkulacji rozumu niż tajemna wiedza i rytuały czarnej magii, a to one nas wszystkich tu przywiodły.

Tak czy inaczej, pojedynek to absurd: uzyskanie „satysfakcji” przez kogokolwiek jest zdecydowanie mniej pewne niż odniesienie niebezpiecznych ran przez jednego, a może obu mężczyzn. Jeden z nich jest istotnie zaprawiony w pojedynkach wszelkiego rodzaju. To oczywiście nasz Niemiec, awiator, który przybył tu wczoraj udekorowany odznaczeniami zdobytymi w pełnej chwały i sławy wojskowej przeszłości.

Wieczór zapowiadał się obiecująco. Był to oczywiście wieczór krwawego bankietu, pierwszego z ceremonialnych posiłków, które musimy spożyć przed złożeniem ofiary. Zjawił się tu też pewien Amerykanin, producent filmowy. Przywiózł ze sobą nową filmową sensację, obraz *The Jazz Singer*, który, dzięki nowej technice zwanej dubbingiem, ma własny dźwięk. Mowa jest zsynchronizowana z ruchami ust, więc aktorzy mówią swoimi głosami. W tym filmie, dramacie muzycznym, aktorzy także śpiewają. Fischer urządził tu salę z projektorem, a rozrywka ta została zaplanowana wcześniej na popołudnie poprzedzające bankiet. Biorąc pod uwagę pogodę, był to strzał w dziesiątkę i mile widziana odmiana.

Ale gwiazdą tego filmu jest Al Jolson. A Al Jolson to zamerykanizowany Żyd. Ci z nas, którzy o tym nie wiedzieli, zostali szybko uświadomieni przez niemieckiego awiatora. Oznajmił głośno, że nie zamierza przez dwie godziny oglądać jakiegoś litewskiego Żyda, udając, że świetnie się bawi. Kilku innych gości, już podpitych, zachęconych jego szyderstwami, zaczęło buczeć i tupać. Po paru minutach Amerykanin przerwał projekcję i włączył światła. Wściekły, odwrócił się do awiatora.

Myślę, że bardziej interesowała go w tej chwili jego własna godność niż reputacja Ala Jolsona czy wartość samego filmu. Na rękach miał bawełniane rękawiczki, by nie zanieczyścić kliszy filmowej przy nawijaniu jej na szpule. Potężny to mężczyzna, ten producent z Hollywood, muskularny i silny, o zimnych, okrutnych oczach. Zdjął jedną z rękawiczek i uderzył Niemca w twarz. Awiator wydawał się zaskoczony, ale tylko przez moment; potem uśmiechnął się do Amerykanina i skłonił się dwornie; zapewne obowiązywał taki protokół pojedynku; wyzwanie rzucone i przyjęte pod wpływem emocji i alkoholu.

Dennis twierdzi, że wszystko to jest śmiertelnie poważne. Niemiec często się wcześniej pojedykował, za młodu należał nawet do studenckiego stowarzyszenia pojedykowego w Heilderbergu. Amerykanin natomiast, Włoch z pochodzenia, był w college'u mistrzem fechtunku i osiągnął poziom tak wysoki, że należał do reprezentacji kraju w szermierce podczas igrzysk olimpijskich. Wszyscy mężczyźni tutaj sprawiają wrażenie bardzo podekscytowanych perspektywą walki i rozlewu krwi. Kobiety udają obojętność, ale wydaje mi się, że także są podniecone.

I ja mam podobny mały problem. Ranka na opuszcze kciuka nie chce się zagoić. Palec jest spuchnięty, a z rozcięcia sączy się ciecz o słodkawym zapachu. Zdezynfekowałam go i zabandażowałam, ale czuję, że mam chyba gorączkę, i boję się, że wdała się infekcja. Poza tym coś innego, ważniejszego mnie niepokoi. Rozpisałam się o kłótni w sali kinowej, pojedynku i zranionym palcu, by uniknąć tego tematu. Muszę go jednak w końcu podjąć, bo nie mogę przestać o tym myśleć. To sprawa istotniejsza i pilniejsza niż cokolwiek innego.

Od miesiący wiedziałam o ceremoniach i złożeniu ofiary, miałam więc dość czasu, by przygotować się na to, co wiąże się rytuałami, które zostaną tu dokonane. Jednak dziś wieczorem odbył się krwawy bankiet. Straszny bankiet. W wielkiej jadalni, do której wchodzi się przez bibliotekę, sali wyłożonej ciemną boazerią w wymyślne wzory. Służba przygotowała zimny bufet i obsługiwaliśmy się sami. Było

nas trzynaścioro, rzecz jasna. Jedliśmy, siedząc wokół długiego stołu na środku sali, przy świetle świec i akompaniamencie głośno grającego gramofonu lśniącego nowością, pachnącego metalem i bakelitem. Dźwięk z tuby jest ostry i wyraźny. To jeszcze jedna niepokojąca sprzeczność między średniowiecznym wystrojem tego domu a jego nowoczesnym wyposażeniem. Na początku muzyka była całkiem przyjemna, operowe arie śpiewali Caruso i świetny irlandzki tenor John McCormack. Jednak w miarę upływu czasu nastawiano coraz bardziej ponure płyty. Ragtime - jego proste, hipnotyzujące rytmy zawsze wydawały mi się dziwnie złowieszcze. A później, oczywiście, jazz. Rozpoznałam kilka melodii w wykonaniu Paul Whiteman Orchestra z Biksem Beiderbeckiem jako solistą grającym na trąbce. Potem nasz gospodarz nastawił Red Onion Jazz Babies. Widziałam ich w ubiegłym roku w Chicago, a teraz mogłam jeszcze raz usłyszeć wirtuozów instrumentów dętych: Sydneya Becheta i Louisa Armstronga w *HeebieJeebies*, jednym z najpopularniejszych kawałków. Spojrzałam ukradkiem na Niemca Góringa, spodziewając się jakiejś uwagi na temat „czarnuchów” i ich muzyki. Nic jednak nie powiedział. Tego wieczoru zaprzętały go inne sprawy. Muzyka stawała się coraz bardziej dzika, rozbuchana.

Co to jest? - spytałam w pewnej chwili Fischera, kiedy rozległ się przeciągły fortepianowy lament. Może zresztą tylko ja tak to odbierałam. Ciągle miałam gorączkę. To pewnie przez ten zraniony kciuk.

Fats Waller, odparł, uśmiechając się szeroko. Nigdy nie słyszałam o Fatsie Wallerze.

Mijały godziny; goście nie żalowali sobie wina i szampana, nie pogardzili też opium i kokainą. Na ogół zachowywali się w sposób boleśnie przewidywalny. Niektórzy jednak potrafili zaszokować. Pod koniec bankietu Egipcjanka przywieziona przez Crowleya się rozebrała. W jej pępku tkwił jakiś szlachetny kamień, sutki miała przebite złotymi kółkami o splocie przypominającym sznur. Przez chwilę wyginała się w rytm muzyki, wykonując coś w rodzaju tańca brzucha, potem położyła się na wznak na stole, paląc cygaro w pochwie. Ta sztuczka, o której słyszałam, choć nigdy jej nie widziałam, wzbudziła aplauz wielu mężczyzn. Kiedy cygaro wypaliło się do połowy, Fischer wyjął je z pochwy, rozżarzył koniuszek kilkoma szybkimi pociągnięciami, po czym wetknął z powrotem zapaloną stroną. Kobieta jęknęła, z bólu i z rozkoszy, a po pokoju rozszedł się zapach palonego ciała, włosów i seksualnej ekstazy. Znowu rozległy się okrzyki, zaraz jednak Egipcjanka zsunęła się ze stołu i ucie-

kła, by się ubrać. Spojrzałam na jej egzotycznie umalowaną twarz - była zupełnie bez wyrazu.

Wkrótce potem przyprowadzono ofiarę, by każdy mógł się jej przyjrzeć. Nie przyniesiono jej w trumnie; nieszczęsna istota drżała owinięta w obszerny, zapinany na guziki płaszcz jak zwierzyna ukryta przez kłusownika. Nie mogłam uwierzyć, że dzięki niej Fischer stanie się wszechmocny. To przecież dziecko, mały, roztrzęsiony chłopczyk w spodniach i koszuli, kiedyś białej, teraz zszarzałej ze starości. Sześć-, siedmioletni. Niedożywiony. Wydawał się zagubiony i wystraszony, spoglądał na dziwne towarzystwo, przed którym stał, nieufnie, jakby zobaczył senne zjawy. Jeśli jednak śnił, to nie miał się już obudzić. Przytrzymał spodni jedną ręką, chroniąc swą dziecięcą godność. Gumka najwyraźniej sparciała albo pękła.

Goście zaczęli klaskać, a ja jednocześnie głęboko współczułam temu dziecku i brzydziłam się tym, co zamierzaliśmy wkrótce zrobić. W uszach dźwięczały mi słowa, wypowiedziane przez Fischera na łodzi. A potem Giuseppe poderwał chłopca z podłogi, ruszył do drzwi i po chwili zniknęli. Nagle zrozumiałam, co wyrażała twarz służącego Fischera. Cokolwiek kazał mu robić jego poprzedni pracodawca, pan Capone, nie było to coś takiego.

Spojrzałam na Dennisa. Czerwony i spocony, oczy ciągle miał jeszcze zamglone po występie Egipcjanki. Zapomniałam, że to sadysta. Popatrzyłam na innych gości, wszyscy byli pijani albo czymś odurzeni, wszyscy z wyjątkiem tych dwóch, których rano czekał pojedynek. Oni siedzieli przy stole, daleko od siebie, w ponurym milczeniu. Przypuszczam, że każdy z nich w głębi duszy żywił nadzieję, iż trzeźwość wieczorem pozwoli mu następnego ranka zyskać przewagę nad przeciwnikiem. Przyglądałam się ludziom w smokingach i balowych sukniach i miałam wrażenie, że moje perły zaraz zmienią się w garść bezwartościowych kamyków na szyi intruza. Boja nie jestem jedną z nich.

Nie jestem. I nigdy nie będę. Bez względu na teorie Fischera nie przyłożę ręki do zamordowania niewinnego dziecka. Wiem, to absurdalne, ale Fischer najbardziej zraził mnie do siebie tym, że skłamał, mówiąc na łodzi o polio. Dziecko nie zostało okaleczone. Jest wychudzone, blade, przerażone, ale zdrowe. Zresztą, zdrowe czy kalekie, to bez znaczenia. Nie mogę wziąć udziału w morderstwie dziecka. Nie mogę.

Kiedy o tym myślałam, Crowley podniósł głowę i spojrzał na mnie. Siedział w fotelu w rogu sali z kielichem wina w ręce. Okrągła orientalna czapeczka zakrywała jego łysiejącą czaszkę. Powoli obrócił kielich w palcach, stukając stopą w zapinanym na guziki getrze w posadzkę. Stukał tak, jakby nigdy nie miał przestać. A jednak nagle przestał. I uśmiechnął się do mnie. On, oczywiście, wiedział.

8 października 1927

Poszłam z Dennisem zobaczyć pojedynek. Gorączkę miałam wyższą niż poprzedniego dnia, a Dennis zauważył, że jestem bardzo blada. Giuseppe, w padającym nieprzerwanie deszczu, wyrównywał grabiami żwir na podjeździe. Spod podwiniętych rękawów wystawały jego potężnie umięśnione przedramiona. Kiedy usłyszał mój głos, podniósł głowę i uśmiechnął się do mnie, ale w jego oczach czaił się smutek i strach. Samochody przed domem przykryto brezentem, nieruchome i milczące pod takimi całunami, wyglądały jak korpusy wielkich maszyn. Tylko na jeden samochód nie narzucono osłony; krople deszczu spływały po jego czarnej, lśniącej karoserii, nie mogąc zatrzymać się na idealnie gładkim lakierze.

Nie wszyscy przyszli na pojedynek. Kilka osób - poprzedniego dnia uczestników bankietu - o dziesiątej leżało jeszcze zapewne w łóżkach. Inne stały przed domem w płaszczach narzuconych na pizamy. Przybyli fotografik z Rotterdamu i dwaj przemysłowcy, z Lille i z Antwerpii, którzy lubili grywać razem w karty. A także armator z Gdańska i właściciel kasyna z Marsylii. Może przyjął zakłady. Cóż za żalosne towarzystwo, nijakie, markotne... oczy nabiegłe krwią, oddech zalatujący alkoholem i tytoniem. Gadali, brnąc przez las. Byłam jedyną wśród nich kobietą.

Fischer potrzebował do swoich rytuałów trzynastu osób, postanowił więc nie ryzykować. Główni bohaterowie mieli na sobie ochronne stroje. Ich klatki piersiowe zakrywała gruba skóra, ręce ze szpadami chroniły specjalne rękawice, a wyżej pikowane rękawy. Ich nóg jednak nie zabezpieczono. Teraz rozciągali się i ćwiczyli, przygotowując się do walki. Ich bronią były rapiery; stare, lecz śmiertelne, o ostrzach niestępionych przez czas, które podczas ćwiczeń cięły powietrze ze złowieszczym świstem. Fischer przywołał przeciwników do siebie i kazał im włożyć

okulary i hełmy, podobne do tych, jakie noszą motocykliści. Obaj wydawali się bardzo spokojni i starali się nie patrzeć sobie w oczy. Obaj też zażartowali, kiedy podawał im instrukcje, sprawdzał ostrza i klamry ochraniaczy. Słyszałam jego spontaniczny, ochryply śmiech, którym odpowiadał na ich dowcipy.

Na miejsce pojedynku wybrano płaską polankę porośniętą wysoką, zieloną trawą, jakieś sto metrów od domu. Zauważyłam, że Crowley krąży po lesie, najwyraźniej obojętny na to, co się dzieje. Miał na sobie haftowaną tunikę, jaką mógłby nosić Merlin albo inny czarnoksiężnik. Sięgała mu niemal do stóp. Nagle uświadomiłam sobie, że naprawdę zaczynam się go bać. Przeraza mnie bardziej niż Klaus Fischer. W Brescii tak głupio pozwoliłam mu się uwieść. Teraz patrzyłam, jak sunie między drzewami i paprociami po dywanie suchych liści; wiedziałam, że to on zabił swoich towarzyszy podczas tamtej wyprawy wiele lat temu. Zostali złożeni w ofierze, tam, na Singalila Ridge. Crowley i Fischer - cóż za podobieństwo. Dla nich władza jest wszystkim. I zapłacą za nią każdą cenę.

Podszedł do nas człowiek Fischera z butelką w ręce. Otworzył ją i poczułam silny zapach gorącego rumu z masłem. Natychmiast dostałam mdłości, tak gwałtownych, że omal nie zwymiotowałam. Giuseppe podał obu mężczyznom srebrne kubki, a oni podnieśli je i wypili drinka. Ręce nawet im nie zadrżały; to naprawdę imponujące, biorąc pod uwagę, co mieli zaraz zrobić. Ale awiator zabijał na wojnie, dostał za to wiele odznaczeń. A producent filmowy także wyglądał na człowieka, który bez chwili wahania potrafi odebrać komuś życie.

Myślę, że wojna ma z tym wiele wspólnego. Zakończyła się dziewięć lat temu, ale nadal kładzie się na nas jej cień. Życie tak bardzo straciło na wartości. Znikła wiara. Zastąpiła ją pogoń za tym, co nowe i sensacyjne. Gdyby porównać czasy, w jakich żyjemy, do rozwoju człowieka, okazałby się on trupem, niekiedy wskutek wstrząsów pobudzających do życia, a raczej do jego żalosnej namiastki. Jak to wyraził Eliot? „Nie sądziłem, że śmierć zmieniła tak wielu”.

Sam pojedynek skończył się szybko. Trwał najwyżej dwie, trzy minuty. Odbył się ze zdumiewającą prędkością i gwałtownością, której nie zapowiadały długie i trochę nudne przygotowania. Szczęk stali zabrzmiał głośno i ostro w nieruchomym powietrzu poranka. Obaj mężczyźni byli bardzo doświadczeni w walce, ale Amerykanin wydawał się zwinniej szy i to on zakończył pojedynek, raniąc Niemca w tętnicę szyjną. Na trawę trysnęła jaskrawoczerwona krew. Niemiec dyszał ciężko. Za-

chwiał się, upuścił rapier, zdjął rękawicę i wyciągnął dłoń do przeciwnika. Liczył się honor. W lesie panowała taka cisza, że można było słyszeć, jak krople krwi kapią na ziemię w rytmie bicia serca Niemca, który stawał się coraz bledszy. Znowu się zachwiał, jakby zaraz miał upaść. Pomyślałam, że Fischer jednak nie będzie miał swojej trzynastki. Göring ciągle stał z wyciągniętą dłonią. Amerykanin podszedł do niego, uścisnął ją i powiedział coś, czego nie dosłyszałam, ale jego głos brzmiał pojednawczo, obraza została zapomniana i teraz oglądałam już tylko pantomimę męskiej, braterskiej troski. Niemiec się uśmiechnął i zaraz potem obok niego pojawił się Crowley. Giuseppe o smutnej twarzy podniósł broń z ziemi. A Crowley zaczął wykonywać rękami jakieś ruchy. Niezbyt dobrze widziałam je z tej odległości, ale zauważyłam, że trzymał czarną chusteczkę. Krwawienie nagle ustało. Krew ścięła się w powietrzu, krople zaczęły się kurczyć i po chwili zniknęły z trawy. Na policzki Niemca wypłynął rumieniec. Urywany oddech na powrót stał się głęboki i równy.

Ja, powiedział do Crowleya ciągle jeszcze słabym głosem. Ja, gut.

Usłyszałam, jak Crowley mówi do niego: Stracił pan wiele krwi, może nawet litr. Proszę pić mleko i porter. Jeść czerwone mięso. Najlepiej surowe. Niech pan odpocznie, a jutro o tej porze będzie pan jak nowo narodzony. I ranny Niemiec, opierając się na ramieniu Fischera, poprowadził naszą dziwną procesję z powrotem do domu, na śniadanie. Ja szłam na końcu, przede mną Giuseppe niósł zakrwawioną broń. Czułam, jak mocno wali mi serce, żołądek podchodził mi do gardła. Miałam wielką ochotę zapalić papierosa, wiedziałam jednak, że to mi nie pomoże. Rozejrzałam się wokół, zastanawiając się, gdzie trzymają tego chłopca, swoją ofiarę. Kręciło mi się w głowie, byłam wyczerpana upałem i utrzymującą się gorączką.

Nagle pojawił się przede mną Crowley. Jego oczy płonęły, dziwaczne wzory na tunice przypominały labirynt, który przyciągał mój wzrok, by mnie zgubić. Crowley ujął moją dłoń i zsunął z kciuka bandaż, wilgotny teraz i lepki. A potem włożył mój kciuk do ust i zaczął ssać. I wyssał ze mnie tę truciznę. Czułam, jak opuszcza ona moje ciało. Inaczej nie potrafię tego opisać. Zadrżałam i zaraz zrobiło mi się znacznie lepiej.

W Windmill przy Lambeth High Street odezwał się dzwonek obwieszczający przyjęcie ostatnich zamówień. Z małych głośników na półce nad barem płynął głos Marvin'a Gaye'a, opłakującego swojego przyjaciela Abrahama. W szklance na stoliku czekała reszka piwa. Seaton owinął dziennik Pandory w impregnowany papier, wsunął go do kieszeni marynarki, dopił piwo i ruszył pieszo do domu.

Lucinda siedziała na kanapie z podwiniętymi nogami, szkicowała coś węglem na dużej kartce papieru i popijała chartreuse. Grała muzyka, Seaton rozpoznał album Cowboys International, jedną z ulubionych płyt Lucindy. Często jej słuchała. Tym razem jednak muzyka tylko delikatnie się sączyła. Lucinda nastawiła ją po to, by nie siedzieć w ciszy. Dla towarzystwa. Wpadające przez na wpół zasunięte żaluzje światło ulicznej latarni rzucało zielony cień na oparcie kanapy.

- Jak było w pubie?
- Pusto.
- Tylko ty i jasnowłosa amatorka cydru? .
- I właściciel.
- Intymnie.
- Bardzo.
- Windmill we wtorkowy wieczór. Od razu widać, że wiesz, jak zrobić wrażenie na dziewczynie.
- No pewnie.

Lucinda wyprostowała się, odsunęła rysunek i przekrzywiła lekko głowę. Seaton zauważył, jak piękne były jej oczy, lekko zmrużone, by mogła lepiej ocenić wartość swojego dzieła.

- Mogę zapytać cię o coś na serio?
- Tak - odparł.
- Naprawdę myślisz, że uda ci się zdobyć coś do mojej pracy pisemnej, Paul?
- Mam już coś na oku.
- Nie próbuj mnie zbyć. - Uśmiechnęła się do niego.
- Biorę wolne na cały przyszły tydzień - powiedział. - Dam radę, wierz mi.
- Dzwonił twój brat. W niedzielę chcą całą paczką popływać po Highgate Ponds, jeśli nie nastąpi załamanie pogody.

- Nie nastąpi - zapewnił ją Seaton i pstryknął w żaluzję, wiszącą nieruchomo w otwartym oknie. - Te upały nigdy się nie skończą.

- Mimo to postanowiłeś włożyć marynarkę. Żeby pójść do pubu.

- Muszę przecież gdzieś schować portfel - odparł, zdjął marynarkę i powiesił ją na wieszaku w przedpokoju. Cały czas czuł niedyskretne wybrzuszenie kieszeni po lewej stronie, z pamiętnikiem Pandory.

- Chodź tu do mnie, Paul. Usiadł obok niej.

- Zamierzasz przeprowadzić dochodzenie na temat popijającej cydr blondynki?

Lucinda odłożyła rysunek. Pogłaskała Seatona po włosach i policzku. Pocałowała go. Jej wargi były słodkie i trochę lepkie od chartreuse.

- Chcę ci tylko podziękować za to, co dla mnie robisz. Za urlop, który bierzesz w przyszłym tygodniu, i tak dalej. To takie miłe. Jesteś taki dobry.

Pocałował ją w szyję, wciągając w nozdrza zapach jej perfum. Poczul miękki dotykanie jej miodowych włosów i bijące od niej ciepło. Otworzył oczy; nie pamiętał, kiedy je zamknął. Zielony cień jej szklanki drżał lekko na oparciu kanapy w sodowym świetle latarni. Za oknem rozległ się stukot kopyt, podkutych żelazem. Policjant na koniu, przemknęło mu przez głowę, choć myślał tylko o wdzięku i urodzie Lucindy i cienkich ramiączkach jej koszulki na opalonej letnim słońcem skórze.

- Kocham cię - powiedział. Naprawdę ją kochał.

Cały następny dzień pocił się ze strachu, spodziewając się telefonu od oburzonego właściciela domu przy Moore Park Road, który odkrył kradzież. Ale telefon nie zadzwonił. Przez nieobecność w pracy poprzedniego dnia miał teraz do zrobienia dwa razy więcej niż zwykle. Był więc bardzo zajęty. Tego wieczoru, jak zwykle we środę, odbywało się posiedzenie rady Hackney w pełnym składzie i to on miał się zająć tym tematem. Takie posiedzenia zaczynały się zwykle koło dziewiętnastej i czasami trwały aż do rana. Relacjonowali je przeważnie dwaj dziennikarze, na dwie zmiany. Seaton wziął pierwszą, bo mieszkał najdalej. Na ogół te nerwowe, pełne emocji spotkania obfitowały w teatralne gesty i niewybredne słowa. Przede wszystkim jednak była to polityczna pirotechnika. W mocno lewicowej i dość radykalnej radzie Hackney znaczną przewagę mieli labourzyści, ale większość decyzji podejmowano na poziomie komitetów. I to tam łatwiej było o dobry temat - nie na posiedzeniach całej rady, lecz wśród protokołów spotkań w mniejszym gronie. Dwaj etatowi dziennikarze, Terry Messenger i Tim Cooper, mieli prawdziwy talent do tych

rzeczy, nie tylko jednak talent, wyróżniali się też wytrwałością i dociekliwym podejściem. Seaton natomiast wiedział, że jest zbyt leniwy, by należycie się do tego przyłożyć. Wolał przestępczość, łatwiejszy temat. Nawet kiedy sprawa się gmatwała, łatwiej było przełożyć ją na historię dla prasy niż mętną retorykę lokalnej polityki. Tak czy inaczej, musiał obserwować to posiedzenie. Może wydarzy się jakiś bojkot, obraza, demonstracja. Czasem dochodziło nawet do aktów przemocy. „Gazette” karmiła się takimi sensacjami i nie mogła sobie pozwolić, by coś takiego przeoczyć.

Zanim jednak wyszedł z redakcji, zadzwonił do Boba Halliwella.

- Micky, mój chłopcze! Co słyszeć? Gdzie moja butelka scotcha?

- Mam skrzynkę chivas opatrzoną twoim nazwiskiem, Bob, ale najpierw musisz spełnić moją prośbę.

Halliwell milczał przez chwilę, a kiedy się odezwał, mówił przyciszonym głosem.

- Chcesz obejrzeć rzeczy po Pandorze Gibson-Hoare.

- Skąd wiesz?

- Przecież jestem gliną, Mick. I to nie byle dupkiem, jak ci się czasem wydaje.

Dlatego wiem też, że chciałbyś również zobaczyć raport z autopsji.

- To możliwe?

- Rozbudziłeś moją ciekawość, pogrzebałem więc trochę i sam go wczoraj przeczytałem. To rutynowy raport. Dość nudny.

- Może coś wydało ci się niezwykle? - Seaton przyciskał słuchawkę do ucha, czekając, co policjant zdecyduje się mu powiedzieć.

- Owszem. Brakowało jej kciuka u prawej dłoni. Został amputowany u samej nasady. W dość brutalny sposób.

Wrócił do pamiętnika dopiero w czwartek wieczorem. Lucinda była na próbie swojego dyplomowego pokazu; odbywał się późnym popołudniem w college'u. Patrick, Greg i inni chłopcy uznali to za doskonały pretekst, by sobie wypić. Tak jakby kiedykolwiek potrzebowali do tego pretekstu. Mieli zamiar obejrzeć próbę, a potem pójść z Lucinda i kilkorgiem jej przyjaciół z wydziału na otwarcie nowego baru w Soho. David Haliday namalował tam freski na ścianach i dostał kilka zaproszeń na darmowe drinki.

- Nie mam nic przeciw temu, żeby pójść tam z Patrickiem - powiedziała Lucinda.
- Ale wolałabym z tobą.

Lubiła Patricka. Teraz już nie nazywała go Grubym Jankesem.

- Muszę podgonić trochę z tym tematem.

- Męczennik.

- Tekst sam się nie napisze.

- Pozdrów ją ode mnie.

W czwartek wrócił po pracy do domu, po czym ćwiczył mniej więcej godzinę w klubie przy Fitzroy Lodge. Hagler i Duran ponuro przyglądali mu się ze ścian. Później wziął pamiętnik i poszedł do Windmill.

8 października 1927

Opiszę teraz, w jakich okolicznościach poznałam Dennisa. Było to na balu, niedługo po śmierci mojego ojca. Odziedziczyłam po nim między innymi piwnicę z winami. Ktoś z towarzystwa skrzywił się, kosztując marnego gatunku, a ja napomknęłam, że mam kilkaset butelek lepszych win, które leżakują, wzgardzone, pod Mayfair, i że z przyjemnością się tym zapasem podzielę. Powiedziałam to głównie do Edwina Poole'a, mojego dalekiego, trochę młodszego ode mnie kuzyna, bankowca czy ubezpieczyciela. Odparł, że zna pewnego człowieka, sławnego w Lloyds handlarza win, on mógłby mi pomóc pozbyć się piwnicy z zyskiem i, naturalnie, dyskretnie. A potem zabrał mnie do Dennisa: siedział przy stoliku po drugiej stronie sali i rozprawiał o pieśniarce Bessie Smith i diabelskiej muzyce w ogóle. Był trochę pijany i bardzo wesoły, może nie przystojny, ale dość atrakcyjny, jak to ludzie z jego środowiska. Miał kilka odznaczeń z czasów wojny i monokl. Wydawał się zbyt młody, by nosić monokl, wciśnięty w oczodół jak teatralny rekwizyt. Pomyślałam, że próbuje dodać sobie w ten sposób powagi. Zaraz jednak, idąc z duchem czasu i ówczesnej mody, uznałam monokl i ostentację, z jaką nosił odznaczenia, za przejaw niepewności. W tym towarzystwie niepewność wydawała się raczej zaletą niż wadą. Ot, młody człowiek szuka swojego miejsca w świecie. I odniosłam wrażenie, że posiada naprawdę ogromną wiedzę na temat diabelskiej muzyki zwanej jazzem.

Kiedy spotkał się ze mną w domu mojego ojca, zaskoczyło mnie, że kiedyś go znał. Sprzedawał mu wina. O dziwo, byli po imieniu. Mówił o moim ojcu „pan Gib-

son-Hoare" z grzeczności i szacunku do mnie, ale dwa razy pomylił się i nazwał go, ciepło, Sebastianem.

Byliśmy już w piwnicy, kiedy zauważyłam, że nosi bransoletkę. Mężczyzna i bransoletka? Niezwykłe. Małe figurki runiczne z brązu nanizane na cienki srebrny łańcuszek. Musiał zauważyć, że się jej przyglądam, ale nie zareagował. Zastanawiałam się, czy bransoletka należy do jakichś tajemniczych insygniów, jakie noszą serwujący wino kelnerzy. Może jej właściciel jest znawcą wina czy kimś w tym rodzaju. Choć dla tak gaelickiej profesji odpowiedniejsza byłaby kokarda czy medalion. Pomyślałam też, że ten człowiek jest masonem lub członkiem innego tajnego stowarzyszenia. Może nawet wysokim rangą. Oni przecież noszą sygnety z dziwnymi symbolami, amulety i tatuaże - to ich zabawki, tajemne znaki. A takie stowarzyszenia są bardzo modne. One i, dla kontrastu, psychiatria.

W końcu, kiedy nasłuchiwałam się o aukcji win, zapytałam go o bransoletkę wprost. A on uśmiechnął się do mnie, choć jego oczy pozostały poważne. I powiedział: „To pakt, panno Gibson-Hoare”.

Zaskoczona, zapytałam, czy mógłby ją zdjąć, bo chciałam się jej lepiej przyjrzeć. Pani nie rozumie, odparł. Noszenie tej bransoletki należy do umowy, której warunki zgodziłem się przyjąć. Zdejmując ją, ryzykowałbym coś więcej niż życie.

Uwierzyłam mu. Tak po prostu. Stojąc tam, w tej mrocznej, cichej piwnicy, wiedziałam, że nie skłamał. I chciałam dowiedzieć się więcej o tej tajemnicy, o tej umowie i o tym, z kim została zawarta. Z czasem zaczął mi o tym opowiadać. Poznałam innych akolitów. Uczestniczyłam w ceremoniach i widziałam niezwykle rzeczy. Potem Dennis przedstawił mnie Klausowi Fischerowi. Słyszałam o jego ambicjach i śmiałych planach. I, oczywiście, poznałam Aleistera Crowleya.

Kusi mnie, by napisać, że to mnie zgubiło. Bo siedząc tu, w tym domu sprawiającym wrażenie upiornej świątyni, czuję się jak w pułapce, skompromitowana, a nawet przerażona. Do dzisiejszego bankietu zostało zaledwie kilka godzin. Będzie to kolejne rozpustne, libertyńskie przyjęcie. Wydaje mi się, że zebranemu tu towarzystwu brak tej nieokiełznanej energii i wzajemnej fascynacji, by wieczór zakończył się prawdziwą orgią. Sądząc jednak z ekscesów, do jakich doszło wczoraj, może być ostro. Okrutny Amerykanin i ranny kabotyn Góring na pewno będą w odpowiednim nastroju. Myślę jednak, że Crowley się tu nudzi, a to raczej niebezpieczne. Pewnie zobaczymy tu jeszcze bardziej zdumiewające rzeczy niż te drobne cuda, którymi nas

dzisiaj uraczył. To spektakl Fischera, Crowley jednak jest wyraźnie zazdrosny i zirytowany faktem, że tym razem światła nie są skierowane na niego. Nie sędzę, by usiłował sabotować ceremonię, to zbyt niebezpieczne. Ale chwilami mam wrażenie, że on z trudem nad sobą panuje. Nie rozumiem, dlaczego Fischer go tu zaprosił. Chyba że to zaproszenie jest symbolicznym gestem, by zademonstrować swoją wyższość.

Jeśli ceremonie odbędą się zgodnie z planem, Fischer powoła do życia bestię, która w dowód wdzięczności obdarzy go ogromną wiedzą i władzą. Czy demony rozumieją, co to wdzięczność? Czy sprowadzony na ziemię potwór zechce wywiązać się z obietnic wobec człowieka?

Układ wydaje mi się bardzo ryzykowny. Ale nie dojdzie do niego. I to nie z powodu Crowleya i jego magii. Bestia się nie narodzi, bo efekt ostatniej ceremonii zależy od ofiary. A ofiara nie zostanie złożona. Ponieważ zamierzam ocalić to dziecko.

Więc jednak napisałam te słowa. I wcale nie było to aż tak trudne. Bo przecież postanowiłam ocalić chłopca w chwili, kiedy po raz pierwszy go ujrzałam. Od tamtej pory bez przerwy, choć z początku nieświadomie, zastanawiałam się, jak tego dokonać. Najpierw miałam nadzieję, że uda mi się zrealizować mój plan z pomocą Giuseppe o smutnych oczach. Ale podczas lunchu zapytałam amerykańskiego producenta o pana Capone, wysłuchałam kilku historii na jego temat i teraz poważnie wątpię, czy nasz Joe ma jeszcze w piersi serce, do którego mogłabym się odwołać. Jestem więc zupełnie sama.

Fischer złożył mi propozycję. Chce, bym jego aparatem marki Rollei wykonała portrety wszystkich członków tego sabatu czarownic. I jego, naturalnie; usiądzie na tronie, który zajmie jutro podczas bankietu i ceremonii złożenia ofiary. Mam zrobić zdjęcia przed lunchem, a potem oddać mu niewywołany film. Portretów powinno być trzynaście, ktoś więc musi zrobić mój. Po lunchu zamierzam wymknąć się z domu i odszukać miejsce, w którym trzymają chłopca. Muszę znaleźć go dzisiaj, bo jutro może być już za późno. Obawiam się, że jeśli zabierze mi to dużo czasu, zabraknie mi odwagi. Jeśli więc Bóg istnieje, teraz wzywam jego pomocy.

8 października 1927, później}

Dwie rzeczy, jedna bardzo istotna, druga po prostu ciekawa. Znalazłam miejsce, w którym uwięzili chłopca. Ale opowiem wszystko po kolei, pomoże mi to zachować spokój. Zauważyłam, że opisywanie tego szaleństwa pozwala mi zostać przy zdrowych zmysłach. Zacznę więc od sesji portretowej; przebiegła bez zakłóceń. Crowley jest próżny i na jego twarzy przyjemność, jaką czerpał z pozowania, walczyła o lepsze z pewnym napięciem, które zinterpretowałam jako wyraz podejrzliwości. Chyba mnie lubi, przynajmniej tak jak innych. Uzdrawienie, którego dokonał dziś rano po pojedynku, było tyleż aktem współczucia, co popisem. Czuję jednak, że mi nie ufa.

Dennis ma bladą, dość pospolitą twarz i trochę znużone, może nawet cyniczne spojrzenie. Coś w nim przywodzi mi na myśl zsiadłe mleko.

Fischer, bardzo spokojny, siedział bez ruchu na swoim tronie i wyglądał jak gotująca się do skoku ropucha.

Wydaje mi się, że Egipcjanka jest zahipnotyzowana. Porusza się w transie, jakby ktoś ją zaprogramował. Jej oczy są puste, bez wyrazu. To może być skutek działania narkotyku, jakiegoś bardzo mocnego środka, który ktoś wpompował w jej żyły. Sztywnym krokiem podeszła do tronu i bezwładnie osunęła się na podłogę. Przypomniało mi to historie o żywych trupach na Haiti, opowiedziane mi przez Dennisa. Kiedy spojrzałam na nią przez soczewkę, wrażenie jeszcze się spotęgowało, a mnie ogarnął nagle tak wielki niepokój, że przez chwilę nie potrafiłam utrzymać aparatu nieruchomo.

Niemiecki awiator nosił pod płaszczem gorset. Jestem tego pewna. Wydawał się znacznie szczuplejszy i bardziej zgrabny niż poprzedniego dnia. Błady z powodu upływu krwi, trzymał się jednak prosto i była w nim jakaś niezwykła, żołnierska godność. Osobliwi ludzie. Reszta niczym im w tej osobliwości nie ustępowała, nie warto jednak, bym wszystkich tu opisywała.

Wyjęłam film z aparatu i udało mi się zamienić go na jeden z nienaświetlonych negatywów. Nie potrafię odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego to zrobiłam. Po prostu postanowiłam, że nie oddam filmu. Nie miałam dość czasu, by odpowiednio naświetlić klatki, wszystko odbywało się z szybkością fabrycznej linii produkcyjnej. Sądzę jednak, że powstaną cenne zdjęcia. Rollei to doskonały aparat, a film był pierwszorzędnej jakości. Ukryłam więc rolkę i mam nadzieję, że zdołam ją odzyskać. Leży pod obłuzowaną deską podłogową w pokoju u szczytu schodów, który

Fischer rezerwuje dla swoich najważniejszych gości. Jak już wspomniałam, nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Nie sądzę jednak, bym kiedykolwiek musiała się z tego tłumaczyć. Do czasu, kiedy moje małe oszustwo wyjdzie na jaw, dopuszczę się aktu znacznie poważniejszej zdrady niż kradzież negatywu.

Po lunchu, kiedy niemal wszyscy drzemali w swoich pokojach, zobaczyłam, jak Giuseppe wynosi z kuchni zebrane do wiadra resztki z naszego stołu. Jedliśmy bażanta w sosie ostrygowym i jego charakterystyczny zapach pozwolił mi się domyślić, co zawiera wiadro. Padał deszcz, suche liście spadły już z drzew i nasiąkły wodą. Giuseppe nie słyszał więc, że za nim idę. Raz zatrzymał się, jakby wyczuł, że nie jest sam. Jego potężne ramiona znieruchomiały pod przeciwdeszczowym płaszczem, a ja poczułam, że włoski na karku podnoszą mi się z przerażenia, jak sierść wystraszonego kota. Przystanął, ale się nie odwrócił.

Kluczył między gęsto rosnącymi drzewami, a ja skradałam się za nim; wkrótce usłyszałam daleki, jednostajny szum. Z każdą chwilą przybierał na sile, zrozumiałam, że zbliżamy się do rwącego strumienia - rzeki? - przecinającego las. Znajdowaliśmy się na wschód od ścieżki, którą przed paroma dniami dotarłam do strumienia. Nie spuszczałam wzroku z potężnej sylwetki mężczyzny przede mną; udawało mi się iść po jego śladach cichutko, by nie trzaskały łamane gałązki, tak by żaden hałas mnie nie zdradził.

W końcu dotarłam na brzeg strumienia. Stała tam niewielka szopa z drewnianych desek; dach pokryty papą, ani jednego okna, tak niska, że nawet dziecko by się w niej nie wyprostowało. Domyśliłam się, że w środku musi panować nieprzenikniona ciemność. Szpary między deskami zostały zasmałowane, wywiercono jednak kilka małych otworów wentylacyjnych mniej więcej w połowie wysokości ścian.

Zbudowano ją chyba niedawno. Nawet z miejsca, w którym się zatrzymałam, ukryta za szerokim pniem drzewa, widziałam żółtawy pył powstały przy piłowaniu desek; odcinał się wyraźnie od ciemnego poszycia lasu. Słyszałam ryk lodowatej wody. Zaczęłam się zastanawiać, czy to nieszczęsne dziecko może zasnąć w tym ogłuszającym hałasie. W ciemnym, ciasnym więzieniu. Czy ma na sobie jakieś ubranie? Mój Boże! Ręce, przyciśnięte do pnia drzewa, zaczęły mi drżeć ze zdenerwowania, miażdżąc zielony mech na korze. Z trudem się opanowałam. Byłam wstrząśnięta okrucieństwem tych ludzi i zła na siebie, że biorę w czymś takim udział.

Polio.

Dziecko slumsów.

Tak ujął to na łodzi Fischer? Lepiej umrzeć, niż żyć. Ogarnął mnie gniew. Oburzona, drżałam z wściekłości, stojąc w tym obojętnym, ociekającym deszczem lesie. I wtedy usłyszałam głos, ludzki głos, czysty i wyraźny, niezagłuszony rykiem strumienia. „Peter, Peter? Przyniosłem ci coś do jedzenia”, krzyczał Giuseppe.

A więc chłopiec ma imię.

Giuseppe postawił wiadro na ziemi i schylił się; wtedy zobaczyłam, że osadzone na dwóch zawiasach drzwi z desek zabezpiecza tylko pojedyncza kłódka.

Wycofałam się. Bałam się zobaczyć tego chłopca przed zaplanowaną ucieczką, no i że zostanę zauważona, co skończyłoby się katastrofą dla nas obojga.

Seaton podniósł wzrok znad pamiętnika, świadom, że zbliżył się niebezpiecznie do jego końca. Pozostało jeszcze około trzydziestu stron, ale Pandora zapisała tylko kilka. Poszedł do baru, kupił piwo, potem usiadł i potarł powieki, wpatrując się w błękitną okładkę notatnika. To tragiczna historia. Domyślił się tego, czytając o okaleczonej dłoni Pandory. Crowley musiał odwrócić swój cud uzdrowienia, z zemsty albo najzwyczajniej złośliwie. Pandora popełniła samobójstwo dziesięć lat po wydarzeniach opisanych na stronach, które właśnie przeczytał.

Pomyślał, że wie już, co było dalej. Upił łyk piwa i jednak znów otworzył notatnik, zastanawiając się, czy coś mogło ocaleć z tej tragedii.

9 października 1927, godzina 8.15 rano

Jakże źle oceniłam biednego, smutnego Giuseppe, uważając, że nie ma serca; pracował przecież dla pana Capone, gangstera i zabójcy z Chicago, człowieka, który władzę zawdzięcza kijom baseballowych, ciężkim butom i ostrym brzytwom. Nie przyszło mi do głowy, że w głębi duszy tak bardzo cierpiał.

Znaleźliśmy go dziś rano. Siedział na mokrej ziemi pod ścianą na tyłach domu; przyłożył lufę pistoletu do podbródka, pociągnął za spust i rozwalil głowę. Pozostała tylko różowawa miazga mózgu. Olbrzyma, który stawał w szranki z Dempseyem,

Tunneyem i Harrym Grebem, pokonało jego własne sumienie. Był katolikiem i jego katolickie sumienie okazało się jedynym przeciwnikiem, z którym nie mógł się ani równać, ani uniknąć starcia.

Znam wszystkie te upiorne szczegóły, ponieważ to ja i Dennis natknęliśmy się na ciało. Bankiet poprzedniego wieczoru był dość spokojny, wszyscy starali się oszczędzać energię na dzisiejszą ceremonię. Egipcjanka, zabawka Crowleya, pozwoliła, by ukąsił ją w szyję wąż, wywabiony z koszyka, który Crowley nagle wyjął spod stołu. Fischer wymamrotał jakieś zaklęcie i zneutralizował jad. Sądzę, że akt ten miał być symbolem pojednania tych dwóch magików. Szyja dziewczyny wyglądała potem okropnie, sina i zakrwawiona. Węża wypuszczono. Kiedy szłam do mojego pokoju, leżał owinięty wokół jednej z nóg stołu.

Dziś rano wpadłam przed domem na Dennisa. Czy też raczej on wpadł na mnie. Spacerowałam po podjeździe, paląc papierosa. Myślę, że Dennis zobaczył mnie z okna swojego pokoju. Nie było w tym nic niezwykłego czy podejrzanego. On zawsze wcześniej wstaje, bez względu na ekscesy poprzedniego wieczoru. Twierdzi, że to nawyk wyniesiony ze służby w marynarce wojennej. Poszliśmy za dom: a nuż przez kuchenne okno podadzą nam kawę, jeszcze przed śniadaniem? I natknęliśmy się na ciało - Giuseppe miał na sobie prążkowane spodnie i granatową kamizelkę, a pod ramieniem skórzaną kaburę, nasiąkniętą wodą, a więc zwłoki leżały tam już od jakiegoś czasu. Dennis zauważył, że Giuseppe użył kuli dum-dum, ulubionej amunicji gangsterów. Żadne to dla mnie zaskoczenie, tak postępują ci, którzy przeżyli wojnę. Wydają się odporni na poczucie straty, obojętni na nagłą śmierć. Przyjmują bardzo modną teraz wśród nich postawę.

Ja sama byłabym bardziej wstrząśnięta, gdybym poprzedniego dnia nie poszła za służącym do szopy wybudowanej dla chłopca. Nie chcę nikogo osądzać, ale nadal uważam, że to niewybaczalne okrucieństwo. Nadal. Giuseppe przynajmniej nie przyłożył ręki do jeszcze większej zbrodni.

Dennis powiedział, że powiadomi Fischera o tej śmierci. Będą musieli dyskretnie pozbyć się ciała. A potem dodał coś zaskakującego: Szkoda, że Giuseppe nie uznał za stosowne opuścić nas dwadzieścia cztery godziny później. Spytałam dlaczego. Narodziny, odparł. Samobójstwa mogą być bardzo przydatne dla tego, co Fischer ma zamiar powołać do życia.

To ostatnie słowa, jakie piszę w notatniku. Piszę je w swoim pokoju, podczas gdy inni zebrali się przy zwłokach Giuseppe. Ten tragiczny finał ściągnął wszystkich, zważywszy na ciszę i bezruchu w całym domu. Ja jednak się boję i jestem czujna. Nie mam nawet odwagi pójść po negatyw ukryty na samej górze. W tamtym pokoju coś mnie niepokoi. Nie weszłabym do niego znowu, z własnej woli. Zresztą teraz i tak nie ma na to czasu. Przez cały dzień nie widziałam dziś Crowleya i bardzo się tym denerwuję.

Muszę iść po chłopca. Po raz pierwszy w życiu muszę wykazać się prawdziwą odwagą, a nie tylko śmiałością i pewnością siebie. Zabrałam mosiężny pogrzebacz z typowych zestawów kominkowych i chcę otworzyć nim kłódkę. Mam pieniądze. I orientuję się w topografii tej wyspy. Modlę się, by chłopiec okazał się tak zdrowy, jak wygląda. W kciuku znowu czuję bolesne pulsowanie. Może to tylko moja wyobraźnia? Wspomnienie bólu?

Boże, dopomóż mi.

Boże, dopomóż nam obojgu.

Pandora Gibson-Hoare.

Seaton przerzucił puste strony na końcu pamiętnika; nic więcej nie znalazł. Przeczytał wszystko. Niewiarygodne, jak dzielna była ta kobieta. Biorąc pod uwagę złudzenie, którego doznawała, wykazała się ogromną wręcz odwagą. Czy została zahipnotyzowana? A może uległa sile autosugestii? Dopił piwo i przyniósł sobie z baru kolejny kufel. Usiadł i słuchał *Who 's That Lady?* w wykonaniu Isley Brothers, najweselszej chyba piosenki ze składanki właściciela pubu, zdecydowanie odmiennie od całej reszty. Właśnie zadał sobie to pytanie: Kim była ta kobieta?

W Nowym Jorku widziała Houdiniego. Pojechała do Włoch na spotkanie z Aleisterem Crowleyem. Interesowała się magią, choć, paradoksalnie, była dzieckiem epoki, która jak żadna inna zachłysnęła się rozwojem technologii. Cztery lata wojny światowej przyspieszyły postęp naukowy i oszołomieni ludzie lat dwudziestych z

trudem rozeznawali się w tym nowym świecie. Coś kazało im się przeciw niemu buntować. Ówczesne zainteresowanie okultyzmem było bardzo dobrze udokumentowane, trudno jednak odgadnąć, do jakiego stopnia osoba tak inteligentna, wykształcona i obyta jak Pandora mogła ulec charyzmie szarlatanów pokroju Crowleya, Fischera, i im podobnych szaleńców. Narodziny bestii. Chryste Panie, pomyślał Seaton. Przywołanie demona. Ofiara z ludzkiego życia.

Był trochę zaintrygowany odniesieniami do chłopca. Może Peter stał się ujściem dla instynktu macierzyńskiego Pandory, zadośćuczynieniem za jej preferencje seksualne? Ale przecież kiedy pisała o sobie, wydawało się, że nie odczuwała żadnych wyrzutów sumienia z tego powodu. Ze zrozumiałych względów bardzo dyskretna, nie sprawiała jednak wrażenia dręczonej poczuciem winy. Była jeszcze młoda, a w życiu, jakie prowadziła, nic nie wskazywało na to, by marzyła o macierzyństwie, podobnie jak te jej prace, które widział. Nie. Wątpił, by prawda o niej kryła się w naciąganych freudowskich teoriach, raczej wyjawiał ją dramat reżyserowany przez Fischera, w którym chłopiec był aktorem, a wszystko razem teatralnym widowiskiem. I jeszcze ten gość z Hollywood. Każdemu, kto nie uległ złudzeniu magii tak jak Pandora, już sam ten fakt mógł dać do myślenia.

Cytat z Eliota za Dantem, odniesienie z pierwszej z czterech części *Ziemi jałowej* do *Piekiła* Dantego. Znaczenie cytatu wydawało się oczywiste. Pandora szukała w magii ucieczki od świata, który wydawał jej się piekłem. To właśnie pokazywała na swoich fotografiach. Jej modelami były smutne, samotne potępione dusze. Portrety, w których Seaton dostrzegał tylko ich brzydotę i stoicyzm, w istocie wyrażały głębokie przygnębienie.

„Nie sądziłem, że śmierć zabrała tak wielu”.

Jak mógłby w swoim eseju powiązać Pandorę Gibson-Hoare z wielkim nihilistycznym poematem Eliota? Odpowiedź: nie mógłby. Bo nie mógłby jako swojego źródła podać skradzionego pamiętnika.

Wyszedł przed pub i ruszył przed siebie. Kopnął jakiś kamień w stronę kratki ściekowej. Trafił, ale z powodu utrzymujących się od dawna upałów woda w studziencie opadła tak nisko, że nie rozległ się żaden dźwięk. Plusk uderzającego w powierzchnię wody kamienia Seaton mógł sobie najwyżej wyobrazić.

Z zamyślenia wyrwały go w końcu inne dźwięki. Odwrócił się w kierunku, z którego dobiegały, tam, gdzie Lambeth High Street kończyła się na ciemnym teraz

skrzyżowaniu z Black Prince Road. Przypominały parskanie i rzenie konia. Słyszał też metaliczny stukot kopyt i zaczął się zastanawiać, dlaczego policja konna patroluje nocą tak cichą, boczną ulicę. Powinni galopować po Trafalgar Square, zapewniając dodatkową rozrywkę turystom zmuszonym opuszczać puby o jedenastej wieczorem.

Czuł, że wymyśli jakąś przekonującą historię na temat tego, w jaki sposób przypadkiem natknął się na pamiętnik, że już ona w nim kielkuje, czai się gdzieś w jego mózgu. Ale, oszołomiony piwem, nie potrafił się na tym skupić. Wypił tylko kilka małych, wcześniej jednak mimo upału był na treningu i właściwie nie jadł obiadu; bardzo nierozsądne.

Rozległ się trzask skórzanej uzdy i zgrzyt żelaznych kół toczących się po ulicznym bruku, obciążonych jakimś wielkim ciężarem. Seaton znowu odwrócił się w stronę Black Prince Road. Zacisnął palce spoconej nagle dłoni na owiniętym w impregnowany papier zeszytcie. Co to było, na litość boską?

Nic niezwykłego. Usłyszał George'a, właściciela Windmill, który gwizdał pod nosem, zamykając na noc drzwi i okiennice pubu. I odgłosy rzeki. Na pewno. Bliskość wody zniekształcała dźwięki, mogły brzmieć dziwnie. Seaton westchnął i trochę się uspokoił.

Ona naprawdę zrobiła te zdjęcia dla Fischera. Z pamiętnika wynikało, że była profesjonalistką w każdym calu, mimo tego, co ją niepokoiło. Podała nawet nazwę aparatu. Rolleiflex konstrukcji szwajcarskiego inżyniera Rollei, nie jej ukochana leica. Te zdjęcia - nazywała je zleceniem - wykonała profesjonalnie. Zapisała nawet w swoim pamiętniku, że miała zbyt mało czasu na pracę z modelami, że wszystko wyglądało jak „fabryczna linia produkcyjna”. Ta sesja naprawdę się odbyła. Film naprawdę został naświetlony i ukryty. Mogła narzekać na wszystko inne, ale negatyw, który otrzymała od Fischera, określiła jako doskonały. Wykonała ten zbiór portretów w ekstremalnych warunkach, instynktownie uciekając się do tego, na czym zasadzał się jej talent i rzemiosło. Przy całej iluzji, której uległa w domu Fischera, te zdjęcia były prawdziwe.

Seaton powoli odwrócił się znowu w stronę ulicy, podświadomie oczekując ukazania się na niej karawanu zaprzężonego w przystrojone w czarny aksamit konie i procesji bladych żałobników w cylindrach, sunących sztywno w stronę dawno zapomnianego celu.

Otrząsnął się, próbował się uspokoić. Skąd mu to przyszło do głowy? Ulica była pusta i ciemna. George zamknął swój pub, z daleka dobiegał już tylko szum samochodów za rzeką. Seaton spojrzął w lewo, na swój dom przy Lambeth High Street; czy znowu usłyszy *Red, Red Wine!* Sąsiad puszczał tę płytę bardzo często, ale i on spędzał ten wieczór w ciszy. Seaton nie miał zamiaru kusić losu, spoglądając znowu w prawo. Śmieszne. Wyobraźnia, pobudzona przez tajemniczą historię, którą właśnie przeczytał, zaczęła mu płatać figle. Ale dlaczego podsunęła mu akurat wizję konduktu pogrzebowego?

A niech to, pokręcił głową i ruszył w stronę domu.

I nagle doznał olśnienia.

Rozwiązanie problemu pojawiło się w jego umyśle samo, spontanicznie.

Pójdzie do domu Fischera. To duży obiekt, chyba niezamknięty. Najprawdopodobniej mieści się tam teraz pensjonat albo hotel: ogromne pokoje, podzielone na mniejsze, zajmują turyści, podróżnicy i miłośnicy dzikiej przyrody szukający spokoju i odosobnienia. Na pewno bez trudu zarezerwuje tam coś na kilka dni. Może wyjechać nazajutrz po południu i wrócić w niedzielę, na tyle wcześnie, by wybrać się jeszcze z chłopcami na Hampstead Ponds, a później na piwo. Chyba że nie będzie wolnych pokoi. Sezon się jednak jeszcze nie rozpoczął, nie skończył się rok szkolny. A wyspa Wight w czerwcu to nie to samo co Devon czy Kornwalia w sierpniu. Oczywiście, że znajdzie się wolny pokój. Poszuka ukrytego negatywu, a jeśli mu się powiedzie, cóż to będzie za wspaniała wiadomość dla Lucindy. Przede wszystkim jednak odnajdzie tam pamiętnik Pandory, schowany pod podłogą. Bo tam właśnie powinien się znajdować, czyż nie? To logiczne.

Podniósł głowę, ruszył do domu, nie myśląc już o stukocie końskich kopyt i procesji ponurych postaci wyłaniających się zza rogu i nagle stanął jak wryty.

Kilkaset metrów dalej zauważył kobietę. Jej sylwetka, oświetlona przez uliczne latarnie, wyglądała trochę niesamowicie. Sunęła Lambeth Bridge Road tak lekko, jakby jej stopy nie dotykały chodnika. Miała bladą twarz, okoloną równo przyciętymi włosami; ciemne, szkarłatne usta uśmiechały się do niego. Gdzie jeszcze, pomyślał Seaton, można zobaczyć coś takiego? To Lucinda. Szybko wcisnął pamiętnik do kieszeni, dziękując losowi za zwyczaj wkładania marynarki, ilekroć wychodził z domu, oczywiście po to, by mieć gdzie schować portfel.

Wszedł do redakcji następnego dnia wczesnym rankiem - chciał zarezerwować pokój w samym sercu Brightstone Forest, nie wzbudzając przy tym niczyjej ciekawości. Usiadł za biurkiem już o dziewiątej, pewny że reszta chłopców nie pojawi się wcześniej niż za godzinę. Mike Whitehall przychodził czasami o wpół do dziesiątej, ale wszyscy inni uważali to za ekscentryczne wybryki przybysza z północy. Wyne-gocjowane dla etatowych dziennikarzy godziny pracy były w końcu także swego ro-dzaju odwetem na pracownikach drukarni, którzy znacznie lepiej zarabiali.

Dopiero o dziewiątej trzydzieści wreszcie dodzwonił się do jakiejś beznadziejnej panienki z informacji turystycznej wyspy Wight i dowiedział się, że w Brighstone Forest nie ma możliwości zakwaterowania; nie, nie przesłyszał się.

Szybki rzut oka na mapę Wielkiej Brytanii i już wiedział: to teren Parku Naro-dowego. Przydałaby mu się bardziej szczegółowa mapa regionu, nie miał jednak ta-kiej w redakcji, gdzie rzadko korzystano z map w ogóle, a jeszcze rzadziej z map Wight. Zadzwoił do Generalnej Dyrekcji Parków Narodowych, ale tam także nikt nie potrafił mu pomóc: według ich wiedzy w Brighstone Forest nikt nie mieszka. Oczywiście, strażnicy lasu mogli wybudować tam jakieś schronienie, prymitywny szałas, w najlepszym wypadku chatę. A w Wydziale Leśnictwa Wyspy Wight tele-fony odbierano tylko od jedenastej do trzeciej, i to wyłącznie od poniedziałku do środy.

Za dziesięć dziesiąta sfrustrowany Seaton poszedł zrobić sobie herbatę. Mike był już w kuchni, parzył herbatę dla siebie i Eddiego Harringtona.

- Daj swój kubek - powiedział. - Dzisiaj ja matkuję.
 - Okej.
 - Co powiesz o Młodszym Panu Breene?
 - Malownicza postać. Mike parsknął śmiechem.
 - Mogłeś mnie ostrzec.
 - Ostrzegam cię teraz, Paul. Odpuść sobie. Nic dobrego z tego nie będzie.
- Zaskakujące to słowa w ustach Mike'a, dociekliwego dziennikarza.
- Nie chcesz wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi?
- Mike wsypał cukier do swojego kubka, zamieszał herbatę i skosztował.
- Ciekawość czasami zabija - odparł.

Wydawał się tego ranka jakiś nieswój, a pod oczami miał głębokie cienie, jak nigdy.

- Chłopcy idą do Hampstead w niedzielę po południu - oznajmił Seaton. - Pływać w męskim gronie. Wszyscy się wybieramy. Patrick się do ciebie nie odzywał?

- Nie... a właściwie tak. To znaczy, odmówiłem. W wodzie nie przypominam raczej Marka Spitz'a. Ani nawet Esther Williams.

-Będzie wesoło.

Mike patrzył na niego z powątpiewaniem.

-Trochę tam głęboko. I trochę homo, nie sądzisz?

-Głębokie homo. I znacznie bardziej w stylu Judy Garland niż Esther Williams, szczerze mówiąc. Ale to piękne miejsce i dobrze się tam pływa, kiedy jest fajna pogoda. A wśród tylu ludzi twojej cnoty nic nie grozi.

-W takim razie wezmę płetwy - mruknął Mike, popijając herbatę.

Seaton wrócił do redakcji. Wiedziony dziennikarską intuicją zadzwonił jeszcze do Biura Samorządu Hrabstwa Hampshire i poprosił o połączenie z działem pomocy społecznej. Tym razem, po raz pierwszy, zapytał wprost o dom Fischera.

-Chwileczkę - powiedziała urzędniczka.

Nie wiedział, czy może czekać. Spojrzał na zegarek: pięć po dziesiątej. Ale na schodach za drzwiami redakcji ciągle panowała cisza. Żaden szpieg nie wszedłby na te schody, nie robiąc hałasu. Nawet duch by tego nie potrafił.

Usłyszał, jak po drugiej stronie ktoś podnosi słuchawkę, zapala zapalniczkę i zaciąga się papierosem.

-Kto mówi?

- Dzwonię z „London Tonight”. Przygotowujemy materiał o domach spokojnej starości. I o poradniach.

- Nie mamy tu domów starców, człowieku. A w domu Fischera było kiedyś wariatkowo.

Seatonowi serce zabiło mocniej. Na schodach dzięki Bogu wciąż panowała cisza.

-Było? Śmiech.

- Gdyby nadal działał, powiedziałbym, że to szpital dla odmieńców, no nie? Dość płynnie władam językiem poprawności politycznej. Ale kiedy go zamykali, był to dom wariatów. I nazwa ta przetrwała.

- A czy sam budynek jeszcze stoi?

Po drugiej stronie przez chwilę panowała cisza.

- Bo co? Czy „London Tonight” przygotowuje też materiał o architekturze wyspy Wight? A może o konserwacji budynków? O co właściwie chodzi?

- Stoi czy nie?

- O ile wiem, tak. Zrujnowany i zapomniany. Okna zabite deskami, szczury i tak dalej. A teraz spadaj, człowieku, kimkolwiek jesteś. Zawracasz mi głowę, a czeka mnie mnóstwo ważniejszej roboty.

Seaton zarezerwował pokój w pensjonacie w Wentnor. Nie było to idealne rozwiązanie, ale nie miał czasu szukać czegoś innego. Terry Messenger, Tim Cooper czy jeszcze ktoś inny wchodził już po schodach. Okazało się, że do rezerwacji wystarczy podać nazwisko i numer telefonu, zrobił to więc i szybko odłożył słuchawkę.

Popołudnie należało do niego. Postanowił wziąć też zaległe pół dnia wolnego, żeby wykorzystać cały przysługujący mu urlop.

O tym, że wyjeżdża, powiedział Lucindzie poprzedniego wieczoru, kiedy się rozbierała, trochę zawiana po imprezie z okazji otwarcia baru w Soho. Kiwnęła głową i natychmiast uwierzyła w historyjkę, jak to dowiedział się, że znany ze swej gościnności Klaus Fischer ze zdjęcia zrobionego w Cafe Royal miał dom na wyspie Wight. Mogą tam wisieć fotografie z różnych spotkań, oświadczył, sam zaskoczony tym, jak przekonująco potrafi kłamać. A nuż coś dotyczy Pandory? Trzeźwa, zapytałaby pewnie, jak zamierza dostać się do tego domu i skąd w ogóle przyszło mu do głowy, że czterdzieści kilka lat po samobójczej śmierci Pandory może trafić na jakiś jej ślad. Ale nie była trzeźwa. Więc tylko kiwnęła głową i uśmiechnęła się, patrząc na niego trochę nieprzytomnym, zamglonym przez alkohol wzrokiem. I o nic nie zapytała.

Wiedział, że teraz Lucinda nie odczuje jego braku. Ten ostatni weekend przed dyplomowym pokazem chciała poświęcić w całości przygotowaniom do egzaminów. Wiadomość o jego wyjeździe przyjęła chyba z ulgą: przynajmniej nie będzie jej przeszkadzać. Wprawdzie nie wydawała się ucieszona, gdy jej o tym mówił, ale sprawiała wrażenie zadowolonej, kiedy rankiem nadeszła chwila jego wyjazdu. Dawał jej w końcu konkretny dowód na to, że ciągle pracował, szybko i z zaangażowaniem, nad pisemną częścią jej dyplomu. Zawodowo przecież zajmował się zdobywaniem informacji i pisaniem. Profesjonalista, który podjął się w gruncie rzeczy zadania dla amatora. A miał na to tylko tydzień.

Do spakowania płóciennej torby podróżnej wśród wielu innych rzeczy włożył też pamiętnik Pandory, choć wcale nie musiał go zabierać. Ale bał się zostawić go w domu - w tak małym mieszkanku Lucinda w każdej chwili mogła się na niego natknąć - w redakcji też. Przez chwilę się nad tym zastanawiał, uznał jednak, że w spokojne piątkowe popołudnie kręci się tam zwykle zbyt wielu ciekawskich. Resztę godzin pracy wykorzystał na rozmowy telefoniczne i parzenie herbaty. O pierwszej formalnie wpisał dni urlopu na listę obecności, piórem kulkowym przytwierdzonym do pochylego blatu łańcuszkiem, i pomachał na pożegnanie kolegom.

Podróż bardzo różniła się od tej, którą opisała w swoim pamiętniku Pandora. Do Portsmouth pojechał pociągiem z dworca Victoria, potem popłynął promem z Portsmouth Harbour do Fishbourne. Pandora z pewnością nie rozpoznałaby Portsmouth: miasto zostało niemal zrównane z ziemią podczas bombardowań drugiej wojny światowej i odbudowane jak najtaniej - beton i szkło - bez szacunku dla jego historii. Wielka imperialna flota, którą Pandora widziała na redzie, już dawno poszła na złom. Przeprowa promem, na górnym pokładzie, na świeżym powietrzu, sprawiła mu dużą przyjemność. Błękit nieba, białe chmury i wielkie żagle jachtów przywozły na myśl obrazy Dufy'ego. Tylko forty Solentu, surowe i monumentalne, zaburzały trochę ten pogodny nastrój.

Półtora kilometra z przystani w Fishbourne do Wootton Creek przebył pieszo. W Wootton wypożyczył rower górski, w przebieralni szorty, adidas i sportową koszulkę. Garnitur upchnął do torby, a torbę do taniego plecaka, który, aby ułatwić sobie jazdę na rowerze, włożył na plecy. Kupił szczegółową mapę wyspy, przejechał jakieś dwa kilometry, żeby przyzwycząić się do roweru, a potem usiadł na skraju drogi w cieniu żywopłotu i przygotował dalszą trasę. Jeszcze przez chwilę odpoczywał pod żywopłotem. Minęła piąta. Daleko, nad horyzontem, wisiały białe chmury; ziemia była ciepła, nagrzana słońcem. Niebo na wyspie wydawało się ogromne, nie takie jak w Londynie. Czuł zapach dzikiego groszku, wplątanego w żywopłot, który użyczał mu cienia. Kiedy tak tam siedział, minęły go ledwie dwa samochody: citroen 2CV, załadowany z tyłu wiaderkami, łopatkami, piłkami i zrolowanymi ręcznikami plażowymi, z którego otwartych okien dobiegał przenikliwy głos Joni Mitchell, śpiewającej jakąś folkową balladę z albumu *Blue*, i elegancki morris traveller, z przyczepą. Życie na wyspie toczy się zupełnie innym rytmem niż w Hackney, pomyślał Seaton z uśmiechem, wskakując na siodełko roweru.

Uświadomił sobie nagle, że właśnie mija tydzień od chwili, kiedy po raz pierwszy usłyszał o Pandorze Gibson-Hoare. Siedział wtedy na dachu St Martin's z chłopakami. Pili tanie lambrusco w obezwładniającym londyńskim upale. Zawsze jest jakiś problem, powiedział wtedy Stuart, ubrany jak Franchot Tone w *Pięciu grobach do Kairu*. Scena rozgrywała się przy akompaniamencie piosenek Hanka Williamsa, dobiegających z zachlapanego farbami magnetofonu Foyle'a. Wystarczyło siedem dni, by dostał obsesji na punkcie Pandory, jej krótkiego życia, niepokojącej twórczości i upiornych tajemnic. Dziwne, naprawdę dziwne. Nie miał wrażenia, że dobrze ją zna czy rozumie. A jednak coś w jego sercu i umyśle, a nawet w pamięci, budziło w nim przekonanie, że wie o tej kobiecie od zawsze.

Oszacował, że w linii prostej od lasu dzieli go około piętnastu kilometrów. Postanowił jednak ominąć Newport, ponieważ nie chciał przejeżdżać przez najbardziej ruchliwe miasteczko na wyspie. Wąska droga prowadziła przez wzgórza; musiał też dwukrotnie zawracać, bo przeoczył kilka znaków. Mniej więcej po godzinie ostrej jazdy zobaczył wysokie paprocie i małe drzewka: a więc dotarł na skraj lasu. Zatrzymał się i pociągnął długi łyk wody z plastikowej butelki przymocowanej do ramy roweru, zadowolony, że właściciel wypożyczalni pomyślał o tym, by ją napełnić.

Ponieważ ominął Newport, podjechał tu od północy, od strony Newbarn Down. Widział przed sobą las, ciągnący się aż po gęsto porośnięte drzewami wzgórze na horyzoncie. Stwierdził, że dom Fischera stoi w dolnej części południowego zbocza, w pobliżu strumienia i na jego wysokości, gdyż Pandora nie wspominała o żadnym wąwozie. Gęsty las przed nim z pewnością był bardziej dostępny dla samochodów od strony miejsca, w którym Pandora i Fischer przybili do brzegu łodzią sterowaną przez Wheatleya. Wiedział więc mniej więcej, dokąd zmierza. Jedyne problemy polegały na tym, że nie udało mu się przejechać przez wzgórze. Człowiek z wypożyczalni z dumą powiadomił go, że rower ma doskonałą przerzutkę i gruby bieżnik na szerokich oponach, ale w tej gęstwinie Seaton częściej prowadził bcykl, niż na nim jechał, a niekiedy musiał nawet z trudem przeciskać się między drzewami.

Spojrzał na zegarek: siódma. Mógł zawrócić, znaleźć drogę, objechać las i dotrzeć do domu Fischera od strony morza - nie chciało mu się. Mógł też zjechać do pensjonatu w Ventnor, zostawić bagaż i poszukać jakiegoś miłego baru na wybrzeżu. Właściciel pensjonatu powiedział mu, że nad zatoką jest dobra knajpa, Spyglass Inn, serwują tam przednie trunki. Gdyby wrócił to rano, miałby cały, jasny, słonecz-

ny dzień na poszukiwania. Może znajdzie łuskę przy drzwiach kuchni na tyłach domu? A może miejsce, gdzie Góring pojedynkował się z producentem filmowym z Ameryki, na oczach stojącego wśród drzew Crowleya? Albo rolkę filmu, na którym Pandora Gibson-Hoare utrwaliła członków sabatu, zebranych, by w tajemnicy uprawiać czarną magię?

Te zdjęcia, jeśli rzeczywiście istnieją, czekają już pięćdziesiąt sześć lat, mogą więc poczekać jeszcze kilka godzin. Jakie jest prawdopodobieństwo, że w domu Fischera akurat tej nocy wybuchnie pożar i obróci w popiół cały budynek? Jaką szkodę mogłoby wyrządzić takie małe, wynikające z rozsądku opóźnienie?

Żadnej. Seaton był tego absolutnie pewny. Tyle że nie potrafił poczekać ani chwili dłużej. Rozsądek nie miał tu nic do powiedzenia, a i względy praktyczne nie odgrywały roli. Zżerała go ciekawość, by na własne oczy zobaczyć wreszcie ten dom, przeszukać pokoje, rozwiązać tajemnice. Zanurzyć się w jego atmosferze, obudzić mieszkające w nim duchy i wykorzystać później to wszystko w prawdziwie odkrywczym esej.

Stop. Trzeba zabezpieczyć rower w tym niedostępnym dla dwóch kółek terenie. Zbocze stawało się coraz bardziej strome. Las z każdym krokiem gęstniał, nie przypominał bezlistnego jesiennego lasu z opisu Pandory. Teraz wszystko wokół porastało bujne, cieniste listowie. W miękkim Seaton widział płataninę pnączy i wystających spod ziemi korzeni.

Przypiął rower do pnia drzewa - użył łańcucha i kłódki, które znalazł pod siodełkiem. Nie wiedział, czy uda mu się odnaleźć powrotną drogę do tego miejsca. Rozłożyste korony drzew przepuszczały bardzo niewiele światła. Pod grubym, zielonym baldachimem było tak ciemno, że fluorescencyjne wskazówki zegarka świeciły słabo. Dwadzieścia po siódmej. Jeszcze prawie dwie godziny dziennego światła. Wiedział, że słońce powoli chyli się ku zachodowi, ciągle jednak wyspa pławiła się w jego promieniach. Potrzebował światła. Nie pomyślał o tym, by wziąć ze sobą latarkę, ale jak inaczej spenetrować ruiny domu Fischera? Pandora nie przesadzała, pisząc, jak dziki i gęsty jest ten las - Seaton pomyślał, że jak na tę porę roku panuje w nim niezwykła cisza. Ani słowa o śpiewie ptaków. Czyżby dlatego, że Pandora, zbyt zaprzątnięta przerażającą historią, w której sercu się znalazła, tego nie zauważyła?

Dotarł na szczyt wzgórza. Wędrówka przez las nie zmęczyła go ani trochę. Miał doskonałą kondycję, a tych kilka kilometrów na rowerze?

Też coś! Rozgrzane mięśnie i pobudzone serce z wdzięcznością przyjęły dodatkowy wysiłek. Schodząc z pagórka, przyspieszył - i z powodu siły ciężenia, i dlatego, że nie mógł się już doczekać chwili, kiedy wreszcie dotrze do celu. W końcu usłyszał słaby szum wody. A potem nagle znalazł się nad opisywanym przez Pandorę strumieniem.

20

Nad zwykłym leśnym strumieniem. Deszcze, o których pisała Pandora, zapewne podniosły poziom wody i przyspieszyły jego nurt, teraz jednak, w samym środku upalnego lata, była to po prostu wartka struga o szerokości mniej więcej dwu i pół metra. Seaton położył się na brzegu i nabrał ręką wody do ust: lodowato zimna, ale na pewno uda mu się dotrzeć na drugą stronę.

Musiał tylko znaleźć miejsce, gdzie drzewa rosły na tyle rzadko, by mógł wziąć rozbieg. Ruszył więc wzdłuż brzegu i jakieś pięćdziesiąt metrów dalej trafił na polankę; z trawy wystawały pniaki po kilkunastu ściętych drzewach. Był to pierwszy ślad działalności człowieka, na jaki natknął się w tym lesie. Bardzo go ucieszył. Polana okazała się wystarczająco duża, by mógł się rozpędzić. Przedostał się na drugi brzeg strumienia suchą nogą i po chwili szedł już dalej pod cienistym baldachimem liści, przez wysokie, milczące paprocie.

Teren stawał się płaski i las zaczął się Seatonowi wydawać coraz cichszy i bardziej tajemniczy. Należało tam zachować ostrożność i czujność. Więcej, to miejsce sprawiało, że czuł się jak intruz. Nie przywodziło mu na myśl polowań królów z dynastii Plantagenetów, opisywanych z nostalgią przez Pandorę. W lesie za strumieniem czuł się jak ktoś, kto z własnej woli, świadomie, niebezpiecznie, narusza czyjeś granice.

Niewiele dotąd zwiedził, ale kiedy jeszcze się uczył, jeździł do najodleglejszych zakątków Irlandii. Niektóre były naprawdę dzikie, niedostępne, przesiąknięte celtycką mitologią, tak specyficznie nastrojowe. Odludne pustkowia, czasami najeżone

wielkimi, stuletnimi głazami, emanowały atmosferą niewyjaśnionych nigdy tajemnic. Dlaczego to je właśnie wybrano do odprawiania rytuałów? Nigdzie w Irlandii nie zaschło mu w gardle tak, jak tu i nigdzie ciarki nie biegały mu po krzyżu tak jak w tym gęstym, cichym lesie.

Zabrał ze sobą butelkę wody, zatrzymał się więc i ją wypił. Tak, Fischer, pomyślał, spoglądając na stojące w martwym bezruchu drzewa, to jego wpływ ciągle jeszcze rozciąga się tu jak gęsta trująca mgła, to on budzi ten dziwny niepokój. Wiedział już, że nie natknie się tu na żaden piknik ani turystów, z którymi mógłby wymienić pozdrowienia podczas wesołej wędrówki. Wesołej wędrówki? A to dopiero, przecież skradał się przez las jak tropiona zwierzyna.

I wtedy dostrzegł przed sobą światło. Mrok pojaśniał, las zaczął rzednąć. Seaton wiedział, dokąd dotarł - blisko miejsca pojedynku, dokładnie tam, gdzie Crowley spacerował przed walką i gdzie cudem ozdrowiał ranny Niemiec. Idąc po miękkiej, zielonej trawie, Seaton nagle ją zobaczył: Pandorę w wytwornym kapeluszu, długim wąskim płaszczu z czarnym kołnierzem - elegancką, bladą, zdystansowaną obserwatorkę o oczach błyszczących gorączką, która ciągle rozpaliała jej ciało - w zapinanych na guziczki butach.

W każdym razie widział to wszystko oczami wyobraźni. A tym, co zobaczył naprawdę, wychodząc z gęstwiny sto metrów dalej, była wieżyczka i szary dwuspadowy dach domu Fischera, odcinające się ciemno od błękitu nieba. Ściany z kamienia porastał zielonkawy mech. Seaton wziął głęboki oddech. Nie przypuszczał, że dom jest aż tak ogromny, prawdziwy dwór, dominujący nad otoczeniem; jego atmosfera wykraczała poza mury jak czarny, posępny cień. Pandora nie wspominała w swoich zapiskach o rozmiarach budowli; zwróciła uwagę tylko na brak gustu, z jakim ją urządzono. Przywykła do tak wspaniałych rezydencji. Seatonowi jednak wielkość tego domu powiedziała sporo na temat ambicji i ego jego właściciela. Klaus Fischer chciał pozostawić po sobie wyraźny ślad. Tu, w tym dzikim lesie, znajdował się jego monumentalny pomnik.

Na podjeździe nie stały już lśniące limuzyny, nie było też olbrzyma, który wyrównywał grabiami zwirową nawierzchnię, porośniętą teraz bujną trawą i chwastami. Gdzieniegdzie kamyki były poznaczone starymi plamami oleju. Podchodząc bliżej, miał wrażenie, że szara bryła domu rośnie mu w oczach, ogromnieje, wypełnia mu niemal pole widzenia. Zaskakujące, ale wybito tylko kilka szyb. Najwyraźniej

nikt też nie miał ochoty pokrywać omszałych ścian barwnymi graffiti. Dom był wysoki; nad głównym wejściem miał pięć kondygnacji, od szczytu schodów prowadzących do drzwi aż po pokoje na strychu. A wznosiła się nad nim wieżyczka. Stojąc na podjeździe, Seaton musiał zadzierać głowę, by objąć wzrokiem ją całą. Pandora miała rację co do okien w wieży: wąskie, głęboko osadzone, jak okienka strzelnicze, i dziwnie niesymetryczne, różniły się wymiarami. Szyby jarzyły się teraz słabym, pomarańczowym światłem zachodzącego słońca.

Drzwi były ogromne. Naprawdę gargantuiczne, żeby użyć ironicznego określenia Pandory. Dębowe, z żelaznymi okuciami i ćwiekami z brązu. Seaton zastanawiał się, jak to możliwe, że przez tyle czasu nikt się nimi nie zainteresował, że żaden z lokalnych przedsiębiorców budowlanych nie chciał zabrać stąd czegoś w tak dobrym stanie; że żaden włóczęga nie porąbał ich jeszcze na drewno na rozpałkę. Rozejrzał się po lesie. Wokół panowały absolutny bezruch i cisza. Dom stał na pustkowiu. I nie zachęcał do wejścia. Do drzwi przybito kawał starej tektury, na którym ktoś czerwoną farbą napisał: „Niebezpieczeństwo”. Seaton wszedł na schody, modląc się w duchu, by kryjące się we wnętrzu tego domu tajemnice zachowały się równie dobrze jak jego mury.

Na potężnych zawiasach wyryto runiczne symbole o bardziej złowieszczym przesłaniu niż napis na tekturze. Seaton przesunął palcem po pokrytym znakami metalu i pomyślał, że ten dom wrósł w otoczenie. Nie wyglądał już jak sceniczna dekoracja, którą pogardą opisywała Pandora, sprawiał wrażenie, jakby powoli niszczał tu od stuleci, przynajmniej z zewnątrz. A. w środku? Seaton starł z palca ślad rdzy i całym ciężarem ciała oparł się o drzwi.

Ustały od razu.

I jego oczom ukazał się ogromny hol wyłożony czerwonymi jak krew płytami. Seaton natychmiast zorientował się, że to terakota płonie jaskrawym szkarłatem w świetle zachodzącego słońca, które wpadało do środka przez wybite okna i brudne szyby. W domu panowała posepna cisza. Szklane kule elektrycznych lamp zwisały smętnie z wysokiego sufitu na pokrytych kurzem łańcuchach. Seaton pamiętał, co pisała o oświetleniu Pandora: Fischer używał smołowych pochodni. Okrągłe lampy musiały więc być pozostałością po szpitalu psychiatrycznym.

Na wprost wejścia wznosiły się szerokie, wspaniałe schody, w każdym razie na pewno kiedyś wspaniałe. Jednak po wszelkich zdobieniach, które miały robić wrażenie na gościach, nie pozostał żaden ślad.

Majestatyczną balustradę zastąpiła funkcjonalna metalowa poręcz, trzydzieści lat zaniedbania odcisnęło już na niej swe piętno: zielona farba, w charakterystycznym szpitalnym odcieniu, łuszczyła się i odpryskiwała od przerdzewiałego metalu, najwyraźniej niszczonego szybciej niż reszta domu. Wchodząc na schody, Seaton położył dłoń na poręczy. Farba, bez wątplenia tania i nietrwała, była teraz nierówna i szorstka - jego ręka zostawiła na niej wilgotny ślad, jak ślimak.

Po co wchodził na te schody? Do diabła, doskonale wiedział po co! Wiedział, gdzie Pandora ukryła swój negatyw. W pewnym sensie sama mu o tym powiedziała. Przyjechał tu, aby go zabrać.

Z kątów wypełzał mrok, powoli pochłaniając wnętrze domu. Na każdym piętrze było mnóstwo drzwi, wszystkie zamknięte. Seaton mógłby zobaczyć za nimi pensjonariuszy szpitala psychiatrycznego, nieszczęśników miotających się w kaftanach bezpieczeństwa, gdyby tylko puścił wodze wyobraźni. Tymczasem jednak jego zdyscyplinowany umysł zaczęły nawiedzać inne dziwne wizje. Choćby Stuarta na dachu college'u - teraz bardziej przypominał mu Davida Bowie z *Wesołych Świąt, panie Lawrence niż Franchota Tone'a z Pięciu grobów do Kairu* — oni wszyscy uwielbiali Bowiego, ci chłopcy z artystycznych uczelni, oczywiście. Czy Mike'a Whitehalla w dzieciennych pływackich skrzydełkach! Bardzo zabawne, tyle że tak słaby pływak nie powinien ryzykować w bardzo głębokich stawach w Hampstead. A Mike rzeczywiście słabo pływał, Seaton dobrze o tym wiedział.

Na trzecim podeście usłyszał nagle muzykę. Odezwała się ni stąd, ni zowąd i sprawiła, że zdrewniał ze strachu. Dobiegała gdzieś z wnętrza domu. Słyszał, jak mocne akordy wstrząsają drewnem fortepianu przy każdym uderzeniu młoteczków w rozstrojone struny. Jezu, potrafił powiedzieć, z którego pokoju płyną te dźwięki! Ale kiedy podszedł do drzwi i otworzył je gwałtownie, powitały go tylko mroczna pustka i zetlały w ciągu dziesięcioleci zapach tytoniu i męskiego potu. I, oczywiście, cisza - jak jakieś dzikie i niebezpieczne stworzenie zdawała się mu zagrażać.

Ktoś tu ze mną igra, pomyślał Seaton. Ten dom jest nawiedzony. Ale tak naprawdę w to nie wierzył. Nie wierzył w nic, co nie zostało udowodnione. Trzeba by znacznie więcej, by podważyć jego wypracowaną niewiarę. To sprawka jego wła-

snego, nadmiernie pobudzonego umysłu. A tę ponurą, tajemniczą atmosferę może nawet celowo kiedyś tu stworzono. Ale nikogo tu nie było, żywego ani martwego, po prostu nie.

Szedł po przetartym dywanie. Widział w półmroku uszkodzenia wokół metalowych haków mocujących i prętów, które przytrzymywały dywan u nasady każdego stopnia. Drewniane stopnie wydawały się dość solidne. Skrzypiały przy każdym kroku, jednak dom, na szczęście, wydawał się raczej suchy. Seaton bardziej obawiał się wilgoci niż obłąkanych duchów, bo zniszczyłyby ukryty negatyw.

Kiedy wreszcie dotarł do drzwi pokoju gościnnego na szczycie wieży, już zmierzchało, przez okna wpadały resztki przytłumionego światła. Seaton nie miał ochoty schodzić po tych wielkich schodach po ciemku. W ogóle nie miał ochoty być tu w nocy. Drzwi ciężkie, drewniane, wyglądały na oryginalne. Nacisnął na masywną żelazną klamkę. Poruszyła się, ale nawet nie drgnęły. Zaklął pod nosem i rozejrzał się dookoła. Wszedł tu po schodach, które zewężając się, wiodły na sam szczyt domu. Teraz stał na podeście, przy pojedynczym małym okienku w kamiennej ścianie, z widokiem na ciemny las. Nagle na parapecie dostrzegł klucz. Zamrugął z niedowierzaniem, ale kiedy spojrzał jeszcze raz, klucz nadal tam leżał. Wsunął go do zamka i przekręcił. Drzwi, zamocowane na zawiasach, cicho zaskrzypiały i otworzyły się na pokój znacznie większy, niż można się było spodziewać. Wieża także okazała się większa, niż wydawało się z dołu. Ostatnie, mgliste światło dnia wpadało do środka przez trzy okna, osadzone w głębokich kamiennych wykuszach dziwnie wysoko, mniej więcej dwa i pół metra nad podłogą. Nikt nie zdołałby przez nie wyjść.

Seaton zdziwił się: w pokoju zachował się jeden mebel: długie prostokątne lustro w drewnianej ramie na czterech wygiętych nóżkach. Mimo półmroku dostrzegł, że rtęć z drugiej strony szkła popękała i odpadła w kilku miejscach, przez które widać było ścianę.

Znowu usłyszał muzykę, cichą, ale tym razem bardziej wyraźną. Fortepian i głos jakiegoś czarnego śpiewaka zdawały się wydostawać spod igły bardzo starego gramofonu. Serce zabiło mu gwałtownie, przeszły go ciarki i poczuł, jak włoski na jego karku podnoszą się i jeżą. Nagle zdał sobie sprawę, że się boi. Strasznie boi. Gdzieś w dole nagrany na starą czarną płytę głos od dawna nieżyjącego muzyka przeszedł w ochryply śmiech.

Seaton spojrział na podłogę, na gładką, pokrytą kurzem powierzchnię ciasno ułożonych drewnianych desek, połączonych tak dokładnie, że nie dałoby się wcisnąć między nie nawet szpilki. Z dołu dobiegały teraz rytmiczne, bluesowe akordy. Światło gasło, pokój powoli spowijał mrok. Seaton opadł na kolana i zaczął przesuwać dłońmi po podłodze, starając się wymacać jakieś pęknięcie czy obluzowanie, którego mógł wcześniej nie zauważyć. I wtedy w lustrze nagle coś się poruszyło. Kątem oka dostrzegł jakiś kształt, poderwał się i odwrócił szybko, by sprawdzić, co się w nim odbiło. Ale otaczała go pustka. Stał, sam, na środku pokoju. Odwrócił się znów do lustra, powoli w nie spojrział... i

Zobaczył trzech mężczyzn w cylindrach i długich czarnych płaszczach, z jedwabnymi szalikami zarzuconymi na szyje. Jeden z nich nosił monokl, drugi miał złoty ząb, w mroku niemal czarny. Uśmiechali się do niego, wiedział jednak, że to zjawy. Zamknął oczy, bo sądził, że jeśli to zrobi, znikną. Poczł lekki zapach kamfory, brylantyny i popiołu z cygar. Otworzył oczy i zorientował się, że teraz stoją o krok bliżej niego, duch ze złotym zębem niemal na wyciągnięcie ręki. Patrzyli na niego, wyraźnie czymś rozbawieni. Uśmiech na ich martwych twarzach był pusty, oczy też wydawały się puste.

Rzucił się do ucieczki. Nie oglądając się za siebie, runął w dół wąskich schodów, którymi wcześniej wszedł na wieżę. Na drugim piętrze, gnając przed siebie w panice, usłyszał krzyk, tak głośny i pełen bólu, że się zatrzymał.

Przez chwilę panowała cisza. Absolutna cisza.

-Paul?

Czuł ból: rozbił sobie kolano. Krew spływała mu wzdłuż łydki na skarpetkę i do buta.

-Paul?

Przełknął ślinę. To głos kobiety. Wiedział czyj.

-Musisz być teraz bardzo odważny, Paul, i spróbować mi pomóc.

Jej głos, chwilami miękki jak aksamit, był niski i ochrypły od tytoniu, jaki wszyscy wówczas palili. Jakby czytając w jego myślach, odchrząknęła.

-Zaczekaj na mnie, proszę.

Nad sobą usłyszał stukot wysokich obcasów. Pandora schodziła w dół, a jej kroki niosły się głośnym echem w ciszy opustoszałej rezydencji Fischera. Była coraz bliżej, słyszał, jak drewno schodów ugina się i jęczy. Pomyślał, że cokolwiek nadcho-

dzi z góry, jest bardzo ciężkie. A zaraz potem uświadomił sobie z przerażeniem, że to nie stukot obcasów, lecz kopyt.

Rzucił się do ucieczki i wtedy znowu rozległ się ten bolesny krzyk. Teraz jednak nie zatrzymał się ani nie zawahał. Wypadł z domu - a za nim potwór, którego obudził i niechcący zwrócił przeciwko sobie. Słyszał go za sobą, kiedy pędził przed siebie przez krzaki i gałęzie. Potwór zbliżył się i ryknął, owiewając Seatoną odorem swojego oddechu. Usiłując go chwycić, zdarł mu plecak z pleców. Seaton wskoczył do strumienia; rozpaczliwie brnął przez sięgającą mu do pasa wodę, która spowolniła jego ruchy, pewny, że nigdy nie zdoła dotrzeć do drugiego brzegu, że już po nim.

Ale potwór zatrzymał się nad strumieniem. Zagrzemiał tylko w bezsilnej furii; ptaki gniazdujące w koronach drzew zerwały się do lotu, a Seaton, leżąc na drugim brzegu, wyczerpany i krwawiący, miał wrażenie, że po chwili stwór odszedł w stronę domu

- Matko Boska - wyszeptał, obejmując głowę rękami. Czuł ostry ból, domyślał się więc, że chyba złamał żebro, uderzając o potężną gałąź. Pokaleczył twarz i dłonie. Rozbite kolano zaczęło puchnąć. Zdawał sobie jednak sprawę, że miał dużo szczęścia. - O Matko Przenajświętsza - zaszlochał. I płakał długo, z bezradności, przerażenia i żalu nad sobą.

Kiedy się ocknął, świeciło słońce. Zrozumiał, że zasnął, skulony jak embrion na leśnej ściółce. Usiadł i spojrzał na zgniecioną trawę i kwiaty wokół siebie. Cały był zakrwawiony, podrapany, obolały. Rozbite kolano, fioletowe, wyglądało okropnie. Złamane żebro nie pozwalało mu głębiej odetchnąć, język zeszywniał z pragnienia. Zerknął na zegarek: niedziela. Z trudem dokonał niezbędnych obliczeń; wynikało z nich, że spał trzydzieści godzin. Nic dziwnego. Jego ciało doznało wielu obrażeń, umysł także potrzebował odpoczynku i dystansu, ale regenerował się szybciej, wychodząc z szoku.

Starał się nie myśleć o tym, co się wydarzyło, nie zastanawiać, jak by się czuł, gdyby obudził się nocą, a nie w jasnym świetle dnia. Świat diametralnie się zmienił, stał się nagle zupełnie innym miejscem, niepewnym, niejednoznacznym i bardzo niebezpiecznym. Wiedział, że jego sposób postrzegania rzeczywistości uległ nieodwracalnej zmianie; że odtąd zawsze będzie mu towarzyszył strach, jak ciężka, nieuleczalna choroba, którą właśnie u niego wykryto. Do tej pory nic właściwie o świe-

cie nie wiedział. I już odczuwał bolesną nostalgię za błogosławionym, właśnie utraconym stanem ignorancji.

Ale w tej chwili nie mógł tego drażyć. Spojrzał na miękki odcisk swojego ciała na ziemi. Chwycił palcami kilka źdźbeł zgniecionej trawy, podniósł je do nosa i odetchnął słodkim zapachem lata. Liczy się tu i teraz. Musi myśleć praktycznie. Musi zrobić wszystko, by ochronić swoje zdrowie psychiczne, już nadszarpnięte poważnymi problemami.

Wszystko, co ze sobą zabrał, znajdowało się w utraconym plecaku. Dokumenty, książeczka czekowa i gotówka, powrotny bilet na prom również. Poza tym półbuty marki Baas Weejun i jeden z jego dwóch porządnych garniturów. No i, oczywiście, pamiętnik Pandory. Nie znajdzie go już w domu Fischera. Podobnie jak jej ostatni naświetlony negatyw, pamiętnik przepadł bezpowrotnie. Co gorsza, on teraz nie będzie umiał udowodnić, że w ogóle istniał, a co za tym idzie, że istniał ukryty film.

Nie miał przy sobie nic. Poklepał się po kieszeniach szortów, jakby sam siebie chciał o tym przekonać. Nic. Ale w kieszonce koszulki na piersiach znalazł kluczyk do łańcucha, którym przymocował rower do drzewa po drugiej stronie wzgórza. W wypożyczalni dał w zastaw swoją kartę kredytową. Za jej pomocą dostanie się do Londynu. Musi jednak odnaleźć rower.

Ale najpierw musi się umyć. Pokuśtykał do strumienia, zdjął ubranie i wszedł do zimnej wody. A potem się zanurzył. Czuł lodowaty prąd na skórze i we włosach. Odświeżony i czysty, wypłynął na ciepło słońca, wciągnął w płuca zapach rozgrzanej ziemi i dzikich kwiatów i ogarnęła go pokusa, by uwierzyć, że wszystko, co go spotkało, było tylko jakąś niewytłumaczalną aberracją umysłu, złym, męczącym snem. I mógłby naprawdę ulec tej pokusie, gdyby wszędzie dookoła, pod drzewami, nie widział setek piór przerażonych ptaków.

Było po ósmej wieczorem w niedzielę, kiedy dotarł wreszcie do drzwi mieszkania przy Old Paradise Street. A przed tymi drzwiami stał policjant. Lucinda musi być jeszcze w college'u, pomyślał tępo Seaton. Policjant uchylił helmu, patrząc w przestrzeń nad jego ramieniem, zakłopotany i przygnębiony.

- Chodzi o Mike'a, tak? - spytał Seaton, któremu przed oczami stanęły absurdalne pływackie skrzydełka. Policjant oblizwał wargi.

-Nie, o pańskiego brata Patricka. Niestety doszło do tragicznego wypadku.

W poniedziałek zadzwonił człowiek z „London Tonight”. Ktoś z numeru należącego do „Hackney Gazette” zatelefonował do Działu Pomocy Społecznej Biura Samorządu Hrabstwa Hampshire, podając się za pracownika programu. Biuro złożyło skargę. Seaton nie zaprzeczył, że to on. Udzielono mu nagany i w ten sposób powstała pierwsza rysa na jego zawodowej reputacji. Druga pojawiła się kilka godzin później, kiedy zadzwonił jeden z redaktorów „The Face”.

-Co za nonsens z tą informacją, że podobno robimy materiał o jakiejś fotograficzce, o której nikt nie pamięta i która nikogo dziś nie obchodzi?

Seaton nie wiedział, co powiedzieć. Nie był przygotowany na to, by się bronić nawet w normalny dzień. A ten się do takich nie zaliczał.

-Ostatni raz wykorzystałeś w taki sposób nasze logo, Paul.

We wtorek otworzył list od „Hackney Gazette”; zawierał wypowiedzenie umowy. Jako powód podano niezachowanie przez niego standardów zawodowych. Został oskarżony o nagabywanie pewnego starszego mieszkańca Chelsea w czasie, kiedy rzekomo leżał w łóżku chory na gripę. To kwestia uczciwości i lojalności. Ma, rzecz jasna, prawo skonsultować się w sprawie tej decyzji ze związkiem zawodowym, kanały arbitrażu ciągle są dla niego otwarte. Seaton wiedział jednak, że jeśli chodzi o „Hackney Gazette”, kanały te już na zawsze pozostaną zamknięte.

We wtorek wieczorem Lucinda wpadła do mieszkania. Nie wiedział, czy łzy na jej twarzy wyrażają smutek z powodu jego brata, czy zdenerwowanie nienapisaną pracą dyplomową. I sam się rozplakał. Od niedzielnego wieczoru, to znaczy od czasu, kiedy został zabrany do Gospel Oak, by formalnie zidentyfikować ciało Patricka, czuł się odrętwiały. Obojętnie przekazał przez telefon tę wiadomość matce. Teraz, oplakując brata, miał wrażenie, że oplakuje własne nieudane życie. Chciał przytulić się do Lucindy, ona jednak drgnęła i odsunęła się od niego. Wiedział, że utracił jej

zaufanie i że nigdy już go nie odzyska. Ona sama może jeszcze o tym nie wiedziała. Ale on tak. On wiedział. To koniec.

- Mówisz przez sen o Pandorze, Paul.
- Ona nie żyje, Lucindo.
- Mówisz przez sen do Pandory. Zaskoczyła go.
- Powinieneś być powiedzieć mi o jej pamiętniku.
- Ona nie żyje, Lucindo.

Z podkrążonych, spuchniętych oczu stojącej przed nim Lucindy płynęły łzy.

- Och, Paul. Byłoby lepiej, gdybyś mnie zdradził z kimś żyjącym. Podniosła rękę do twarzy, jakby chciała ukryć ten niezwykle dla niej

brak opanowania. Zobaczył jej palce, czerwone i spracowane po tylu tygodniach szycia dniami i nocami. Jego serce się do niej rwało. Ale stopy się nie poruszyły.

Próbował napisać dla niej tę pracę. Jednak na papierze to, co pisał, było pozbawione sensu. Po czterech godzinach spędzonych przy maszynie do pisania przeczytał tekst i zrozumiał, że napisał tysiąc dwieście mętnych słów, wielokrotnie się powtarzając, o porwaniu dziecka Lindberghów. Niemiecki stolarz, który został o to oskarżony, skazany i zginął na krześle elektrycznym, był niewinny, przeczytał. Dziecko porwał angielski pisarz Dennis Wheatley. Oczywiście. Göring odznaczył Lindbergha medalem, przypomniał sobie mgliście. Naziści uhonorowali wielkiego awiatora w Berlinie, przed wybuchem wojny.

Zmiał kartki papieru w kule i wrzucił je do kosza na śmieci. Spojrzał na zegarek. To wszystko nie miało sensu. Nie potrafił się skoncentrować, więcej, w ogóle nie potrafił myśleć.

Broda zaczęła mu rosnąć, gęsta i zmierzwiona, po pięciu dniach mógł zaplatać z niej warkoczyki. Nie golił się od czasu, kiedy zobaczył odbicie Pandory w lusterku - wtedy Pandora nie wyglądała już tak dobrze jak w lesie podczas pojedynku.

Czekał na pogrzeb brata. W Irlandii chowano zmarłych szybko, by móc pograć się żałobie. Brytyjczycy jednak nie bardzo mieli ochotę wydać ciało, musiał więc uzbroić się w cierpliwość, zanim przewiezie je do Dublina, do matki. Dostał raport z autopsji, cytowano w nim też słowa kolegów Patricka, że lubił sobie wypić. Cóż, Patrick zawsze pił. Tego późnego, upalnego popołudnia razem z kumplami poszedł na piwo do pubu na Parliament Hill, a potem nad stawy, żeby jeszcze trochę popływać. Tak zeznał na policji Mike. Nad stawami czuwali ratownicy. Ale ten, w którym pły-

wali chłopcy, był głęboki, wokół rosły gęste, liściaste drzewa, ich gałęzie zwieszały się nad wodą. Patricka złapał skurcz. Utonął, choć nie odniósł żadnych obrażeń. Jego ciało znaleziono w pnączach tuż pod powierzchnią, gdzie utrzymywały je wypełnione wodą płuca. Co takiego powiedział do Mike'a? Stawy w Hampstead są dla dobrych pływaków. A Patrick pływał świetnie i był bardzo silny. W wodzie radził sobie najlepiej z nich wszystkich.

Potem zadzwonił do niego Bob Halliwell. Seaton nie miał pojęcia, jak Bob zdobył jego numer domowy, którego nie było w książce telefonicznej. Może dał mu go Mike Whitehall, Tim Cooper albo Terry Messenger. A może żaden z nich. Złożył kondolencje, po czym spytał, czy nadal chciałby zobaczyć biżuterię Pandory.

-Raczej nie, Bob. Skończyłem już z tym.

Po drugiej stronie przez chwilę panowała cisza.

-I tak ci to powiem, Paul.

Bob Halliwell nigdy wcześniej nie mówił do niego po imieniu.

-Myślę, że ona została zamordowana, że ktoś poderzwał jej gardło i wepchnął ją do wody. Policyjny chirurg, który robił sekcję, był notorycznym pijakiem. A raport koronera wydaje się jakiś taki niedokładny. Coś tu nie gra.

-Podejrzewasz kogoś, Bob?

-Pewien świadek stwierdził, że miała depresję. Wspomnił o tym koronerowi.

-Edwin Poole.

-Zgadza się. Jej kuzyn. Ubezpieczony przez Lloydsa. Mordują najczęściej członkowie rodziny. Dotyczy to wszystkich klas społecznych. Choć nie sądzę, by zrobił to sam. Zadano jej cios nożem. Jeden. Głęboki, śmiertelny. I, moim skromnym zdaniem, profesjonalny. A potem wepchnięto do wody.

Poole. Poole, autor skromnej monografii Pandory. To on przedstawił ją Wheatleyowi na wspaniałym balu wiele lat temu. W słuchawce znowu rozległ się głos Boba.

-Edwin w całym swoim życiu nie popełnił żadnego przestępstwa. A w każdym razie nie był notowany i nigdy oficjalnie podejrzany o jakikolwiek związek ze śmiercią kuzynki. Podobno jednak miał słaby charakter, wątpliwy - tak to określano w owych czasach. Moim zdaniem to główny podejrzany.

- Poole był satanistą, prawda, Bob?

- Tak, Paul. Był satanistą.

Seaton się rozpląkał. Nie z powodu Poole'a czy Pandory. Próbował stłumić łzy, ale przypuszczał, że Bob i tak słyszy.

- Trzymaj się, stary. I nie przejmuj się tym scotchem. - Halliwell odchrząknął. - Ty go wypij. Za moje zdrowie.

Teraz wiedział już, o czym śnił; co podsuwała mu ostatnio wyobraźnia; co widział na krawędzi rzeczywistości: sceny z pogrzebu Pandory - zorganizowanego i opłaconego przez Edwina Poole'a, jej mordercę - jej ciało, po prześmiewczej ceremonii składane do grobu w niepoświęconej ziemi przez fałszywego księdza.

Policja wydała mu w końcu ciało Patricka, pojechał więc do Irlandii na jego pogrzeb. Padał deszcz, i dobrze. Nie zniósłby widoku brata składanego do grobu w słoneczny dzień. Niskie, ciemne niebo płakało wraz z żałobnikami, a wsparcie rodziny było pewnym pocieszeniem nad otchłanią, na której skraju się znalazł i o której na razie nie chciał myśleć. Paul Seaton bardzo kochał swojego młodszego brata. „Tak bardzo cię kocham, Patrick”. Nie potrafił na razie myśleć o nim w czasie przeszłym.

Wrócił do Londynu i starał się dalej żyć. Odebrał kilka telefonów. Zadzwoił aktor Franchot Tone, udając Stuarta Lockyera, i Jack Kerouac, bardzo przekonujący w roli Gregory'ego Foyle'a. To byli dobrzy chłopcy, najlepsi. Ale prawdę mówiąc, raczej kumpłowali się z Patrickiem niż z nim. Ponieważ szanowali jego uczucie, spławił ich bez trudu. Zadzwoił też Mike Whitehall. Ale jego, swojego kumpla i współpracownika, nie udało mu się łatwo pozbyć, bo przyjechał, zaparkował firmowego talbota sambę na dziedzińcu i długo pukał do drzwi. Seaton chował się za nimi, zasłaniając usta ręką, by stłumić śmiech, który budziły w nim wspomnienia kpin Mike'a z tego auta. Potem, pewny, że Mike odjechał, otworzył drzwi i znalazł na wycieracze pozostawioną przez przyjaciela książkę. Kiedyś Mike pożyczył ją od niego i uznał zapewne, że zwrócić ją to dobry pretekst do wizyty - należał do osób, które potrzebują pretekstów. Była to ilustrowana historia boksu. Seaton usiadł pod drzwiami, z roztargnieniem przerzucił kilka kartek i zatrzymał się na rozdziale o życiu i karierze Harry'ego Greba.

Potem przyszedł list od Lucindy. Nie potrafił odczytać, gdzie został nadany.

„Drogi Paul,

Przede wszystkim chcę Ci powiedzieć, że bardzo mi przykro z powodu Patricka. Był uroczym, utalentowanym człowiekiem i wiem, że ta okropna strata złamała Ci

serce. Teraz wszelkie wyrazy współczucia brzmią pewnie jak banał, ale może kiedyś uznasz za pocieszenie fakt, że Patrick był szczęśliwy. Większość ludzi marnuje swój czas na tej ziemi. On żył pełnią życia, chłonał je z radością.

Nie dręcz się, proszę, moją pracą dyplomową. Trzecia lokata to nie koniec świata, zresztą moja kolekcja sprzedaje się w kilku modnych sklepach. Obwinianie się o to, że nie dostałam wyższej oceny, na pewno nie przyniesie Ci teraz nic dobrego. Tylko dlatego o tym wspominam. Zaoferowałaś mi swoją pomoc w najlepszej wierze. Ale była to propozycja, której nie powinnam w ogóle brać pod uwagę. Oszustwo to oszustwo. Chciałam dopuścić się oszustwa i zapłaciłam za to, nie tak znowu wysoką cenę. Sumienie podpowiada mi, że w tych okolicznościach lepszy stopień byłby całkowicie nieuzasadniony.

Nie wrócę, dopóki się nie przeprowadzisz, Paul. Ale nie musisz się spieszyć z szukaniem nowego lokum. Boże, czuję się naprawdę podle, pisząc coś takiego. Ale udawanie, że między nami wszystko w porządku, w niczym by Ci nie pomogło. Kiedy będziesz gotowy, zostaw klucze u George'a z Windmill. A tymczasem pogadaj ze swoimi przyjaciółmi. Oni Cię kochają, a Ty teraz bardzo ich potrzebujesz. Uważaj na siebie.

Żegnaj i niech Cię Bóg błogosławi

Lucinda"

Cztery dni po nadejściu tego listu Seaton wieczorem wypił dwa piwa w Windmill, po czym zagroził, że wybije właścicielowi zęby, jeśli nie dostanie od niego nowego adresu i numeru telefonu Lucindy. W pubie było akurat sześciu strażaków z pobliskiej remizy, którzy przyszli na drinka po skończonej zmianie. Obezwładnili go i wyrzucili na ulicę. Pokuśtykał więc na skwerek, czując, że z jego rozbitym kolaniem jest coraz gorzej. Usiadł na niewielkim placyku z jedną ławką i szarym od kurzu drzewkiem wiśniowym. I dopiero wtedy w pełni pojął znaczenie tego, co zobaczył w domu Fischera.

Nie udało się jej. Nie wyrwała Petera z ich szponów. Chłopiec, ofiara - to zdarzyło się naprawdę. To, co on przeżył na wyspie Wight, także zdarzyło się naprawdę. Został tam zwabiony, a potem gonila go i omal nie rozerwała na strzępy bestia, którą satanistyczna sekta powołała do życia w czasie ceremonii po ostatnim bankiecie. Uważali, że Pandora nie stanowi dla nich żadnego zagrożenia, i dlatego pozwolili jej

odejść. Ostatnich dziesięć lat życia spędziła w zapomnieniu, dręczona wyrzutami sumienia, i zmarła tragicznie. To była właśnie historia Pandory Gibson-Hoare.

Zrobili to.

Chłopiec zginął, potwór się narodził. Został wezwany. Stworzony.

Na chodniku przed pubem zatrzymała się karetka pogotowia. Niebieskie światła błyskały słabo w zapadającym powoli lipcowym zmierzchu. George wyszedł z baru i rozmawiał z ratownikami, wskazując ręką w stronę skwerku, na którym siedział Seaton. Uświadomił sobie, że nigdy wcześniej nie widział George'a w dziennym świetle. Ratownicy kiwali głowami i spoglądali na niego. Ich oczy krył cień rzucany przez daszki czapeczek. Może przyjechali tu z powodu drzewka wiśni. Przecież opadły z niego wszystkie kwiatki. Chciał, żeby w końcu wyłączyli tę cholerną syrenę. Chciał słuchać *Me and Mrs Jones*. Chciał słuchać *Abraham, Martin and John* i *Harvest for The World*. Tym, czego słuchać nie chciał, była pieprzona syrena karetki pogotowia. Objął głowę rękami i zaczął płakać. Ostatnio dużo płakał. Zrobili to, myślał, wstrząśnięty swoim odkryciem i tym, co ono oznaczało. Zabili dziecko i stworzyli bestię. Czuł na plecach jej gorący oddech; pamiętał, że ledwo zdołał ująć jej szatańskiej furii. Zgiął się wpół, zmiażdżony bólem i rozpaczą, a potem osunął się na ziemię. Zaraz znaleźli się przy nim, z pasami i kaftanem bezpieczeństwa. W jakimś mglistym wspomnieniu znowu zobaczył dezaprobatę na twarzach Haglera i Hearnsa, którzy patrzyli na niego z plakatów w sali treningowej. Nie stawiał oporu, przeciwnie, poddał się zupełnie.

Paul Seaton właściwie nigdy nie trafił na konkretny oddział w szpitalu. Przez cały czas miał status pacjenta, który dobrowolnie podjął leczenie. Później nie potrafił tego zrozumieć. Nastąpiła era nowej fascynującej idei terapeutycznego oddziaływania społeczności. Po latach uznał, że powinni byli wraz z nadejściem zimy wyrzucić go na bruk, w onucach ze starych szmat na nogach. Nie rozumiał, dlaczego nie nafasze-

rowali go środkami uspokajającymi i nie zrzucili na spadochronie nad Kilburn. Po ulicach Kilburn krążyło mnóstwo obłąkanych dublińczyków. Jeszcze jeden nie zrobiłby najmniejszej różnicy.

Szpital mieścił się w starym budynku, powstałym mniej więcej w połowie rządów królowej Wiktorii. Był to wielki gmach ze sporym terenem położonym między zalesionymi wzgórzami Dulwich a Crystal Palace. Z okien pokoi na ostatnim piętrze, wychodzących na północny zachód, w pogodne dni widać było Londyn, choć z tej odległości nie rozróżniało się poszczególnych budynków. Dzięki słońcu odbijającemu się w rzece miasto odzyskiwało kształt i perspektywę.

W szpitalu wiele rzeczy się Seatonowi nie podobało. Jednak załamanie, które przeszedł, było tak nagłe i przerażające, że nie miał sił nienawidzić czy choćby tylko czuć odrazy do tego miejsca. Ale nie wszędzie potrafił opanować strach. Bał się małych, ciasnych wind z żelaznymi kratami, zamykanymi dokładnie, zanim klaustrofobiczna kabina ruszyła w górę lub w dół na starych, skrzypiących linach. Bał się mrocznych kamiennych korytarzy i czerwonych marmurowych schodów z masywnymi balustradami. Tak, te rzeczy zdecydowanie mu się nie podobały. Nie zapuszczał się więc na górne piętra szpitala, gdzie znajdowały się pokoje rekreacyjne, biblioteka i sala telewizyjna z zakratowanymi oknami. W rezultacie nie mógł cieszyć się widokiem odległego Londynu.

Szpital odciskał zatem piętno na jego psychice, a on nie umiał się przed tym bronić. Jedzenie nie było najgorsze. Ot, zwykłe, szpitalne. Słodkawy, metaliczny zapach kotłów i pary kontrastował boleśnie ze wspomnieniem woni potraw przyrządzanych od czasu do czasu przez Lucindę w mikroskopijnej kuchni w Lambeth, tego jedyne go ich wspólnego lata. Gotowała z fantazją, a on naiwnie sądził, że tak właśnie będzie jeszcze przez wiele lat. Może nawet zawsze.

W szpitalu zawsze grała muzyka. Głośniki rozmieszczono wszędzie, więc nie było od niej ucieczki. Pacjenci nie mogli też sobie wybrać, czego chcieliby słuchać. Ten, kto układał zestawy piosenek, musiał bardzo lubić piosenkę *Marvina Gay&a Abraham, Martin and John*. Seaton także kiedyś bardzo ją lubił. Kiedyś, przed wydarzeniami ubiegłego lata. Teraz, w szpitalu, czekał zawsze na słowa o tym, że dobrzy ludzie umierają młodo - myśląc o swoim bracie, który utonął w Hampstead w wieku dwudziestu jeden lat - choć ta prosta prawda go przytłaczała.

Na terenie należącym do szpitala znajdował się labirynt: bezładna plątanina ścieżek wokół gęstego, zaniedbanego żywopłotu. Trudno było się zorientować, że to labirynt, dopóki się weń nie weszło. Seaton przypuszczał, że ta neogotycka posiadłość powstała pod wpływem prerafaelickiej fascynacji średniowieczem przedsiębiorczego księcia, fascynacji widocznej w planie ogrodu i tajemniczym liściastym labiryncie w jego wschodniej części. Pewnego dnia o zmierzchu, dwa tygodnie po przyjeździe do szpitala, Seaton wszedł do labiryntu w towarzystwie ładnej pielęgniarki z Dundalk. Rozdzielili się, a Seaton, mimo rodzącego się w nim strachu, bardzo starał się odnaleźć drogę. Jednak kiedy zrozumiał, że się zgubił, załamał się zupełnie. Pracownicy szpitala znaleźli go, bo darł się wniebogłosy. Atak paniki wywołanej poczuciem izolacji i zagubienia był tak silny, że musieli skrepować go pasami, a potem podać środki uspokajające. Obudził się po dwóch dniach, a dopiero po tygodniu w pełni doszedł do siebie. A wtedy zapłakał gorzko ze wstydu i upokorzenia na myśl o tym, jakie zrobił z siebie widowisko.

To w szpitalu po raz pierwszy zobaczył duchy. Ściśle mówiąc, trzy upiornie uśmiechnięte postaci, które widział w lustrze w domu Fischera, także uznał za duchy, ale one wyraźnie go atakowały, chciały zrobić mu krzywdę. Duchy w szpitalu tylko przyglądały mu się martwymi oczami. Sztywne w swoich staroświeckich strojach, czyhały w miejscach, w których najmniej się ich spodziewał. Później, kiedy stał się bardziej czujny i mniej się bał, wiedział już, gdzie mogą się pojawić. Najbardziej nie znosił budzić się w nocy i czuć ich obecność w pokoju. Obserwowały go z kąta. Księżyc oświetlał ich puste, obojętne twarze i sparciałe ubrania. Nigdy się nie odzywały i tę milczącą obserwację z trudem wytrzymawał. Nie rozpoznał w nich żadnej z osób opisanych przez Pandorę. Może spotkała je, ale nie wydały jej się warte wzmianki w pamiętniku. A może w ogóle ich nie znała. Jej związki z Fischerem były bardzo przelotne, jego ciemne moce zafascynowały ją tylko na krótki, choć prawdziwie tragiczny okres w jej życiu.

Postanowił nie rozmawiać ze szpitalnymi psychiatrami. Po prostu siedział ze wzrokiem wbitym w ścianę i czekał, aż tak zwany wywiad dobiegnie końca. Czuł się z tego powodu winny, winny też z powodu tych skromnych środków przeznaczonych na państwową służbę zdrowia, które tydzień po tygodniu marnował. Tyle że sesje terapeutyczne odbywały się niezbyt często. Pytali go o sny. Prawdę mówiąc, śnił głównie o Lucindzie w jedwabnej letniej sukni, czarnym żałobnym kapeluszu z

woalką na jej złotych włosach i z monoklem wciśniętym w oczodół. Jej martwą twarz wykrzywiał uśmiech. Czasami śniła mu się kobieta, uciekająca z chłopcem przez las, który już kiedyś widział: malec drżał w podartej bieliźnie, gałęzie zahaczały o sznury pereł na jej szyi. Śnił też o bestii o cuchnącym oddechu - czaiła się gdzieś na granicy jego pola widzenia i wyła z nienawiści, sprawiając, że zaczynał się moczyć. Nie potrafił opowiadać tych snów. Bał się, że gdyby spróbował, skończyłby w kaftanie bezpieczeństwa, jak dawniej pacjenci ze szpitali takich jak ten w domu Fischera.

Odwiedziła go matka. Zauważył, że od pogrzebu Patricka podpira się laską. Poklepała go po ręce i powiedziała, że schudł. Mrugnął do niej i zapewnił, że z czasem wydobreje. Czas to wszystko, czego mu trzeba. Czas leczy rany.

-I modlitwa - dodała, wstając. - Twój przyjaciel Michael na bieżąco mnie informuje. To uroczy chłopiec, ten Michael. Z Liverpoolu.

Seaton wiedział, że ze wszystkich miejsc w Wielkiej Brytanii jego matka toleruje wyłącznie Liverpool. Kiwnął głową.

-Będzie dobrze. Wyjdę z tego, mam. Cierpliwości.

Płakał po jej odejściu, ale nie gardził sobą z tego powodu. To normalne, myślał. To nie ma nic wspólnego z obłędem.

Był w szpitalu już od ośmiu miesięcy, kiedy przyjechał doktor Malcolm Covey. Seaton zauważył rośliny kielkujące w wilgotnej ziemi przyszpitalnego ogrodu. W przeciwieństwie do labiryntu ogród był bardzo zadbany i wyglądał jak ręcznie tkany kilim. Pewnie wielu doskonałych ogrodników miało problemy psychiczne. A może po prostu szaleńcy pragnęli jakiejś namiastki porządku w chaosie ich życia.

-Dręczą pana złe duchy? - spytał doktor Covey.

I Seaton złamał swoją zasadę, i spojrzał na niego. Widywał go już wcześniej, oczywiście. Trudno było go nie zauważyć w tej pelerynie i fe-dorze, spowitego kłębamami dymu z cygar, które wbrew wszelkim regulaminom palił na korytarzach. Ale teraz Seaton spojrzał mu prosto w oczy, myśląc: On jest inny. On ma dar.

-Przepelnia pana żal nad samym sobą, uważa się pan za ofiarę. Unosi się to nad panem jak chmura.

Seaton milczał.

-Czy też raczej, żeby obraz bardziej pasował do Irlandczyka, jak melancholijna aureola świętego męczennika.

I Seaton się roześmiał. Nie mógł się powstrzymać. Nagle poczuł się lepiej. Jakby puściły jakieś krępujące go więzy.

- Skąd się pan tu wziął?

- Czytałem o pańskim przypadku.

- I podano tam moje nazwisko? W tym dokumencie, który pan czytał?

- Oczywiście, że nie. To byłoby wbrew etyce zawodowej. A!e podpisał się autor dokumentu. lekarz z tego szpitala, jeden z tych, których bezustannie pan ignoruje. Zaproponowałem konsultację. Szpital skontaktował się z pańską matką; wyraziła zgodę i oto jestem tutaj.

- Dlaczego?

Covey, potężny mężczyzna, poruszył się w fotelu. Obrócił cygaro w palcach, a potem ssał je przez chwilę.

- Sporo wiem o zjawiskach paranormalnych. Nie odrzucam myśli, że istnieją i mają swoje konsekwencje. A przynajmniej nie odrzucam tego z góry.

Seaton kiwnął głową.

- Co pan o tym myśli, Paul?

- Myślę, że ma pan gadane. Zwłaszcza że ktoś za to płaci.

- Wiem co nieco o historii domu Fischera - oświadczył Covey. Seaton dotąd nie mówił, że tam był.

- Ma pan kontakt w policji metropolitalnej?

- Miałem. Boba Halliwella.

- Właśnie. A detektyw sierżant Halliwell zadał sobie trud, by prześledzić pańską drogę na wyspę Wight, śledząc transakcje z pańskiej karty kredytowej. Zadzwoił do Wootton Creek i rozmawiał przez telefon z właścicielem wypożyczalni rowerów.

Covey wymawiał słowo „rowery” w taki sposób, jakby były najnowocześniejszym wynalazkiem. Bóg jeden wie, jak mówi o bankomatach i telefonach, pomyślał Seaton. Wyglądał na bardziej obeznanego z dyliżansami, operetką i rytuałem popołudniowej herbaty. Ciekawe, czy Bob, prowadząc swoje prywatne dochodzenie, kontaktował się z Lucindą.

- Halliwell, skrupulatny policjant, stwierdził, że to zainteresowanie Pandorą Gibson-Hoare zawiodło pana do domu Fischera i że ta właśnie wizyta doprowadziła do

pańskiego załamania nerwowego. Kiedy się dowiedział, gdzie pan był, poinformował o tym lekarzy z tego szpitala. Z czego się pan śmieje?

Seaton otarł oczy.

-W domu Fischera był kiedyś psychiatryk. Zapomniałem o tym. A to naprawdę zabawny zbieg okoliczności.

- Myli się pan. Nigdy nie mieścił się tam szpital psychiatryczny. Kiedy Fischer opuścił dom, kupiła go rada hrabstwa Hampshire, wiosną 1947 roku. Pierwotnie rzeczywiście zamierzano tam otworzyć szpital dla chorych psychicznie, ale do tego nie doszło. Rozpoczęto prace nad przystosowaniem wnętrza do nowych potrzeb, jednak wykonawcy natknęli się na różne nieprzewidziane przeszkody. W końcu roboty wstrzymano, a potem po cichu całkiem z nich zrezygnowano - wyjaśnił Covey.

- Jakiego rodzaju były te przeszkody? Obsunięcie gruntu? Woda w piwnicach?

Covey z uwagą przyglądał się koniuszkowi swojego cygara.

-Nie wiem, czy powinienem to panu powiedzieć. Seaton znowu się roześmiał.

- Obawia się pan, że ta informacja mogłaby zakłócić równowagę mojego umysłu? Trochę na to za późno, doktorze.

- Architekt, któremu zlecono nadzór nad przebudową, miejscowy, został znaleziony u podnóża klifu nad Freshwater Bay. Uznano to za nieszczęśliwy wypadek podczas wędrowki. Potem zginął główny inżynier, postrzelił się z pistoletu Luger. Żona inżyniera twierdziła, że przechowywał ten pistolet jako pamiątkę wojenną. Mówiła o Wielkiej Wojnie, nie o tej, która wówczas się zakończyła. To też mógł być wypadek: czyścił broń albo się nią bawił.

- Musiałby mieć wyjątkowego pecha - stwierdził Seaton. - Biorąc po uwagę, że przechowywał ten pistolet blisko trzydzieści lat.

Covey kiwnął głową i przez chwilę ssał cygaro.

-Istotnie. Tydzień po śmierci architekta z placu budowy zniknęli dwaj robotnicy. Nikt nie wiedział, co się z nimi stało. Nie szukano ich. Założono, że porzucili pracę, co wówczas dość często się zdarzało wśród sezonowych. Mogli odejść tam, gdzie zaoferowano im więcej pieniędzy albo pracę bliżej domu czy w bardziej dogodnych godzinach. Ale dwa dni później znaleziono ich w sali bilardowej w piwnicy domu Fischera: powiesili się.

Seaton zaczął się pocić. Myśl o piwnicach domu Fischera i koszmarach, jakie mogą się tam czaić, znowu przypomniała mu Brightstone Forest. Oczami wyobraźni

znowu zobaczył złotopomarańczowe słońce, lśniące w szybach asymetrycznych okien wieży.

-Nie mogę tam wrócić!

Jeśli Covey uznał, że słowa te zostały skierowane do niego, nie dał tego po sobie poznać. W ogóle nie zareagował.

- Wtedy zrezygnowano z planu przystosowania tego domu na szpital - ciągnął. - Nieruchomość nadal widnieje w księgach rady hrabstwa. Ale chyba nikt nie wie, jak ją wykorzystać ani czerpać z niej zyski. W każdym razie nikt od czasów Fischera.

- Dlaczego interesuje pana mój przypadek? - spytał Seaton.

- Interesują mnie zjawiska paranormalne - odparł Covey.

- Już mi pan to mówił.

- Przypuszczam, że Klaus Fischer też się nimi interesował, choć z innych powodów niż ja. Dowiedziałem się, że pod płaszczykiem przyjęć wydawanych w posiadłości w Brightstone Forest organizował do 1933 roku ceremonie czarnej magii. W 1933 nagle się stamtąd wyniósł. Podejrzewam jednak, że przez te siedem lat, kiedy był właścicielem domu, nie marnował czasu.

- Psychiatrizy nie wierzą w magię - stwierdził Seaton.

- Jestem tu, więc może dam się przekonać.

- To nie moje zadanie.

- Tak czy inaczej, chciałbym wiedzieć, co się panu przydarzyło w tamten weekend.

-Nie mam ochoty panu o tym opowiadać. Covey wzruszył ramionami.

-Może zmieni pan zdanie. Człowiek, który nigdy nie zmienia zdania, nie myśli.

Wie pan, kto to powiedział?

- Nie.

- Niech pan spróbuje odgadnąć.

Niech pan wyciągnie kartę. Jakąkolwiek kartę.

- Wittgenstein - zaryzykował. Covey uśmiechnął się lekko.

- Freddie Laker.

I Seaton znowu się roześmiał.

Spotykał się z Malcolmem Coveyem raz w tygodniu przez miesiąc. Wciągu czterech sesji, z których każda trwała godzinę, powiedział mu wszystko. Tak mu się w każdym razie wydawało. Pod koniec miesiąca zgodził się, by Covey go zahipnoty-

zował: hipnoza pomoże mu przypomnieć sobie to, co zapomniał z wydarzeń na wyspie Wight. Mógł być tak wstrząśnięty albo przerażony tym, co tam zobaczył i usłyszał, że wyparł to z pamięci, często się tak dzieje u ofiar dramatycznych przeżyć. Coveya najbardziej zdawało się interesować to, jak długo Seaton spał w lesie nieopodal strumienia.

Zgodził się na hipnozę, choć wiedział, że poddając się jej, w pewien sposób złamie przysięgę, którą sam sobie złożył: że nigdy więcej nie zbliży się do posiadłości Fischera.

A zgodził się dlatego, że - jak dotąd - rozmowy z Coveyem chyba mu pomagały. Lepiej sypiał, rzadziej dręczyły go nocne koszmary. Nie miał już ataków paniki, które wcześniej dopadały go pod prysznicem, a raz, o zgrozo, w windzie. Przede wszystkim jednak, pomagała mu postawa i sama obecność Coveya: siedział, ssał swoje cygara, słuchał i nigdy nie okazywał niedowierzania. Nigdy, ani wyrazem twarzy, ani tonem głosu, nie dał Seatonowi do zrozumienia, że wątpi w jego zdrowy rozsądek. Może naprawdę wierzy w to, co mówię, pomyślał Seaton. A jeśli nie, to doskonały z niego aktor.

- Ikonografię można wyjaśnić na dwa sposoby - oznajmił Covey podczas ich ostatniej sesji w szpitalu, po hipnozie.

- Ikonografię?

- To, co sądzi pan, że widział, słyszał i czuł. Szczegóły z epoki.

- To, co widzę, słyszę i czuję. To wszystko wciąż we mnie jest.

-No dobrze, więc to, co pan widzi, słyszy i czuje. Getry, buty na guziki i inne drobiazgi. Muzykę ze starego gramofonu. Zapach kamfory i wody lawendowej.

-Chciałbym nazwać to wszystko tylko drobiazgami.

-Możliwe, że po prostu bardzo łatwo pana zasugerować. Bo wie pan chyba, że jest pan podatny na sugestię. To, co się dzieje, wiąże z pamiętnikiem Pandory. To on dostarczył pożywki pana umysłowi, pańskiej wyobraźni. W konsekwencji stworzył pan swój własny horror, ze scenografią i kostiumami z epoki.

- I co dalej? Covey się zawahał.

- Nie wiem.

-Nie wie pan? Na pewno stać pana na coś więcej, doktorze. Pan powinien wiedzieć.

- Istnieje inne wytłumaczenie - przyznał Covey.

- Niech mnie pan oświeci.

- Trudno to nazwać oświeceniem. Rozumie pan, alternatywa jest dość ponura.

Seaton powoli wypuścił powietrze z płuc. Przeraził się, bo Covey mówił teraz łagodniej, jakby bardziej mu współczuł, i poczuł nagle, że napiął mięśnie, przygotowując się na jakąś straszną wiadomość. Ale nawet najgorsza wiadomość byłaby chyba miłą odmianą po monotonii i nudzie szpitala. Teraz wiedział już, że szpitalna rutyna pomaga zachować pewną równowagę psychiczną. Nie miał też jednak wątpliwości, że w szpitalu nigdy nie doszedłby w pełni do zdrowia. To, co siedzący naprzeciw lekarz zamierzał mu teraz powiedzieć, było prawdziwą przyczyną jego obecności w tym miejscu. Wszystko inne stanowiło tylko preludium. Wszystko. Zygmunta Freud i Freddie Laker. Wittgenstein i Jezus Chrystus.

- Niech mnie pan oświeci - powtórzył.

- Inne wytłumaczenie jest takie, że to coś naprawdę istnieje. Że oni powołali to do życia. Czy też, używając określenia z ich własnej terminologii, spłodzili. Wymagało to potężnej magii i wiązało się z ogromnym ryzykiem. Ale Crowley i Fischer mieli tak wielką moc. Podobnie jak, moim zdaniem, Wheatley, bez względu na to, jakim bufonem mógł się panu wydać po lekturze pamiętnika Gibson-Hoare. Tego, co demon wie o nas, o rodzaju ludzkim, dowiedział się od Fischera i jego sekty. Najbardziej podatni na wpływy jesteśmy w młodości. A on był bardzo młody, głodny wrażeń i niecierpliwy, wtedy, dawno temu, w czasach tych niezwykłych przyjęć wydawanych w domu Fischera. Zgadza się pan ze mną?

- Nie wiem - odparł Seaton. - Nie mam pojęcia o demonologii, doktorze Covey. Nie umiem wytłumaczyć, dlaczego istota z piekła rodem upodobałaby sobie muzykę Fatsa Wallera. I szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie to. Zaczynam jednak wątpić, że jest pan istotnie tym, za kogo się podaje.

Pożałował, że zgodził się na hipnozę. Covey odchylił się na oparcie fotela.

- Sądzi pan, że śmierć brata to przypadek?

- Tak, tak właśnie sędzę, choć alternatywa wydaje się kusząca. Patrick zginął, ponieważ znajdował się w niebezpiecznym miejscu, był nieostrożny i zmęczony po długim, upalnym dniu i za dużo wypił.

- Dlaczego bestia pana nie schwytała?

- Bo nie potrafi przejść przez wodę. Dopadła mnie, a potem musiała się zatrzymać. To jedyne możliwe wyjaśnienie.

- Przed chwilą twierdził pan, że nie wie nic o demonologii.

- Dlatego właśnie stworzyli to coś na wyspie - ciągnął Seaton. -Miałem dużo czasu, by się nad tym wszystkim zastanowić. Przyływy i odpływy, doktorze. Prądy wodne. Chcieli trzymać to coś w zamknięciu. I chyba udawało im się to przez ponad pięćdziesiąt lat.

- Dlaczego ziemskie ograniczenia miałyby dotyczyć demona?

- Sądzę, że to się wiąże z aktem jego stworzenia - odparł Seaton. -Musiał przystać na pewne warunki wstępne, by móc się tu pojawić. Gdyby jego moc nie została w żaden sposób ograniczona, byłby bezużyteczny dla Fischera i jemu podobnych. Właśnie te ograniczenia sprawiają, że demon trzyma się umowy, którą z nim zawarł. To jak faustowski pakt z diabłem, tyle że role się odwróciły.

Covey uśmiechnął się, ale co znaczył ten uśmiech? Seaton wiedział już, że nigdy tak naprawdę nie polubi tego człowieka. Sprawili to koszmarnie okoliczności, z powodu których doktor ingerował w jego życie. Zawsze będzie mu się kojarzył ze smutkiem i strachem. Ale nie tylko one, również to, że Covey nie mówił nic o sobie. Bez względu na swoje pragnienia, nie dbał o to, czy jest lubiany, czy też nie. Pieprzyć to, pomyślał Seaton. Prawdę mówiąc, czuł się zmęczony, wyczerpany. Hipnoza go wycieńczyła.

- A co pan o tym sądzi?

- O pańskiej teorii wody?

- O tym wszystkim.

Covey milczał i tylko się uśmiechał.

- Sądzę, że jest pan tak zdrowy na umyśle jak ja - odparł w końcu. Seaton przebywał w szpitalu ponad osiem miesięcy. W tym czasie

Lucinda Grey ani razu go nie odwiedziła. Zraniła go tym i zasmuciła. Ale odczuwał też ulgę. Aby wyjść ze szpitala z nadzieją na prawdziwy powrót do zdrowia, musiał odciąć się od swojego dawnego „ja”. Pewne decyzje dotyczące jego przyszłego życia zostały już za niego podjęte.

W sądzie toczyła się przeciw niemu sprawa o niezapłacony rachunek z karty Access na sumę stu dwudziestu funtów. Jego nazwisko umieszczono na liście dłużników i bez zabezpieczenia nie dostałby teraz żadnego kredytu. Wyleciał z pracy, był więc bezrobotny i przestał cieszyć się dobrą opinią w jedynym zawodzie, na jakim się znał. Stracił też dach nad głową. Najmniej ważny - choć jego próżność bardzo

nad tym cierpiała - był fakt, że pobyt w szpitalu odbił się na jego wyglądzie i kondycji. Jego twarde kiedyś mięśnie sflaczały, przymusowa szpitalna bezczynność sprawiła, że z luster patrzył na niego jakiś niemal bezcielesny duch. (Choć teraz bardzo rzadko w nie spoglądał. Bo niby po co?) Tak więc wydarzyło się sporo, lecz właściwie bez jego czynnego udziału.

Ale coś jednak jeszcze zostało mu do zrobienia. Musiał zrezygnować ze swoich dawnych ambicji i znajomości, porzucić przyzwyczajenia-całkowicie się zmienić. I wiedział, że będzie mu znacznie łatwiej pogodzić się z tą nową, zubożałą egzystencją, jeśli zaakceptuje fakt, iż nigdy już nie zobaczy Lucindy Grey. Musiał ją zamknąć, podobnie jak zmarłego brata, w archiwum swojej pamięci. Tam mógł przechowywać związane z nimi wspomnienia, nie zadając sobie bólu. Tam mogli nadal żyć. I tylko tam, tak naprawdę, mógł pozwolić im istnieć, nie narażając się na nawrót obłędu. Wiedział, że tym razem już by się nie podźwignął. Jedna wizja porzucającej go Lucindy, jedno spotkanie z upiornie uśmiechniętym duchem brata, a bez wątpienia skrepowany skórzanymi pasami trafiłby do położonego w głębi szpitala pokoju o wyciszonych ścianach.

W dniu, kiedy opuszczał szpital, podpisał kwit, że odbiera swoje rzeczy. Sanitariusz zaprowadził go do miejsca, w którym je przechowywano. Była to dla niego ciężka chwila. W walizce pełnej ubrań znajdowała się też maszyna do pisania, rakietka tenisowa, płyty - wiedział, że nigdy już nie będzie ich słuchał - i koperta ze starymi biletami wstępu na koncert Carmel, które zachował na pamiątkę. Koncert odbył się w Soho, w Ronnie Scott's, pewnego fantastycznego wieczoru. Znalazł tam też zdjęcie Lucindy przy stoliku w pubie na łodzi. Podniósł zdjęcie do ust. Pamiętał palący dotyk słońca na karku, kiedy je robił; pamiętał zapach perfum Lucindy i smak jej pocałunku. Zawsze wydawało mu się, że całuje go zbyt rzadko. A teraz nie zazna tego już nigdy. Zamknął oczy i przez chwilę kołysał się na piętach, obserwowany uważnie przez sanitariusza. Zabrał tylko ubrania i buty, które od razu włożył, żeby po wyjściu ze szpitala jakoś wyglądać. A potem poprosił portiera o pozbycie się reszty jego rzeczy, z którymi musiał się jak najszybciej rozstać.

Przez ponad dziesięć lat Paul Seaton właściwie nieprzerwanie uciekał. Najpierw pojechał do Ameryki, do Nowego Jorku. Wierzył w legendę irlandzkiej diaspory z otwartymi ramionami witającej każdego przybysza z dublińskim akcentem. I rzeczywiście, powitano go dość ciepło. Ale by się tam odnaleźć, być naprawdę ciepło

traktowanym, należało znać swoje miejsce w tej legendzie, grać swoją przewidywalną rolę w wielkim panoramicznym dramacie irlandzkiej emigracji. On jednak tego nie potrafił. W ogóle się do tego nie nadawał. Szczerze mówiąc, po prostu nie miał do tego serca. To, czego doświadczył, odarło go ze spokoju i równowagi, koniecznych, by móc delektować się przynależnością do grupy. Był nieszczęśliwym człowiekiem, który nie potrafi ukryć swojego bólu. Był ponury, smutny, bojaźliwy. Zły i mściwy również.

Pewnego wieczoru zaczepił go w barze na Brooklynie dawny członek jednej z irlandzkich bojówek, obecnie na emigracji, ochotnik ze wschodniego Belfastu. Nie nawidził Irlandczyków, którzy stracili irlandzki akcent, gdyż porzucili ojczyznę dla atrakcji Londynu. Tak w każdym razie wyjaśnił fakt, że na cel swojego ataku wybrał akurat Seatona. Może po prostu tęsknił za żoną i dziećmi, które zostały w domu? A może po paru głębszych chciał wyładować frustrację na jakimś Judaszu pokroju Seatona? Ale kiedy w końcu stanęli na ubitej ziemi, czy też raczej na nowojorskim bruku, facet dwa razy leżał na łopatkach. Za drugim razem już się nie podniósł. Seatonowi, który uciekł z miejsca zdarzenia, wyglądało to na poważny wstrząs mózgu.

Ja tylko pozornie okazałem się lepszy od niego, pomyślał później, na dworcu autobusowym, ściskając swoją tanią walizkę i spoglądając na obolałe kłykcie. Z nas dwóch ja miałem w sobie po prostu więcej gniewu, a on więcej alkoholu we krwi.

Pojechał do Bostonu. Podjął tam pracę przy konserwacji łodzi i dał się nawet namówić na uprawianie wioślarstwa w grupie ośmiu mężczyzn. Pracował też jako barman w irlandzkim pubie, co z pewnością było lepsze od siedzenia w nim i picia. W Bostonie stał się bardziej towarzyski. Pewnego dnia jeden ze stałych bywalców pubu zapalał do niego nawet taką sympatią, że poinformował go, iż napastnik z Brooklynu wydobrze już i depcze mu po piętach.

Wyjechał więc do Kanady. Zdał sobie sprawę, że posiadanie irlandzkiego paszportu to coś cudownego, jeśli człowiek ma ochotę pojeździć po świecie. Postanowił spędzić zimę w Kolumbii Brytyjskiej. Teraz jego duszę skuł tak twardy lód, że przy nim nawet Nowa Szkocja w zimie wydawała się ciepłym krajem. Tam, w Kanadzie, przestał czuć na plecach oddech zabijaki z Nowego Jorku. Tam nauczył się też jeździć na nartach. Uczył angielskiego i historii w szkole podstawowej, a w college'u dwa razy w tygodniu wykładał na kursach wieczorowych dziennikarstwo. Zaczął się

spotykać z miłą, atrakcyjną kobietą, z pochodzenia Dunką. Nieszczęśliwy koniec tego romansu przekonał go, że znowu czas uciekać.

Pewnego dnia pojechali do domku jej ojca, położonego głęboko w lasach, na skraju Parku Narodowego w Banff. Kiedy dotarli do lasu, szalała śnieżycą. Wśród niekończącej się, zwartej masy wysokich świerków prowadziła wąska ścieżka. Ciężko było nią iść w padającym śniegu. Wkrótce już ze wszystkich stron otaczał ich gęsty las. W tej białej gęszy panowała cisza tak głęboko, jakby zawędrowali na jakieś nieznane ziemie, czekające jeszcze na odkrycie przez człowieka. Szli przed siebie w milczeniu, między uginającymi się pod ciężarem śniegu gałęziami. Aż w końcu, po godzinie marszu, natrafili na przerwę w ścianie drzew. Seaton skręcił w nią, zakładając, że musi prowadzić tamtędy ścieżka do domku.

-Nie - powiedziała kobieta. Głos jej się łamał. Seaton myślał, że dostała zadyszki.
- Nie tędy - dodała. - Wtedy pomyślał: nie, to strach. Ona się czegoś boi.

Zatrzymał się i spojrzał w głąb ścieżki wciśniętej między drzewa. Na śniegu leżały połamane gałęzie, drzewa stały nieruchomo, kremowe w miejscach, z których wielkimi płatami została zdarta kora. W poharatanych pniach widniały głębokie nacięcia i rany. Seaton podszedł bliżej i musnął jeden z nich palcami.

-Nie - powtórzyła kobieta.

Odwrócił się i spojrzał na nią. Znowu zaskoczył go ton jej głosu. W zimnym powietrzu para wydobywała się z jej ust. Stała na ścieżce bez ruchu, z rumieńcami na twarzy i w goglach na czapce. Wśród tej białej pustki jej oczy wydawały się wielkie i bardzo jasne.

Odwrócił się i spojrzał w prowadzącą w lewo ścieżkę; przeszył go dreszcz. Musiało tędy przejść coś wielkiego i dzikiego; coś, co zdierało korę z drzewa, zostawiając po sobie obraz śmierci. Czy mógł to być łoś, ścierający swoje potężne poroże? Seaton nie widział jednak w śniegu śladów kopyt, w ogóle żadnych śladów, poza tym cały czas padał śnieg. Teraz, kiedy dzieło zniszczenia już się dokonało, w lesie było bardzo cicho. Ale w żywicy zastygłej na poranionych drzewach Seaton wyczuwał zapach przemocy. Nie. Tędy nie przeszły łośie, a coś znacznie bardziej dzikiego i straszego.

- Niedźwiedź - wydusił Seaton.

- To nie niedźwiedź. Nie w zimie.

- Więc co?

-Chodź , Paul. Trzymaj się ścieżki i śpiesz się. Przed nami jeszcze przynajmniej półtora kilometra.

Kiwnął głową. Czuł teraz silny zapach zwierzęcej uryny. I niepohamowaną furię wśród spustoszeń dokonanych przez istotę, która była tu przed nimi.

Rozmawiali, pili grzane wino i kochali się do późna w nocy, w ciemnościach - tylko w kominku żarzyły się jeszcze kawałki drewna, a za oknem migotały światelka obozu wędkarzy, rozbitego na zamrzniętym jeziorze mniej więcej kilometr dalej. Może to z powodu lasu i wspomnień, jakie w nim obudził, a może z powodu tego, co zrobiła bestia, w każdym razie nad ranem, w tej wielkiej, nieruchomej ciszy, tuląc do siebie pod kocem uroczą Dunkę, wypowiedział imię innej kobiety.

Gdzie jest jego dom? Dręczyło go to pytanie. Przed śmiercią matki odparłby, że w Dublinie, mieście, w którym się urodził, dorastał, kształcił się i zbierał pierwsze doświadczenia. A potem? Z pewnością w Londynie. Londyn był jego domem.

Pojechał do Dublina. Tam wszyscy jego dobrzy znajomi już zmarli. Czuł się więc bardzo wyizolowany. I, oczywiście, samotny. A ta samotność była teraz dla Paula Seaton'a jak swędzące miejsce, do którego nie sięgał ręką. Został na nią skazany. Był to dla niego normalny stan, tak jak normalne jest zapotrzebowanie na tlen. I niemal już tego nie zauważał. Możliwe więc, że zostałby w Dublinie. Nadeszły jednak, bez specjalnych fanfar, lata dziewięćdziesiąte. Seaton otrzymał pracę w Trinity i mieszkanie nad kanałem. Życie wydawało mu się nawet znośne. Miasto prosperowało, a to zmieniało jego oblicze. Ludzie mieli teraz cele i dumę, której nie znał z dzieciństwa. Zostałby tam, gdyby pewnego dnia nie zdał sobie sprawy, że duchy przestały go nawiedzać. W sobotnie popołudnie na Grafton Street czuł wokół siebie tylko obecność turystów i mieszkańców robiących zakupy; słyszał tylko muzykę ulicznych grajków i brzęk monet rzucanych na bruk przed nimi. Rozejrzał się, szukając mrocznych, sztywnych postaci, kroczących martwym krokiem przez tłum, i nie zobaczył ani jednej. Wziął głęboki oddech, a idąc przez Brown Thomas, spojrzał na swoje odbicie w witrynie supermarketu. Widział siebie, a za plecami ruchliwą ulicę. Nikt go nie obserwował, nikt nie uśmiechał się do niego sardonicznie. Jakby duchy odeszły. Postanowił więc wrócić do Londynu. Tam, gdzie przeżył najszcześniejsze dni, choć szczęście trwało tylko chwilę. Tam, gdzie tak naprawdę był jego dom. W głębi swojej poranionej irlandzkiej duszy wiedział to na pewno.

Seaton zakończył swoją historię, a potem przez chwilę słuchał ciszy, która po niej zapadła. Dla pogrążonej w narkotycznym śnie dziewczyny w pokoju nad nimi była to dość spokojna noc. Słuchając, Mason palił nieprzerwanie i czasem marszczył brwi. Siedzieli w salonie, w którym znajdował się kosztowny zestaw hi-fi i kilka ładnych pejzaży namalowanych przez kolorystów ze szkoły St Ives. Nocą obrazy wydawały się tylko ciemnymi plamami na ścianie; teraz, kiedy światło listopadowego dnia sączyło się przez szpary w drewnianych okiennicach, każdy szczegół był wyraźnie widoczny. Szalejący w nocy sztorm ucichł. No i, na szczęście, odkąd wysiedli z samochodu, nie nękała ich już żadna muzyka. Opowiadając swoją historię, Seaton spodziewał się, że zaraz znów z głośników zestawu Masona popłynie piosenka. Ale nie, panowała cisza.

-I co o tym myślisz?

Mason popatrzył na zegarek, a potem na sufit, jakby przez deski podłogowe chciał zajrzeć do pokoju swojej siostry. W końcu spojrzał Seatonowi w oczy.

- Mam land rovera w garażu w Tankerton. Potrzebuję jakichś dwudziestu minut, żeby wyciągnąć z szuflad parę rzeczy, i jeszcze trzydziestu, żeby się spakować. Przeprowa promowa może być ryzykowna, bo amunicja jest ciężka, a czasem ważą też samochody. Mało to jednak prawdopodobne, chyba że będziemy mieć pecha. A pecha obaj już mieliśmy. Mój instynkt każe mi spróbować zrobić to, co zrobiłem temu czemuś w Afryce. Tyle że intuicja podpowiada mi, że nie wiem wszystkiego, co powinienem wiedzieć. Czuję, że pewnych rzeczy mi nie powiedziano. Wiesz, trzeba znać swojego wroga. To cholerna prawda, jeśli chcesz przeżyć. Jeśli chcesz być górą.

- Powiedziałem ci wszystko - zapewnił Seaton.

- Malcolm Covey - mruknął Mason. - Nawet jego imię brzmi jak jakiś cholerny anagram.

- Och, to człowiek z krwi i kości.

- I to on cię do mnie przysłał, tak?

- Tak.

- A nie powiedziałbyś mi dlaczego?

-Musimy porozmawiać z księdzem, z twoim jezuitą - odparł Seaton. - Covey twierdził, że powinniśmy to zrobić, zanim spróbujemy zrobić coś innego.

Mason zastanawiał się przez chwilę.

- Przyszło ci kiedyś do głowy, że może Covey nie był z tobą całkowicie szczery?

- Myślałem o tym bardzo często.

- Kim on jest?

- Nie wiem. Bóg mi świadkiem, że nie wiem. Ale wczoraj spędziłem z nim godzinę w barze przy katedrze w Lambeth. Upierał się, że powinniśmy porozmawiać z księdzem, jeśli chcemy mieć choć cień szansy na ocalenie życia tych dziewcząt.

- Dlaczego on uważa, że musisz tam wrócić, Paul? Tak z czystej dobroci twojego serca?

- Zawsze mi to powtarzał. Zawsze twierdził, że pewnego dnia będę musiał tam wrócić.

- Dlaczego?

Powietrze w pokoju było żółte i gorzkawe od gryzącego dymu papierosów. Przez okiennice wpadało blade światło, jak to w jesienny dzień, ponury od świtu do zmierzchu. Nawet monotony plusk wody brzmiał tak, jakby morze już się zmęczyło. Seaton westchnął, niewyspany i wyczerpany wspomnieniami.

-Malcolm Covey powiedział, że muszę tam wrócić, bo zmarli sami się nie grzebią.

Mason prychnął.

- Co to ma być, jakaś psychiatryczna zagadka?

- Nie sędzę. Sędzę, że stwierdził tylko smutny fakt.

Mason przez chwilę zastygł w bezruchu. A Seaton wiedział, że takiemu człowiekowi zdarza się to bardzo rzadko. Potem drgnął, zamrugał i znowu podniósł głowę, jakby chciał przebić wzrokiem sufity odziedziczonego domu i zajrzeć tam, gdzie jego udęczona siostra śniła swój sen bez snów.

- Ten ksiądz musi być bardzo stary i znużony życiem. Już w Afryce, siedem lat temu był stary. No i trzeba go jeszcze odszukać. Jezu.

- Przebywa w samotni we francuskich Alpach. To dawny klasztor, nad Chamonix - wyjaśnił Seaton. - Covey mi powiedział. Powiedział, że tam go znajdziemy.

-Zaszył się w odludnym miejscu, by pojednać się z Bogiem i umrzeć - mruknął Mason. - Kim jest ten Covey?

-Mówiłem ci już. Nie wiem. Nigdy tak naprawdę nie wiedziałem. Mason kiwnął głową.

- Zdrzemnij się trochę - zaproponował. - Odpocznijmy parę godzin, a potem pójdziemy pobiegać dla odświeżenia umysłu przed podróżą.

- Pobiegać?

- Byłeś kiedyś w niezłej formie, prawda?

- Chcesz wyjechać natychmiast?

- Wcale nie chcę wyjeżdżać. Chciałbym zostać z Sarah. Ale moja obecność chyba niezbyt jej pomaga. Poza tym uważam, że rzadko, jeśli w ogóle, osiąga się ważne cele w pośpiechu. Poza tym, szczerze mówiąc, jeśli najpierw się nie prześpię i nie rozładuję jakoś napięcia, w końcu komuś przyłożę. A pod ręką jesteś akurat ty.

- Nie mam tu żadnych sportowych ciuchów.

- Pożyczę ci coś. Niech mnie diabli, jeśli będę biegać sam. Sportowe ciuchy, przyjacielu, to najmniejszy z twoich problemów.

Z Ashford pojechali pociągiem do Francji i złapali połączenie z TGV, pełnym narciarzy. Podczas podróży Mason opowiedział Seatonowi o stanie dziewcząt z seminarium z etyki. Nawiązał kontakt z rodzinami Angielek zaraz po pogrzebie, który obserwował z ukrycia. Obie leżały w szpitalu, nafaszerowane środkami uspokajającymi, pod stałą obserwacją z uwagi na ryzyko samobójstwa. Amerykanka, starsza i pozornie silniejsza, została obezwładniona przez stewardów, kiedy wysoko nad Atlantykiem usiłowała otworzyć awaryjne drzwi samolotu, którym wracała do domu. Teraz przebywała w Bellevue; przy drzwiach jej pokoju czuwali na zmianę zrozpaczeni rodzice.

TGV jechał bardzo szybko, ale Chamonix leży w Alpach. Przez czterdzieści pięć minut, w przenikliwym chłdzie, szukali taksówkarza, który zgodziłby się zawieźć ich pod adres podany przez Malcolma Coveya.

- A skąd mamy wiedzieć, czy on nas przyjmie?

- Covey mówił, że nas oczekuje.

W taksówce było zimno. A temperatura na zewnątrz, w miarę jak wjeżdżali coraz wyżej i powietrze stopniowo rzedło, jeszcze bardziej spadało. Seaton stał rękawicz-

ką parę na oknie samochodu i przez przejrzyste kółeczko dojrzał bielący między drzewami śnieg. Poruszył się - po porannym joggingu wszystkie mięśnie nóg i pleców miał sztywne i obolałe. Biegali długo, nie oszczędzali sił. Mason wykazał się tak dobrą kondycją, na jaką wyglądał. A Seaton czuł się po tym treningu lepiej, niż mógł się spodziewać.

Taksówkarz przyspieszył, wjeżdżając na szczególnie stromy odcinek drogi. Seaton, wciśnięty w fotel, patrzył, jak jego miniaturowe, okrągłe okienko na świat znowu zachodzi parą, by po chwili stać się tylko niewyraźnym punkcikiem na szybie. Jechali teraz wśród drzew, pod zwieszającymi się nad drogą gęstymi gałęziami świerków i sosen. Śnieg tańczył w żółtym świetle reflektorów. Nagle w samochodzie włączyło się radio, grał Quintet of the Hot Club of Paris. Cygański wirtuoz Django Reinhardt dokonywał cudów na strunach swojej gitary.

- *Merde*! - zaklął taksówkarz, wciskając guzik radioodbiornika. Za jego plecami, w słabym świetle deski rozdzielczej, pasażerowie wymienili spojrzenia.

Mnich otworzył bramę, kiedy Mason pociągnął za sznur dzwonu, i zostawił ich na brukowanym dziedzińcu. Śnieg rozpadał się na dobre, mokre płatki osiadały na ich ramionach i odsłoniętych głowach. Spoglądając na ciemne łuki ścian, Seaton pomyślał, że tutaj kamień, wychłodzony setkami takich zim, zobojętniał już na wszystko. Była to bardzo stara i posępna budowla. Żółte, nieliczne światelka świec palących się w krużgankach i oknach niektórych cel pełgały w mroku. Seaton zadrżał. Ale tylko dlatego, że było zimno i wilgotno. Nic tutaj nie budziło strachu ani poczucia zagrożenia, jakby wszelkie zło nie miało wstępu między te mury. Nie nękały go tu te nieprzyjemne myśli, które po raz pierwszy dopadły go w jego własnym mieszkaniu i nie dawały mu spokoju później w Surrey. Nie czuł też atmosfery smutku i lęku, która panowała w domu Masona na brzegu morza w Whitstable. Ta samotnia była prawdziwym schronieniem. Jak daleko trzeba uciec, by poczuć się bezpiecznym! Seaton znów zadrżał, kiedy zorientował się, że Mason na niego patrzy.

Weszli do wielkiego pokoju z półkami pełnymi oprawnych w skórę i płótno książek. W kominku płonęły sosnowe polana. Słodki zapach żywicy sprawił, że Seatonowi nagle zachciało się jeść. Od śniadania w pociągu z Ashford właściwie nic nie mieli w ustach. Do pokoju wszedł mnich w brązowym habicie franciszkańskim przepasanym sznurem. Niósł tacę. Gestem zaprosił ich, by usiedli na krzesłach po

dwóch stronach drewnianego stołu, i postawił przed nimi miski z gęstą zupą oraz talerz z grubymi kromkami chleba.

- Jedzcie. Proszę, najedzcie się panowie do syta. - Mówił po angielsku z szorstkim akcentem mieszkańców gór. - Wkrótce spotkacie się z monsignore Lascalles. Więc musicie mieć pełne brzuchy. - Zaśmiał się, jakby opowiedział dowcip, nalał wody do cynowych kielichów, po czym podszedł do drzwi.

- Nie chciałem okazać się niewdzięczny - powiedział Mason - ale jeśli chodzi o mnichów, to zawsze najbardziej lubiłem trapistów.

Seaton upił trochę wody tak zimnej, że jego zęby przeszył ostry ból. Mason silnymi palcami oderwał kawałek chleba, włożył go do ust i zaczął żuć. Seaton pomyślał, że powinien przerwać ciszę, spróbować zażartować, rozładować napięcie, ale jak? Wydawało mu się, że Mason unika jego wzroku - czyżby denerwował się przed spotkaniem ze starym księdzem? Nie zapytał, jedli więc w milczeniu. Ciszę od czasu do czasu przerywał tylko trzask płonącego drewna, kiedy pod wpływem temperatury spod kory wydostawała się żywica. Obaj skupili się na jedzeniu, aż w końcu pochłonęli wszystko. Wtedy klamka w drzwiach się poruszyła i do pokoju wszedł Lascalles.

Wstali, Ksiądz pochylił siwą głowę - ostrzyżoną na jeża - dwa razy, przed każdym z gości. Miał na sobie długą do ziemi sutannę; wydawał się w niej bardzo wysoki i bardzo szczupły. Kiedy się zbliżył, Seaton zauważył jego buty: znoszone, ale wypolerowane na wysoki połysk. I ogarnęła go nagle fala współczucia dla starego księdza. Dla jego kruchości i jego dumnej, niezachwianej wiary.

Zastanawiał się, czy we trzech uda im się zwyciężyć. Połączył ich los, przeznaczenie. Było coś dziwnego, jakiś odwieczny, ale wyraźny akcent, w tym spotkaniu w katolickim klasztorze na odludziu. Seatonowi przypominały się powieści Ridera Haggarda, Conan Doyle'a i Brama Stokera. Trzej mężczyźni, choć wykształceni, zjednoczyli się, by zaplanować atak na siły zła, zbrojni w męstwo, wiedzę i prawy charakter. Historia krzepiąco podobna do tych, jakie w dzieciństwie czytywał przy świetle latarki pod kocem. Tyle tylko że on był w domu Fischera. I ta mroczna, ponura prawda odebrała wszelki sens fantazjom, w jakich szukał teraz ukojenia. W chaosie panującym w posiadłości na terenie Brightstone Forest człowiek tracił odwagę. Bezsilny, stał się łowną zwierzyną.

Znowu spojrział na księdza. Jego skóra wyglądała jak papier naciągnięty na kości. W świetle ognia na skroni dostrzegł słabo pulsującą żyłę, doprowadzającą krew do mózgu. Jego wiara trwa, pomyślał, ale siła i życiowa energia, kiedyś zapewne wielkie, wyczerpały się dawno temu i teraz są już tylko wspomnieniem. Lascalles umierał.

Przeniósł wzrok na Masona: nieufne oczy i ponura twarz. Potężny i silny, wyglądał jak anioł, skazany jednak na rychły upadek. Tak, bez wątpienia Mason miał w sobie siłę, zwłaszcza brutalną siłę fizyczną. Spytał go, jak po ich wyjeździe chce zapewnić bezpieczeństwo swojej siostrze. Morfina, odparł, której dostarcza zaprzyjaźniony lekarz z Herne Bay.

Ciekawe, jak zjednać sobie lekarza, zastanawiał się głośno Seaton.

-Musisz sprawić, żeby był ci wdzięczny. Facet miał problem z gangiem narkomanów. Żyli z zasiłku i wymuszali recepty na metadon. Poszedł na policję, ale to tylko pogorszyło sytuację. Skontaktował się ze mną, kiedy pobili mu dwunastoletniego dzieciaka.

Seaton zaczął się śmiać.

- To ile razy musiałeś komuś połamać kolana?

- Tylko ten jeden raz.

Seaton nie wiedział, czy Mason żartuje, czy nie.

Czuł, jak jego duszę ogarnia chłód, tak lodowaty jak woda w górskim strumieniu. Pomyślał o długiej serpentyńie ośnieżonej drogi za murami klasztoru: prowadziła do przytulnych schronisk, tam w dole, gdzie narciarze pili grzane wino. A on znalazł się w królestwie turni, śnieżnych zawiei i groźnych lawin. Sam jak palec. Nie było to nowe uczucie; prawdę mówiąc, ostatnich dwanaście lat przeżył w samotności, mniej lub bardziej dotkliwej. A jednak tutaj nawet on czuł się wyizolowany. I nie chodziło tylko o samotność, ale o paralizujący lęk. To on sprawiał, że fantazje w stylu Ridera Haggarda zupełnie nie przystawały do rzeczywistości. Seatonowi zabrakło odwagi. Zrozumiał to tutaj, gdy znalazł się w towarzystwie tych dwóch prawdziwych mężczyzn. Był tchórzem, zdrewniałym z przerażenia i bardzo samotnym.

Mason w końcu przerwał ciszę.

-Spotkaliśmy się już, ojciec - powiedział. Lascalles uśmiechnął się do niego.

- Dwa razy - odparł.

- Dwa razy? - zdziwił się Mason.

- Za pierwszym razem byłeś bardzo młody. Nie czuję się urażony tym, że tego nie pamiętasz. Ja jednak pamiętam, bo doznałem wtedy wielkiej radości i ulgi. To ja cię ochrzciłem, Nicholas. - Ksiądz znowu się uśmiechnął i gestem poprosił swoich gości, by usiedli. Zajęli więc krzesła przy stole, a on fotel naprzeciw nich. - Widzę, że uważnie mnie słuchacie. Musimy jednak zacząć od samego początku. A dla mnie ta historia zaczęła się jesienią 1917 roku, w dniu, kiedy poznałem Wheatleya, na froncie, w miejscu, które historia zapamiętała jako Passchendaele.

Jego wiara została wystawiona na ciężką próbę jeszcze przed wybuchem wojny. Odbywał nowicjat, kiedy wielki statek pasażerski zatonął pięćset mil od wybrzeży Nowej Fundlandii w lodowatych wodach Atlantyku. Przeczytał o tym w gazecie. Przerażony i osłupiały, nie mógł uwierzyć, że Bóg pozwolił na śmierć tylu młodych, niewinnych istot.

-Kwiecień 1912- powiedział Lascalles. - Miałem siedemnaście lat, kiedy zatonął „Titanic”. A wraz z nim omal nie poszło na dno moje powołanie.

Był jednak młody. A młodzi są pełni entuzjazmu. I ten entuzjazm odnowił jego wiarę w coś szlachetniejszego, wznioslejszego niż zyski, sensacje i imperialne zakusy światowych mocarstw. Tak więc wybuch wojny nie przeszkodził mu właściwie w zgłębianiu prawdziwego znaczenia Ewangelii. Ani w napawaniu się poezją innego jezuitę, Walijczyka Manleya Hopkinsa, którą właśnie odkrył. Wiosną 1916 roku został w Rzymie wyświęcony na księdza przez samego papieża.

Ale mniej było już czasu na radowanie się wieczną prawdą czy roztrząsanie problemów teologicznych z innymi uczonymi sługami Boga. A jeszcze mniej na poezję. Z nadejściem lata Lascalles został kapelanem batalionu francuskiej piechoty, a jesienią, uczestnicząc w pogrzebach, modlił się nad posypanymi wapnem dołami, masowymi grobami francuskich żołnierzy poległych w krwawej masakrze pod Verdun.

- Czy któryś z was wie, co się tam stało?

- Paul wie chyba więcej na temat powstania wielkanocnego, ojciec -odparł Mason. - Dla niego rok 1916 to Patrick Pearse, Michael Collins i okupacja poczty na O'Connell Street.

- Wtedy ciągle jeszcze nazywała się Sackville Street - sprostował Seaton. - Ale w zasadzie masz rację. Nic nie wiem o Verdun.

- Tam powstał system fortyfikacji, który w zamierzeniu miał być nieprzekraczalny - wyjaśnił Mason. - Zostały wybudowane, by zniechęcić Niemców do inwazji na

Francję. Jednak okazały się zbyt skoncentrowane i zbyt wielu ludzi zaangażowano tam do biernego stawiania oporu. W 1914 roku wszyscy bystrzejsi niemieccy dowódcy wiedzieli, że każda nowoczesna, mobilna armia może po prostu Verdun obejść. Ale von Falkenhayn, niemiecki strateg, wierzył, że Francuzi będą czuli się w obowiązku bronić fortyfikacji, symbolu narodowej dumy, a więc należy ściągnąć tam jak najwięcej francuskich żołnierzy i uczynić ich łatwym celem. W miarę rozwoju sytuacji Verdun stawało się coraz bardziej wysuniętą częścią linii frontu, można więc było je zaatakować ostrzałem ciężkiej artylerii z trzech stron. Francuzi nadal uważają Verdun za ostatnią wielką bitwę. W rzeczywistości jednak była to prawdziwa rzeź ludzi.

- Oblężenie rozpoczęło się w lutym - dodał Lascalles - a zakończyło w październiku. W tym czasie zginęło lub zostało rannych milion żołnierzy. - Urwał na moment, pogrążony we wspomnieniach, niezwykle żywych, sądząc z wyrazu twarzy sędziwego księdza. - Jesienią niosłem pocieszenie tym, którzy przeżyli, pomagałem rannym i grzebałem ofiary, odprawiając msze pogrzebowe. W nic już nie wierzyłem. Okrucieństwo, przypadek, a czasem też absurd rządziły wówczas ludzkim życiem. Instynkt i przebiegłość dawały szansę na przetrwanie. Nie było życia po śmierci. Nie było nadziei. I z całą pewnością nie było Boga.

Zapadła cisza, którą po chwili przerwał Mason.

- Dlaczego wysłali księdza do Passchendaele?

- Prawdopodobnie dlatego, że Falkenhayn pokazał mi, co znaczy rzeź. I dlatego, że wasz generał Haig zaplanował kolejną. Prawda jest jednak taka, że Brytyjczycy mieli wystarczającą liczbę własnych kapelanów, wszelkich wyznań. Nie potrzebowali francuskiego księdza, który utracił wiarę.

- Dlaczego więc ksiądz tam pojechał? - spytał Seaton. - Dlaczego został tam ksiądz wysłany?

- Wheatley - odparł Lascalles.

Słyszał o sprawie już wcześniej, bo wzdłuż linii frontu plotki rozchodziły się szybko, a bariera językowa nie przeszkadzała powstawaniu wojennych mitów i legend. Tak więc i do niego dotarła w tym chaosie historia angielskiego oficera artylerii, który tak zdenerwował swoich żołnierzy, że odmówili dalszej służby pod jego rozkazami. Niezwykła to rzecz, bo dezercerzy byli prawdziwymi weteranami wojny, zaprawionymi w bojach i dumnymi ze swej odwagi i zawodowstwa. Nie był to przypadek tchórzostwa, szoku czy wyczerpania nerwowego. Przeciwnie, podobno zobaczyli oni coś, co sprawiło, że woleli zaryzykować egzekucję, niż walczyć dalej w tej jednostce. Byli nieugięci. Nieugięci, choć to, co podobno widzieli, stawiało ich samych w dość dziwnym świetle.

Ów angielski oficer został trafiony pociskiem. Siła wybuchu powinna była zmasakrować jego ciało. Ale kiedy ziemia i gruz zaczęły opadać po eksplozji, żołnierze ujrzeni, jak ich dowódca wygrzebuje się z leju, w poszarpanym mundurze, brudny, umazany prochem, ale nietknięty. Nie wierzyli własnym oczom.

„Podszedłem do niego - opowiadał podobno bombardier, któremu groził wyrok za niesubordynację. - Zapadał zmierzch, ale jeszcze wszystko było widać. Lepiej, niżbym chciał, jak się okazało. Od razu zauważyłem, że nie chwiał się, nie potykał, jak ranni, którzy idą przed siebie, oszołomieni, jakby szukali miejsca, w którym mogliby bezpiecznie upaść. A on był sztywny, sztywny jak marionetka poruszana sznurkami. Kiedy podszedłem bliżej, nad nami wystrzelono racę i wtedy zobaczyłem jego oczy. Były martwe, bez życia. Szklily się tylko i połyskiwały złośliwie jak oczy lalki-brzuchomówcy. Przystanąłem, trzymając w ręce opatrunek, który wyszarpnąłem z plecaka, żeby mu pomóc, jeśli w ogóle będzie to jeszcze możliwe. W gasnącym świetle racy widziałem, jak jego ruchy nabierają płynności, jak stają się coraz bardziej naturalne. Bardziej ludzkie. Stałem jak wryty, oszołomiony jego widokiem. A on otrzepał strzępy munduru z błota i pyłu, przekrzywił głowę tak gwałtownie, że aż podskoczyłem, i uśmiechnął się do mnie. To był uśmiech człowieka pozbawionego duszy. Nie potrafię tego inaczej określić. I mogę przysiąc na Biblię, że nic wtedy nie piłem. Pamiętam to słowo ze szkółki niedzielnej. Demon. Tamtego dnia na froncie zobaczyłem wcielenie demona”.

-Mój pułkownik pokazał mi to oświadczenie. Zaintrygowało mnie - powiedział Lascalles. - Dostrzegłem w nim zdumiewającą sprzeczność. Oto kapral, który zjadł

zęby na wojnie, bez wahania próbuje wesprzeć swojego oficera w samym środku bombardowania. Jest doświadczony i odważny. A jednak coś skłoniło go do niesubordynacji.

-Coś go przeraziło - wtrącił Seaton. Mason upił łyk wody.

-Wybaczcie - uśmiechnął się do swoich gości Lascalles. -Pozwólcie, że zaproponuję coś mocniejszego do picia.

Brytyjczycy poprosili Lascalles'a o pomoc, ponieważ potrzebowali kogoś znającego się na magii. Tylko ekspert w tej dziedzinie mógł położyć kres plotkom o oficerze artylerii, który zaprzedał duszę za ocalenie w bitwie. Żołnierze byli przesądni. Historie takie jak ta o Aniołach Monsa podsycalo, a nawet rozpuszczało dowództwo: miały świadczyć o tym, że Wszechmocny stoi po ich stronie. Ale ta sprawa była inna. Oficerowie mieli dawać przykład i budzić wiarę. Nie można więc było tak po prostu jednego z nich poświęcić, by uspokoić paru wytraconych z równowagi facetów. Z drugiej strony w 1917 roku wojna przybrała taki obrót, że dezertarów nie rozstrzeliwano. Egzekucje źle wpływały na morale, a planowany atak na Passchendaele stanowił ciężką próbę. Nikt nie chciał jeszcze bardziej osłabiać ducha żołnierzy.

Jezuita Lascalles zdobył wiedzę w tej dziedzinie podczas studiów. Zajmował się wierzeniami francuskiej wsi. Był świadkiem egzorcyzmów na Madagaskarze. Badał przypadki rzekomego opętania w Sue-zie i Francuskiej Afryce Równikowej. Wiedział dość, by podejrzewać, że okultyzm jest szeroko rozpowszechniony i zgubny w skutkach. Sam podchodził do niego jak agnostyk. Nie wierzył w cuda będące dziełem Boga. Nie mógł więc też wierzyć w cuda będące dziełem' szatana.

Spotkał się z angielskim oficerem w okopie, mniej więcej półtora kilometra za linią frontu, listopadowego popołudnia 1917 roku. Niebo za-snuwały ciemne dymy wybuchów. Poszedł tam sam, labiryntem okopów, kierując się tylko naszkicowaną ręcznie mapką. Padał deszcz, papier nasiąkł wodą i zwiotczał, a atrament zaczął się rozmazywać. Lascalles czuł, że się zgubił; wiedział też, że w swoim szarym francuskim mundurze i obramowanej niebiesko czapce rzuca się w oczy czujnym strażom i bardzo zdyscyplinowanym angielskim żołnierzom. Taki był zamysł, oczywiście. Musiało być wielu świadków jego przybycia. A wyraz twarzy mijanych ludzi świadczył o tym, że dobrze wiedzieli, po co się tu zjawiał.

W końcu znalazł Wheatleya: siedział sam i bawił się talią kart tarota. Kwaterę oświetlała tylko parafinowa lampa, zawieszona w taki sposób, że jego twarz prawie

całkowicie skrywał cień. Miał na sobie płaszcz z postawionym kołnierzem, szalik, czapkę i skórzane rękawiczki. Był listopad, zimny i wilgotny, zwłaszcza tu, w tych grobowcach wykopanych w ziemi jako schronienie dla żyjących.

- Whisky, ojciec?

Lascalles przyjął poczęstunek. Nie pił whisky, ale chciał zobaczyć ręce Wheatleya. Niestety Wheatley sięgnął po butelkę i szklanki stojące na półce, a potem nalał whisky, nie zdejmując rękawiczek.

- A więc... w czym mógłbym pomóc katolickiemu księdzu?

- Chciałbym zapytać pana, jeśli wolno, o czas, jaki spędził pan na żaglowcach. Przed wojną. Dokąd pan pływał. Co pan robił. Kogo pan spotykał. I czego się pan nauczył.

Wheatley milczał przez chwilę. Potem powiedział:

- Nauczyłem się, jak pływać po oceanie tak, by nie wymiotować za burtę. To chyba moje największe osiągnięcie, ojciec. Nauczyłem się też, oczywiście, wiązać węzły marynarskie.

Lascalles kiwnął głową. Spojrzał na swoją szklankę. Robiło się coraz ciemniej, płomień lampy chwiał się i przygasał, Lascalles widział jednak, jak szklanka drży od dalekich wybuchów.

- Nie wierzy ojciec w magię - powiedział Wheatley. - Nie bardziej niż w Boga. Nie bardziej niż ja. To spotkanie to farsa. Sądzę, że powinien ojciec zachować się godnie i uznać mnie za człowieka czystego duchem. A potem wrócić do domu i walczyć ze swoim własnym brakiem wiary.

Lascalles wyjął z kieszeni pudełko zapalek, wytrząsnął jedną i potarł o chropawy brzeg pudełka. W owym czasie palił fajkę i nosił przy sobie długie zapalniczki, palące się większym płomieniem niż zwykle, tak by łatwiej mógł się od niego zająć sytki tytoń. Wheatley wyciągnął rękę, by zasłonić twarz przed światłem, Lascalles zobaczył wtedy kilka symboli runicznych przyczepionych do bransoletki na jego nadgarstku i skórę na czole pod brzegiem czapki, tuż nad palcami w skórzanej rękawiczce.

- Jego skóra była biała jak ser - powiedział Lascalles do Masona i Seatona, którzy pili teraz wino, a nie wodę. - I poruszała się, rozciągała, pulsowała, jakby wily się pod nią robaki, odnawiając ją, przywracając jej życie i strukturę, pospiesznie i

jakby ukradkiem. Odrażający widok. Widząc to i znając znaczenie symboli na jego nadgarstku, wiedziałem, że żołnierz, którego zeznanie czytałem, mówił prawdę.

- Czy Wheatley coś powiedział?

- Powiedział: „Ma ksiądz maniery prostaka, co uprawia kartofle. Twarz okaleczył mi wybuch pocisku i nie życzę sobie, by ktokolwiek się na mnie gapił, zanim moja skóra dobrze się nie zagoi”. I zaczął się śmiać. Oczywiście.

- Ale ksiądz go zdemaskował - stwierdził Mason.

- Mój synu, to ja zostałem zdemaskowany. Przeszedłem przez angielskie okopy do wyznaczonego miejsca. Przedtem przez ponad rok chronił mnie mój głęboko skrywany sceptycyzm, moja całkowita, choć utajniona niewiara. Byłem odporny na niebezpieczny optymizm, który rodzi wiara. Rozumiałem bezsens życia i wojny. Od dawna już nie miałem nadziei. Byłem doskonale wyposażony we wszystko, co potrzebne do przetrwania. A potem zobaczyłem to, co zobaczyłem, i czułem się zdezorientowany. I zdemaskowany.

- Co ksiądz napisał w swoim raporcie? - spytał Seaton.

- Tylko to, że nie mogę go z czystym sumieniem zarekomendować.

- I co się stało?

- Chyba został odznaczony medalem, a następnie przeniesiony. Musicie zrozumieć okoliczności. Polowe szpitale kryte brezentem, tonące w błocie, pełne lekarzy, którzy dopiero opuścili eleganckie sale egzaminacyjne Oksfordu czy Edynburga. Młodzi chłopcy wydani na pastwę koszmaru. A Niemcy używali eksperymentalnej artylerii. Zresztą, obie strony to robiły. Wymyśliłby jakąś historyjkę, na pewno była bardziej wiarygodną niż prawda. Zakładając, że w ogóle poddano by go badaniu. Nie wiem, czy tak było. Wiem, że nigdy więcej go nie widziałem i, co dziwne, zawsze pozostałem mu wdzięczny.

- On przywrócił ojcu wiarę - zauważył Mason.

- Tak, Nicholas. Udowodnił, że diabeł istnieje. A po cóż miałby istnieć na świecie diabeł, przyjaciele, gdyby nie było Boga?

Mason powiedział, że ma ochotę zapalić, więc wyjdzie na dwór. Lascalles zapewnił go, że może spokojnie to zrobić w pokoju. Mason jednak nalegał. Kłamał. Nie miał przy sobie papierosów, a poza tym w ogóle zamierzał rzucić palenie. Wypalił wszystko, co miał w Whit-stable, i nie kupił papierosów w TGV, choć bufet oferował tanio wiele ich rodzajów. Ale rano podczas joggingu przeraził go jego

krótki i płytki oddech. Dziesięć lat strachu i uzalania się nad sobą nie wpłynęło zasadniczo na wydolność płuc i kondycję fizyczną Irlandczyka. Może miał zrujnowane życie uczuciowe i kiepską zdolność kredytową, nadal był jednak w doskonałej formie i bardzo wytrzymały na ból. Dopiero tych dziesięć długich, wyczerpujących kilometrów zgasiło jego zapał do rywalizacji. Zdyszany Mason rozczarował się co do siebie. Lubił wygrywać. Była to kwestia dumy. I lubił zawsze zachowywać jak najlepszą formę. Była to kwestia przetrwania.

Szedł chłodnym korytarzem, pachnącym woskiem do drewna i wodą święconą. Ksiądz poczęstował ich winem, sam jednak go nie tknął, jedzenia zresztą też. Mason dobrze pamiętał, w jak spartańskich warunkach żył Lascalles nad afrykańską rzeką. A tutaj pewnie żyje równie skromnie, jeśli nie skromniej. Czy to nawyk? Amoże pokuta? Z bogatej biblioteki, do której ich wprowadzono, korzystali głównie goście. Klasztor był przesiąknięty atmosferą prawdziwego wyrzeczenia i pobożności. Mason nie musiał widzieć celi jezuitę, by wiedzieć, że nie odzwierciedla ona w żadnym stopniu jego kościelnej rangi ani przeszłości; że nie wyposażono jej lepiej z uwagi na jego wiek czy stan zdrowia. Ot, kamienne ściany i twarde łóżko, a jedyny luksus to stojący pod nim nocnik. Lascalles nie był tu po to, by-jak zakładał Seaton - spędzić resztę swojego życia na rozpamiętywaniu dni minionej chwały. Lascalles był tu po to, by oczyścić duszę i stanąć twarzą w twarz ze Stwórcą i jego osądem.

Na dworze panował przenikliwy ziąb. Śnieg pod stopami wydawał się bardzo miękki i sypki. Już nie padał, ale kilka centymetrów świeżego puchu okrywało dziedziniec jak biała mąka. Mason przez chwilę bardzo żałował, że nie wynajął jednego z domków w miasteczku poniżej, że nazajutrz nie pojedzie kolejką do góry, by cały dzień szusować po lodowcu. Zamknął oczy i przypomniał sobie długą, trudną trasę w dół stromego zbocza, którą kiedyś tak często zjeżdżał z samego szczytu lodowca, przez białą pustkę pełną jedynie błękitnych cieni i ciszy. Ciągle w dół. W dół, aż do doliny i Argentière.

Te góry znał bardzo dobrze. W ramach treningu wspinał się na Mont Blanc, Grande Jorasse i Matterhorn. Było to interesujące doświadczenie i prawdziwe wyzwanie. Cieszył się z tego, że stale udoskonalał swoją technikę i tak wiele już osiągnął. Ale znacznie bardziej lubił jeździć na nartach. Stał na klasztornej dziedzińcu z zamkniętymi oczami, ogarnięty nagłą tęsknotą za tym uczuciem. Jezu. Zupełnie jakby

smutek tego Irlandczyka był zaraźliwy; jakby melancholia przenikająca duszę Paula Seatonu udzieliła się także jego psychice.

Otworzył oczy, ale nie podniosło go to na duchu. Przez chwilę myślał o utraconej miłości Irlandczyka, Lucindzie. Sam miał kiedyś kobiety, ale wydawało mu się, że żadnej nie kochał tak, jak Seaton kochał Lucinę Grey. Zawierał mnóstwo przelotnych łóżkowych znajomości, miał też za sobą dość długi i namiętny związek w Niemczech, który zakończył się z powodu komplikacji zawodowych. W Irlandii wdał się natomiast w ryzykowny

1głupi romans z żoną wysokiego rangą żołnierza. Zrobił to tylko na złość temu człowiekowi. Uważano go za nietykalnego z powodów „operacyjnych”, których nikt nigdy Masonowi tak naprawdę nie wyjaśnił. Ale w końcu chyba jednak zakochał się w Sinead o pięknych szarych oczach i wielkim temperamentem. Tyle że ona nigdy nie zostawiłaby tego drania, bez względu na okoliczności. Z mężem wiązało ją dwoje małych dzieci.

Teraz, kiedy się nad tym zastanawiał, nagle przyszło mu do głowy, że zawsze bardzo angażował się w relacje z innymi mężczyznami. Odbierał życie i ratował je. Miał nadzieję, że to drugie zdarzało się częściej. Nienawidził wrogów i gorąco kochał swoich przyjaciół. A z towarzyszami broni najpełniej dzielił swoje życie wtedy, kiedy zależało ono od ich lojalności, odwagi i zimnej krwi.

Wyjątkiem była tylko siostra. Tak, wyjątkiem od tej żołnierskiej reguły. Kochał ją bardzo. Bardziej niż kogokolwiek innego. Kochał jej niewinność, pogodność, wesołe usposobienie i wewnętrzny potencjał. Sarah była jedyna w swoim rodzaju, niezwykła. Wiedział, że jego miłość do niej w dużej mierze wypływa z egoizmu. Nie mógł znieść myśli, że utraciłby ją i został na świecie zupełnie sam. Oznaczałoby to ostateczny rozpad jego rodziny i pustkę, która nadałaby temu smutnemu słowu „samotność” głębię otchłani. Kumpel kochali go - oczywiście jeśli naprawdę - dla jego inteligencji i odwagi. Sarah kochała go dla niego samego. A on kochał ją. I nie tak całkiem samolubną miłością. Na pewno nie. Bo Nick Mason wiedział, że za siostrę oddałby życie.

Raczej sprzedałbym, pomyślał, a nie oddał. To bardziej odpowiednie słowo. I nie taniało. Znowu zaczął padać śnieg. Spojrzał w niebo i zamrugał, patrząc na ciężkie płatki wirujące w powietrzu na tle ciemnych murów klasztoru. Nick Mason nigdy

nie oddałby życia, musiałby wtedy pogwałcić swoją naturę. Ale sprzedałby je komuś dla dobra siostry. A ten ktoś musiałby zapłacić boleśnie wysoką cenę.

Westchnął. Czas wrócić do środka po fikcyjnym papierosie. Paul Seaton z pewnością spodziewa się po nim takiego właśnie bojowego nastroju, choć chyba go nie ceni, uważa za nudnego zwykłego macho. Ale co tam. On także zbytnio nie cenił Seaton, a w każdym razie nie przypuszczał, by mógł sprawdzić się w walce. Para uszła z niego już dawno. Co prawda, nie z jego winy, ale fakt pozostaje faktem. Seaton się wypalił. A przecież muszą pójść do domu Fischera i stawić czoło bestii, która trzyma w szachu trzy niewinne dziewczyny. Będzie to ich akt desperacji, wymuszony przez okoliczności i prawdopodobnie skazany na niepowodzenie. Mason sam przed sobą przyznawał niechętnie, że zapewne to zadanie okaże się trudniejsze jeszcze niż to, które musiał wykonać w Afryce. A w głębi duszy wiedział, jak niewiele wówczas brakowało, by przegrał.

Teraz największy jego niepokój budził miłośnik hawańskich cygar, zagadkowy Malcolm Covey, wszechobecny chyba Covey. Śliski i sprytny. I zachowujący się dziwnie, niepokojąco dwuznacznie. Mason irytował się już teraz na dźwięk tego nazwiska. Powinien zapytać starego księdza o Coveya. Seaton mógłby się dać ogłupić komuś dość inteligentnemu. Ale Lascalles? Dotąd nikomu się to nie udało. Mason obrócił się, obejmując wzrokiem posępne kamienne mury i bladą niekończącą się przestrzeń lśniących płatków śniegu. Odetchnął głęboko zimnym powietrzem i po własnych śladach wrócił do klasztoru.

W bibliotece panowała cisza. Przyjazna cisza. Czuł, że Seaton i Lascalles wiedzieli, że nie uciekł na dwór, by zapalić papierosa. Ale wiedział też, że w tych okolicznościach to małe oszustwo nie miało dla nich znaczenia.

-Coś jeszcze się stało, prawda? Coś jeszcze zdarzyło się w okopie Wheatleya. Coś, czego ojciec nam nie powiedział.

-To nieistotne, Nicholas.

- Mimo wszystko proszę nam powiedzieć. Wiedza to potęga. Lascalles się uśmiechnął.

- Wiara, mój synu - odparł. - Wiara to potęga.

- Proszę.

Lascalles się uśmiechnął. Ogień w kominku dogasał, ale wyraz twarzy księdza świadczył o tym, że jego pamięć płonęła jasnym płomieniem.

- W tej zimnej kwaterze była tylko prycza, nakryta kocem, stolik karciany, krzesła. I dwie półki: na jednej stało kilka książek, na drugiej puszkę z mieloną wołowiną i kawą i butelka whisky. A w rogu, na odwróconej drewnianej skrzynce, gramofon. W innych okolicznościach można by uznać to miejsce za, jak to mówicie w Anglii, przytulne. Ale wrażeniu temu nie sprzyjał zapach karbidu i proszku na wszy, a także dziura w dachu po ataku mózdzierzowym. I coś jeszcze. Coś, co leżało na stoliku obok talii kart wyjętych z pudełka: rewolwer Webley, z wyrwanym magazynkiem, bez uchwytu. Musiał mieć przy sobie tę broń, kiedy uderzył w niego pocisk. Leżała tam, a raczej leżał tam jej szkielet jak jakiś relikw, niemy dowód wybuchu, którego nie przeżyłby żaden śmiertelnik. Nosilem podczas tej wojny mundur kapitana. Wchodząc do kwatery Wheatleya, zdjąłem płaszcz. Nie zaproponował, bym to zrobił, ja jednak bardzo chciałem spędzić tam jak najwięcej czasu. Powiesiłem go na kołku. Kiedy wstałem i chciałem znowu go włożyć, Wheatley nie podniósł się wraz ze mną, co nakazywałyby zasady uprzejmości obowiązujące wśród ludzi z jego klasy. I nagle gramofon zaczął grać.

- Pamięta ojciec, jaka to była muzyka? - spytał Seaton.

- Choć zaskoczony, rozpoznałem ją natychmiast. Weźcie pod uwagę, że w roku 1917 gramofony były jeszcze bardzo prymitywnymi urządzeniami i na pewno same się nie włączały.

- Co to była za muzyka?

- Niesławna pieśń ku chwale Najwyższego, napisana przez kastrata, watykańskiego kompozytora.

- Czy brzmiała normalnie? - zapytał Seaton. Ksiądz zmarszczył brwi.

- Tak, jeśli kastrat w ogóle może brzmieć normalnie. Ale tylko w kilku taktach, potem linię melodyczną zakłóciło coś w rodzaju synkopowania. Pamiętam, że zapiłem płaszcz pod szyję, udając, że nie słyszę tego żalostnego pastiszu. Mały szatański dowcip. Chór jakby oszalał. Muzyka, z założenia święta, brzmiała jak ragtime.

Mason spojrzał na księdza.

- Ojciec od dawna jest adwersarzem szatana - powiedział. Lascalles nie skomentował tej uwagi. Zapytał tylko:

- Nie interesuje cię, jak to było z twoim chrztem?

- Domyśliłem się chyba większości szczegółów. Przypuszczam, że mój ojciec, handlując w Afryce, zainteresował się magią. *Juju*. To bardzo silna magia. Dlatego

właśnie dom nad morzem, który kupił w Whitstable, nie jest bezpiecznym schronieniem, jakim powinien być według Paula. Myślę, że ocalił ksiądz moją duszę i że mój ojciec był za to wdzięczny. Ksiądz uważa, że ojciec mógł mi coś przekazać, pewną umiejętność. Ksiądz obserwował prawdopodobnie moją karierę. Bóg jeden wie, ile go to kosztowało. A to, co się stało z Kheddim, było chyba rodzajem próby. Ksiądz wezwał mnie tam. To był taki mały test.

- Nie mój. Twój. I zdałeś go.
- Kule zabiły Kheddiego, ojczu.
- Kule z twojej broni. Ale nie kule zniszczyły demona, Nicholas. Ty to zrobiłeś.
- Ja nie jestem tak mądry jak Nicholas - wtrącił się Seaton. - Nie mam takiego doświadczenia w stosowaniu wybiegów jak nasz nieustraszony żołnierz. Nie potrafię odgadnąć, kim jest Malcolm Covey. Ani jaką rolę odgrywa on w tym wszystkim. Obawiam się, że ojciec będzie musiał mi to wyjaśnić.

Lascalles spojrzał na niego i Seaton poczuł, że czerwieje z zakłopotania. Wiedział, że to absurdalne, ale był zazdrosny, kiedy ksiądz zwracał się do Masona słowami „mój synu”. A zrobił to dwa razy. Irytował go fakt, że ci dwa mężczyźni mają wspólną przeszłość, z której był wykluczony. I wydawało mu się, że ma tę urazę wypisaną na twarzy i że Lascalles doskonale to widzi.

-Klaus Fischer zmarł w Buenos Aires wiosną 1983 roku, dwanaście lat temu - powiedział ksiądz. - W wieku osiemdziesięciu ośmiu lat. Żył długo. Ludzie tacy jak on mają na pewno wiele powodów, by umierać niechętnie. Zmarł spokojnie, we śnie. Pięć miesięcy po jego śmierci odwiedził cię w szpitalu człowiek, który zdaje się posiadać wiele cech Fischera.

Seaton kiwnął głową.

-Pomyśl o jego posturze, eleganckich strojach i cygarach. Pomyśl o jego wiedzy na temat okultyzmu. Lubi muzykę?

Seaton zastanawiał się przez chwilę.

-Tylko raz byłem u niego w domu. Wynajmowałem wtedy kawalerkę w Dalston i oszczędzałem na wyjazd do Stanów. Musiałem podać swój adres w szpitalu i stamtąd zapewne go dostał. Pewnego dnia listonosz dostarczył mi liścik od niego, z zaproszeniem na podwieczorek. Jak powiedziałem, poszedłem tam tylko raz. Zajmował wielkie mieszkanie w pięknej kamienicy w Victorii. W salonie stał zestaw stereo, który musiał kosztować kilka tysięcy funtów.

- To niemożliwe - stwierdził Mason.

- Jezu - ciągnął Seaton - hipnoza...

Przypomniawszy sobie słowa z pamiętnika Pandory Gibson-Hoare, o hipnotycznej sile, którą dostrzegła w Fischerze, kiedy siedziała z nim w kajucie w drodze na wyspę. Chwycił się za głowę. Ksiądz podszedł do niego, położył mu dłoń na ramieniu i ścisnął je lekko.

-Odwagi, mój synu - powiedział. - To nie twoja wina. Nie potrafimy przygotować się na takie spotkania.

-Naprawdę myśli ojciec, że to on? - spytał Mason. Lascalles wzruszył ramionami.

-Na pewno mogę powiedzieć wam tylko jedno: przed 1983 rokiem nigdzie nie ma żadnej wzmianki o doktorze Malcolmie Coveyu.

-Oni są sprytni - zauważył Seaton. Lascalles zmarszczył brwi.

-Nie ma żadnych „ich”, Paul. Patrzymy w twarz jednego tylko wroga.

- Aleja ich widziałem, ojciec. Chcieli mnie skrzywdzić.

- To tylko manifestacje.

- Więc Covey także jest tylko manifestacją?

-Paul - powiedział Lascalles - sądzę, że nadano ci bardzo trafne imię ku czci wielkiego świętego. - Jego głos zmienił się, stał się twardy jak stal. Seaton i Mason znieruchomieli w napięciu. Było już bardzo późno, dochodziła druga nad ranem. Ale ojciec Lascalles, mimo wieku, w miarę upływu czasu zdawał się raczej nabierać siły, niż je tracić. -Fischer smaży się w piekle. Wszyscy oni smażą się w piekle, ci, którzy służyli mu w czasie i miejscu, o którym rozmawiamy. Covey jest, a może nie jest człowiekiem. Ale tak czy inaczej, to sługa, marionetka. Nasz wróg jest jeden. Tylko jeden. Jeśli nie będziecie o tym pamiętać, może się to fatalnie dla was skończyć.

Odwrócił się, podszedł do jednej z półek i wsunął dłoń do kieszeni w sutannie. Wyjął z niej okulary w drucianych oprawkach. Włożył je i przebiegł palcami po grzbietach książek. Mason domyślił się, że mimo okularów szuka na ślepo, czekając, aż jego palec rozpozna fakturę i szerokość grzbietu książki, o którą mu chodziło. Trwało to krótko. Jego dłoń znieruchomiła, a zaraz potem zdjął z półki małą książeczkę w okładce imitującej marmur. Na jej widok Seaton cicho krzyknął. Masonowi zrobiło się żal Irlandczyka. Dla niego była to noc objawienia.

- Tak - odezwał się Lascalles do Seatona. - Jesteś bystry, więc zauważyłeś, że ona była pod wieloma względami bardzo uporządkowana. Zawsze kupowała takie same notatniki, w których spisywała swoje myśli. Musisz to przeczytać, Paul. - Teraz głos księdza znowu stał się łagodny, pełen współczucia. - Te zapiski odpowiedzą na te z twoich pytań, na które ja nie potrafiłem odpowiedzieć.

25

6 października 1937

Nie nadaję tej dacie żadnego szczególnego znaczenia. Mija właśnie dziesięć lat od chwili, kiedy trochę młodszą i znacznie bardziej niewinną wersją mnie samej po raz ostatni przelała myśli i wydarzenia na papier. Myśli płytkie i trywialne, a wydarzenia straszne. Od owego czasu nie napisałam właściwie ani jednego słowa. Ale to nie ta okrągła rocznica skłania mnie dzisiejszego ranka, bym sięgnęła po pióro i opisała moje zamiary. Ta data to nic więcej niż tylko ponury i trochę niepokojący zbieg okoliczności.

Wczoraj po raz pierwszy od miesiący przeczytałam gazetę. W poczekalni gabinetu dentystycznego przy Weymouth Street. Poszłam tam na wizytę kontrolną, a zapomniałam wziąć ze sobą coś do czytania. „Punch” nigdy nie był w moim guście, a od pewnego czasu nie lubię magazynów mody. Miałam więc do wyboru gazetę codzienną albo nic. Wzięłam gazetę i natknęłam się w niej na artykuł komentujący obecną sytuację w Niemczech. Opisano w nim członków ścisłego grona współpracowników Fuhrera, bardzo szczegółowo i niezwykle pochlebnie. Był wśród nich Goring, rzecz jasna, dumny w mundurze, który, jak sądzę, sam zaprojektował. Autor artykułu to angielski historyk, profesor uniwersytetu w Oksfordzie, jak wielu naukowców zdawał się zafascynowany pojęciem człowieka czynu. Opisywał wyczyny Goringa jako członka Latającego Cyrku Czerwonego Barona w czasie wojny.

Oczywiście w tonie eulogii. I jego talenty łowieckie. Zadawał kłam plotce, jakoby pożaru w Reichstagu w roku 1933 nie wzniecił komuniści, lecz wierny towarzysz Hitlera, Hermann Göring. Cały artykuł wydał mi się wiązanką płytkich pochlebstw.

Nie dbam o pożar w Reichstagu ani o rolę, jaką odegrał w nim Hermann Göring. Jednego aktu podpalenia nie można uznać za przyczynę tego, co wydarzyło się w Niemczech. Partia nazistowska i tak doszła-by do władzy. Jej powstanie było nieuniknione. Oni są jak tornado, którego skutki z pewnością odczują Niemcy, a może cały świat.

Patrzyłam na zdjęcie Goringa, władczego i pełnego pychy. I myślałam o Wheatleyu, o sławie i bogactwie, jakie teraz przynoszą mu jego książki. O Fischerze, grubej rybie Hollywood. Świetnie im się powiodło. I pozwoliłam sobie wrócić pamięcią do tych strasznych wydarzeń sprzed dziesięciu lat. A to obudziło we mnie nagłą potrzebę dowiedzenia się w końcu czegoś o tym nieszczęsnym chłopcu, którego porwali. Gdyby żył, byłby teraz pełnoletni. Ale zostało mu to odebrane. Nie żyje, ponieważ oni go zabili. Jaki miał charakter? Jakim stałby się mężczyzną? Dostrzegłam w nim godność i odwagę, choć spędziłam z nim tak niewiele czasu. A teraz zapragnęłam dowiedzieć się o nim więcej.

Pragnienie to wydaje mi się czymś naturalnym i dobrym. Uważam, że to mój obowiązek. Poczucie winy to wielki, destrukcyjny ciężar, ale żyję już z nim od dekady. To, co kieruje mną obecnie, to coś znacznie silniejszego i bardziej pozytywnego.

Dotąd niemal każdego dnia myślałam o tym, jak niewiele brakowało, byśmy uciekli. Ale wczoraj, kiedy przeczytałam ten artykuł i zobaczyłam zdjęcia Goringa obwieszzonego medalami, zaczęłam myśleć też o odwecie. Wszyscy oni powinni zostać ukarani za odrażający czyn, który zapewnił im powodzenie. Pewnego dnia odpowiedzą za to przed obliczem Boga. Ale powinni zostać ukarani teraz, przez świecki sąd, napiętnowani i skazani jako mordercy niewinnego dziecka.

Uprowadzenia dzieci rzadko zdarzają się w Anglii. Dziesięć lat temu też zdarzały się rzadko. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że o zaginięciu Petera powiadomiono policję. W 1927 roku ośmioletni chłopiec nie mógł zniknąć tak po prostu, bez względu na to, z jak ubogiej pochodziłby rodziny. Żadna matka nie wyrzekłaby się w taki sposób swojego dziecka. To sprzeczne z naturą. Moje nędzne życie sprawiło, że mimo woli stałam się ekspertem w kwestii wszystkiego, co niskie i ohydne. Ro-

dzice, którzy dobrowolnie oddaliby swoje dziecko w ręce obcych, pozbawionych skrupułów ludzi, dopuściliby się czynu najohydniejszego z możliwych. Prawdopodobnie więc zawiadomiono policję. A kiedy wstępne poszukiwania nie przyniosły rezultatu, wszczęto dochodzenie. Musiały się zatem pojawić informacje o tym w prasie. Zapewne nie w ogólnokrajowej gazecie, takiej jak „Daily Herald”, która zamieściła wczoraj artykuł o przywódcach partii nazistowskiej. Odnotowanie zaginięcia byłoby jednak obowiązkiem lokalnego dziennika, podobnie jak podanie rysopisu dziecka, a nawet zamieszczenie jego zdjęcia.

Wiem, że w tej sytuacji najlepiej byłoby wynająć prywatnego detektywa; mógłby mi pomóc w poszukiwaniach. Rozsądek podpowiada mi, by pozostawić to profesjonalistom. Ale niesmak ogarnia mnie na samą myśl o tym, że miałabym zatrudnić jakiegoś ekspolicjanta, który na co dzień zajmuje się śledzeniem cudzołożników i zbieraniem dowodów do śliskich spraw rozwodowych. To historia tragicznej, niepowetowanej straty i wielkiego bólu, dlatego nie mogę tego zrobić. A więc zrobię to sama. Moim źródłem informacji będą Publiczne Archiwum i Muzeum Brytyjskie, gdzie, jak sądzę, przechowywane są kopie wszystkich publikacji wydrukowanych na Wyspach Brytyjskich. Podstawową wskazówką jest dla mnie akcent Petera. Zamieniliśmy tylko kilka słów, ale wystarczyło to, bym nabrała pewności, że pochodził z Walii.

Ale pojawiła się przeszkoda natury praktycznej. Nie mam przepustki, która dałaby mi dostęp do czytelnicy muzeum. Nie jestem studentką ani wykładowcą, nie zajmuję się zawodowo wyszukiwaniem informacji. Dziesięć lat minęło od czasu, kiedy mogłam twierdzić, że uprawiam jakiś zawód. A przecież, choć zakrawa to na ironię, w archiwach tego wielkiego muzeum znajdują się także moje własne prace. Nie mogę jednak tak po prostu wejść tam i poprosić o ich pokazanie, nawet gdybym tego chciała. To poważny problem. Ale podjęłam już decyzję i nic nie zdoła mnie zniechęcić.

6 października 1937, później

Dziś o czwartej poszłam pieszo do kościoła świętego Łukasza w Chelsea. Było brzydkie jesienne popołudnie. Mokre chodniki lśniły od deszczu, w chłodnym po-

wietrze długo utrzymywał się dym papierosów. Witryny sklepów przy King's Road sprawiały wrażenie pożółkłych i zamglonych; wydały mi się tandetne i nieciekawe, nie przyciągały uwagi. Mężczyźni, wszyscy jednakowi w swoich szarych płaszczach i pilśniowych kapeluszach, podtrzymywali kobiety na niebezpiecznie wysokich obcasach. Jak na środe, panował wielki ruch. Tyle że ludzie często włóczą się teraz ulicami, bo nie mają pracy. Zdzierają tylko podeszwy, usiłując zappełnić nadmiar wolnego czasu.

Na jezdni sznur samochodów kierujących się na północ niemal się nie poruszał. W ulicznych korkach jest coś wspaniale demokratycznego. Widziałam na przykład delage'a z reflektorami wielkości talerzy, stojącego tuż za brudną węglarką, która trzęsła się przy każdym obrocie zdezelowanego silnika. Robotnicy siedzieli z tyłu na pace i palili papierosy wśród worków z węglem i koksem. Wyglądali jak Murzyni z twarzami i rękami czarnymi od węglowego pyłu. Właściciel delage'a, w płaszczu z futrzanym kołnierzem, siedział obok swego szofera. Czytając finansowy dodatek jakiejś gazety, obliczał coś szybko na liczydło leżącym obok na podłokietniku. Zadrżałam. Węglarka i siedzący na niej mężczyźni przypomnieli mi nagle Ala Jolsona, amerykańskiego gwiazdora, który zagrał główną rolę w filmie *The Jazz Singer*, i okoliczności, w jakich po raz pierwszy o tym filmie usłyszałam.

Okazało się, że przyczyna korka był przewrócony wóz z mlekiem. Ciągący go koń najprawdopodobniej poniósł. Cynowe bańki potoczyły się po jezdni. Mleko spływało do ścieków, przybierając barwę słabej kawy. Woźnica głaskał stojącego teraz spokojnie konia po łbie, policjant w lśniącym płaszczu przeciwdeszczowym notował przebieg zdarzenia, a samochody trąbiły. Przeszłam przez ulicę tam, gdzie zawsze, koło piekarni. Katolicyzm już zawsze będzie mi się kojarzył z zapachem świeżo upieczonego chleba. To dobrze. Niewiele zapachów tak wspaniale pasuje do liturgii. I wszystkie wydają się płytkie, przykre, podczas gdy zapach piekarni dodaje otuchy.

Monsignore Lascalles rozwiązał mój problem wstępu do muzealnej czytelnicy. Nie powiedziałam mu, do czego potrzebuję przepustki.

Kiedy zakończę nauki i zostanę członkiem Kościoła, poproszę go, by był moim spowiednikiem. Wtedy opowiem mu o wszystkim. Tak trzeba. Bez względu na jego wiedzę i doświadczenie, wiem, że spowiadając mu się, utracę przyjaciela i rozczaru-

ję prawdziwie cnotliwego człowieka. Chcę, by mnie lubił, to moja słabość. Żąda tego moja próżność, ale także intuicja. Jego surowa, przystojna twarz i znamionująca siłę postura nie pozwalają mi zapomnieć, że mimo sutanny jest mężczyzną. Do nauk podchodzi z powagą i wiele wymaga. Potem jednak jest swobodny, uśmiecha się i często okazuje charakterystyczne dla Francuzów, fatalistyczne poczucie humoru. Nie chcę go rozczarować. A jednak wiem, że pewnego dnia tak się stanie.

Opowiedziałam mu o swoim problemie, kiedy piliśmy kawę w holu, w skrzydle przylegającym do kościoła. Tutaj kobiety nadal muszą mieć zakryte głowy. Ale gościom wolno palić, z czego natychmiast skorzystałam. Ojciec Lascałles nie pali. Palił w czasie wojny, jak niemal wszyscy. Potem zerwał z tym nałogiem. Przypuszczam, że to jedna z wielu drobnych przyjemności, z których musiał zrezygnować ze względu na swoje powołanie.

Powiedziałam mu, że chciałabym zdobyć pozwolenie na wstęp do muzeum, bo muszę załatwić prywatną sprawę, a do tego potrzebuję pewnych informacji. Dodałam, że zależy mi na czasie i nie mogę czekać, aż tryby biurokratycznej maszyny zaczną się obracać. Celowo użyłam tego sformułowania. Francuzi mają sporo doświadczenia, jeśli chodzi o biurokrację, i dlatego jej nienawidzą. Zastanawiał się przez chwilę. Ma pociągłą twarz o szlachetnych rysach, a wyraz zamyślenia jeszcze tę szlachetność podkreśla. Potem rozpogodził się i uśmiechnął.

Powiedział, że jego eminencja kardynał zatrudnia dwoje wolontariuszy, kobietę i mężczyznę, którzy zajmują się wyszukiwaniem informacji. Oboje posiadają karty wstępu do czytelni.

- Czy jednak taki podstęp nie okaże się kłamstwem, ojcze? Przekrzywił głowę, a w jego szarych oczach pojawił się błysk. Nie

ma w nich prawdziwej łagodności, ale niekiedy wyrażają dobroć.

- To karta wystawiona na nazwisko Susan Green. Strażnicy prawdopodobnie uznają, że ty tak się nazywasz, a przecież to nie grzech. Dopilnuję, by dostarczono ci kartę do domu jutro rano.

7 października 1937

Odnalazłam go. Jestem pewna, że to on. Dobrze sobie przemyśleli ten wybór. Już wychodząc z muzeum, zaczęłam snuć plan podróży. Przy Great Portland Street jest kilka miejsc, w których szanująca się osoba może wynająć dobry samochód. Podróż nieznanymi drogami na pewno okaże się trudna. Ale w czasach, kiedy miałam własny samochód, prowadziłam często, dobrze i szybko. A to dopiero, kobieta, którą niegdyś byłam, posiadała czerwone bugatti. Kiedy patrzę wstecz, na siebie taką jaką wówczas byłam, na to, co robiłam i czego pragnęłam, gardzę tą obcą mi osobą. A jednak to ja. Jestem odpowiedzialna za wszystko, co wtedy uczyniłam. Zakup bugatti to chyba najmniejszy z moich występków.

Teraz, obuta w solidne trzewiki, zadowolam się własnymi nogami i metrem. Rzadko pozwalam sobie na taksówkę, częściej wybieram autobusy i tramwaje. Ojciec Lascalles twierdzi, że skromność i pokora pomagają w osiągnięciu stanu łaski. Wyszłam z budynku muzeum w Bloomsbury i zamyślona ruszyłam w kierunku księgarni Foyles na Charing Cross Road. Wiedziałam, że kupię tam mapy, które pozwolą mi szczegółowo zaplanować wyprawę.

Lubię Charing Cross Road nawet w deszczowe jesienne wieczory. Kiedy tam dotarłam, światła w długim rzędzie księgarń po wschodniej stronie paliły się jasno w witrynach pod płóciennymi daszkami, prawie tak szerokimi jak chodnik. Sprzedawca kasztanów, o zaczerwienionej od ognia twarzy, stał przy piecyku. Mimo hałasu na ulicy, słyszałam dalekie nawoływania straganiarzy. W zapadającym zmroku sklep Foyles, po drugiej stronie, wyglądał jak jasno oświetlone królestwo książek. Jest coś ekscytującego w miejscach takich jak to; coś, co doceni najbardziej nawet zblazowany londyńczyk. Zwykle sama tego doświadczam, zbliżając się tu od strony posępnego Bloomsbury. Tym razem jednak było inaczej, ponieważ od chwili, gdy wyszłam z muzeum, czułam, że ktoś mnie śledzi.

Zatrzymałam się przy krawężniku. Musiałam poczekać, aż przejadą samochody. Czerwony autobus ze srebrno-zieloną reklamą Gillette Safety Razors zahamował przede mną i pasażerowie wysiedli na przystanku. Miałam wrażenie, że wpadłam w pułapkę. Nagle wyobraziłam sobie czyjąś ciężką dłoń na moim ramieniu. Ten ktoś powiedział: „Proszę ze mną, wiem, że nie nazywa się pani Susan Green”. Odwróciłam się. I zobaczyłam tylko tłum pieszych w płaszczach przeciwdeszczowych, z otwartymi parasolami. Autobus ruszył i znowu widziałam jasną witrynę księgarni.

Wyruszam jutro rano. Zamówiłam już samochód przez telefon. Zatankują, naleją wody do chłodnicy, sprawdzą też opony i silnik, a ja odbiorę wóz o ósmej. Bardzo chcieli, bym wypróbowała ich najnowszy model. Odparłam jednak, że nie dbam o markę ani rok produkcji, zależy mi tylko na sprawnym samochodzie. No i czarnym, bo czarny nie rzuca się w oczy, choć wiem, że natura stworzyła mnie kobietą, która przyciąga uwagę. Przyznając to, popełniam pewnie grzech pychy. Ale stwierdzam tylko fakt. Nigdy nie potrzebowałam czerwonego sportowego samochodu, by gapili się na mnie mężczyźni, zresztą kobiety też.

Może powinnam była zastrzec, że nie chcę niemieckiego wozu. Kiedy dziś wieczorem wyszłam z księgarni, minęłam restaurację rybną Sheekey's i ruszyłam Bedfordbury w stronę Strandu i stacji metra na Embankment. Chłopiec z gazetami sprzedawał tam „Evening News”. Rzuciłam okiem na nagłówek na pierwszej stronie: „Prezydent Roosevelt wygłosił przemówienie, w którym wezwał amerykańskich nazistów do większej tolerancji dla innych ugrupowań politycznych.” Tolerancja w nazistowskiej ideologii? Też coś. Żelazna miotła, o której z takim upodobaniem rozprawia Hitler, zostawia krwawe ślady wszędzie, gdzie on jej użyje. Dla nazistów tolerancja jest równoznaczna ze słabością. Dlatego właśnie próby udobruchania ich osiągną skutek odwrotny od zamierzonego i tylko przyspieszą to, czemu mają zapobiec.

Zamiast pójść prosto na stację i wsiąść do pociągu, przeszłam w poprzek Embankment i ruszyłam dalej wzdłuż rzeki. Zawsze ją kochałam. Noc była cudownie jasna, poziom wody w Tamizie wysoki. Fale sięgały obręczy cumowniczych w pyskach brązowych, pokrytych zielonkawą patyną lwów na kamiennych cokołach. Holownik ciągnął pod prąd długi rząd obładowanych towarem barek. Sternik palił fajkę i popijał coś z metalowej butelki. Przy Igle Kleopatry przystanąłam, odwróciłam się i patrzyłam na pociągi odjeżdżające z Charing Cross na południowy wschód: gwizdały wesoło, a spod żelaznych kół w kłębach białej pary sypały się iskry.

Niemcy zbombardują Londyn, oświadczył człowiek z Ministerstwa Obrony w radiu, zanim przed kilkoma dniami zmuszono go do rezygnacji ze stanowiska za to, że dopuścił się „propagandy wojennej”. W taki oto sposób pozbawiono pracy urzędnika państwowego, że ośmielił się powiedzieć prawdę. Wiem przynajmniej o dwóch złych ludziach, którzy na tej wojnie zyskają. Goring, rzecz jasna. I potwór Fischer.

To on w swoich fabrykach produkuje bomby, które obrócą w proch miasto, tak przeze mnie ukochane.

Może uda mi się okryć ich hańbą, zanim ta wojna wybuchnie. A na razie mogłabym, w bojkocie, zrezygnować z niemieckich aut. Kiepski żart, wiem, uśmiechnęłam się jednak w chwili, kiedy pisałam te słowa. Zapomniałam już, jakie to wspaniałe uczucie dzielić się swoimi myślami. Kiedy zakończę nauki i przejdę na katolicyzm, pewnie stanę się dewotką.

Usiadłam na ławce nad rzeką, zapaliłam papierosa. I znowu miałam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje; tak jak wcześniej na Charing Cross Road. Otrząsnęłam się jednak i poczułam się incognito w tym tłumie ludzi wielkiego miasta.

10 października 1937, Londyn, o świcie

Jestem bardzo zmęczona, a jednak nie mogę spać. Dotarłam do domu nad ranem po podróży, której prawie nie pamiętam. Potrafię myśleć tylko o tym, jak wyglądali, kiedy dopadli nas podczas tej nieudanej ucieczki, przemarzniętych i zagubionych, na plaży, gdzie bezskutecznie szukaliśmy promu lub łodzi, którą moglibyśmy uciec z wyspy. Oddałam wycieńczonemu Peterowi mój płaszcz, by trochę się ogrzał. Szukaliśmy, oczywiście, łodzi pozostawionej przez Wheatleya. Nie potrafiłam jednak odnaleźć jej we mgle, która nadpłynęła znad morza i otuliła całą wyspę. Wyłonili się z niej trzech mężczyźni w pelerynach i wieczorowych strojach, z jedwabnymi szalikami na szyjach i w cylindrach, przydających im wzrostu. Śmiali się; jeden z nich, chyba Crowley, miał w oku monokl. Głód wyostrza zapachy, a oni pachnieli cygarami, kamforą i brylantyną. Żołądek podszedł mi do gardła - z wymiotowałam na piasek. Roześmiali się, zdarli mój płaszcz ze szczupłych ramion dziecka, rzucili mi go, a potem odwrócili się i zabrali chłopca.

To, czego się dowiedziałam, powinno wystarczyć, by wszczęto dochodzenie, choć minęło już tyle czasu. Może istnieje konkretny dowód, gdzieś w domu Fischera, na mord, którego się dopuścili. Sądzę, że dom jest teraz opuszczony. To zresztą nieważne. Myślę, że znalazłam dość obciążających ich dowodów, by móc wytoczyć im sprawę. Jednak ostatnie dni pokazały mi, że nie dokonam tego sama. Muszę

zwierzyć się komuś mądrymu i godnemu zaufania. Potrzebuję rady kogoś niezaangażowanego emocjonalnie. Powinnam pójść do prawnika? A może rozsądniej byłoby złożyć zeznanie w Scotland Yardzie?

Kusi mnie, oczywiście, by opowiedzieć o wszystkim ojcu Lascalles. On jest taki bystry, wyróżnia się szczególną inteligencją Francuza i jezuitę. Już nie martwię się tym, że rozczaruję go czy zawiodę. Głupią próżność zastąpiło pragnienie sprawiedliwości.

Ale monsignore to katolik i cudzoziemiec. Ani jedno, ani drugie nie wzbudza tu zaufania. Zwłaszcza teraz, gdy kraj znalazł się na progu wojny.

Mam jeszcze kuzyna, Edwina Poole'a, młodszego ode mnie. Bardzo rzadko go widuję. Ale jego kariera w Lloyds kwitnie. Jest też członkiem wszystkich najlepszych klubów. Na kiermaszach w Covent Garden wspomaga cele dobroczynne hojnie, choć chyba nieco zbyt ostentacyjnie. Myśl o rodzinnym skandalu mogłaby przemówić do jego wyobraźni. Wiem, że zna trochę Wheatleya. A ja muszę z kimś porozmawiać. Krewny, który bardzo dobrze żyje z obliczania prawdopodobieństwa ryzyka i dyskrecji, to może nie najgorszy wybór.

Chciałabym się położyć, odpocząć. Jestem wykończona. Ale ciągle czuję zapach kamfory i dymu cygar; słyszę drwiący śmiech, pełen jadu i pogardy. Ciągle widzę ich połyskujące we mgle futra, pożółkłe od tytoniu zęby... złoty ząb Fischera. Ich wypolerowane buty błyszczą w bladym świetle pochmurnego dnia. Pamiętam, że Crowley miał wtedy getry, brudne i mokre od piany bijącej o brzeg fal. Biedny Peter, w tej strasznej mgle odcięty od miłości i bezpieczeństwa swojego sierociego życia.

Boże, wybacz mi.

Wybacz mi, Peter.

Jutro rano muszę zwrócić samochód. Zaraz potem porozmawiam z kuzynem.

Seaton przeczytał jej zapiski na głos, tak by Mason także się z nimi zapoznał. I to Mason odezwał się pierwszy, kiedy Seaton skończył i powoli zamknął notatnik.

- Ona ojca kochała.
 - Była bardzo piękna. Bardzo inteligentna i pełna życia. Ja chyba także byłem w niej trochę zakochany - odparł ksiądz, odwrócony do nich plecami.
 - Skąd ma ojciec ten pamiętnik? - zapytał Seaton.
 - Sama mi go dała. Opakowany w szary papier i zapieczętowany. Powiedziała, że mam go przeczytać tylko w przypadku jej śmierci. W przeciwnym razie wróci po niego za mniej więcej dwa tygodnie. W dniu, w którym Pandora powierzyła mi ten notatnik, widziałem ją po raz ostatni.
 - To jej ostatnia spowiedź - zauważył Mason.
 - Nie odbyła nawet pierwszej - odparł Seaton. - Nie skończyła nauk, nie zdążyła przyjąć wiary. Edwin Poole się o to postarał.
 - To bez znaczenia, Paul. Sądzę, że jeśli wziąć pod uwagę to, co naprawdę istotne, Nicholas ma rację.
 - Czy ona przeczuwała swoją śmierć? - spytał Mason. Lascalles się zawahał.
 - Kiedy widziałem się z nią po raz ostatni, była bardzo spokojna. Uśmiechała się, kiedy dawała mi paczkę zawierającą pamiętnik. Ale fakt, że przyniosła go do mnie, mówi sam za siebie. Wydawała się pogodzona z losem. Może nawet wiedziała, co ją czeka. Nigdy nie miała wątpliwości co do tego, jak strasznym i złowrogim siłom rzuciła wyzwanie.
 - Nazywała ojca monsignore - powiedział Seaton. - Tak samo jak franciszkanin, który przyniósł tu wcześniej jedzenie. To chyba tytuł watykański.
 - Jestem księdzem.
 - Księdzem, który w jednej chwili może skłonić kardynała, by wyświadczył mu przysługę.
 - Miałem telefon. Kardynał najpierw jest księdzem, a dopiero potem księciem Kościoła.
- W bibliotece zapadła cisza.
- Jej ciało, kiedy je znaleźli... To nie było niedożywienie. Ona się nie odchudzała, ona pościła. To była pokuta - stwierdził Seaton.
- Lascalles wziął do ręki różaniec i ucałował krucyfiks. Mason miał wrażenie, że dostrzegł w oczach księdza łzy. Ale w słabym świetle dogasającego ognia mogło mu się tylko tak wydawać.

- Odnajdę Petera - oświadczył Seaton. - Żeby go odszukać, Pandorze wystarczyła przepustka do czytelnicy. Ja byłem kiedyś dziennikarzem, i to całkiem dobrym. Odnajdę go, dowiem się, kim był.

Mason pierwszy raz słyszał w głosie Seatona takie zdecydowanie. Zauważył więc taktownie:

- To działo się prawie siedemdziesiąt lat temu, Paul. Nie przywrócisz życia temu chłopcu. Ani jej.

- Musimy się dowiedzieć, dlaczego to on został wybrany.

- Dobrze sobie przemyśleli ten wybór. - Mason zacytował Pandorę. - Pewnie był jakimś znajdą, sierotą, nikt o niego nie dbał.

Seaton powoli pokręcił głową.

- Chyba chodziło jej o coś innego. O coś więcej. I sądzę, że kiedy odnajdę Petera, będziemy gotowi pojechać do domu Fischera.

Mason spojrzał na księdza.

- Ojczy?

Lascalles patrzył na Seatona.

- Bóg z tobą - powiedział. - Z wami obydwoma.

Następnego dnia po południu Seaton był w Muzeum Brytyjskim. Mason wysiadł z pociągu w Ashford, gdzie przed wyjazdem zostawili saabę. Zamierzał wrócić nim do Whitstable.

- Jak długo to potrwa?

- Tyle, ile trzeba - odparł Seaton.

O czym tu dyskutować? Mason uważał, że tylko tracą czas. A Seaton myślał, że może być jeszcze gorzej. Znowu uległ intuicji, znowu czuł znajomy przymus, który kiedyś doprowadził go do katastrofy.

- Skontaktuję się z rodzinami pozostałych dziewcząt - oświadczył Mason. - I chyba nawet złożę im wizytę.

- Możesz zaproponować im trochę kradzionej morfiny - mruknął Seaton.

Mason tylko na niego spojrzał.

- Przepraszam. Przepraszam, Nick. Wyrwało mi się. Ale to powinno zająć mi najwyżej kilka dni. Jedź do domu i zaczekaj.

Mason pokręcił głową.

- Sarah ma dobrą opiekę. A ja muszę coś robić... - Jest wtorek. Wróc do piątku. Tyle mogę poczekać. Potem, z tobą czy bez ciebie, pojedę do domu Fischera.

- I co zrobisz?

- Jesteś Irlandczykiem, Seaton, więc na pewno słyszałeś o semtek-sie. Z jego pomocą rozwalę ten dom na kawałki.

Z dworca Waterloo Seaton poszedł mostem do Aldwych i dalej, Southampton Row, w stronę Bloomsbury. W klasztorze przespali kilka godzin na twardych pryczach, a potem jeden z zakonników odwiózł ich do miasteczka, chichocząc, kiedy stara furgonetka marki Volkswagen sunęła w dół serpentynami. Jechał szybko, by zdążyli złapać pierwszy tego dnia pociąg. I, po południu, Seaton był już w Londynie.

Stare egzemplarze „Western Mail” zostały przeniesione na mikrofilmy w latach osiemdziesiątych. Nie widział powodu, by biblioteka nie posiadała ich kompletnego zbioru. Postanowił, że dokładnie przejrzy każdą stronę każdego wydania z września 1927 roku, absolutnie przekonany, że coś znajdzie. Ta pewność płonęła w nim jak ogień, kiedy szedł szybko Southampton Row. Światło dnia gasło powoli, cienie tra-ciły ostrość. Skręcił w Museum Street, kiedy pociemniałe niebo zaczęło zwiastować deszcz.

Dziecko, które mówiło z walijskim akcentem, musiało pochodzić z Walii. Siedemdziesiąt lat temu ludzie rzadko zmieniali miejsce zamieszkania. Podróżowali tylko wtedy, kiedy jako poborowi maszerowali z wojskiem albo bydłocymi wagonami jechali na kolejną imperialną wojnę. Na ogół żyli i umierali tam[^] gdzie przyszli na świat. Tylko niektórych, uprzywilejowanych, takich jak uczeń szkoły publicznej Młodszy Pan Breene, stać było na luksus turystycznych podróży po kraju. Zniknięcia Petera właściwie nikt nie zauważył. Aby wzbudzić szerokie zainteresowanie, musiałby pochodzić z bogatej, znanej rodziny, tak jak nieszczęsne dziecko Lindberghów. A Peter był dzieckiem prostych ludzi. Walijski akcent wyróżnił go dopiero wtedy, kiedy został porwany i po raz pierwszy znalazł się poza regionem, w którym się urodził.

I Seaton znalazł go bardzo szybko.

Dzięki krótkiej notce informatora sądowego, zamieszczonej w numerze z 4 października. Żadnych nazwisk, napisano jedynie, że w rybackiej wiosce Aberdyfi w Gwynedd zaginęła ośmioletnia sierota. Nie podano nawet płci dziecka. Ale Seaton

wiedział, o kogo chodzi. Jak w swoim pamiętniku zauważyła Pandora, porwania dzieci w owych czasach zdarzały się rzadko.

Druga wzmianka, w „Western Mail”, podpisana przez Philipa Beala, starszego reportera do spraw przestępczości pochodziła z 20 października.

Przedstawiono tam portret chłopca, używając do tego cytatów z wypowiedzi miejscowego księdza i nauczycielki z przykościelnej szkoły, do której uczęszczał. Według panny Marjory Pegg Peter Morgan był uczciwy, posłuszny, grzeczny, pogodnego usposobienia. I bardzo zdolny. Uwielbiał grać w piłkę nożną. Panna Pegg podkreślała, że nigdy nie poszedłby dobrowolnie z kimś obcym. Nie sprecyzowała natomiast, w jakim kierunku przejawiał zdolności. A jeśli sprecyzowała, jej słowa nie przetrwały ingerencji redaktora, który w biurach gazety w Cardiff przykrawał artykuły do żądanej długości.

Seaton nie przywiązywał wielkiej wagi do opisu chłopca. Znał tę starą sztuczkę. Dziennikarze zawsze współpracują pod tym względem z policją. Im ciekawsza charakterystyka ofiary, tym bardziej czytelnik angażuje się w jej historię. To wypróbowany sposób na to, by pobudzić pamięć świadków, nieświadomych czasem faktu, że widzieli coś ważnego.

Bardziej istotny był status autora artykułu. Trzy tygodnie po zaginięciu chłopca dziennikarze wiedzieli już, że mają do czynienia z przestępstwem. Z porwaniem dziecka, a to wówczas - tak jak obecnie - uważano za jeden z najpoważniejszych występków. Nikt już się nie łudził, że to przypadkowa tragedia; że mały chłopiec zabłądził na wzgórzach za wsią i zmarł z wychłodzenia. Peter Morgan został porwany. A potem zamordowany. I nikt nigdy nie odpowiedział za tę ohydną, dokładnie zaplanowaną zbrodnię.

Seaton potarł oczy, przeczytał artykuł jeszcze raz i wyłączył projektor. Szum wentylatora ucichł, a zadrukowane kolumny na pożółkłej stronie gazety sprzed tylu lat znowu zapadły w mrok historii. Seaton spojrzął na ściany czytelnicy, zamrugał i spojrzął na zegarek: za kwadrans piąta. Wyprostował nogę i poklepał się po kieszeni spodni, chcąc się upewnić, że ma drobne na telefon. Zamierzał skorzystać z jednego z automatów znajdujących się w holu biblioteki.

Rozejrzał się dookoła.

Pandora Gibson-Hoare siedziała tu, w tej samej sali, i czytała te same słowa, które on przed chwilą przeczytał. Potem poszła kupić mapy, żeby zaplanować podróż.

Musiała odbyć ją w swym skazanym na klęskę poszukiwaniu sprawiedliwości, a map na pewno potrzebowała. Wówczas nie budowano jeszcze autostrad, znacznie skracających odległości między miastami. Drogi były złe, wąskie i dziurawe, a po zachodzie słońca pogrążone w ciemności. Wyobraźnia podsuwała Seatonowi wizje okropnego, obcego kraju pod bezlitosnym niebem, monochromatycznego, lecz pełnego kontrastów: nędza slumsów i przepych życia uprzywilejowanych. Jak bardzo zmieniła się Brytania, a z nią cały świat, przez tych siedemdziesiąt lat! Peter Morgan mógł jeszcze żyć. Seatoną nagle ogarnął gniew. Wiedział, że taki gniew kiedyś musiała odczuwać Pandora.

Podobnie jak ona po wyjściu z muzeum miał wrażenie, że ktoś go śledzi. Poszedł pieszo na dworzec Waterloo i za część pieniędzy od Malcolma Coveya kupił bilety na podróż do Aberdyfi. Saab został w Whitstable. Koleją będzie zatem szybciej. Trzeba pojechać na północ, ekspresem z Euston, i w Birmingham złapać połączenie z zachodnią Walią. Pociąg do Aberystwyth jedzie powoli wzdłuż malowniczego walijskiego wybrzeża; zatrzymuje się w Aberdyfi, między Machynlleth a Barmouth. Jeśli więc wyruszy bardzo wczesnym rankiem, dotrze na miejsce nazajutrz w porze lunchu.

Cały czas czuł, że ktoś go śledzi. To wrażenie ustąpiło, dopiero kiedy wyszedł z dworca Waterloo na Lower Marsh. Tam zatrzymał się na chwilę. Zamykano sklepy; opuszczano rolety. Kusilo go, by wydać jeszcze trochę gotówki Coveya na pokój w Novotelu na południowej stronie Lambeth Bridge - nowym hotelu, zbyt nowoczesnym i luksusowym dla duchów. Ale tak, jak był pewny, że nikt go już nie śledzi, tak nie miał też wątpliwości, że może bezpiecznie wrócić do domu. Tego wieczoru nie będzie już więcej sztuczek, bicia w katedralne dzwony ani piosenek płynących z zepsutych głośników. Czekало go poważne zadanie. Mrożąca krew w żyłach zabawa zacznie się znowu dopiero w chwili, kiedy przekroczy próg domu Fischera.

Na chodniku szeleściły bibułki po nadpsutych owocach, które spadły z ulicznych straganów. Seaton pomyślał o Masonie, jego siostrze i o semteksie. Zaczął się zastanawiać, co Mason robi w tej chwili, ale zaraz ogarnął go żal i złe przeczucia. Wiał silny wiatr, woda w ściekach bulgotała. Zrobiło się ciemno. Seaton pociągnął nosem i poczuł w listopadowym powietrzu słaby zapach cygara.

Aberdyfi leży na zboczu stromego wzgórza, zwrócone w stronę ujścia rzeki Dyfi. Penhelig, skąd pochodził Peter, to tylko skupisko domów na południowym krańcu wsi. Wszystko jest tu stare, kojarzy się z fotografią w kolorze sepii albo z miejscem przeklętym i zatrzymanym w czasie. W tej wiosce w Snowdonii, od kiedy ustanowiono tam Park Narodowy, nie wolno było nic budować ani wyburzać wiekowych budynków, poza tymi, które popadły w całkowitą ruinę. Seaton pomyślał, że może mu to pomóc w rozwiązywaniu zagadek przeszłości. Aberdyfi się w niej pławiło. Wieś żyła przeszłością, a latem, kiedy pojawiali się turyści, dzięki niej rozkwitała. Sprawiała wrażenie pomnika. Wszystko, co nowoczesne, było tu spychane na margines i tolerowane tylko wtedy, gdy nie zaburzało obrazu i charakteru miejscowości.

Peter został ochrzczony i wychowany przez wspólnotę anglikańską, w nowo powstałej w owych czasach Anglikańskiej Prowincji Kościoła Walii. Uczył się w przykościelnej szkole. Jego narodziny odnotowano w księdze parafii świętego Łukasza. Seaton zadzwonił z automatu w muzeum do wikarego i umówił się na spotkanie. Zamierzał poprosić go o zgodę na obejrzenie kościoła. Skłamał, podając powód. O tragedii porwanego dziecka nie chciał mówić przez telefon. Polegał więc na swoim trochę zaniedbanym talencie i inwencji, pewny, że znajdzie przekonujący pretekst.

Szedł wzdłuż wybrzeża w stronę Penhelig. Wciąż siąpił deszcz. Po lewej stronie wierzchołki wzgórz tonęły w szarych chmurach. Po prawej Seaton zobaczył przystań w Aberdyfi; minął kilka przycumowanych obok siebie nieruchomych jachtów. Było bardzo cicho, słaby wiaterek nie poruszał nawet olinowaniem wyciągniętych wysoko na plażę łódek. Seaton stał na brzegu, już po kilku minutach kompletnie przemoczony. Tak mokry nie był od owego dnia, kiedy drżący i dręczony złymi przeczuciami, wysiadł z autobusu na Lambeth Bridge i wieczorem spotkał się z Malcolmem Coveyem w pubie Zanzibar. Teraz, na wybrzeżu w Aberdyfi, wydawało mu się, że działo się bardzo dawno temu. A przecież nie minął jeszcze nawet tydzień.

Rzucił torbę podróżną na łóżko w ładnym pokoju w pensjonacie Penhelig Arms, który zarezerwował wcześniej przez telefon. Zapłacił pieniędzmi Coveya. Pensjonat stał przy drodze prowadzącej na wybrzeże, okna wychodziły na szare, smagane deszczem ujście rzeki.

Do kościoła Świętego Łukasza na wzgórzu wiodła stroma, obsadzona drzewami droga, żółta teraz od niesionego prądem wody piasku i żwiru. Zasłaniały go jednak inne, wyższe wzgórza. W końcu jednak oczom Seatonu ukazała się szara wieża. Drzwi kościoła były otwarte, w środku paliło się światło. Na spotkanie Seatonowi wyszedł nie ksiądz, ale niejaka pani Reeve. Seaton już od dawna starał się nie szufladkować ludzi jako „typy”. Ale pani Reeve natychmiast zrobiła na nim wrażenie typowej starej panny, co to przynosi kwiaty do kościoła, woskuje ławki i myje chrzcielnicę.

- Pan pewnie jest tym pisarzem - powiedziała.

W kieszeni kurtki miał fałszywe dokumenty od Coveya, przesiąknięte już wilgocią. Ale wiedział, że tu mu się nie przydadzą. Pisarze nie potrzebują kwalifikacji. Potrzebują tematów, o których rzekomo piszą.

Pani Reeve trzymała w rękach ściereczkę. Była w średnim wieku, nosiła okulary, włosy upinała spinkami, a jej twarz wyrażała nieufność. Jednak kiedy się uśmiechnęła, Seatonowi wydało się, że zza chmur wyjrzało letnie słońce.

- Pisze pan książkę o Marjory Pegg, prawda?

- Szukam materiałów.

- Z tego, co słyszałam, ta kobieta była święta. Kiedy pomyślę, czego dokonała tu w szkole... Może napije się pan herbaty? Albo kawy? Właśnie zaparzyłam.

Seaton otarł krople deszczu z brwi.

- Chętnie napiję się kawy - powiedział.

„Z tego, co słyszałam”. Więc te dwie kobiety nigdy się nie spotkały. Ale chyba za dużo by chciał. Marjory Pegg miała czterdzieści trzy lata w chwili zaginięcia chłopca, taką informację podał Philip Beal, dziennikarz miejscowej gazety. Zrobił na Seatonie wrażenie profesjonalisty. Ustalił wiele faktów i pracował zbyt metodycznie, by pozwolić sobie na jakąś nieściskość.

Kawę wypili w małej izdebce przylegającej do kościoła tuż obok ołtarza, oświetlonej pojedynczą gołą żarówką. Pachniała ciętymi kwiatami. Małe witrażowe okienko prawie nie przepuszczało światła dziennego. Na zewnątrz deszcz szumiał i bulgotał w rynnach. Pani Reeve pokazała mu zdjęcie. Ośmioro bladych dzieci, w postawie na baczność przed szarym budynkiem szkoły. Seaton wiedział, że to szkoła, bo na kamiennym dziedzińcu zauważył linie i cyfry do gry w klasy. Po jednej stronie dziecięcej gromadki stała skromnie, ale porządnie ubrana kobieta; po drugiej szczu-

pły starszy mężczyzna w koloratce, zapewne poprzednik wielebnego Maddena. Seaton przyjrzał się kobiecie.

Marjory Pegg była wysoka. Na zdjęciu miała odkrytą głowę, gęste siwiejące włosy związane w kok, prostą sukienkę podobną do fartuszka, a pod nią bluzkę w paski zapinaną na guziki pod szyją i w nadgarstkach. Do sukienki przypięła na piersi zegarek na wstążce, kiedyś takie zegarki nosiły pielęgniarki. Włożyła też pończochy. Buciki, zwykle i dokładnie wypolerowane, wielokrotnie chyba oddawała do szewca. Uśmiechała się i patrzyła w słońce - wydobyło szczegóły i podkreśliło kontrasty. Mrużyła oczy w jego ostrym świetle, ale jej twarz nie stała się przez to surowa, przeciwnie, promieniała dobrocią i radością. Wydawała się bardzo dumna ze swoich wychowanków, którzy, krótko ostrzyżeni stali obok niej w mundurkach.

Niezwykła ostrość zdjęcia sprawiała wrażenie, jakby zrobiono je szybko, nowoczesnym aparatem, niedawno. Ale wrażenie to prysło, kiedy Seaton spojrzał na buzie dzieci. Chłopcy wyglądali tak, jakby mimo młodego wieku zdążyli już poznać trudy życia ubogiej rodziny w tamtych czasach. Jakby wiedzieli, co to zimno, głód, a nawet ból. Ich oczy patrzyły twardo i czujnie. Seaton dostrzegł w ich twarzach coś, co współcześnie występuje u młodych ludzi bardzo rzadko. Były to dzieci swojej epoki, bez troski i jednocześnie ostrożne, radosne i doświadczone przez życie. Peter, jeśli w ogóle tam był, niczym się wśród nich nie wyróżniał.

Seatonowi przypomniały się obłudne opowieści Fischera o polio i krzywicy. Ortopedyczne nakładki, kule? Między bajki włożyć! Przypomniało mu się też, jak Mason obojętnie nazwał Petera znajdą. Chłopcy panny Pegg wydawali się silni, zahartowani i zdrowi. Nikt w tej gromadce nie zwracał uwagi jakąś ułomnością.

- Zmarszczył pan brwi... O co chodzi, panie Seaton?

- Zastanawiam się, czy któryś z tych chłopców to Peter Morgan. Pani Reeve wyjęła mu zdjęcie z rąk. Z jej twarzy zniknął uśmiech.

Słońce zaszło.

-Przepraszam. Wstała.

-Przyszedł tu pan pod fałszywym pretekstem. Okłamał pan wielebnego. Będę wdzięczna, jeśli pan już sobie pójdzie.

-Proszę, pani Reeve. Nie powoduje mną pusta ciekawość.

-Wierzę. Nie wątpię też, że pański czas jest bardzo cenny. A ponieważ nie wiem nic o Peterze Morganie, tylko go pan tu marnuje.

Ciągle trzymała oprawioną fotografię w dłoniach; lekko drżały. W pokoiku pachniało nie tylko kwiatami, ale i starą wodą w wazonie albo gnijącymi liśćmi. Deszczówka wylewała się z rury odpływowej jakoś dziwnie głośno. Seaton miał wrażenie, że w kościele zabrzmiały nagle organy. Zadrżał, przeszył go dreszcz. Był niemal pewny, że za chwilę usłyszy stukot kopyt i parskanie przystrojonych w czarne pióropusze koni.

- Proszę wyjść - powtórzyła pani Reeve. Opuściła rękę ze zdjęciem jakby zapomniała o świętej pannie Pegg, z której jeszcze przed chwilą była taka dumna.

Nie, organy nie zabrzmiały. To tylko jego wyobraźnia. I nie ten czas. Ogarnął go wstyd. Wielki wstyd. Spuścił głowę. Nacisnął klamkę. Przeszedł przed ołtarzem, minął chrzcielnicę, skręcił w pustą nawę i wyszedł z kościoła.

Na cmentarz. Ciągle jeszcze było jasno, choć szybko zapadał zmierzch. W pośpiechu skręcił w prawo, zamiast w lewo, w drogę prowadzącą w dół do Penhelig. Rozejrzał się dookoła: skromne nagrobki, na ogół z poznaczonego deszczowymi zaciekami piaskowca i szarego granitu, nie z marmuru. Trawę niedawno skoszono, kamienie nagrobne rzucały teraz na nią długie cienie. Spojrzał w stronę morza i poniżej chmur, na horyzoncie, dostrzegł ognistą łunę zachodzącego słońca. Odwrócił się, przebiegł wzrokiem po nagrobkach i po chwili zauważył grób ojca Petera Morgana. „Staraniem ogółu”, głosił napis na ciemnym granicie, wypolerowanym i nadal, mimo upływu lat, nieporośniętym mchem. Nazwisko wyryto w kamieniu pod ładną płaskorzeźbą. Prosty i zwykły pomnik, pomyślał Seaton, że ludzie z tej wioski godnie zatroszczyli się o to, by pamięć o Robercie Morganie nie zaginęła.

Wiedział z artykułu Philipa Beala, że ojciec Petera był sternikiem na należącej do Aberdyfi łodzi ratunkowej. Zginął podczas sztormu, kiedy łódź przewróciła się w drodze do tonącego statku towarowego w zatoce Cardigan. Stało się to w roku 1925. Robert Morgan miał wtedy trzydzieści siedem lat. Takich tragedii doświadczają wszystkie nadmorskie społeczności. W wieku pięciu lat Peter Morgan stracił więc ojca. Wypadek zainspirował temat płaskorzeźby na nagrobku, oświetlonym teraz przez niskie listopadowe słońce. Seaton pochylił się, przykląkł na mokrej trawie i z szacunkiem przesunął dłonią po reliefie.

Rzeźba wyobrażała latarnię morską na skale. Kamień przecinała smuga światła, a pod nią widniało imię i nazwisko oraz napis:

„Temu, który dawał nadzieję Zginał, lecz został odkupiony
Z wdzięcznością”

Cóż, łódź z Aberdyfi z pewnością ocalała wiele istnień. W tym celu takie łodzie budowano. W tym celu ich załogi wypływały w morze.

Seaton wstał. Bolały go nogi. Zapadał już zmrok. Grzebano tu całe rodziny. Jednak przodkowie Morgana zostali pochowani gdzie indziej. Przybył do Aberdyfi z Barmouth, gdzie złożył do grobu żonę, która zmarła, wydając na świat syna. Uciekał przed smutkiem. Ale oni byli z niego dumni, ci, którzy go tu przyjęli i uhonorowali po śmierci. Znalazł schronienie na tym niewielkim cmentarzyku za starym kościołem. Szlachetne dusze mogły znaleźć w tej uświęconej ciszy wieczny odpoczynek. Wspaniałe to dla nich miejsce, pomyślał Seaton.

Barman w Penhelig Arms był bardzo młody. Seaton wiedział, że niestety od niego wiele się nie dowie. Kupił piwo i zaniósł je do stolika przy oknie. Postanowił, że rano spróbuje porozmawiać z wielebny Maddenem. Skłamał, ale księży z reguły skłonni są wybaczać grzechy -jutro powie prawdę, choć może niecałą, i przyzna, że interesuje go wyłącznie porwany chłopiec. Skłamał, bo takie zamknięte społeczności lubią skrywać swoje ciemne sprawy, a zaginięcie dziecka to coś, co zwykle otacza zmowa milczenia. Miał nadzieję, że słuchając o niezwykłych zaletach wspaniałej Marjory Pegg, dowie się czegoś o jej uprowadzonym uczniu.

Było to jednak mylne podejście. Przestępstwo to popełniono tak dawno temu, że z pewnością nie żył nikt, kto mógłby to pamiętać. Było tak odległe w czasie, że właściwie należało już do historii. Poruszenie tego tematu wprost, bez ogródek, nie powinno teraz nikomu sprawić bólu ani obudzić niczyjej niechęci. Popełnił błąd. Ale naprawi go zaraz rano.

Chciwie upił kolejny łyk piwa. Przez okno widział migocące światła miasteczka na tle dalekich, pogrążonych w ciemności wzgórz. Co to za miasteczko? Nie wiedział. W ogóle niewiele wiedział. I wątpił, czy cokolwiek tu odnajdzie. W budynku starej szkoły teraz znajdowała się pracownia ceramiki. Z zewnątrz wyglądał tak samo, w środku jednak stały worki z gliną, koła garncarskie i piece do wypalania ceramiki. Najwyraźniej wyrabiano tu pamiątki dla gości walijskich kurortów, którzy gustowali w oryginalnym rzemiośle.

Archiwum szkoły już dawno uległo zniszczeniu. A Madden nie będzie chciał z nim rozmawiać. Teraz już nie. Bo dlaczego niby, na Boga, miałby chcieć?

Seaton wziął do ręki leżącą na stoliku kartę dań. W pubie była też część restauracyjna, a kuchnia cieszyła się w okolicy bardzo dobrą opinią. Wśród potraw zdecydowanie królowała jagnięcina. Zamówił duszona, choć właściwie w ogóle nie miał apetytu.

Drzwi pubu otworzyły się i weszła kobieta. Musiał spojrzeć dwa razy, zanim rozpoznał w niej panią Reeve. Włosy miała zaczesane na bok i umalowane usta. Była ubrana w szyty na miarę płaszcz, jej szyję owijał szal z delikatnej, miękkiej wełny. Na pewno z kaszmiru, pomyślał Seaton. Usiadła naprzeciw niego i zaczęła ścigać z dłoni skórzane rękawiczki.

- Jest pan policjantem?

- Policja nie zajmuje się zbrodniami sprzed siedemdziesięciu lat. Kiwnęła głową.

- Co pana interesuje?

Westchnął i zacisnął palce na szklance. Od czego zacząć?

- Proszę powiedzieć mi jedno: czy skutkiem pańskiego zainteresowania może być ujawnienie sprawców? Sprawiedliwość? To, co teraz nazywa się zamknięciem sprawy?

A on sądził, że ta kobieta w zapinanym na guziki kwiecistym fartuchu, stara pan-na, wyciera zacieki na kościelnej chrzcielnicy. Czasami instynkt go zawodził.

- Ujawnienie sprawców jest mało prawdopodobne, pani Reeve. Ale mam szczerą nadzieję, że winni zapłacą za swoje czyny i ta smutna sprawa znajdzie wreszcie swoje zakończenie.

Spojrzała na stół, na swoje rękawiczki.

- Więc będzie to musiało wystarczyć - westchnęła. - Ma pan w sobie coś z księdza. Katolickiego, nienoszącego sutanny. Może sprawia to ten dubliński akcent. Wydaje mi się też, że jest pan dobrym człowiekiem.

Seaton milczał. Upił łyk piwa.

- Poproszę dużą whisky, panie Seaton. Bez lodu. Ale z odrobiną wody sodowej. Napijemy się, a potem pójdziemy do mnie do domu. Opowiem panu to, co wiem o tej smutnej sprawie.

Mary Reeve mieszkała w odziedziczonym po wuju domu na wybrzeżu. Zawsze mieszkała w Aberdyfi. Miała sklep z antykami. Okna jej dawnego mieszkania wy-

chodziły właśnie na ten sklep. W lecie turyści często do niego zaglądali, gdyż kupione tam kiedyś drobiazgi z czasem stawały się bezcennymi pamiątkami. Od pięciu lat mieszkała w domu wuja, zawodowego golfisty w klubie na południowym krańcu wioski -Seaton, kiedy jechał pociągiem, zauważył flagi oznaczające kilka dołków na tym polu. William Reeve chodził do szkoły z Peterem Morganem.

-Gdzie mieszkał Peter? Czy był tu sierociniec?

Siedzieli w kuchni przy solidnym stole z drewna w czerwonym odcieniu. Kuchotka była niemiecka i lśniła nowością, przybory do gotowania wisiały na hakach. Mary Reeve nie przynosiła rupieci do domu. Seaton przypuszczał, że od śmierci Williama Reeve wprowadziła tu kilka zmian.

Uśmiechnęła się.

- Wtedy nie było pomocy społecznej, panie Seaton. Państwo nie zakładało instytucji, które troszczyłyby się o osierocone dzieci. Istniała tylko dobroczynność. Niestety skąpa i zimna.

- Więc co się stało?

- Wzięła go Marjory Pegg. Miała skromną pensję, ale go kochała. Apa-rafianie uważali, że warto wesprzeć taki cel, i co niedziela dawali na tacę.

- Więc to parafia płaciła na jego utrzymanie?

- Właściwie tak. Ale ludzie tutaj tak by tego nie ujęli. Uważali, że dbają o jednego ze swoich.

- Jaki to był chłopiec?

Wzruszyła ramionami i spuściła wzrok.

-Urodziłam się trzydzieści lat po jego zniknięciu. Więc wiem tylko to, co słyszałam. Może pan jednak być pewny, że to prawda. Dobrze grał w krykieta i piłkę nożną. Lubił czytać książki przygodowe. Łatwo nawiązywał przyjaźnie. Nie wątpię, że jesienią przeskoczył przez płot i ukradł jabłko z sadu Bradleya.

- Wszyscy to robili? Uśmiechnęła się.

- Uhm.

- Więc był zwykłym chłopcem. Spojrzała na niego.

- Chciałabym opowiedzieć panu o moim wuju.

William Reeve skończył szkołę w wieku lat szesnastu i podjął pracę urzędnika na kolei w Machynlleth. W wolnym czasie podawał piłki, żeby zaoszczędzić na własne kije do golfa i opłaty klubowe. Cztery lata później był już świetnym golfistą i wygrał

kilka amatorskich konkursów w Walii i północno-zachodniej Anglii. W 1940 roku, kiedy skończył dwadzieścia dwa lata, został powołany do wojska i wysłany na wojnę. Walczył we Włoszech. Awansował na oficera w stopniu kapitana. Odznaczono go medalem za odwagę. Armię opuścił dopiero trzy lata po zakończeniu wojny, w 1948 roku.

-Mój wuj mawiał, że otrzymał swój stopień tylko dlatego, iż armia chciała mieć potencjalnych zwycięzców w wojskowych zawodach sportowych - powiedziała Mary Reeve. - Ale medal to nie żarty. Był odważnym, dobrym, skromnym człowiekiem. I bardzo sumiennym żołnierzem. Ale kiedy znowu wszystko zależało od niego, wybrał niezwykle spokojne życie.

Seaton milczał. Czasem jest to najlepszy sposób zadawania pytań.

-Często zastanawiałam się, czy rzeczywiście był to w pełni jego własny wybór. Te ograniczenia. Niedogodności. Och, wydawało się, że sam je sobie narzucił. Ale trudno mi o tym nie myśleć. Podejrzewam, że mój wuj prowadził bardzo pustelnicze życie.

Teraz postanowił jednak zadać pytanie na głos.

-Dlaczego?

Było bardzo cicho, tam, w Aberdyfi, w kamiennym domu Mary Reeve. Tylko lodówka włączała się i wyłączała. Sekundnik kwarcowego zegara na kuchennej ścianie tykał spazmatycznie. Lecz żadnych odgłosów, które mieszkańcy dużych miast, tacy jak Seaton, uważają za oznaki życia: rozmów ludzi czy szumu samochodów pod oknami.

-Proszę pójść ze mną. Chcę panu coś pokazać.

Gabinet Williama Reeve'a tonął w pamiątkach, związanych z golfem. Aż dziw, że w jednym pokoju można ich zgromadzić aż tyle, pomyślał Seaton. Odpowiednio wyeksponowane, mogłyby wystarczyć do założenia niewielkiego muzeum. Były tam drewniane tarcze z mosiężnymi tabliczkami, przytwierdzonymi do nich za pomocą śrubek, srebrne trofea z odlewanyymi bądź rzeźbionymi figurkami, kolekcja splekanych, pożółkłych piłek i wiadra pełne drewnianych uchwyty. Pokój pachniał skórą lakierem i olejem lnianym. Ale był to po prostu pokój, nie świątynia- pomnik sportu, a nie Williama Reeve'a czyjego osiągnięć. Na ścianach wisiały zdjęcia w kolorze sepii, ukazujące mistrzów złotej ery sportu, o którym Seaton miał bardzo mgliste wyobrażenie.

Mary Reeve mówiła odwrócona do niego plecami, szukając czegoś w biurku, w najdalszym kącie pokoju.

- Kiedy mój wuj miał trzynaście lat, ojciec zabrał go w nagrodę do Hoylake na finałowe rozgrywki Open w Royal Liverpool. Prześlizgnęli się pod sznurem i widzieli, jak Bobby Jones wygrywa mistrzostwa, ostatnie swoje mistrzostwa. Było to w roku 1930.

Seaton milczał. Mary Reeve wyprostowała się i odwróciła. W ręce trzymała aksamitny, miękki, czarny woreczek, w którym znajdował się jakiś płaski prostokątny przedmiot. Zeszyt? Kolejne zdjęcie?

- Mój ojciec mówił, że Jones miał wrodzony talent, że był najlepszym golfistą, jaki kiedykolwiek trzymał kij w rękach.

Mary Reeve poluzowała tasiemkę ściągnając woreczek.

- Pewnego dnia wuj powiedział mi, że tam, w Hoylake, zobaczył wielkość. A potem, bardzo cicho, opowiedział mi też o cudzie, którym był Peter Morgan, jego szkolny kolega.

Otworzyła woreczek i upuściła go na podłogę. Seaton zobaczył w jej dłoni małą tabliczkę. Trzymała ją za drewniane obramowanie, ostrożnie, żeby palcami nie dotykać wnętrza. Podeszła do Seatonu i odwróciła ją do światła, tak by wyraźnie było widać, co zostało na niej napisane.

Rachunek matematyczny. Równanie, składające się z czterech linijek ciasno stłoczonych cyfr, naskrobane kredą, która ze starości zmieniła kolor. Olej zmieszany z nią w procesie produkcji - miał zapobiegać kruszeniu się podczas jej używania - zżółkł i zostawił tylko słaby ślad na tabliczce. Seaton przyjrzał się rachunkowi dokładniej i stwierdził, że wcale nie został „naskrobany”. Przeciwnie, cyfry i znaki napisano pewnie i śmiało, choć bardzo szybko, jakby mała ręka z trudem nadążała za myślą. Miał przed sobą wynik pracy umysłu działającego z siłą i prędkością cyklonu.

- Dobrze grał w krykieta i piłkę nożną. Kradł jabłka z sadu Bradleya... - wyszeptał.

- Tak. I to. Był też... tym - powiedziała Mary Reeve.

- Czy ktoś o tym wiedział?

- Och, przyjeżdżali do niego z daleka: doktor Carter z Cambridge, jakiś naukowiec z Trinity College, a nawet ktoś z Sorbony. Z Oksfordu przyjechał profesor Covey swoim delage'em.

Seaton omal się nie przewrócił.

- Malcolm Covey?

- Zabrał kilku chłopców na lody. Wśród nich był także mój wuj. Dostali podwójne porcje z sokiem malinowym. Wuj mówił, że Petera Morgana nie można było przekupić lodami. Chciał studiować medycynę. W Edynburgu. - Pani Reeve odwróciła się, schyliła i podniosła woreczek. Potem włożyła do niego tabliczkę i schowała w biurku.

W gabinecie był też zegar, nie kwarcowy, lecz mechaniczny. Seaton usłyszał nagle poruszające się za szybką wahadło. Spojrzał w stronę, z której dobiegał ten dźwięk. Zegar stał na biurku, na porcelanowym cyferblacie widniały rzymskie cyfry, ale wskazówki pokazywały niewłaściwą godzinę. Sam nagle zaczął chodzić, jak to się czasem zdarza w takich starych zegarach.

- Co się stało z Marjory Pegg? Mary zeszywniała.

- Odebrała sobie życie. Kochała Petera jak własnego syna. Przez osiem miesięcy po jego zniknięciu żyła nadzieją, a potem się załamała.

- Powiedziała pani, że wuj prowadził pustelnicze życie. Bardzo dziwne określenie.

- Ale bardzo adekwatne, panie Seaton. Peter miał w klasie siedmiu kolegów. Dwaj zginęli na wojnie. Jeden w Normandii, drugi, później, na Borneo. Żaden z całej siódemki nigdy się nie ożenił. Nie muszę chyba dodawać, że żaden nie spłodził syna.

- Rozumiem. Zaśmiała się.

- Wątpię.

- Dlaczego zmieniła pani zdanie, pani Reeve? Dlaczego jednak zdecydowała się pani ze mną porozmawiać?

- Kiedy wyszedł pan z kościoła, pobiegłam na wieżę, żeby pana poobserwować. Chyba tak naprawdę nie wierzyłam, że pan sobie pójdzie. I zobaczyłam pana między grobami. Było dla mnie jasne, że pan czegoś szuka. A potem natknął się pan na grób Roberta Morgana. Przykląkł pan i się przeżegnał. I zapłakał pan, panie Seaton. Widziałam, jak ocierał pan oczy.

- Bo padał deszcz.
- Rzeczywiście. Po prostu padał deszcz.

28

Deszcz lał jak z cebra przez całą powrotną drogę do Penhelig Arms. Było dwadzieścia po dziesiątej, kiedy tam dotarł i o jagnięcinie mógł już tylko pomarzyć. A co tam, nie zgłodniał. Zdjął przemoczone ubranie, wziął prysznic i poszedł do ciągle nierozpakowanej torby na łóżku po czystą bieliznę. Otworzył torbę i natychmiast wyczuł to, co w niej ukrył: czarny, gruby mszał, stary i mocno już podniszczony, o cienkich, zadrukowanych drobno kartkach. Wziął go do ręki i pozwolił, by sam się otworzył. I otworzył się, na stronie zaznaczonej ciemnozieloną zakładką. Seaton przyjrzał się jej dokładniej i stwierdził, że to nie zakładka, lecz przepustka do czytelnicy, ze spłowiała pieczętą Muzeum Brytyjskiego, wystawiona na nazwisko Susan Green, napisane atramentem, wyblakłym ze starości.

Zmarszczył brwi, bo zauważył, że przepustka zaznaczała stronę z początkiem liturgii pogrzebowej. Zamknął mszał i przez chwilę obracał go w dłoniach. Obejrzał skórzaną okładkę z wytłoczonym znakiem krzyża maltańskiego, po czym znowu otworzył modlitewnik, tym razem na karcie przedtytułowej. Widniało tam nazwisko Lascalles, a pod nim data przyjęcia przez niego święceń kapłańskich. A jeszcze niżej, znacznie świeższym atramentem, ktoś zanotował numer telefonu poprzedzony kierunkowym do Francji.

W pokoju był telefon. Seaton wystukał numer i czekał. Oczekiwanie zdawało się nie mieć końca. Franciszkanin, który w końcu podniósł słuchawkę, nie odpowiedział na powitanie ze zwykłą serdecznością.

- Ach, omal nie zabiliście monsignore, pan i pański przyjaciel, ten *gefaliene Engel*.

Mówił z twardym, górskim akcentem.

- Proszę, ojczy.
- On śpi.

Seaton zamknął oczy.

-Więc proszę go obudzić.

I znowu czas oczekiwania, mierzony pieniędzmi doktora Malcolma Coveya, ciągnął się w nieskończoność. A może tak przejawia się hojność profesora Coveya, mierzona przysmakami dla dzieci i wydatkami na podróże? Bez trudu mógł sobie wyobrazić Coveya za kierownicą starego delage'a. Mógł sobie wyobrazić białe błotniki opon i zapach skórzanej tapicerki. Ale przecież poznał Malcolma Coveya osobiście, ścisnął jego dłoń. I wiedział na pewno, że Covey jest człowiekiem z krwi i kości. Skóra tęgich ludzi nie marszczy się ze starości tak jak szczupłych. Covey jednak, choć tęgi, nie mógł mieć przecież więcej niż pięćdziesiąt lat. Seaton zamknął oczy. Cyfry i matematyczne znaki wirowały w ciemności pod jego powiekami.

-Paul?

- On był geniuszem, ojczec. Ten chłopiec, którego złożyli w ofierze. Został wybrany właśnie ze względu na to, kim był.

- Nie, Paul. Nie został wybrany ze względu na to, kim był, ale kim by się stał.

I Seaton nagle zrozumiał. Nogi się pod nim ugięły, osunął się na łóżko, obok swojej torby podróżnej. No tak, jasne. Nie mógł złapać tchu. Przyciskał słuchawkę telefonu do ucha, ale głos uwiązł mu w gardle. Szczepionka! Chirurgiczna procedura! I rewelacyjne leki na straszne choroby. Sprzedali go diabłu, bo mógł przynieść ludzkości coś dobrego. Rzeczywiście, wybrali swoją ofiarę starannie, z wielką przenikliwością.

- A te dziewczęta? - wydusił.

- Jak myślisz?

Traktat pokojowy, do jego podpisania mogła kiedyś doprowadzić jedna z nich, pomyślał Seaton. Kampania przeciw korupcji czy moralnemu zepsuciu. Fundacja, która zmieniałaby na lepsze życie wielu ludzi.

-Co powinienem zrobić, ojczec?

-Pochowaj chłopca. Znajdź dla niego bezpieczne miejsce, by wreszcie zaznał spokoju. Zrób to, a wierzę, że zło emanujące z tego miejsca zostanie pokonane.

-Nie jestem księdzem.

Lascalles roześmiał się. A ten śmiech umierającego człowieka, który resztką sił trzyma się życia, brzmiał ponuro.

-Jesteś tym, kim jesteś, Paul. I wierzę całym sercem, że będąc tym, kim jesteś, znajdziesz jakiś sposób.

Połączenie zostało przerwane. Seaton wiedział, że nawet gdyby przez całą noc wybierał ten sam numer, tam, w tym francuskim klasztorze w górach już nikt nie podniesie słuchawki. Dostał już wszystko, co jezuita chciał mu dać. Co chciał dać im obojgu. „On śpi”, powiedział mnich, kiedy odebrał telefon. Wkrótce już sędziwy ksiądz zapadnie w wieczny sen śmierci, a przynajmniej zapadnie w niego jego ciało. Dożył stu lat, czekając na obietnicę tego, czego oni dwaj mieli dokonać. Do czego zostali wybrani. Czekał na to cierpliwie od dnia, kiedy złamał pieczęć na pamiątniku Pandory i odkrył jej tajemnicę. Już nic w jego umyśle czy sumieniu nie wiązało go z ziemskim życiem.

„Wierzę całym sercem, że znajdziesz jakiś sposób”.

Tyle tylko, że Seaton chyba w to nie wierzył.

Wrzucił stary mszał do torby. Wiedział, że jest to spuścizna umierającego jezuitę. Wiedział też, że to zdecydowanie za mało.

Zadzwoił do Masona.

-Bez zmian - usłyszał odpowiedź na pytanie, które nie padło. -Amerykanie przestali podawać środki uspokajające. Dziewczyna dużo mówiła, owszem, zwłaszcza na początku. Tyle że jak ktoś sprzedający papierosy w chicagowskim barze. Wydawało jej się, że pracuje dla Ala Capone. Rodzice w nianie zwątpili. Ale w końcu zaczęła krzyczeć o jakimś Harrym Grebie. I lekarze z Bellevue znowu nafaszerowali ją środkami uspokajającymi, włożyli jej knebel do ust, bo ze strachu ciągle gryzła się w język.

Seaton zacisnął palce na słuchawce telefonu. Ręka mu drżała.

- Podróż do Walii coś dała?

- Jutro się okaże. Zobaczymy.

Mason mruknął coś pod nosem i rozłączył się, a Seaton przypomniał sobie, że upadły anioł nigdy nie przepadał za Irlandczykami.

Pojechali saabem - czasem włączało się, trzeszcząc, radio. W akcie buntu. To sygnał wysłany nieprzyjacielowi. Przed wyjazdem Mason zajrzał do siostry - spała w swoim pokoju - a potem zaczął ładować do bagażnika różne groźnie wyglądające

torby. Uznał, że saab nie wzbudzi takiego zainteresowania przy przeprawie promowej jak land rover. Kierował się żołnierską logiką.

- Wątpię, czy można to coś zabić kulą- mruknął Seaton, patrząc, jak Mason wkłada torby do samochodu.

- Na litość boską, to coś, co cię goniło, swoim ciężarem rozwaliło schody - odparł Mason. - To coś czasem przybiera cielesną postać. I jest cholernie dużym celem, sądząc z dźwięków, jakie wydaje. Zaufaj mi, Irlandczyku, wystarczy jedna seria.

Spomiędzy chmur wyjrzało słońce. Było tuż po czwartej po południu, na horyzoncie morze migotało zielonkawo w jego blasku. Powietrze nagle nabrało smaku soli. Seaton przeczesał palcami zmierzwione przez wiatr włosy, wszedł do samochodu i popatrzył na swoje mocno zaciśnięte w pięści, drżące dłonie. Nie drżał ze strachu. Drżał z gniewu. Niewiarygodne. Morderstwo popełnione przed ponad sześćdziesięciu laty tak go wzburzyło? Tak, właśnie tak. Myślał o niezapisanych stronach pamiętnika Pandory i o jej ciele na kamieniach na brzegu rzeki, zimnym i usmarowanym błotem pod płachtą brezentu. Była niezwykła. Żywiołowa. Właśnie wkroczyła na własną drogę do zbawienia. Ale została zabita; zamordowana w sposób, który odarł ją z wszelkiej godności. Później przez wiele lat szydzono z niej, nazywano niezrównoważoną samobójczynią, wariatką. Nie potrafił pogodzić się z jej stratą i straszliwą niesprawiedliwością.

Chciał schwytać tego szczwanego emisariusza zła, Malcolma Coveya, przyprzeć go do muru gdzieś, gdzie nie mógłby mu się już wymknąć, i zabić go własnymi rękami. A te ręce świetnie się do tego nadawały. I choć bardzo się zaniedbał, nigdy nie zapomniały bolesnych, pobieranych w młodości nauk. Chciał przyprzeć Malcolma Coveya do muru, a potem tłuc go tak długo, aż zacząłby jęczeć i wić się z bólu; i nie przestawać, aż jego oddech by ustał. Znowu nieświadomie zacisnął ręce w pięści, tak mocno, że spod paznokci wbitych w dłonie popłynęła krew. A co tam. Bardzo chciał znowu spotkać Malcolma Coveya. Oczywiście, bał się. Ale był pewny, że powoduje nim gniew, nie strach.

O chłopcu starał się w ogóle nie myśleć.

Nick Mason zamknął bagażnik, pełny śmiercionośnej broni, i spojrział na zegarek.

Dziwny facet z tego Irlandczyka. Czyżby tchórzostwo i odwaga mogły współistnieć w jednym człowieku, i to tak dręczonym niepokojem jak Paul Seaton? Mason

widział wielu tchórzy, którzy doskonale udawali odważnych. Widywał też odwagę, dominującą nad strachem. On sam nieraz się bał, potrafił się jednak otrząsnąć, nie ulec lękowi. I robił swoje: walczył i zabijał. Ale kogoś takiego nigdy dotąd nie spotkał. Spojrzał spod oka na Seaton, który, niczego nieświadom, siedział nieruchomo ze wzrokiem wbitym w drogę i zaciśniętymi w wyrazie silnego postanowienia ustami. Seaton. On widział za dużo. Widział rzeczy, których człowiek nie powinien oglądać, przeraziły go i zraniły. Stoczył kiedyś walkę, ale to go nie zahartowało, raczej sprawiło, że się załamał. A jednak był tu, wbrew zdrowemu rozsądkowi zdecydowany, zdeterminowany.

O sobie Mason myślał tylko z ponurym fatalizmem. Przyjął chrzest, choć tego nie pamiętał; nie wierzył w nic i nie praktykował żadnej religii. Kiedyś postanowił poświęcić się walce. Lubił niepewność i bezkom-promisowość swojej profesji. Poza tym liczyło się tylko to, czego wymagały od niego okoliczności. Kochał siostrę i chciał chronić jej życie i zdrowie psychiczne. Bez względu na cenę. Nigdy dotąd nie brakowało mu odwagi. Tym razem także mu jej nie zabraknie.

Ksiądz chyba miał rację - czy on rzeczywiście zabił to coś w Afryce? Czuł w sobie wielką moc, kiedy pociągał za spust; moc, jakiej nigdy wcześniej ani później nie zaznał. Powiedział Seatonowi, że był zdenerwowany i wystraszony w tej zbryzganej krwią chacie wodza. I na pewno nie kłamał. Ale kiedy wystrzelone przez niego kule rozdarły to, co podniosło się na jego oczach ze swojego tronu i runęło na ziemię, ogarnęła go wielka radość.

Teraz nie była to radość, raczej złe przeczucia. Dom Fischera chciał go dla siebie, wzywał go i wabił, czując wokół niego aurę magii, w której zanurzył się w Afryce jego ojciec. Mason uważał jednak, że z nich dwóch to Irlandczyka potwór żądał bardziej.

Malcolm Covey, sobowtór Fischera, psychiatra, zorganizował tę nagłą podróż. To on leczył Seaton, kiedy ten cierpiał z powodu głębokiej, przedłużającej się depresji. I to on dwanaście lat później wiedział, gdzie szukać Seaton, kiedy dom Fischera odwiedziła grupa studentek filozofii. Irlandczyk prowadził żalosne życie, o którym wszyscy zapomnieli. A jednak Coveyowi udało się znaleźć jego numer, mimo że nie było go w książce telefonicznej.

A teraz Covey delikatnie kierował ich obu ku bardzo niejasnemu przeznaczeniu. Wydawał się tak dobrze poinformowany w kwestii nieszczęsnych studentek filozo-

fii, że musiało to budzić podejrzenia. Czy to on podrzucił pamiętnik do skrzyni na strychu Sebastiana Gibson-Hoare? Seaton odnalazł go jakoś podejrzanie szybko. A Gibson-Hoare, znający się na sekretach antyków, miałby czegoś tak kiepsko ukrytego nie znaleźć?

A więc Covey wysłał Seatona z jego pierwszą niewinną wizytą do domu Fischera. Ale Seaton, niestety, zdołał uciec. A teraz tam wraca. Wraca na wyraźną prośbę Coveya. Więc w tym wszystkim chodzi właśnie o Seatona, tak? On, Mason, odgrywa w tej sprawie podrzędną rolę.

Ale dlaczego chodzi o Seatona? I czy Seatona to nie zastanawia? Znowu spojrzął na Irlandczyka, który zaciskając usta, nie odrywał wzroku od drogi. Bez względu na to, o czym myślał, niczym się nie zdradzał. Co wzięło tego człowieka w swoje posiadanie? Choć chyba ważniejsze było pytanie, co takiego ten człowiek posiada?

Mason powoli pokręcił głową, sięgnął ręką do kieszeni marynarki i zacisnął palce na rękojeści sprężynowego noża. Znajomy kształt i ciężar dodały mu otuchy. Rozluźnił się. Westchnął z ulgą. Bardzo potrzebował tej namiastki poczucia bezpieczeństwa, jaką dawało mu to, co znał; to, co w pełni rozumiał.

Przeprawiali się promem, siąpił uporczywy deszcz. Bezlitośnie siekł wody Solentu. Forty na wybrzeżu wyglądały jak płaskie, szare monolity. Siedzieli pod ociekającym wodą daszkiem na górnym pokładzie i pili kawę. W zasięgu wzroku - żadnej innej łodzi ani promu. Kiedy przybili wreszcie do portu w Fishbourne, pogoda jeszcze się pogorszyła. Ulewa bębniła wściekle w płócienny dach saaba, a kiedy Seaton włączył światła i wycieraczki, po przedniej szybie spłynęła fala wody. Tym razem przybył tu samochodem, objechał więc las pustajesieniadrogą zbliżył się do domu Fischera od strony południowej. Podskakiwali na wyboistym trakcie wiodącym wzdłuż ściany ociekających deszczem drzew, aż w końcu światła reflektorów padły na fragment starej bramy, na słup z kamiennym gryfem o gniewnie obnażonych zębach. Seaton zwolnił, a zaraz potem dostrzegł drugi słup - leżał na ziemi, porośnięty bluszczem. Skręcił i wjechał na żwirowy, kręty podjazd do opuszczonej rezydencji.

- Czego możemy się tu spodziewać? - odezwał się Mason.

- Jedyne bramy w ogrodzeniu, które otaczało posiadłość, była zamknięta na kłódkę, ale grupa seminaryjna miała do niej klucz. Ruina zabezpieczona łańcuchem i drutem kolczastym. Tyle tylko zapamiętał wykładowca, bo zaraz potem wszystko ogarnął przerażający chaos. My zostaniemy chyba powitani tu cieplej niż oni.

- Też tak myślę. Ale my mamy coś więcej niż klucze.

W domu paliły się światła. Niezbyt jasne, ale widoczne. Seaton zmusił się, by spojrzeć w górę, zanim podjechali bliżej. Światło w wieży, sączyło się czerwono w pomiedzy okiennic. Kiedy tylko przybili do brzegu, Mason uparł się, że powinni zrobić krótki postój. Wyjął wtedy z bagażnika broń o krótkiej lufie i teraz załadowywał i rozładowywał magazynek. Gdy wieża zniknęła im z pola widzenia, Seaton dostrzegł przed domem eleganckie limuzyny okryte brezentem. Przez rozdarcie w jednym z takich okryć przeświecał lśniący chrom i czarny lakier karoserii. W tym aucie siedział żołnierz - okręcał magazynek kolorową taśmą klejącą. Seatonowi przypomniało się, że przed dziesięcioma laty, kiedy jak wszyscy młodzi ludzie był próżny i skupiony na sobie, miał nadzieję, że przyjdzie mu odegrać jakąś ważną rolę w tym wspaniałym filmie, jakim jest życie. Uważaj na to, czego sobie życzysz, pomyślał teraz, hamując. Wysiadł i przez cmentarzysko starych, ociekających deszczem samochodów ruszył w stronę domu.

Kiedy doszedł do wejścia, zorientował się, że jest sam. Trudno. Było już za późno na odwrót. Pchnął drzwi, ale tym razem okazały się zamknięte. Zastukał kołatką i po chwili na progu stanął wysoki człowiek w liberii kamerdynera.

Miał zniszczoną twarz, a skóra na jego czaszce wyglądała tak, jakby zrekonstruowało ją jakieś niezdarne dziecko. Z wnętrza domu dobiegała muzyka i słaby śmiech. Kamerdyner trzymał na dłoni przykrytą tacę. Skłonił się przed gościem.

- Witaj, Giuseppe - powiedział Seaton.

Kamerdyner gestem zaprosił go do środka, a potem nachylił się **nad** nim konfidencko. Jego oddech był zimny jak powiew z grobowej krypty. Mówił szeptem, z akcentem charakterystycznym dla ludzi pochodzących z Chicago.

- Muszę uprzedzić, sir, że pan Greb pił. - Giuseppe odwrócił się stroną schodów u góry znikających w mroku. Seaton także na nie spojrział. Pokrywał je miękki dywan. Zaszły tam także inne zmiany. Hol został przerobiony na coś w rodzaju sali balowej;

pod ścianami stały wpółokręgu stoliki, a przy nich siedziały ubrane wieczorowo postaci. Nie mógł ich rozpoznać w migotliwym świetle lustrzanych kul, czuł jednak na sobie ich czujny wzrok. - W tej chwili jest w całkiem niezłym nastroju. Ale przecież wszyscy wiemy, jak szybko pan Greb może stracić humor.

Seaton był ciekaw, co znajduje się na przykrytej tacy.

-Może zechce pan pójść teraz ze mną. Pozwolę sobie zaprowadzić pana do osoby, którą kiedyś dobrze pan znał i bardzo cenił.

Seaton ruszył za nim przez hol, klucząc między stolikami. Starał się nie patrzeć na twarze gości, tak martwe jak twarz kamerdynera. Przyglądali mu się z zainteresowaniem.

Minęli jeszcze drzwi, drugie, trzecie, aż .w końcu pod kolejnymi Seaton dostrzegł wąski pasek światła. W korytarzu rozbrzmiewała muzyka, zakłócana trzaskami, jakby ktoś odtwarzał starą płytę gramofonową. Ochryply baryton śpiewał przy akompaniamencie rozstrojonego fortepianu *Imagine* Johna Lennona. Seaton uznał to za znak, że Nicholas Mason także musi już gdzieś tu być.

Giuseppe otworzył drzwi i odsunął się na bok. Lucinda Grey, z wyrazem zaskoczenia na ślicznej niegdyś twarzy, podniosła głowę znad maszyny do szycia. Miała blade, bezkrwiste ciało, a na sobie tylko stanik i halkę. Kiedy naciskała stopą na pedał, w pękniętej na kolanie skórze ukazywała się kość.

-Przyjdę na przyjęcie, kiedy tylko skończę szyć sukienkę - powiedziała z tym swoim charakterystycznym akcentem. Ale w maszynie nie było igły ani nici, na stole nie leżał też materiał.

Serce Seatona przeszły ból.

- Och, Lucindo - wyjąkał. Drżał na całym ciele, wstrząśnięty i przejęty rozpaczą. Nie był na to przygotowany. Lucinda Grey zajmowała w jego pamięci szczególne miejsce. Miała dwadzieścia jeden lat, gładka skórę zawsze rozżółcona słońcem, i była piękna. Jej życie nie mogło się przecież jeszcze zakończyć. Na pewno nie. Jęknął.

- Dlaczego musiałaś umrzeć?

- Umiera się łatwo - odparła. - Życie jest bardziej skomplikowane. Pamiętasz tamten wieczór, kiedy nie poszedłeś ze mną na otwarcie tego baru, który malował David Haliday?

Kiwnął głową. I wtedy zauważył, że w kącie pokoju ktoś się czai. Ale to było bez znaczenia. Liczyła się tylko Lucinda.

- Obejrzelismy freski Davida, a potem poszliśmy do Tabu. Byłam zdołowana, bo nie poszedłeś ze mną. Ktoś miał heroinę i wciągnęłam trochę. I poczułam się wspa-
niale, jakbym unosiła się w powietrzu.

Pamiętał. Spotkali się, kiedy wracała do domu, a on ukrył w kieszeni pamiętnik
Pandory. Gdy zauważył ją wychodzącą zza rogu, rzeczywiście wyglądała, jakby
unosila się w powietrzu.

- Po naszym rozstaniu wróciłam do Yorku. Nie mogłam wytrzymać w Londynie.
Ale tam czułam się jeszcze gorzej. A heroina była wtedy bardzo modna i tania. Koła
ból, Paul.

- Och, Lucindo.

- Nie zastanowiło cię, że nigdy nie wpadliśmy na siebie? Nie sędzę, żebyś potra-
fił mi pomóc. Choć oczywiście nawet nie przyszło ci do głowy, że mógłbyś spróbo-
wać. Ale przedawkowałam tylko przez przypadek. - Zmarszczyła brwi. Jej oczy mia-
ły barwę dalekiej, zamglonej zieleni, którą tak dobrze pamiętał. Złote włosy, kiedyś
lśniące i miękkie, po śmierci przypominały zmierzwioną, matową perukę. - W każ-
dym razie tak mi się wydaje.

Postać w kącie poruszyła się i podeszła bliżej. Patrick. Seaton się tego spodzie-
wał i przez chwilę sądził, że może mu to pomóc znieść widok brata. Tak się jednak
nie stało. Kiedy spojrzał w twarz Patricka, martwą, zagubioną i smutną, nie potrafił
powstrzymać łez. Tak bardzo mu go brakowało. Za jego plecami służący Fischera
zakaszłał.

- Sir? - powiedział i zdjął pokrywę z tacy. Leżał na niej rewolwer, stary webley
poznaczone śladami po odłamkach szrapnela. Miał jednak nowy uchwyt i lśniący
niklowany magazynek. Magazynek był otwarty i naładowany.

- Co się właściwie wtedy stało?

- Trudno to wyjaśnić - odparł Patrick. Z jego klatki piersiowej dobywały się ja-
kieś bulgoczące dźwięki. Zakaszłał i Seaton wyczuł w jego oddechu lekki odór wil-
goci i zgnilizny. - Nie wypłynąłem. To było łatwiejsze rozwiązanie.

Mniej skomplikowane, pomyślał Seaton, kiwając głową. Z roztargnieniem się-
gnął ręką po rewolwer. Baryton zachichotał ochryple, zdarta gramofonowa płyta
przeskoczyła kilka taktów.

-Myślę, że powinien pan już kończyć, sir - powiedział Giuseppe. Lucinda i Patrick patrzyli na Setona z niezadowoleniem. - Pan Greb może lada moment stracić dobry humor. A wtedy co się z nami wszystkimi stanie?

No właśnie, co? Seaton podniósł rewolwer, jego ciężar nagle dodał mu otuchy. Włożył lufę do ust. Wydawało mu się to najzupełniej naturalne.

-Bardzo dobrze, sir.

Pójdzie z Lucindą na bal. Patrick też tam będzie. Będą się świetnie bawić, jak niegdyś. Zabawa. Przypomniawszy sobie to cudowne uczucie, którego nie zaznał od lat. Będzie dokładnie tak, jak za starych dobrych czasów: lambrusco na dachu budynku St Martin's, grać w parku w tenisa i pikniki. Czuł już na plecach słońce, które zawsze świeciło na skwerku gdzie rosło wiśniowe drzewko, czuł w nozdrzach zapach jego kwiatów. Zacisnął palce na cynglu i zamknął oczy.

Imagine stało się nagle bardzo głośne, ktoś mocno szarpnął go za ramię i wytrącił mu rewolwer. Webley spadł na podłogę i wystrzelił z hukiem. Seaton zamrugał. Stał przed nim Mason, z twarzą wysmarowaną na czarno, w wojskowej panterce, uzbrojony po zęby. Seaton rozejrzał się dookoła, po holu. Dom był ruiną, schody były nagie i zniszczone. Nie świeciło się żadne światło, a na zewnątrz zapadła noc. Seaton słyszał, jak deszcz bezlitośnie uderza w okiennice. Widział teraz tylko to, na co padł snop światła z latarki, którą Mason miał przyczepioną do spodni.

Mason uderzył go w twarz, mocno.

- Co masz w kieszeni?

- Mszal, który dał mi Lascalles.

- Co musisz zrobić?

- Odszukać szczątki chłopca i godnie go pogrzebać.

- Nigdzie nie chodź, Paul. To zbyt niebezpieczne. - Mason spojrzął na rewolwer u ich stóp. Dymił lekko i wydzielał silny zapach prochu. Kopnął go w ciemność. - Myślę, że miało to jakiś związek z Coveyem i hipnozą. - Obliznął wargi i spuścił wzrok. - Łatwo ulegasz wpływom -powiedział cicho, jakby do siebie.

Seaton spojrzął na niego. Mason był żołnierzem. Właśnie uratował Seatonowi życie, ale nie znał procedury, której powinien się trzymać w takim przypadku. Zwłaszcza tu, w potężniejącym obłędzie domu Fischera. Cały był obwieszony śmiertelnością bronią ale zupełnie bezradny. Seaton sądził, że Mason jest zbyt silny i zdyscyplinowany, by wpaść w panikę. Lecz trzeba było zrobić następny krok. I de-

cyzja należała wyłącznie do niego. Rozejrzał się wokół i zauważył, że teraz główne schody prowadzą też w dół. Ogarnął go wstyd, że tak dał się opętać siłom działającym w tym domu; że tak się odstąpił i pozwolił doprowadzić się do autodestrukcji. Nie czas jednak karać się poczuciem winy. Musi zacząć działać. Jeśli tego nie zrobi, będą zgubieni.

Gdzieś z daleka, z góry, dobiegł ich suchy śmiech, przypominający zgrzyt zardzewiałych łańcuchów.

-Pan Greb - powiedział Seaton. - Bestia się obudziła. Musimy odnaleźć zwłoki chłopca, zanim się rozjuszy.

Śmiech przeszedł w przeciągły ryk.

Mason chwycił pistolet maszynowy wiszący w poprzek jego klatki piersiowej i spojrzął w stronę ciemnych, prowadzących w dół schodów.

-Musimy znaleźć pokój gier - oznajmił Seaton. - To wszystko było dla nich grą, Nick. Zawsze. Uczestniczyli w diabolicznej grze. Musieli, bo służyli panu, który lubi zabawy. To wskazówka dla nas. Musimy zejść do sutereny.

Poszli w dół schodów, czując, jak resztki dywanu kleją im się do podeszew butów. Potem ruszyli przed siebie korytarzem przypominającym katakumby, ciemnym i wilgotnym. Przerazający ryk oddalił się i przycichł, ale nie poprawiło im to nastroju. Seaton z każdym krokiem czuł się bardziej odcięty od świata.

-Tutaj - powiedział Mason.

Weszli do sali bilardowej, niskiej i wąskiej. Były tam cztery stoły do bilarda. Przy każdym znajdował się stojak na kije, a pod ścianą stała półka pełna rozpadających się pudełek z grammi planszowymi, żetonami z kasyn i kartami do gry. Grała muzyka; Seatonowi wydawało się, że rozpoznaje smutne brzmienie puzonu Franka Roślino. Dźwięk był miękki, przyjemny, jakby przepuszczony przez wzmacniacz starego typu. Lampy nad stołami bilardowymi włączyły się jedna po drugiej, brzęcząc ze znużeniem.

Na ścianach wisiały oprawione zdjęcia- fotografie Pandory. To było zaginione archiwum, to były odbitki z ostatniego negatywu. Seaton rozpoznał Aleistera Crowleya. Miał przygarbione plecy i był ubrany w jedwabny, haftowany szlafrok. Oczy, w otoczcze pomarszczonej skóry, patrzyły trochę nieprzytomnie, jakby właśnie obmyślał jakiś dziki, przebiegły plan. Było to studium człowieka, który żył zbyt długo i zbyt intensywnie; który zbyt głęboko zanurzył się w to, czego ludzie mądrzejsi

lub mniej ambitni starają się unikać. Doświadczenia te wyniszczyły go, odbierając siły witalne i pełnię władz umysłowych. Kiedy Seaton przechodził obok zdjęcia, oczy sportretowanego mężczyzny poruszyły się, a jego usta wykrzywił konfidencjonalny uśmiech.

Wheatley, dla odmiany, wyglądał niemal jak święty. Miał bladą nalaną twarz i kasztanowe lśniące włosy z przedziałkiem na środku głowy, zgodnie z obowiązującą w owych czasach modą. Uśmiechał się do aparatu, ale nie starał się pozować. W ciemnych, zamglonych oczach, skupionych raczej na fotografującej go osobie niż obiektywie, widać było żądzę, jaką budziła w nim Pandora. Przy zdjęciu Wheatleya Seaton zatrzymał się na chwilę, szukając blizn, jakie powinny zostać na jego ciele po eksplozji we Flandrii. Jednak siła magii okazała się wielka, bo żadnych blizn nie było. Cerę miał idealnie gładką. Żeby zabić Wheatleya, trzeba było wielu, wielu łąt picia wina z najlepszych roczników, które przechowywał w swojej piwnicy. Dobiegał osiemdziesiątki, kiedy przestała pracować jego wątroba i śmierć mogła się wreszcie o niego upomnieć.

Fischer sprawiał wrażenie pewnego siebie lubieżnika, który z własnej woli całkowicie oddał się złu. Seaton wiedział, że patrzy na mroczniejsze, bardziej złowrogie wcielenie Malcolma Coveya. A więc tym stanie się w końcu Covey. Gdyby Covey wyglądał tak tego dnia, kiedy po raz pierwszy przyszedł do szpitala, Seaton najprawdopodobniej zacząłby krzyczeć, tak jak wtedy gdy zgubił się w labiryncie. Co ich jednak różniło? Seaton doszedł do wniosku, że Covey jest bardziej ludzki. Klaus Fischer na portrecie Pandory wyglądał tak, jakby niewiele zostało w nim z człowieka, wyglądał jak potwór. Wszyscy oni byli potworami. I to, co zrobili, było potworne.

Zielone sukno na stołach bilardowych, poprzecierane i wystrzępione, wypłowiło tak bardzo, że w świetle lamp wydawało się żółte. Kiedy podeszli bliżej, Seaton zauważył, że na ostatnim stole widnieje wielka, stara plama: jakaś gęsta, ciemna ciecz musiała wylać się kiedyś na sukno.

-Spokojnie, Paul - powiedział Mason.

Ale Seaton nie potrafił patrzeć na to spokojnie, jego serce przeszył nieznośny ból. Poczul na ramieniu uścisk palców Masona, który próbował dodać mu otuchy. Przez chwilę nie mógł oderwać oczu od plamy krwi. Jęknął, dotknął ręką wystrzępionego

sukna i zapłakał. Gdzieś w górze, nad ich głowami, rozległ się szyderczy śmiech potwora.

-Cudownie! - zawołał jakiś głos.

W drzwiach sali bilardowej pojawiły się postaci dwóch mężczyzn w wieczorowych strojach, jedwabnych szalikach i cylindrach. Jeden z nich ukazywał w uśmiechu zepsute zęby i nosił monokl. Zalaływało od nich cygarami i brylantyną. I zgnilizną.

-To Crowley - wyszeptał Seaton. -I Fischer.

-Crowley i Fischer smażą się z piekła - odparł Mason z pogardą. Odchrząknął i splunął na podłogę.

-Brzydki - odezwał się duch Crowleya. - To nie było zabawne. Mason splunął ponownie i chwycił przewieszoną przez pierś broń.

Zjawy zaczęły blednąć, stały się już niemal niewidoczne, kiedy duch Crowleya powiedział nagle:

- Rozgniewałeś pana Greba. I pan Greb wkrótce się z tobą rozprawi.

- Dlaczego nazywają to coś „pan Greb”? - spytał Mason.

- Harry Greb to pięściarz walczący o nagrody, którego służący Fischera znał w czasach, kiedy pracował dla Ala Capone - wyjaśnił Seaton.

Mason kiwnął głową. Skierował latarkę w dół, oświetlając jaśniejszy fragment podłogi, który wyglądał tak, jakby został położony tu później niż reszta, po czym wyjął coś z plecaka, rozłożył to i wręczył Seatonowi. Był to składany szpadel.

Mason wskazał palcem podłogę.

-Warstwa betonu na fundamentach, a potem ziemia. Nie będzie łatwo, ale mogło być dużo gorzej. Kopałem groby na polach bitew w znacznie trudniejszym terenie - oświadczył.

Seaton spojrzał na swoje miękkie, nienawykłe do fizycznej pracy dłonie. W tej samej chwili u szczytu schodów rozległ się głos:

-Nazywam się Harry Greb. Rozwaliłem Tunneya. Rozwaliłem go na miazgę! I rozwalę każdego, żywego czy martwego. - Przerwał. A potem: - Wejdziecie tu do mnie, żeby się bić? Czy ja mam zejść tam do was?

Mason wręczył szpadel przerażonemu Seatonowi i chwycił broń. Pocił się, miał krótki, urywany oddech.

- Nie możesz tam pójść.

- To coś przyjdzie tutaj, jeśli tego nie zrobię - odparł Mason beznamiętnie. Rzeczowo. - Musisz wydobyć szczątki dziecka i wynieść je z domu. Musisz zrobić to, co powiedział ci Lascalles, i pochować kości gdzieś, gdzie nie sięga wpływ tego miejsca. - Ruchem głowy wskazał szpadel, a potem oblizał wargi i spojrzał w górę. Zrobiło się ciepłej, jakby cały dom rozgrzewał się przed tym, co miało się w nim stać. Niemal nie było już czym oddychać. - A teraz kop, do cholery. Kop, jakby od tego zależało twoje życie. Zresztą chyba rzeczywiście zależy. Jesteś Irlandczykiem, prawda? Mickiem. Paddym. Więc chyba wykopanie pieprzonej dziury w ziemi nie przekracza twoich możliwości. - Uśmiechnął się szeroko i ruszył do drzwi. Oddychał ciężko, jego twarz lśniła odporu.

Był śmiertelnie przerażony, ale robił to, co musiał, bo mimo wszystko zwyciężała w nim odwaga. Próbował zamaskować strach brawurą, a Seaton wiedział, że strach nigdy w Nicku Masonie nie zwycięży. On tam pójdzie. Oczywiście, że pójdzie. Będzie walczył. Tak jak przez całe życie. Był żołnierzem, człowiekiem walki. Więc będzie walczył i to z takim zapamiętaniem, by w tej walce zwyciężyć., Zatrzymał się w drzwiach.

- Jeśli z tego nie wyjdę, zaopiekuj się Sarah. Zrób to dla mnie, Paul. Ale lepiej, żeby nie przyszły ci do głowy jakieś głupie pomysły. Tknij ją choćby palcem, a wrócę i sam będę cię straszył, do końca twoich pieprzonych dni - zagroził i odwrócił się, by odejść.

- Zaczekaj - zawołał Seaton. - Zaczekaj, Wiem trochę o boksie. O historii boksu. Nad ich głowami rozległ się głuchy odgłos uderzenia. Ale jak był daleko?

-r Człowieku, nie ma czasu na takie rzeczy.

-Diabeł lubi gry, no nie?

Z góry dobiegało teraz niecierpliwe sapanie.

- Myślę, że to jest Harry Greb. A Greb miał naprawdę straszliwą siłę. Już przy pierwszym spotkaniu stłukł Gene'a Tunneya na miazgę. Wygrał wszystkie walki z Dempseyem. W całej swojej karierze tylko raz został pokonany. Ale głęboko skrywał sekret. Harry Greb był ślepy na jedno oko.

Usłyszeli zniecierpliwiony jęk i skrzypienie starych desek.

- To nie jest Harry Greb - odparł Mason. - Choć bardzo bym chciał, żeby to był on.

- A ja myślę, że to on. Mason spojrzął na Seatoną.

- Zupełnie ślepy?

- Tak, całkowicie.

- Pamiętasz, na które oko?

- Tak, jasne. Na prawe.

Mason zmarszczył brwi i kiwnął głową, a potem podszedł do Seatoną. Uścisnęli się.

-Na południe od domu płynie strumień. Pochowam szczątki chłopca za strumieniem. Przejdę w miejscu, gdzie jest węższy. Tam się spotkamy.

Rozległy się głośnie, ciężkie kroki. Bestia zaczęła schodzić po schodach. Najpierw odzyskała głos, teraz nabrała fizycznego kształtu. Z sufitu przy drewnianych filarach posypały się kawałki tynku. Bestia urosła, pomyślał Seaton. Jest większa niż wtedy, kiedy byłem tu ostatnio.

-Kop, Paul - powiedział Mason, zatrzymując się w drzwiach. - Dla Sarah. Dla dobra dusz nas wszystkich. - Podniósł broń do ust i ucałował lufę. - Kop.

Seaton stanął w rozkroku, uniósł wysoko szpadel i z całej siły wbił go w podłogę. I jeszcze raz, i jeszcze, walił w beton jak oszalały. Powinienem był splunąć na ręce, pomyślał zdyszany, czując, jak drewniany trzonek, rozgrzany tarciem, zaczyna parzyć go w dłonie. Ale ze strachu zupełnie zaschło mu w ustach. Na górze rozległa się ogłuszająca seria wybuchów. Granaty? Poczul zapach bitwy, ciężki, metaliczny, i usłyszał wściekły ryk zaskoczenia, może nawet bólu, a na pewno gniewu.

Zacisnął zęby i kopał. Zdołał przebić się przez skruszony beton, wyrzucił kamienie, które się pod nim znajdowały, i w końcu szpadel wszedł w miękką, zimną glinę. Seatoną bolały dłonie, pokryte pęcherzami. Ale to nie miało znaczenia. Jeśli przeżyje, ręce się zagoją. Z góry znowu dobiegały odgłosy walki. Cały dom zdawał się trząść i jęczeć. Poruszał się, podłogi drżały, a ściany się chwiały. Wreszcie rozległ się przeciągły, dziki skowyt. Seaton poczuł na twarzy silne uderzenie powietrza. Muzyka umilkła i w całym domu nagle zapadła przerażająca cisza. A potem w górze coś runęło ciężko na podłogę i Seaton usłyszał ryk dzikiego, niepohamowanego tryumfu.

-Już idę, Irlandczyku - odezwał się ochryply głos. - Zaraz tam będę.

A więc Mason zginął. Został pokonany w bitwie, której nie mógł wygrać. Seaton słyszał, jak bestia, która go zabiła, toczy się ciężko po schodach. Wydało mu się, że

w domu znowu gra muzyka; Al Bowley, The Hot Club Quintet, coś lekkiego i wesołego, groteskowego w tej sytuacji. Dostrzegł w glinie kawałek jasnej kości, niewiele większej niż kość królika, i z gardła wyrwał mu się zdławiony szloch i jednocześnie przekleństwo. Nie wykona powierzonego mu zadania. Spojrzał na szpadel, na drewniany trzonek, lepki i czerwony, i na swoje spływające krwią dłonie. Wiedział, że to żadna broń. Ale wiedział też, że będzie nią walczył.

Schody zadrżały pod uderzeniami kopyt. Seaton wyprostował się i uniósł szpadel. A potem rozległ się krzyk, krzyk człowieka, krzyk gniewu i rozpacz. To krzyczał Mason, który zdołał wystrzelić jeszcze serię z pistoletu maszynowego w schodzącą po schodach bestię, mszcząc się za cierpienie siostry. Więcej, upadły anioł sprzedawał własne życie, by kupić siostrze zbawienie.

Nad głową Seatona siły ciemności rozpadły się, wyjąć z bólu i wściekłości, po czym zapadła cisza. Udało mu się znaleźć aksamitny woreczek z kulami bilardowymi. Opróżnił go, przykucnął i wygrzebał z gliny kości. Zaczął wkładać je do woreczka. Powoli i delikatnie, dokładnie i metodycznie napełnił go cennymi szczątkami, które wydobywał z ziemi, przesiewając ją przez sztywne, obolałe palce. Aż w końcu poczuł, jak z jego serca ustępuje wielki ciężar, i zrozumiał, że zabrał już wszystko.

Wiedział, że tym razem walka na górze naprawdę się skończyła. Na myśl o śmierci swojego walecznego towarzysza ogarnął go smutek i szczerzy żal. Skarcił się za to w duchu. Zawsze miał skłonność do ulegania uczuciom, a tego Nicholas Mason nie potrzebował. Nadśluchiwał przez chwilę. Panowała głęboka cisza. Wyszedł z woreczkiem na korytarz, długi, z wieloma drzwiami. Ale światło widać było tylko pod jednymi: jasny, wąski pasek ciepłego blasku zdawał się go zapraszać. Spróbował oczyścić z gliny zakrwawione dłonie. Potem znowu nadśluchiwał - i tym razem nie usłyszał nic. Pan Greb zapewne lizał rany, zadane przez zdesperowanego przeciwnika. Seaton musiał jak najszybciej rozeznaczyć się w sytuacji, a nie mógł zrobić tego w ciemnościach. Zaciśnął palce na woreczku i ruszył w stronę wzywającego go do siebie światła.

Drzwi otworzyły się i Seaton wszedł do szkolnej klasy oświetlonej przez kuliste lampy z mlecznego szkła. Zwisały z sufitu na elektrycznych kablach w czarnej izolacji. Małe stoliki z porcelanowymi kałamarzami ustawiono po dwa obok siebie w czterech równych rzędach. Nad podnoszonymi na zawiasach blatami znajdowały się złobienia na pióra i ołówki. W sali unosił się zapach kredy, wosku do konserwacji drewna, wilgotnej wełny i szarego mydła. Zapach dzieciństwa i surowej dyscypliny, w jakiej dawno temu upływało. Ławki były stare i poczerniałe na oparciach, ale czyste, bez napisów czy rysunków. Na półce po prawej stronie stały wysłużone książeczki do nabożeństwa o spękanych, wystrzępionych czarnych grzbietach. Zapadła już noc, bo za wąskimi oknami panowała zupełna ciemność. W elektrycznym świetle pejzaże namalowane przez dzieci plakatówkami na kolorowym papierze wyglądały tandetnie.

Marjory Pegg stała przy tablicy, odwrócona do niego plecami. Rozpuszczone włosy, szare i zmierzwione, opadały jej na ramiona. Pisała kredą, starannie, równo, ale litery były zbyt małe, by mógł je odczytać z tej odległości, poza tym lampy dawały niewiele światła, rzucały tylko mleczny blask. Po lewej stronie tablicy znajdowały się przeszklone drzwi. Seaton, nawet nie oglądając się za siebie, wiedział, że drzwi, którymi przed chwilą wszedł od tyłu do tej sali, zdażyły już zniknąć. W tym miejscu nie obowiązywały reguły logiki. Kiedyś była to część domu Fischera. A teraz znalazł się w wiejskiej szkole w Penhelig, do której chodził kiedyś Peter Morgan. Słyszał ciche tykanie kaloryfera pod oknami, kiedy woda w rurach chłodziła. W kącie obok drzwi dostrzegł mały wygaszony piecyk węglowy.

Zdrętwiał z przerażenia na myśl, że tu, gdzie działy się dziwne rzeczy, ktoś mógł ukraść mu woreczek. Nie, nie ukraść, czuł w spotniałej dłoni jego miękki aksamit.

Nauczycielka odwróciła się. Miała tepe, martwe oczy i bezkrwistą twarz, a skórę przedramion siną i pokrytą bliznami w miejscach, w których otworzyła sobie żyły. Bob Halliwell powiedział kiedyś Seatonowi, że tak się robi, jeśli naprawdę się tego chce: nie należy chlastać na oślep w poprzek nadgarstków, ale zacząć w zgięciu łokcia tam, gdzie skóra jest najdelikatniejsza, i pociągnąć nacięcie w stronę dłoni, otwierając naczynia krwionośne w taki sposób, by nie można ich już było zamknąć.

Panna Pegg podniosła głowę i spojrzała na niego. Poruszała się powoli i jakby niechętnie. Klasa szkolna wydawała się autentyczna w najdrobniejszych szczegółach. Ale nauczycielka budziła niepokój swoim nieświeżym wyglądem i przerażającą martwością. Przy każdym powolnym kroku szurała stopami, jakby nie mogła odebrać ich od podłogi. Seaton dostrzegł, że były owinięte w kawałki gazet i obwiązane sznurkiem. Uśmiechnęła się, ukazując wyszczerbione, zepsute zęby. Pamiętał buty, które miała na sobie na zdjęciu, starannie wyczyszczone, porządne. Czy po opisanych wydarzeniach stała się abnegatką? Może mu to powie.

W tej chwili bardziej niż cegokolwiek innego chciał, by zjawa zaczęła do niego mówić.

Patrząc na nią, przypomniał sobie coś jeszcze, coś, co Wheatley powiedział do Pandory, kiedy tamtego listopadowego ranka 1927 roku szli razem do kuchni, w nadziei że dostaną tam kawę. Wheatley powiedział, że samobójstwa są bardzo użyteczne dla bestii, którą zamierzali stworzyć. Nie wyjaśnił jednak dokładnie, w jaki sposób.

W oknach pojawiły się światła, rząd poruszających się świetlnych punktów mniej więcej na wysokości głowy dorosłego mężczyzny. Seaton wiedział, że to lampy na kaskach górników idących do kopalni na szczytę. Panna Pegg odwróciła głowę w ich stronę, upuściła kredę na podłogę i zasłoniła usta dłonią. Górnicy śpiewali. Śpiewali coś pogodnego, podnoszącego na duchu, inspirującego. Czy czasem nie *Men of Harlech*? Czy w tej części Walii kiedykolwiek istniały pokłady węgla, które opłacało się eksploatować? Seaton nie potrafił sobie przypomnieć. Wydawało mu się, że nie. Według niego w okolicach Aberdyf znajdowały się głównie kamieniołomy, a nie kopalnie.

Marjory Pegg zakołysała się na owiniętych gazetami stopach. Po swojej prawej stronie, przy biblioteczkę, Seaton zauważył rząd pustych, metalowych wieszaków na drewnianej desce. No tak, uczniowie zabrali swoje ubrania po zajęciach. Wszyscy, poza jednym. Na pierwszym z brzegu haczyku ciągle wisiał dziecięcy niebieski płaszcz przeciwdeszczowy, z paskiem przewleczonym przez szlufki, niebieski szalik i niebieska czapka z białą lamówką i srebrno-czerwonym godłem wyhaftowanym z przodu. A po drugiej stronie klasy, zaczepiona wygiętym uchwytem o haczyk, wisiała długa trzciniowa różga. Ciemna ciecz ściekała z niej na podłogę, tworząc niewielką kałużę. Seaton przeniósł wzrok na nauczycielkę i zobaczył, że ona mu się przy-

gląda, że zauważyła, jak patrzył na różgę. Teraz nie widział już jej oczu. Widział tylko głębokie, ziejące pustką oczodoły.

Czy światło przygasło? Tak, oczywiście. I to nie *Men of Harlech* słyszał, lecz coś niesamowicie podobnego, a zarazem bardzo dziwnego. A patrząc w okno, nie był już pewny, że jasną procesję tworzą lampy na głowach górników. Światła wydawały się zbyt ruchliwe i słabe. W nieprzeniknionej ciemności za oknami wyglądały jak nagie płomyki. W ciężkiej ciszy, która panowała w szkolnej sali, Seaton usłyszał nagle, jak krew kapie z różgi do kałuży. Nauczycielka jęknęła cicho. Rzucił się do przodu, minął ją i dopadł drzwi, modląc się, by za nimi był już tylko ociekający deszczem las.

Ale kiedy pchnął drzwi, zobaczył bar w pubie Windmill przy Lambeth High Street.

Wnętrze wyglądało niemal dokładnie tak, jak je zapamiętał. Pub jednak już zamknięto, bo za kontuarem nikt nie stał, a przy jednym z okrągłych, drewnianych stolików grali w karty tylko trzech ostatni klienci w wieczorowych strojach. Pachnieli tytoniem i jakąś drogą wodą kolońską. Może Tabarome. Albo Mouchoir de Monsieur. Wyczuwało się w niej won skóry i lawendy, ale też jakąś inną nutę, leciutką nutę zgnilizny.

Sebastian Gibson-Hoare tylko skinął mu głową. Młodszy Pan Breene wstał. Trzeci mężczyzna nawet nie podniósł wzroku znad kart.

- Pozwoli pan, że dokonam prezentacji - powiedział Breene.

- Nie trzeba - odparł Seaton. - Pan Gibson-Hoare i ja już się kiedyś spotkaliśmy. A nie życzę sobie zawierać znajomości z tobą, Edwinie Poole, morderco.

- Doskonale. - Gibson-Hoare zachichotał. Poole nadal nie odrywał oczu od kart. - A więc dostrzegł pan rodzinne podobieństwo?

Poole, dość przystojny, nie był bardzo podobny do swojej kuzynki i ofiary: włosy lśniące brylantyną, twarz gładko ogolona przez profesjonalistę, który zapewne kazał sobie słono płacić za usługi. Na zewnątrz paliły się pochodnie, rozlegał się trzask rozbijanych szyb i pijackie śpiewy. Seaton rozpoznał w końcu tę piosenkę, rozpoznał ją w tej samej chwili, kiedy, wybiegając z klasy panny Pegg, przeczytał napisane przez nią na tablicy słowa: „Horst Wessel Lied”.

- Co, na Boga, pańskim zdaniem się tam dzieje? - spytał Breene, siadając.

- Z Bogiem na pewno nie ma to nic wspólnego - odparł Seaton, myśląc, że to Góring i jego stado wilków szaleje w przeszłości, którą wszyscy ci ludzie zmienili w prawdziwy koszmar. - Nigdy nie był pan pilotem wojskowym. Archie McIndoe nigdy nie operował pańskiej twarzy. Zawiódł jakiś rytuał czarnej magii, prawda? Jakaś chora ceremonia nie zakończyła się po pańskiej myśli?

Breene tylko na niego patrzył. Gibson-Hoare znów zachichotał.

- Wszyscy musicie być bardzo zadowoleni ze swoich dokonań.

- Och, nawet nie wyobraża pan sobie, jak bardzo. A niech mnie. Świetnie się bawiliśmy. - Breene rósł w dumę.

„Dziateczki Duch Boży różeczką bić każe”. Te słowa napisała na tablicy nauczycielka samobójczyni.

- Jak często ona musi bić chłopca? - spytał Seaton. Edwin Poole w końcu podniósł wzrok znad kart.

- Tak często, jak wymaga tego pan Greb - odparł i spojrzał na woreczek w dłoni Seatona. - Może lepiej to gdzieś położyć? Po co się tak męczyć? - Oczami wskazał kąt sali. - Jesteś wśród przyjaciół, stary. Możesz się rozluźnić.

Ale Seaton nie miał najmniejszego zamiaru wypuszczać z ręki tego, co w niej trzymał.

Poole, w przeciwieństwie do pozostałych dwóch zjaw, najwyraźniej zmarł młodo. Sięgnął do kieszeni płaszcza, wyjął z niej rewolwer Wheatleya i położył go na stole.

- Lubi pan hazard, panie Seaton? - Powiedział to z doskonałym irlandzkim akcentem. Ale oni wszyscy umieli przystosowywać się do sytuacji.

Seaton spojrzał na rewolwer. Mieszkańcy tego domu czuli dziwną słabość to tej broni.

- Malcolm Covey jest synem Klause Fischera, tak?

- No, nie zaprzataj sobie tym głowy, chłopcze - powiedział Gibson--Fłoare. - Masz ochotę zabawić się przy tym stoliku ze starymi znajomymi?

- Nie, nie mam.

- Och, dałbyś już spokój.

Odgłosy za oknem ucichły, ale w pubie nagle zaczął grać magnetofon. *Abraham, Martin and John*.

-Śliczna muzyka - zauważył Breene. - Tobie też się podoba, chyba nie zaprzeczysz.

- No, dołącz do nas - naciskał Gibson-Hoare.

- Po co? - spytał Seaton. - Wy oszukujecie.

- Wszyscy oszukują, no nie? - odparł Breene.

-Po co? - powtórzył Poole. - Bo stawka jest wysoka. Twój stary kumpel Nicky wydał ostatnie tchnienie. A ty? Pan Greb jest na ciebie naprawdę wściekły. Twoja przyszłość nie rysuje się zbyt jasno, chłopcze. Ale pan Greb ma miękkie serce. I jak prawdziwy sportowiec chyba chce nawet dać ci szansę na przeżycie. - Zebrał karty i przetasował je na stoliku, szybko i z wprawą. Teraz, po śmierci, jego zręczność była niemal hipnotyzująca, zwłaszcza że obarczona sporym ryzykiem. - Pozwól, że wyjaśnię ci zasady tej prostej gry. Każdy z nas ciągnie jedną kartę z talii. Wyciągnij każdą, byle nie najniższą, a wyjdiesz stąd bez szwanku i wrócisz do swojego życia. Seaton się zawahał.

- No, dołącz do nas - powiedział Poole bardzo poważnie, bo też składał poważną propozycję. Irlandzki akcent zniknął z jego głosu. - Stawka jest wysoka - powtórzył. Mówił teraz z własnym, idealnym akcentem, wyćwiczonym i staroświeckim, jaki można usłyszeć już tylko w radiowych przemówieniach nagranych przed siedemdziesięcioma laty.

- A jeśli wyciągnę najniższą kartę?

- Zrobisz to, co nakazuje honor - odparł Gibson-Hoare. - Dlatego na stoliku leży rewolwer.

Seaton kiwnął głową. Poole nie spuszczał z niego wzroku. Marvin Gaye skończył śpiewać i z magnetofonu popłynęło *Me and Mrs Jones* w wykonaniu Billy'ego Paula.

-Tam, na zewnątrz, jest rok 1983 - powiedział miękko Gibson--Hoare, wskazując głową drzwi pubu. - Wiosna. Drzewko wiśni na skwerze po drugiej stronie ulicy kwitnie różowo. I pięknie pachnie. Jest sobota, czwarta po południu. Lucinda Grey siedzi na trawie, czyta ostatni numer „Vogue'a”. Ślicznie wygląda w jasnej, plisowanej spódnicy i kremowej bluzce własnego projektu. Czeka na ciebie, Paul. Zarezerwowaliście kort na piątą. Na kolację zjecie lazanie i wypijecie frascati.

Seaton spojrział w stronę drzwi. W wąskim pasku przezroczystej szyby nad witrażami zdobiacymi fasadę pubu widział teraz mdłe, szare światło.

- Jest rok 1995-powiedział.

- Mylisz się - odparł Gibson-Hoare spokojnie, tonem łagodnej wymówki. - Jutro wieczorem spotkasz się z Gregiem i Stuartem. Mike także obiecał przyjść. No i Patrick.

- Wyjdź przez te drzwi, Paul, a znowu będziesz miał dwadzieścia trzy lata - dodał Poole - i znajdziesz się w świecie tak młodym i świeżym jak ty sam. Odłóż worek. Uspokój się. Zaufaj nam.

- Muszę się napić.

Sięgnął ponad barem, podstawił szklanekę pod kranik, nacisnął pompkę i zaczął, aż szklanka się napelni. Piwo było czarne i zalatywało stęchlizną, jakby zrobiono je na wodzie, która za długo stała.

- Od razu uderza do głowy - zauważył Poole za jego plecami.

- Bejaysus- dodał Gibson-Hoare, znowu z irlandzkim akcentem Brendana Behana. - Nic na tej ziemi nie może się równać z wodą z Liffey.

- Kim była ta dziewczyna, Poole, z którą byłeś, kiedy udawałeś Antrobusa? Ta, z którą siedziałeś w Perdoni's i razem obserwowaliście mnie przez szybę tamtego ranka?

- Jedna z odrzuconych akolitek Crowleya - odparł Poole. - Pociągała mnie przez jakiś czas. Potem znudziłem się nią tak samo jak on.

-Gdzie ona jest teraz?

-To zależy, z jakiej perspektywy na to spojrzeć. Jest tam, gdzie ją zostawiłem. Na dnie kanału w Antwerpii.

Gibson-Hoare uśmiechnął się szyderczo.

-Albo tu, w toalecie, pudruje sobie nosek.

Seaton odwrócił się i spojrział na sączące się przez wąską szybę światło, zastanawiając się, jakie Lambeth znajduje się pod niebem z tego koszmaru. W miejscu, gdzie ściany łączyły się z sufitem, widniały zacieki i plamy pleśni, jakby wkroczył w świat psujący się od środka. Na zewnątrz będzie tak samo, a nawet gorzej. Na zewnątrz panuje chaos i wszystko jest tylko kiepską parodią tego świata, który kiedyś znał. Postawił szklanekę na blacie, wziął głęboki oddech i popatrzył w lustro nad barem.

Już podczas swojej pierwszej wizyty w domu Fischera, w wieży, zobaczył, że odbicie w lustrze nie jest dla nich korzystne, a w szpitalu utwierdził się w tym prze-

konaniu. Teraz, w lustrze wiszącym w pubie Windmill, ich ubrania zmieniły się w zarobaczone szmaty, a rozkładające się twarze były oblepione ziemią. I wszyscy trzej nie odrywali pustego wzroku od woreczka w jego dłoni. Wyraźnie widział w ich martwych oczach przerażenie.

Smyczki akompaniujące Billy'emu Paulowi nie brzmiały już tak pięknie i nie chwytaly za serce. Prawdę mówiąc, w ogóle nie brzmiały jak instrumenty smyczkowe. Dźwięki przywodziły na myśl raczej akordeon ulicznego grajka. Muzyka zdawała się wydobywać z jakiejś maszyny, zakłócały ją przykre trzaski. Seaton zadrżał. To nie była wiosna 1983 roku, którą przeżył i pamiętał. Za tymi drzwiami, pod zasnutym dymami niebem, znajdowały się raczej ponure slumsy. Żyli w nich ludzie o bladych twarzach, zmęczonych i zniszczonych. W domach panowała wilgoć i zimno, a ich mieszkańcy, pozbawieni światła, ciepła i środków czystości, zmagali się z brudem, robactwem, chorobami. To był świat polio

i krzywicy, chorób zakaźnych, wszy i wszechobecnego niedożywienia. To był świat, w którym nadzieja dawno już umarła. Radość pojawiała się tu jak duch, podczas gry w klasy, i zaraz znikwała, jeszcze zanim deszcz zmył kredę z chodnika. Nikt nie miał tu sił, by naprawdę w coś wierzyć. Tak wyglądała południowa część Londynu ze znużonej wyobraźni Edwina Poole'a albo z jego nocnych eskapad. Intuicja podpowiadała Seatonowi, że Poole dobrze znał egzotyczne rozrywki, jakich to miasto mogło dostarczyć siedemdziesiąt lat temu. Ale w północnym Lambeth, czającym się za drzwiami pubu, nie było nic egzotycznego. Była to jałowa ziemia Wielkiego Kryzysu, otchłań rozpaczy zrekonstruowana pośpiesznie z kilku mglistych wspomnień. Teraz ta przerażająca, groteskowa dzielnica istniała tylko w pogardliwych spojrzeniach Poole'a, który czasami, wiele lat temu, przejeżdżał tędy taksówką.

Ale pub... Pub odtworzyli niemal perfekcyjnie. Wzięli wspomnienia z czasu, kiedy on, Paul był najszczęśliwszy.. I wiedział, jak tego dokonali. To sprawka Coveya. Chętny i - jak słusznie zauważył Mason - łatwo ulegający wpływowi, musiał zdradzić Coveyowi wszystko podczas tych hipnotycznych sesji, na które dał się namówić w szpitalu. To wtedy zdołali wdrzeć się do najpilniej strzeżonych zakamarków jego pamięci i okraść go z najcenniejszych wspomnień. Z chwilą kiedy sobie to uświadomił, ogarnęła go furia, ale poczuł się też dziwnie zdezorientowany, bo choć wiedział jak, zupełnie nie rozumiał dlaczego. Dlaczego? Dlaczego mu to zrobili?

Piwo w stojącej na barze szklance zalatywało nieprzyjemnie czymś nadpsutym, muzyka powoli cichła.

„Dziateczki Duch Boży różczkąbić każe”.

A więc dobrze.

Odwrócił się, podszedł do stolika, odsunął krzesło i usiadł z nimi. Woreczek położył sobie na kolanach. - Pociągnę ostatni - powiedział.

Pierwszy ciągnął Gibson-Hoare. Walet trefl. Seaton starał się skoncentrować na grze. Dość prostej. Wiedział, że musi zachować zimną krew, bo nigdy dotąd spokoju i jasnego umysłu tak nie potrzebował, jak w tej chwili. Ale oczyma wyobraźni ciągle widział Lucindę i kość, która wystawała ze skóry, kiedy naciskała pedał maszyny do szycia. I wtedy ogarniała go wściekłość nie do opisania.

Następny był Breene. Dziewiątka kier. Seaton usiłował skalkulować swoje szanse, myśląc jednocześnie o siostrze Masona, chorej i nieprzytomnej w swoim pokoju w Whitstable, którą brat wyciągnął nagą z morza, kiedy próbowała się utopić.

Przyszła kolej na Edwina Poole'a. Z głośnym plaśnięciem rzucił na stół królową karo. Seatonowi stanęła przed oczami kobieta z poderżniętym gardłem, leżąca w błocie na brzegu rzeki przy Shadwell Stair.

Bał się, że zadrzy mu ręką. Ale nie zadrzała. Lewą dłonią odwrócił kartę i zobaczył dwójkę pik. Poole uśmiechnął się do niego, błyskając złotym zębem. Seaton zauważył, że muzyka umilkła. Billy Paul zakończył swój melancholijny hymn na cześć żony innego mężczyzny. Seaton upuścił kartę. Prawą dłoń położył na rewolwerze, a kciukiem lewej pstryknął w talię. Karty się rozsypały: same dwójki pik. Uśmiechnął się do Poole'a i wzruszył ramionami. Przytknął rewolwer do swojej głowy. Był bardzo ciężki i wydawał się źle wyważony. Nieforemny. Można było wiele razy brać go do ręki, a jego waga nigdy nie przestawała zaskakiwać. Tak tu cicho, że można by usłyszeć odgłos kropli krwi spadającej z różgi na podłogę, pomyślał. A potem szybkim ruchem odbezpieczył broń, nacisnął spust i władował kulę w prawe oko szyderczo uśmiechniętego ducha mordercy Pandory.

- Wszyscy oszukują - powiedział, nie zdejmując palca z cyngla.

Znowu był w holu domu Fischera. Stał na własnych nogach i trzymał w ręce dymiący rewolwer. Dotknął lufy - gorąca. Próbował sprawdzić, ile kul zostało w magazynku, ale panowały ciemności, a poza tym nie pamiętał, ile było ich na początku. Nie miało to zresztą żadnego znaczenia. Nie można zabić ducha. Nie kulą z broni palnej, w każdym razie. Położył rewolwer na podłodze. Intuicja podpowiadała mu, że jeśli w tej smutnej, przerażającej sytuacji coś mogło nieść jeszcze jakąś nadzieję, to na pewno nie rewolwer.

Wyszedł z domu frontowymi drzwiami. Zszedł po schodach na podjazd, cały czas spodziewając się, że zaraz z cienia wyłoni się wysoka postać kamerdynera, który ostrzegawczym, melancholijnym głosem spróbuje nakłonić go do powrotu. Słyszał deszcz. Słyszał chrzęst żwiru pod swoimi stopami. Nie słyszał głosu Giuseppe. Nagle jednak ktoś jęknął i Seaton pomyślał, że może to pan Greb idzie przez hol i zaraz go dopadnie. Serce podeszło mu do gardła, oblał go zimny pot, ale szybko się opanował. To pewnie zawodzenie jakiejś bluesowej piosenkarki. Smutny głos Bessie Smith czy Leadbelly, nagrany na płytę z szelaku, którą odtwarzano w tych murach dawno temu, w czasach niewyobrażalnego zła i rozpacz.

Wydało mu się, że woreczek poruszył się w jego dłoni. Ale wiedział, że to niemożliwe. Wiedział też, że po twarzy płyną mu łzy. Płakał w ciemności i deszczu. Ze strachu, żalu i z gniewu. Lecz cały czas szedł przed siebie. W końcu się odwrócił. Miał wrażenie, że światła domu są już dość daleko za nim. Wierzchem dłoni otarł z twarzy deszcz i łzy. Teraz powinien zorientować się w swoim położeniu, odnaleźć strumień i poszukać na jego drugim brzegu odpowiedniego miejsca na pochówek. Zaklął, kiedy uświadomił sobie, że zostawił szpadel Masona w suterenie. Trudno. Wykopie grób swoimi zmaltretowanymi rękami, kiedyś przecież się wygoją.

Rozejrzał się dookoła, ale zamiast otwartej przestrzeni wyczuł gęste listowie. A jednak poruszał się w nim bez trudu. Dziwne. Zatrzymał się, wyciągnął rękę i dotknął równo przystrzyżonego żywopłotu. Liście były grube, mięsiste i, mimo ulewy, zupełnie suche. Zaśmiał się gorzko. Wiedział już, gdzie jest: w starym labiryncie na terenie szpitala, do którego zabrano go dziesięć lat temu. Pamiętał tę gęstwinię, pamiętał jej zapach. Miał wrażenie, że aksamitny woreczek w jego dłoni znowu drgnął

i zaczął się poruszać. To nerwy. Moje biedne nerwy. Zupełnie zszargane. Jestem bliższy załamania, pomyślał. Gdzieś za sobą usłyszał szelest i zbliżające się kroki.

A zaraz potem z przerażeniem zdał sobie sprawę, kto za nim idzie. Nie pan Greb. Bestia poruszałaby się tu powoli, demonstrując swoją siłę. A te kroki były lekkie, ciche, jakby ktoś skradał się za nim, chcąc pozostać niezauważonym. Wiedział, kto to jest. Czy też raczej, kto to kiedyś był.

Pielęgniarka z Dundalk, która weszła z nim do labiryntu tamtego popołudnia, zrobiła to, bo młody pacjent bardzo jej się podobał. On sam zrozumiał to tydzień później, kiedy w izolatce, w której odzyskiwał zdrowie po załamaniu nerwowym, pobudziła go bezceremonialnie, a następnie dosiadła okrakiem, uważając, by nie obuzować krępujących go pasów. Łatwo było go pobudzić. Miał dwadzieścia pięć lat. I uprawiał seks po raz pierwszy, od kiedy opuściła go Lucinda Grey. Znienawidził pielęgniarkę, jeszcze zanim zdążyła go zmusić, żeby w nią wszedł. Nie mógł jednak wyrazić swoich uczuć, bo w usta włożono mu gumowy knebel, żeby w ataku paniki nie pogryzł sobie języka.

Najwyraźniej umarła. Musiała umrzeć, skoro goniła go tutaj, rozkładająca się, ale wciąż zalotna.

-Doktor Covey już na ciebie czeka - powiedziała za jego plecami takim głosem, jakby w gardle miała pełno piasku, i zachichotała.

Aksamitny woreczek poruszył się przy jego udzie. To się dzieje naprawdę. To naprawdę się stało. Czuję to, pomyślał, zdumiony.

-Jest w jadalni - dodała. Czuję wiejący od niej chłód, jak nocny wiatr od jeziora. - Pomyślał, że może chciałbyś zjeść z nim obiad.

Seaton westchnął i odwrócił się: nie było za nim nikogo. Ruszył z powrotem w stronę domu, raczej zrezygnowany niż przestraszony. Zrozumiał, że to wszystko musi się zakończyć w taki sposób. Nie może uciec jak tchórz. Musiałby oszukać los. A losu nie da się oszukać.

-Musiałbyś też oszukać sam siebie - mruknął pod nosem. Zaciśnął palce na woreczku, nie zwracając uwagi na ból, jaki sobie

zadaje. Spojrzał w górę, na okna wysokiej wieży. Tam czaiła się bestia, która zabiła jego mężnego przyjaciela. Pomyślał o Coveyu i jego machinacjach. Szedł po mokrej ziemi, z każdym krokiem zbliżając się do miejsca, gdzie odprawiano diaboliczne ceremonie.

-Stary druh! - zawołał Covey, kiedy Giuseppe, teraz w lśniącej złotem liberii, otworzył drzwi jadalni i zaanonsował Seatonu ze służalczym ukłonem.

Siedział na czymś w rodzaju tronu. Miał na sobie płaszcz spięty klamrą w kształcie głowy kozła ze złota i hebanu, a na piersi starą broszę z runicznymi znakami wygrawerowanymi w metalu. To jego zbroja, przemknęło Seatonowi przez myśl. Przybył tu dobrze chroniony. Potężny i gniewny, bębnił upierścienionymi palcami po blacie wysokiego suto zastawionego stołu. Stały na nim naczynia pełne wyszukanych potraw, butelki najprzedniejszych win i innych alkoholi i wazony z bukietami kwiatów. Ale młode proszę, główne danie, zalatywało gnijącym mięsem, a owoce na srebrnych paterach były już lekko nadpsute. Na blacie leżały też zwiędłe płatki kwiatów. To tu ta szatańska sekta organizowała swoje bankiety. Seaton miał wrażenie, że mimo upływu lat czuje jeszcze trupi odór tego miejsca. Spojrzał na Coveya - od czasu, kiedy widzieli się w barze Zanzibar, postarzał się co najmniej o dziesięć lat. Ale może tylko tak wyglądał w półmroku. Jadalnię oświetlały dwa ozdobne kandelabry i czerwone świece ociekające krwawym woskiem. Cała tonęła w krwawej poświacie.

Stół był długi. Seaton usiadł jak najdalej od Coveya.

- Chciałbym wiedzieć dlaczego, Malcolmie- powiedział. -Naprawdę chciałbym to wiedzieć.

- Siła - odparł Covey beznamiętnie. - Władza. Wpływy. Bogactwo. To wszystko, czego ty nigdy nie zdołałbyś pojąć. Więc nie zwracajmy sobie głowy filozofią moralnością, etyką; od razu przejdźmy do sprawy. W tym worku, który trzymasz na kolanach, jest coś, co do ciebie nie należy. Zwróć mi to, Paul, a obiecuję, że rozstanie my się jak przyjaciele.

-A jeśli tego nie zrobię? Uśmiech Coveya przygaśł.

-Pan Greb wkrótce do nas dołączy. A ty chyba wolałbyś uniknąć spotkania z nim.

Seaton kiwnął głową. No tak, racja. Tyle tylko, że w domu panowała cisza.

-Wiesz, co myślę, Malcolm? To oczywiście tylko przypuszczenie, ale podejrzewam, że potwór jest ranny. Zabił Masona, to fakt. A z czasem ty i pan Greb wzmocnicie się magią, którą zostawił Nickowi w spadku ojciec. Dokładnie tak, jak to przewidziałeś i zaplanowałeś. Ale Nick okazał się odważniejszy i bardziej pomysłowy, niż sądziłeś. I w tej chwili, po walce z nim, pan Greb czuje się dość kiepsko. Nieźle

oberwał. I coś mi się zdaje, że musi dobrze odpocząć, zanim zdoła tu do mnie przyjść. Więc według mnie na razie to sprawa między nami dwoma.

Na górze, jakby chcąc zaprzeczyć słowom Seaton, rozległ się jakiś dziwny głos. Covey uśmiechnął się tryumfalnie. Ale Seaton wyczuł w tym głosie brak apetytu. Pan Greb się z tego wylize, w końcu dojdzie do siebie. Lecz będzie potrzebował na to dużo czasu. Covey wyjął wykałaczkę z pudełeczka na stole; Seaton przypomniał sobie, co za pomocą wykałaczki ojciec tego człowieka zrobił z agresywnym marynarzem w barze w Portsmouth.

- Chcę dostać worek, który trzymasz na kolanach. On nie należy do ciebie. Ukradłeś jego zawartość. Zwróć ją, a wyjdiesz stąd cały i przy zdrowych zmysłach. Oddaj mi worek.

- Och, Malcolm. Cóż mogę ci powiedzieć... Pieprz się.

Covey wbił zęby w wykałaczkę i ciało Seaton przeszył ból. Worek poruszył się. Ale teraz, w końcu, Seaton postanowił, że będzie walczył o godny pochówek dla tego chłopca równie zaciekle jak wcześniej jego przyjaciel.

- Dlaczego ja, Covey? Covey wzruszył ramionami.

- Oddaj worek.

Potwór na górze zdołał się podnieść i zaczął sunąć w dół schodów. Worek podskoczył. Covey wyjął wykałaczkę z ust i zbliżył ją do płomienia świecy. Seaton był zupełnie przemoczony. Stary mszał, który dostał od francuskiego jezuitę, zmienił się w jego kieszeni w rozmiękłą papkę. Z ociekających wodą mankietów z sykiem uniosła się para. Seatonowi zrobiło się gorąco.

- Daj mi ten worek.

- Nigdy.

Potwór wtargnął do jadalni. Gwałtowny podmuch powietrza zgasił świece i pokój pograżył się w ciemności. Rozległ się wściekły ryk, worek na kolanach Seaton drgnął. Covey zaklął. Seaton poczuł na plecach cuchnący oddech bestii zbierającej siły do ataku, a zaraz potem usłyszał, jak Covey szuka czegoś na stole. Noża? Rewolweru Wheatleya?

Zapałki. Covey szukał zapałek.

Seaton roześmiał się głośno. Coś sobie przypomniał. Coś bardzo ważnego, o czym prawdopodobnie siedzący naprzeciw niego człowiek kazał mu zapomnieć.

-Ja podam ci ognia - oświadczył. Covey krzyknął.

Seaton położył dłonie na worku, czując pod palcami jego smutną zawartość. Zamknął oczy i... ciemność pod powiekami nagle rozproszyło światło.

-Będiesz bezpieczny, Peter, przyrzekam ci to - powiedział. Powstrzyma potwora siłą swojego umysłu w sposób, w jaki - teraz

to pamiętał - zrobił to już wcześniej. Wtedy bezwiednie, instynktownie. W tej chwili tak wielkiego skupienia cały las umilkł, a ptaki poderwały się do lotu, gubiąc pióra. To nie irlandzki mit płynącej wody powstrzymał wtedy pana Greba, ale Seaton. A potem omal nie zgubiła go próżność. Nie wystarczyło mu, że powalił potwora - podszedł jeszcze do niego i spojrzał mu w twarz. Popełnił błąd i nie miał zamiaru go powtórzyć.

Potwór był teraz za nim, sapał i dyszał bezsilnie, unieruchomiony za pomocą jednej myśli. Covey pocierał zapalkami o bok pudełka, chcąc powtórzyć swoją sztuczkę sprzed kilku minut. Seaton wiedział jednak, że żadna z nich się nie zapali, bo on na to nie pozwoli. Na stole wciąż leżał rewolwer Wheatleya. Ale Covey wkrótce przekona się, że nie da rady go podnieść. Myśl Seatonu przytwierdziła go do blatu. Covey płakał. Łkał rozpaczliwie, potrząsając pudełkiem, w końcu upuścił zapalki na podłogę. Seaton uśmiechnął się do siebie. Ciągle miał zamknięte oczy, mimo to także doskonale widział. Ale miał tu do załatwienia sprawę bez porównania ważniejszą niż głupie sztuczki Coveya i jego tanie ambicje: złożył chłopcu obietnicę. I zamierzał jej dotrzymać.

Woreczek zadrżał pod jego dotykiem. Myśl Seatonu poszybowała daleko, na cmentarz przy kościele nad morzem. Drzewa otaczały to miejsce, kryjąc je w swoim cieniu. Morze połyskiwało ciepło w zachodzącym słońcu. W skoszonej trawie wznosił się skromny nagrobek Roberta Morgana. Paul Seaton zebrał całą swoją siłę. Była potężna, a on sięgnął do jej najgłębszych zasobów. Skoncentrował się i poczuł, że fizyczny świat podlega jego woli, że jego umysł zmienia fikcję w rzeczywistość, że materia poddaje się jego myśli. Zdecydowanie, lecz z największą delikatnością Seaton umieścił siłą swojej woli to, co zostało z Petera Morgana, w objęciach jego ojca, pod granitową płytą, gdzie już zawsze będzie bezpieczny.

Potem westchnął i spuścił głowę. Worek na jego kolanach był pusty. Potwór za jego plecami zniknął, bo nagle przestała działać magia, która powołała go do życia. Seaton poczuł, jak dom popada w ruinę, powinien stać się nią już dawno. Otworzył oczy i spojrzał na Malcolma Coveya: siedział za stołem pełnym zepsutego jedzenia,

bez muzyki i magii wyglądał smutno i groteskowo w swoim wspaniałym płaszczu i pierścieniach. W palcach obracał cygaro. Ale nie mógł go zapalić. Żadna z rozsypanych na stole zapalek nie dała ognia.

- Teraz już rozumiem.

- Niczego nie rozumiesz - burknął Covey. - Co za strata. Co za okropna strata. Idź do diabła.

- Mogłem cię zabić.

- Mogłeś zrobić wszystko. Ale już nie zrobisz. - Pokręcił głową i spojrzał na cygaro. - Co za marnotrawstwo.

W rezydencji Klause Fischera ściany były teraz brudne i poznaczone śladami po gwoździach wszędzie tam, gdzie kiedyś wisiały obrazy i zdjęcia. Przez dziury w dachu do środka padał deszcz.

Seaton wstał i ruszył przed siebie wśród gruzów. Wyszedł ze zrujnowanego domu w noc. A potem, w deszczu, oddalał się od posiadłości Fischera w kierunku, jak sądził, wybrzeża. Nie mógł wracać saabem Coveya, bo zbyt wiele złych wspomnień się z nim wiązało. Intuicja podpowiadała mu, że dotrze do brzegu i znajdzie łódź. Pandora nie znalazła łodzi. Ale był pewny, że on znajdzie. Odwrócił się, chcąc spojrzeć na dom, zanim zasłonią go drzewa. I w jednym z okien wieży zauważył światło. Ale to tylko promień księżyca odbijał się w nim i nawet z tego miejsca Seaton wyraźnie widział, że szyba jest stłuczona. Dom był zrujnowany, ogołocony, opuszczony przez ciemne moce, które kiedyś nim władały.

Przemknęło mu wcześniej przez myśl, że mógłby zabić Malcolma Coveya. Oczywiście. Ale przypomniał sobie to, co powiedział mu Nick Mason: że musi ocalić jego siostrę i dusze ich wszystkich. Sarah Mason wyzdrowieje, choć będzie opłakiwać śmierć brata. Seaton wiedział, jak to jest stracić kogoś z rodzeństwa. Lecz Nick całe życie flirtował ze śmiercią, więc Sarah musiała się w pewnym sensie przygotować na to, że pewnego dnia może go w jej życiu zabraknąć. Nie będą jej już dręczyć senne koszmary, wróci jasność umysłu, zniknie chaos. Teraz, kiedy duchy zniknęły, Sarah i pozostałe dziewczęta zaczną powoli o nich zapominać. A on powinien zatroszczyć się o dusze, w szczególności o własną. Odkrył w sobie niezwykłą siłę. Czuł jednak, że postąpiłby źle, używając tego daru dla zabawy czy zemsty. I choć Covey go przeklął, to Covey tak naprawdę był przeklęty. A on, Seaton, zasłu-

guje na długie życie; będzie miał dużo czasu, by rozmyślać o tym, co czeka go po śmierci.

Zbliżył się do brzegu morza. Słyszał głuchy szum fal, załamujących się w deszczu. A potem dostrzegł łódź, łódź z wiosłami, na plaży ponad linią przyływu. Ta łódź należała do Fischera i teraz na pewno już nikt z jego domu z niej nie skorzysta.

Nagle poczuł, że nie jest sam. Odwrócił się i zobaczył ją.

Pandora, piękna i wytworna, stała parę metrów dalej i patrzyła na niego. Gęste lśniące włosy otaczały jej jasną twarz, opadając na kołnierz z futra norek. Czuł niesiony wiatrem zapach jej perfum. Wiedział, że pewnego dnia ją zobaczy, właśnie tak. Mijające lata tylko utwierdzały go w tym przekonaniu. Wiedział o tym już owego upalnego dnia w Arthur's Café w Dalston, gdzie wieki temu jadł lunch z Mikiem Whitehallem. I wtedy, kiedy po raz pierwszy odwiedził Brightstone Forest i dotarł do miejsca, gdzie goście Fischera stoczyli pojedynek. Czy wtedy rzeczywiście ją tam zobaczył? Jeśli tak, była wówczas tylko ulotnym cieniem na granicy jego pola widzenia. Teraz zdawała się przesłaniać cały świat. Za życia musiała bezwiednie złamać wiele serc. Wiatr poruszał kosmykami jej włosów i futrem kołnierza, jakby głaskała je niewidzialna dłoń. Jej usta odcinały się ciemną czerwienią od bladej twarzy. Poruszyła się, a wtedy dostrzegł błysk pereł na jej szyi. Skinęła głową i uśmiechnęła się do niego.

Seaton także się uśmiechnął. A ona zaraz potem rozplynęła się w powietrzu.

Odbił od brzegu i wiosłował, choć dłonie paliły go żywym ogniem. Ale on był wytrzymały na ból. Nie bez zaskoczenia niedawno się tego o sobie dowiedział. Dalej od plaży morze było gładkie i spokojne. Wiosła uderzały w powierzchnię wody w rytmie wyznaczanym przez ruchy jego obolałych rąk. Kierował się w stronę czerwonej boi nawigacyjnej. Kiedy do niej dotrze, zobaczy po drugiej stronie Solentu migoćące światła Portsmouth. Wciągał w płuca oczyszczające, słone powietrze. I wreszcie usłyszał głuche uderzenia fal w metalową boję i plusk lin cumowniczych. Deszcz przestał padać, wiatr rozproszył chmury i Seaton dojrzał zielone algi na wielkim, noszącym ślady spawania stożku w wodzie dokładnie na wprost niego. Ominął go, z wysiłkiem poruszając ciężkimi wiosłami. Ale teraz pomagał mu prąd morski. Już za chwilę zobaczy Pompey i światła na brzegu. Tak wiele lat przeżył w ciemności. Teraz jednak światło było już blisko i Paul Seaton czuł, że chyba w końcu zasłużył na to, by żyć w jego blasku.